

CZARNA SEDIA

Doskonała książka autora, który osiągnął mistrzostwo w operowaniu językiem i który sugestywnie i z zaangażowaniem opowiada przejmujące historie.

Kristianstad blad

Jak dotąd najlepsza powieść Edwardsona. Mimo że mógłby spocząć na laurach, pisarz nie przestaje zadziwiać.

Blekinge Läns Tidning

Åke Edwardson

Najpiękniejszy kraj

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!
Ósmy tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

Ali-Baba

*Dla moich dziewczyn
Rity, Hanny, Kristiny*

Åke Edwardson

NAJPIĘKNIEJSZY KRAJ

przełożyła Małgorzata Kłos

WYDAWNICTWO CZARNA OWCA
WARSZAWA 2013

KIEDY TYLKO WRACAJĄ WSPOMNIENIA, pierwszą rzeczą, jaką sobie przypominam, jest piach. Piach. To oczywiste. Przesypywał się między palcami, zapadały się w nim stopy.

Pamiętam to tak dokładnie, jakby wokół wciąż było mnóstwo piachu. Pamiętam też nocny chłód. Jest zupełnie jak upał w dzień - nie ma przed nim ucieczki. Zresztą na pustyni nie można donikąd uciec. Moja matka powiedziała kiedyś, że to zupełnie tak, jakby się tkwiło na statku bez żagli. Nie wiadomo, co miała na myśli, bo przecież nigdy nie była na morzu. Myślę, że nigdy nie widziała żagla ani choćby zwykłej łodzi. Dla mnie żagiel też był czymś nieznanym, przynajmniej jeszcze wtedy.

Zaczyna wiać. Płachta namiotu ugina się pod podmuchem. Do nocnego chłodu została jeszcze godzina. Chłód. Nocami ma się ochotę opuścić ciało. Rozumiecie, co mam na myśli? Czuje się tylko kości. Mięśnie i krew przestają istnieć. Chce się tylko wyjść z siebie i uciec od tego, co wokół. A wiadomo, co to może oznaczać: to, że wkrótce ta chwila może nadejść. Ta minuta, sekunda, gdy opuszcza się własne ciało. Rozumiecie?

Za dnia próbujemy iść. Podróż nie trwa dłużej niż kilka tygodni, ale choć minął jeden dzień, może dwa, nie umiem sobie przypomnieć, kiedy opuściliśmy osadę. Może jeszcze przed ostatnim nowiem. Może za czasów innego Boga. Choć Bóg był tylko jeden. A w osadzie był wszędzie. I dla wszystkich. Bóg jest wielki, Bóg jest wielki i takie tam.

Ojciec wzywał Boga, kiedy go zabijali. Brat krzyknął niemal równocześnie. Jego krzyk jakby szedł za krzykiem ojca. Umarł, a jego śmierć jakby szła za śmiercią ojca. Potraficie to pojąć? Myślę, że nie.

Kiedy tak idziemy w słońcu, te wspomnienia są jasne niczym światło na pustyni. Naprawdę. Jakby świeciły mi się w oczach. Nie widzę za to oczu matki. Nie pokazała ich, odkąd

opuściliśmy osadę.

Nie pamiętam, jak uciekliśmy

Może udało nam się dlatego, że próbując zabić jednocześnie tak wielu, nie mogli zabić wszystkich. Słońce zaszło, a pogrom wciąż trwał. Właśnie wtedy mogliśmy uciec. Matka chwyciła mnie niczym wiąznię chrustu, dużą, ale lekką. To właśnie wtedy, w promieniach złocistego słońca, spojrzała mi prosto w oczy po raz ostatni. Potem pospieszyliśmy w noc.

Krew. W jaskrawym słonecznym świetle wydaje się niemal czarna. Jak ropa. W ziemi było dużo ropy, z pewnością to wiecie, wszyscy wiedzą. Ropę można było zobaczyć codziennie, w tamtych czasach w kraju było jej równie dużo, jak krwi. Teraz krew wsiąka w piach, a ropa wciąż czeka w głębi. Rozumiem, że ropa jest warta więcej niż krew. Jest od niej gęstsza. Choć woda, która jest rzadsza od krwi, też jest więcej warta.

I znów biegnę. I znów widzę krew. Jest równie czarna. Te same dźwięki. Krzyki. Światło oślepiające jak płomień.

NA ZEWNĄTRZ BYŁO PUSTO. W górze - nadchodzący świt. Chociaż już robiło się jasno. Ta noc nie dostała zbyt dużo czasu. Niedaleko biegły autostrady łączące północ z południem. Nad asfaltem blask reflektorów. Pojawiały się i znikaly. To światło było bez znaczenia. Nagle powiało od zachodu, wiatr przyniósł ze sobą świst pociągu. Tak to zabrzmiało. Jak pociąg. Taksówka zatrzymała się przed sklepem - samotnym, nieosłoniętym z żadnej strony budynkiem. Sklep osiedlowy bez osiedla. Otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kierowca stanął obok samochodu. W środku było cicho. Cicho. Potrzebował papierosów. Sklep był przeszkłony - niemal cały. W środku nikt się nie ruszał. Bezruch. Wszystko zastygło w bezruchu. Kierowca przeszedł przez parking. Odgłos kroków niósł się daleko w noc. Skądś dobiegło go echo. Usłyszał je. A wraz z nim jakiś inny odgłos. Krzyk. Jeden, potem kolejne. Chociaż nie, dopiero po wszystkim sam to sobie dopowiedział. Strzał. To był pogłos strzałów. Zaczął krzyczeć. Zobaczył. Przystanął w drzwiach. Cały czas były otwarte. Kiedy szedł w ich stronę, widział światło. Ale dopiero teraz zobaczył to. Przekroczył próg i zatrzymał się. Krzyczał, ale nikt nie słuchał.

Na podłodze leżało ciało. Wokół - kałuża krwi. Bywał tu już. Wiedział, że podłoga jest kamienna, wyłożona białymi i czarnymi płytami, i że połyskuje w świetle. Ciało nie miało twarzy. Dostrzegł wystającą zza lady nogę. Gdzie indziej samotną rękę. Tak właśnie pomyślał: samotna ręka. Nieruchoma. Jak wszystko tutaj. Dobiegały go pojedyncze dźwięki z autostrady, z zachodu. Niedługo ludzie ruszą do pracy. Niewielu bierze urlop w czerwcu. On też nie wziął. Może weźmie we wrześniu, jeśli będzie go na to stać. A może, do cholery, weźmie go teraz, natychmiast. Zastanawiał się nad tym ostatnio.

Stał bez ruchu. Widział, jak czerwona kałuża rozpełza się po kamiennej podłodze. Nic nie stało jej na przeszkodzie, nic jej

nie wchłaniało, nie powstrzymywało.

I właśnie wtedy, kiedy dźwięki z autostrady, wiatr i niebo zamilkły, usłyszał kroki. Niewyraźne i lekkie, może kroki dziecka. Przez chwilę jakby unosiły się nad ziemią, gdzieś na dworze, a potem ucichły.

Ktoś tam jest, pomyślał. Ktoś tam był. Tam, na zewnątrz, i tutaj, w środku. Ktoś słyszał, jak krzyczałem. Ktoś mnie widział. Ale jak ktoś mógł słuchać tutaj, w środku. Jak mógł zobaczyć, co się tu stało. Właśnie to przyszło mu do głowy później, po wszystkim. Kiedy słuchał go już ktoś inny. Na litość boską, powiedział wtedy Musieli przysłać radiowóz. A jak pan myśli? Nie mam pojęcia, jak zadzwoniłem, ale jakoś przecież musiałem to zrobić.

Komisarz Erik Winter, kiedy technicy w końcu wpuścili go do środka, ostrożnie obszedł półkolem kałużę krwi. Przystanął w połowie drogi między drzwiami i leżącym na podłodze ciałem. Mężczyzna. To znaczy to był mężczyzna. Nic z niego nie zostało, nawet twarz. Ktoś strzelił mu w nią z niewielkiej odległości. Siła wystrzału była przerażająca. Jakby w sklepie wybuchła bomba. Ale nie było żadnej bomby Tyle już wiedzieli. Ten ktoś użył broni palnej.

Spojrzał na klęczącego na kamiennej podłodze na prawo od dwóch przewróconych krzeseł i stolika Bertila Ringmara. Komisarz Ringmar podniósł wzrok i pokiwał głową, wskazując na leżące obok ciało. Ciało numer dwa, jeśli liczyć od drzwi. Z drugiej strony, na lewo, niemal za ladą, ciało numer trzy. Trzy ofiary masakra. Winter zorientował się, co Ringmar mu pokazuje. Ciało było odwrócone tyłem. Widać było plecy. Brakowało części głowy.

- Nie ma twarzy - powiedział Ringmar.

W sklepie jego głos zabrzmiał dziwnie głośno, niemal elektryzująco. Przełamał absolutną ciszę, pomyślał Winter. Jakby wszelkie dźwięki zniknęły stąd po wystrzale, po tym huku, który zapewne na dłuższą chwilę pochłonął wszelkie odgłosy. Uśmiercił wszystko.

- Żaden z nich nie ma - odparł Winter.

Widział buty ofiary leżącej najdalej od drzwi.

- Jakim cudem udało mu się podejść tak blisko? - zapytał Ringmar. - Tak blisko całej trójki?

Winter wzruszył ramionami.

- I to niemal jednocześnie - ciągnął Ringmar.

- Jest na to odpowiedź. To znaczy na to, jak mu się udało podejść tak blisko.

- Pewnych osób lepiej nie znać.

Winter przytaknął.

- Witaj w domu, tak na marginesie - powiedział Ringmar.

Wrócił do kraju po zimie i wiosnie spędzonych na południu Hiszpanii. Wygodne mieszkanie w Marbelli, niedużo deszczu, o wiele cieplejsze noce, działające kaloryfery i przejrzyste dni. Przy odrobinie wyobraźni można było dostrzec wybrzeże Afryki. Cholernie udane półrocze. Angela pracowała w klinice, on w domu. Był bezpośrednim przełożonym swoich córek, Elsy i Lilly, chociaż może było na odwrót. *Vamos!* - mówił, a one ruszały. Codziennie po śniadaniu, w piękny dzień. Idziemy!

Żadna z trzech ofiar leżących na podłodze niebieskawego sklepu już nigdzie nie pójdzie. Mieli na nogach buty, ale tylko tyle. Niebieskie światło zmieniało się powoli, w miarę jak słońce wspinało się ponad kołczastym horyzontem. Winter stał w południowo-zachodniej części ogromnej dzielnicy, którą wybudowano w czasach, gdy wierzone w przyszłość.

Teraz, na początku dwudziestego pierwszego wieku, wydawało się to szaleństwem. To w tym kierunku miało się rozrosnąć miasto: Hjällbo, Hammarkullen, Gårdsten, Angered, Rannebergen, Bergsjön. Kolejne piekła wyrastały z ziemi, zmieniając Göteborg w jedno z najbardziej podzielonych społecznie miast współczesnej Europy. Jeśli w położonym na południu Örgryte lub w Långedrag pojawiali się jacyś imigranci, byli to Anglicy pracujący w Volvo, i to bynajmniej nie przy taśmie. Tu, na północy, też pracowali nieliczni, a jeśli już, to też nie przy taśmie. Może mężczyźni, którzy właśnie leżą martwi na podłodze, znaleźli zatrudnienie właśnie w tym osiedlowym sklepie. Może któryś z nich był klientem. Może kimś innym. Wkrótce się dowie. Sklep jest zarówno miejscem znalezienia zwłok, jak i miejscem zbrodni. Rozejrzał się. Trzy z

czterech ścian były szklane. Nic nie mogło się dziać w ukryciu. Wystarczyło, by zapadła noc, a sklep zamieniał się w scenę. Przyszło mu to na myśl, kiedy wychodził. Scena. Miejsce, które może oglądać publiczność. Bo bez wątpienia prędzej czy później pojawią się widzowie.

Słyszając zbliżającego się Wintera, taksówkarz podniósł wzrok. Wyglądał, jakby właśnie się obudził. Winter zajrzał do sklepu, żeby się wstępnie zorientować, jak to wszystko wygląda, a potem od razu wyszedł przesłuchać świadka.

Siedział w samochodzie Ringmara. Nie był ciemnoskóry, a to raczej rzadkość wśród taksówkarzy. Może student, choć wyglądał zbyt staro. Może artysta, pisarz. Winter nie znał żadnego pisarza, ale domyślał się, że większość z nich klepie biedę. W przeciwieństwie do niego.

Przedstawił się. Mężczyzna odpowiedział.

- Reinholz... Jerker Reinholz.

- Muszę panu zadać kilka pytań. O to, co pan zobaczył - powiedział Winter. - Czy mógłby pan wysiąść?

Reinholz skinął głową. Wysiadł z auta. Jego oczy nagle rozbłysły. Promienie słońca padły na nie niczym światła reflektorów. Wzdrygnął się i zrobił krok w bok, kryjąc się w półcieniu pobliskiego klonu. Winter słyszał suchy szum liści. Powoli poruszał nimi poranny wiatr. Pojawił się o świcie, potem ucichł, może przeniósł się nad morze. Odkąd wrócili do kraju, nie było zbyt wielu wietrznych dni. Pochmurnych też nie. Tylko słoneczne. Stęsknił się już za deszczem. Łagodnym, letnim szwedzkim deszczem, który niesie ze sobą zapachy, o jakich nad Morzem Śródziemnym zdołali już zapomnieć. Tam deszcz był inny. Mocniejszy. W Szwecji pada delikatniej, pomyślał. Powinien nas skąpać delikatny deszcz.

Reinholz założył okulary przeciwsłoneczne.

- Wolałbym, żeby pan je zdjął - powiedział Winter.

- Aha... no dobrze. - Reinholz ściągnął okulary. Spojrzał w górę, jakby chciał sprawdzić, czy słońce się schowało. Wciąż kryło się za klonem.

- O której pan tu przyjechał? - zapytał Winter.

- Już to mówiłem komuś z tamtych - odparł Reinholz,

machając ręką w stronę sklepu. Winter widział policjantów kręcących się w niebieskawym i złotawym świetle. Zupełnie jak na scenie skąpanej w narodowych kolorach Szwecji.

- To proszę powiedzieć i mnie.

Odwrócił się z powrotem w stronę taksówkarza. Mężczyzna miał na sobie czarną skórzaną kurtkę. Może właśnie takie okrycie przydaje się w długie noce. Bo tutejsze noce nigdy nie są takie jak w południowej Hiszpanii.

- Dobrze. To było około trzeciej. Chyba kilka minut po. Wychodząc z samochodu, zerknąłem na zegarek.

- Rozumiem. Proszę mówić dalej.

- Przeszedłem przez parking. - Reinholz kiwnął głową w stronę sklepu. Teraz wygląda na mniejszy, pomyślał. Dziwne. Wcześniej był większy.

- Co pana tu sprowadziło? - zapytał Winter.

- Papierosy. Chciałem kupić papierosy.

- Kupował pan tu już kiedyś?

- Tak, kilka razy. Kiedy byłem w okolicy. Wiele razy.

- A dlaczego teraz był pan w okolicy?

- Miałem kurs na Gårdsten. Na Kanelgatan, to niedaleko.

- Czemu wracał pan tą drogą?

- Czemu? Nie wiem. Jechałem na Dworzec Centralny, a tamtej drogi za dobrze nie znam - powiedział, wskazując na zachód, na trasę Angeredsleden. - Zazwyczaj jeżdżę tędy.

- I co było dalej? Przeszedł pan przez parking?

- Właściwie to zastanowiło mnie, że jest tu tak... cicho. Oczywiście czasami bywało tu cicho, zwłaszcza nocą albo o świcie. Ale tym razem było szczególnie cicho. - Reinholz przetarł oko. - No i nikogo nie widziałem w środku. A normalnie, jak się idzie przez parking, to kogoś widać. - Kolejny raz wskazał na stojący trzydzieści metrów dalej budynek. - Przecież tam są prawie same szyby.

- Ale nie widział pan nikogo?

-Nie.

- I kiedy pan zobaczył?

-Co?

- Kiedy pan kogoś zobaczył?

- Kiedy... kiedy wszedłem do środka. Czy raczej kiedy stanąłem w drzwiach... nie pamiętam dokładnie. Bo właściwie nie wszedłem tam tak do końca.

- I co pan zobaczył?

- Tego mężczyznę leżącego na podłodze.

Winter pokiwał głową.

- Zobaczyłem też krew.

Winter znów pokiwał głową.

- Zobaczyłem... zobaczyłem - zaczął Reinholz, ale umilkł.

Winter widział, że jest w szoku. Zdradzały to jego oczy, twarz, całe ciało. W końcu był tu już długo. Powinni mu pozwolić odjechać. Musi porozmawiać z kimś innym, nie z policjantem.

- Widział pan kogoś jeszcze? - zapytał.

Reinholz pokręcił głową.

Winter czekał.

- Może tylko... rękę - powiedział Reinholz po chwili. - A może nogę.

- Czy kiedy parkował pan przed sklepem, był tu jakiś inny samochód?

- Nie, byłem tylko ja.

- I nikogo pan nie mijał, jadąc tutaj?

- Nie, nikogo nie zauważyłem. Na trasie było kilka samochodów, ale wyglądało na to, że są tam już od jakiegoś czasu, że tak powiem. Przejeżdżały tamtędy, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Tak - odparł Winter. - A może coś pan słyszał?

Reinholz wyglądał, jakby się przyglądał czemuś w oddali, jakby właśnie kogoś albo coś zobaczył. Winter się odwrócił, ale nie zauważył nic nowego.

- Wydaje mi się, że coś słyszałem - powiedział Reinholz. Mówił teraz spokojniej, pewniej. Jakby wziął głęboki oddech, jakby opadł mu puls. - Coś słyszałem.

Winter czekał.

- Kroki - ciągnął Reinholz. - Odgłos przypominający kroki. Jakby ktoś biegł. Ale to były lekkie kroki.

- Kiedy pan je usłyszał?

- Kiedy tam stanąłem, przed drzwiami.

- Kroki?

- Było je słyhać jakby z tyłu. Jakby ktoś stamtąd odbiegał. Teraz sobie przypominam. Słyszałem je, kiedy zobaczyłem ... to, co zobaczyłem. - Spojrzał na Wintera. - Lekkie kroki.

OKOLICA BYŁA DLA NIEGO OBCA. Na tyle obca, na ile obca może być część własnego miasta. A czasami była bardzo obca. I to w dwojaki sposób, bo o jej sile decydowali przyjezdni, obcy. Tacy jak ja. Bo przecież, do cholery, jesteście tu obcy. Ja jestem obcy. Inni są uchodźcami. Kiedyś uciekli do tego kraju, który - może jakieś pokolenie temu - stał się ich krajem. Pielgrzymi mimo woli. Czy można ich tak nazwać? Kto, mając wybór, zdecydowałby się na wędrówkę na północ, na skraj arktycznego świata? Prawdziwie ważka decyzja. Szwecja jest jednym z tak zwanych ośmiu krajów arktycznych. Więcej ich nie ma. W tej chwili nad położonym u brzegu lodowatego morza miastem świeci słońce, ale zazwyczaj panują ciemność, deszcz i wiatr.

Akurat teraz Winter nie czuł wiatru. Wciąż stał przed sklepem. Wyglądał jak niewielki szklany pałac, mała świątynia światła, niczym pryzmat załamująca promienie słońca. Nagle rozboleły go oczy. Założył okulary przeciwsłoneczne. Drzewa rosnące po drugiej stronie drogi nagle straciły moc swoich barw.

Ringmar wyszedł ze sklepu i stanął obok.

- Pia niedługo skończy - powiedział.

Pia E:son Fröberg, patolożka sądowa, pracowała z Winterem od prawie dziesięciu lat. Zaczynali niemal jednocześnie. Byli wtedy śmiesznie młodzi. Przez chwilę coś ich łączyło, kiedy Winter nie miał jeszcze pojęcia, co robić ze swoim życiem po opuszczeniu budynku policji po całym dniu pracy. Czasem nocy. Ale to już się skończyło.

Wybaczyli sobie. Wszystko zniknęło pośród oderwanych wspomnień z sekcji zwłok wykonywanych w niebieskawym świetle i śledztw prowadzonych w blasku lamp, w słońcu, deszczu, w dzień i w nocy, wieczorami, od zmierzchu do świtu. Śmierć. Zawsze chodziło o śmierć. O ciała, które udawały się w ostatnią wędrówkę. Na pielgrzymkę. Winterowi często przychodziło do głowy, że ofiary mają na sobie ubrania, które

założyły tego samego dnia, tego samego poranka, ostatniego poranka. To był ostatni raz, kiedy się ubrali w ten właśnie sweter, koszulę, spodnie, spódnice. Buty. Kto ubierając się, pomyślałby, że to ostatni raz. Tylko ten, kto idzie na własną egzekucję.

- To wygląda jak jakaś cholerna egzekucja - powiedział Ringmar.

Winter nie odpowiedział.

- I zaczyna wyglądać coraz gorzej.

- Ale co?

- A jak myślisz? O czym według ciebie mówię?

- Spokojnie.

- Spokojnie, spokojnie. Zawsze mamy być spokojni. To właśnie my zawsze musimy być spokojni. Mam już, do cholery, dość bycia spokojnym.

- Spokój to podstawa profesjonalizmu - odparł Winter i niemal sam się uśmiechnął, słysząc swoje pompatyczne słowa.

- A ci ze sklepu? Oni też byli spokojni?

W każdym razie teraz są bardzo spokojni, pomyślał Winter.

- I nie chodzi mi o ofiary - ciągnął Ringmar. - Mówię o mordercy. Albo mordercach.

- Byli spokojni - odpowiedział Winter. - Spokojni i może profesjonalni.

- Boże, tęsknię do świata amatorów.

- Już na to za późno, Bertil. Ten świat odszedł już na zawsze.

- Może ci biedacy kiedyś, gdzie indziej, byli kimś innym.

- Ringmar znów odwrócił się w stronę sklepu. - A potem okazali się tylko amatorami, którzy stanęli twarzą w twarz z profesjonalistami.

- I odeszli na zawsze.

Ringmar śledził wzrokiem ruch na trasie. Samochody jechały z północy i z południa. W większości volvo, w końcu to Göteborg. Ringmarowi wydawało się, że jadą wolno, jakby w zwolnionym tempie, żeby oddać hołd leżącym w sklepie zmarłym.

- To jak porachunki gangsterskie w Chicago - powiedział Ringmar ze wzrokiem wciąż utkwionym w samochodach. -

Lata dwudzieste, karabiny maszynowe, strzelby, masowe egzekucje.

- Chyba przed chwilą mówiłeś, że tęsknisz za światem amatorów.

- Nie zwracaj uwagi na to, co teraz mówię.

- Wspomniałeś o strzelbach, a na to musimy zwrócić uwagę. To wygląda właśnie na strzelbę. *Pump-action*. Może półautomatyczną.

- Myślisz, że to była tylko jedna? Czy więcej?

- Według mnie co najmniej dwie.

- Aha.

- Może użyto różnych rodzajów amunicji. - Wskazał na sklep, w którym widać było kręcące się sylwetki. - Zobaczmy, co wykaże sekcja.

- Gangi młodzieżowe zazwyczaj chyba nie krążą po okolicy ze strzelbami? - zapytał Ringmar.

- Nie, strzelby nie są popularne. Ale z pewnością mogły to być jakieś porachunki.

- Albo napad - zaproponował Ringmar.

- Pieniądze wciąż są w kasie. A propos. Z kasy możemy chyba odczytać, kiedy otwarto ją po raz ostatni. To znaczy, kiedy robił zakupy ostatni klient. Możesz sprawdzić u producenta, jak to się robi?

Ringmar polował głową. Z ponurym wyrazem twarzy wpatrywał się w sklep, potem spojrzał na Wintera.

- Podnieciło ich samo odstrzelenie im głów - powiedział. - Zapomnieli o kradzieży. Strzelanina im wystarczyła.

- A teraz mam zwracać uwagę na to, co mówisz?

- Tak. - Ringmar uśmiechnął się niewyraźnie. - Może tak.

- Może byli duzi i silni. Może znali tych zabitych.

- Zobaczmy, kiedy się dowiemy, kim były ofiary.

Jimmy Foro, Hiwa Aziz i Said Rezai. Łatwo było to ustalić. Nie zajęło to dużo czasu. Jimmy Foro prowadził sklep od czterech i pół roku, nazwał go zresztą U Jimmy'ego. Hiwa Aziz był w nim zatrudniony. Przynajmniej praktycznie, bo kwestie związane z urzędem skarbowym, składkami na ubezpieczenie i informowaniem władz chyba nie były w tym przypadku

priorytetem.

Said Rezaï nie był pracownikiem sklepu. Może klientem. W kieszeni miał prawo jazdy, zachowały się też fragmenty jego zębów, nie było więc wątpliwości, że to on. Mógł się znaleźć w sklepie równocześnie z mordercą lub mordercami, a może przyszedł wcześniej. Jeśli nie był zamieszany w te porachunki, które mogły mieć szerszy zasięg, to znaczy, że miał pecha, że znalazł się właśnie tam. Niewłaściwy człowiek w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Morderców musiało być kilku. To znaczy, jeśli przyjąć, że działający samotnie sprawca nie mógł być nadludzko szybki i nie mógł na pół minuty zahipnotyzować ofiar, żeby spokojnie czekały na swoją kolej. I że nie mógł być niewidzialny. Może ofiary nie miały odwagi się ruszyć, pomyślał Winter. Jest wiele możliwości.

Jimmy Foro i Hiwa Aziz nie mieszkali na Hjällbo, tylko trochę dalej na północ, na Västra Gårdstensbergen i na Hammarkullen. Said Rezaï mieszkał na Rannebergen.

Na podłodze, w kałuży krwi, nie znaleziono śladów butów. Morze Czerwone, pomyślał Winter. Usłyszał muzykę, brzmiała jak z Bliskiego Wschodu. Rozbrzmiewała w sklepie, już kiedy przekraczali czerwony próg. Bo krew poplamiała także próg. Analiza krwawych plam, pomyślał. Czy którąś z ofiar przeniesiono? Czy to, co widzę, to manipulacja? Wygląda prawdziwie, ale może to być manipulacja. Zupełnie jak zdjęcie. Zdjęcie też powinno pokazywać tak zwaną rzeczywistość. Na regale za ladą, na której stała kasa, zauważył głośniki. Kobięcy głos śpiewał melancholijną pieśń. Brzmiała niemal jak cichy płacz. Instrument wystukujący rytm jakby się oddalał. Był jak inny sposób myślenia. Dźwięk zdawał się odwracać, ulatywać w przeciwnym kierunku. Kołysał się w powietrzu, niespodziewanie pojawiał się z drugiej strony. Jakaś odmiana jazzu. Rozpoznał ten charakterystyczny dysonans i asymetrię.

Zabójcom muzyka najwidoczniej nie przeszkadzała.

Dlaczego jej nie wyłączyli?

Przynieśli ją ze sobą?

U Jimmy'ego zawsze grała muzyka, powiedział im później

świadek. Muzyka popularna z Turcji, Syrii, Iraku, Iranu, Jordanii, Libanu, Egiptu, Palestyny. Z czarnej Afryki, w tym oczywiście z Nigerii. Kasyty i płyty CD. Niektórzy klienci przynosili muzykę ze sobą. Albo zabierali.

Wielbłądzi jazz, stwierdził potem inspektor Fredrik Haiders. Podczas pierwszego zebrania. Nikt się nie zaśmiał.

Na podłodze nie było wyraźnych śladów. Oczywiście technicy mieli szukać tych niewidocznych, które były tam wcześniej.

Na razie znaleźli smugi. Wyglądały tak, jakby ktoś sunął po podłodze w stronę ofiar i z powrotem.

- Mieli na butach ochraniacze - powiedział pełniący obowiązki szefa wydziału technicznego komisarz Torsten Öberg. - Takie, jakie się nosi w szpitalach.

- A niech to - powiedziała inspektor Aneta Djanali. - Naprawdę wiedzieli, co robią. Co zrobią.

- Wiedzieli, co się stanie - dodał inspektor Lars Berghem. Siedzieli przy stole w sali konferencyjnej wydziału śledczego w komendzie przy placu Ernsta Fontella w Göteborgu. Naprzeciwko stadionu piłkarskiego Ullevi. - Wiedzieli, jak to będzie wyglądać.

- Dwa różne rozmiary - powiedział Öberg. - Tyle udało nam się do tej pory dowiedzieć. Dwie osoby.

- Dwóch zabójców - wtrącił Ringmar.

- Tak, na razie. Ten sam typ broni - ciągnął Torsten Öberg.

- Broń typu *pump-action*. Użyto różnych rodzajów amunicji, więc nie możemy stwierdzić, ile było strzelb. W ciałach znaleziono śrut o średnicy pięciu milimetrów i mniejszy, trzy milimetry Do tego trochę jednomilimetrowego.

- To też zaplanowali - powiedział Winter.

- Na to wygląda - stwierdził Öberg.

- Naprawdę zależało im, żebyśmy nie wiedzieli, ilu ich było - stwierdziła Aneta.

- Może dlatego, że tak naprawdę to była tylko jedna osoba - odparł Winter.

- Możliwe - wtrącił Ringmar.

- Wszystko jest możliwe - powiedział Winter.

- Zazwyczaj to powiedzenie ma optymistyczny wydźwięk - zauważyła Aneta.

- Trzeba zbadać, jak naprawdę leżały ciała. - Winter zignorował jej słowa. - Jak ich zastrzelono. W jakiej kolejności.

Oberg skinął głową.

- Ciekawa sprawa z tymi ochraniaczami - powiedział.

- Da się je jakoś zidentyfikować? - zapytał Bergenhem.

- Są różne rodzaje?

- Proponuję, żebyś się tym zajął, Lars - wtrącił Halders.

Winter zaczął myśleć o twarzach ofiar, czy raczej o tym, co z nich zostało. Dlaczego zabójca wycelował strzelbę właśnie w twarz? Czy to miało jakieś znaczenie?

Znów usłyszał muzykę. Najpierw w myślach, a potem, kiedy poszedł do swojego pokoju, naprawdę. Była swego rodzaju wiadomością ze sklepu Jimmy'ego. Winter modlił się, żeby mu się udało ją odczytać.

Przyglądał się samochodom odwozącym zwłoki. Wciąż było wcześnie. Za policyjną taśmą stało kilkoro ciekawskich. Jakby już się utworzył kondukt żałobny. Może stali tam także zabójcy. Nie byłoby to ani niemożliwe, ani niezwykle. Wszystko zależy od charakteru zbrodni, od jej tła i sposobu popełnienia. Kiedy już było po wszystkim, Winter uświadomił sobie, że zabójca albo zabójcy stali wśród gapiów. Mógł ich zagadnąć. Zatrzymać. Wypytać, porozmawiać z tyłoma, z iloma by się dało. Przydzielił już zadania kolegom - właśnie zaczęli zadawać pytania. Ale kiedy zbliżyli się do gapiów, było ich już trochę mniej. Ktoś musiał usłyszeć strzały, pomyślał. Brzmiały jak eksplozja. Z pewnością obudziły lalka osób. Przekroczył próg i znów znalazł się w sklepie. Bez zwłok wewnątrz sprawiało jeszcze bardziej upiorne wrażenie. Ślady były gorsze od tego, co się stało, jeszcze bardziej nieprzyjemne. Były niczym wiadomość o tym, co nie mieściło się w głowie. Te plamy nie zejda, pomyślał. Położą tu nową podłogę. Może wszystko wymienią. Może zburzą ten barak. Bo w gruncie rzeczy to tylko barak. Coś jak wyrośnięta budka z hot dogami na środku ziemi niczyjej. Tak, to ziemia niczyja. Winter wyszedł i obszedł budynek dookoła. Pod sklepem zaczynała się ścieżka, biegła

przez pole. Widział sylwetki domów rysujące się za drzewami - sosnami, klonami i brzoźami. Ruszył ścieżką. Prawie cała była wyasfaltowana. Do osiedla było może dwieście metrów, może sto pięćdziesiąt. Nie daliby rady odgrodzić jej taśmą. Pobliskiego osiedla też nie. Gdyby chcieli, musieliby tak odgrodzić wszystkie leżące na północy i na północnym wschodzie części miasta. Choć w pewnym sensie do takiego podziału już doszło. Podziału nazywanego segregacją.

Zszedł ze ścieżki, zrobił kilka kroków i poczuł zupełnie inny zapach. Trawy, krzewów, powietrza. Zapach ciepły od słońca, kryjący się pod jego światłem, a jednak delikatniejszy od zapachów znad Morza Śródziemnego. Te zapachy były bardziej nieśmiałe. Były koloru blond. Może były bardziej niewinne. Ale teraz to się skończyło.

Ścieżka przechodziła w niewielki plac przed ośmioletnim blokiem. Winter pomyślał, że pewnie powstał w tym samym czasie co cała dzielnica, niemal pięćdziesiąt lat temu. Tutaj domy czekały na lokatorów. Czekały, aż przyjdzie czas, aż świat dojrzeje. I lokatorzy przybyli. Z Turcji, Syrii, Iranu, Iraku, z Afryki, większość z Ameryki Południowej i Środkowej. Z byłej Jugosławii. Usłyszał muzykę. Arabską pieśń śpiewaną przez kobietę, w tym charakterystycznym powolnym rytmie. Na większości balkonów zamontowane były anteny satelitarne. Tak to właśnie wygląda w tej części miasta. Anteny są niczym oczy i uszy zwrócone w stronę dawnych ojczyzn, w stronę przeszłości. To nie jest kraj przyszłości, przynajmniej nie dla starszych. Życie jakby się tutaj zatrzymało. Na balkonach nie było żywej duszy. Na wielu było za to mnóstwo zieleni. Przypominały ogrody. Zauważył nawet kilka palm w doniczkach. Na placu przed blokiem też było pusto. Zbliżało się południe, ale tam jakby wciąż panowała noc.

Nagle usłyszał coś za sobą.

Odwrócił się.

U wylotu ścieżki stał chłopiec. W rękę trzymał piłeczkę tenisową. Odbił ją o ziemię. To właśnie to Winter usłyszał. Chłopiec miał dziesięć lat, może trochę więcej, trudno powiedzieć. Miał ciemne włosy. W świetle poranka wyglądały na

czarne. Wpatrywał się w Wintera, a może w blok za jego plecami. Winter odwrócił się z powrotem, ale na balkonach wciąż nikogo nie było. Znów odwrócił się do chłopca, ale chłopiec zniknął.

Minęła sekunda, a jego nie było.

Winter cofnął się tam, gdzie stał. Nikt nie szedł w stronę sklepu. Na otaczającym go polu też nikogo nie było. Ścieżka biegła dalej w stronę domu i otaczała go półkolem. Od miejsca, gdzie stał, obrastały ją krzewy. Domyślił się, że chłopiec uciekł, chowając się za nimi. Nie słyszał kroków, ani wcześniej, ani teraz. Ciche, lekkie kroki. Musiały być tak lekkie, że ich nie słyszał. Lekkie kroki. Taksówkarz je usłyszał. Lekkie kroki oddalające się w półmroku wczesnego poranka.

- Trzeba będzie zapukać do każdych drzwi - powiedział Winter.

Ringmar przytaknął.

- Myślisz, że to mógł być on?

- Kto?

- Świadek.

- Mamy tylko słowo tego taksówkarza, Reinholza. Mógł źle usłyszeć.

- Aha.

- Nie wierzysz w to, Bertil?

- Że źle usłyszał? Nie. Jeśli kiedykolwiek ludzkie zmysły są doskonale wyostrzone, to właśnie w takich chwilach. Kiedy się zobaczy coś takiego.

- Zgadzam się.

- Czyli jest świadek.

- Albo jeszcze jeden zabójca - powiedział Winter.

- Albo jeszcze jeden zabójca - powtórzył Ringmar.

- Albo jeszcze jedna ofiara.

- Niedoszła ofiara.

- Poza sklepem nie było śladów krwi.

- Może ktoś zrobił unik.

- To żart?

- Tu nie ma z czego żartować - odparł Ringmar. - Mogła być jeszcze jedna ofiara, której udało się uciec.

- Jediną drogą ucieczki jest ta ścieżka.

- Przecież wokół rozciąga się całe pole, do cholery
- Gdyby ktoś przez nie biegł, nie byłoby słycać kroków.
- Przecież taksjarsz mówił, że były lekkie.
- Ale chyba nie aż tak. Nawet twoich kroków nie byłoby słycać, gdybyś tamtędy biegł, Bertil.
- Co sugerujesz?

Winter nie odpowiedział. Ringmar sam musiał wyciągnąć wnioski.

- Chociaż nie - powiedział Ringmar po chwili. - To się kupy nie trzyma. Taksówkarz wchodzi do sklepu. Widzi zamordowanych ludzi. Słyca kroki. Wszczyyna alarm. Trudno uwierzyć w to, że ofiara czekała, a potem uciekła, w chwili kiedy pomoc wreszcie nadeszła.

- Może nadal była w szoku.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne.

- No dobra, zostawmy ten wątek na chwilę - powiedział Winter. - Ludzie Öberga właśnie przeczesują trawnik i pole. Jeśli są tam jakieś ślady, znajdą je. Na trawie wciąż jest rosa. Może dopisze nam szczęście. - Winter zrobił pauzę i czubkiem palca pomasaował skroń. - Założmy więc, że był świadek. Czekal w ukryciu, aż zabójcy odjadą.

- Ale dlaczego potem znikł? Po co uciekać, kiedy już jest po wszystkim?

- Mówiłem już, może był w szoku. To mógł być jeden z symptomów. Mógł reagować z opóźnieniem.

- Jeśli faktycznie był świadek, to co tu w ogóle robił?

- Może był klientem.

- Czyli potencjalną ofiarą.

- Nie, może dopiero tu szedł.

- Tą ścieżką za sklepem?

Winter wzruszył ramionami.

- I nagle w sklepie rozległy się strzały.

Winter przytaknął.

- A zabójcy się zabrali.

Winter znów przytaknął.

- W tę czy w inną stronę. Prawdopodobnie samochodem. Zobaczmy, czy ktoś po strzałach słycał silnik. Czy ktoś wi-

dział jakiś samochód. A może ruszyli biegiem. Ścieżką albo polem. - Ringmar zrobił przerwę. - A świadek nadal tu był. Może trząśł się ze strachu, może był ranny, może...

- Może go tu nie było.

- Nie - odpowiedział Ringmar. - Myślę, że ktoś tu był.

- Dziecko.

- Lekkie kroki. - Ringmar pokiwał głową.

- To mogło być dziecko - stwierdził Winter. - Może to ten chłopiec, którego przed chwilą widziałem.

Jimmy Foro przyjechał siedem i pół roku wcześniej z Nigerii. Sam. Jak twierdził, wszędzie, gdzie był w Afryce, prześladowano go. W Europie też. Pozwolono mu zamieszkać w Szwecji. Pozostał sam. W dwupokojowym mieszkaniu przy Kanelgatan na Västtra Gårdstensbergen. Dom nazywał się Bokgården. Winter właśnie przed nim stał. Odnowiono go stosunkowo niedawno. Jeden z domów otaczających urokliwy otwarty ogród, który zauważył z lewej. Jakiś mężczyzna kopał grządki. Ziemia musiała być sucha, suchsza niż zazwyczaj. Odkąd Winter wrócił do Szwecji, nie padało ani razu. Widocznie przywiózł ze sobą słońce.

Niewiele wiedział o ogrodnictwie, o tym, co, kiedy, jak i po co sadzić. Zawsze ostrożnie krążył wokół tego tematu, trochę jak ktoś, kto woli żyć z ciekącymi kranami niż zmienić uszczelkę. Nigdy dotąd nie marzył o koszeniu trawnika, ale może kiedyś zmieni zdanie. Może. Trzy lata temu kupili z Anglą działkę na południe od Billdal. Nad morzem. Wciąż nic nie zbudowali. To był cel ich wypadów za miasto. Jego, Angeli, Elsy i Lilly Kilka razy złapał ich tam deszcz. Jak by to było, gdybyśmy mieli tu dach? - zapytała Angela.

Skinieniem powitał czekającego przed domem policjanta z Angered.

- Byłeś już na górze?

- Tak, sprawdziłem drzwi. Zamknięte. Nikt nie wchodził ani nie wychodził.

- Rozmawiałeś z kimś z sąsiadów?

- Jeszcze nikogo nie widziałem.

- O której przyjechałeś?

- Nie byłem tutaj pierwszy. Henriksson i Berg przyjechali od razu po powiadomieniu.

- Dobrze.

- Nie widzieli, żeby ktoś wchodził albo wychodził z mieszkania.

- Chyba można zacząć chodzić po sąsiadach. - Winter zerknął na zegarek. - Niedługo zjawi się jeszcze kilka osób od nas.

Wszedł do domu. Drzwi były otwarte. Pachniało tak jak na wszystkich klatkach schodowych, na jakich był podczas swojej dwudziestoletniej służby: starością. Zawsze pachniało starością, bez względu na to, kiedy odnowiono budynek. A do tego mężczyzna na schodach, on - Winter.

Zapach na klatce odpowiadał sam przed sobą. Może tworzył go kamień, a może ludzie, którzy po nim wchodziłi i schodzili. Wszyscy pachnieli podobnie. Wyglądali podobnie: biali albo ciemni, z długimi albo płaskimi nosami, z kręconymi albo prostymi włosami, albo łysi. Zawsze czuć było jedzeniem. Zawsze. Mocny, kwaśny, słodki albo gorzki zapach. Na tej klatce pachniało przyprawami. Pieprzem, gałką muszkatołową, cynamonem. Bogate, nasycone aromaty. W swoim sklepie Jimmy Foro miał wysoki regał z przyprawami. Mimo strzelaniny pozostał nietknięty Większość przypraw była zapakowana w torebki, nie było słoiczków. Regał stał na lewo od drzwi, na brzegu Morza Czerwonego. Winter przez chwilę czuł tam zapach chili i jakiejś mieszanki curry

W przedpokoju Jimmy'ego Foro nie pachniało niczym. Oślepiające światło dnia prawie w ogóle tam nie docierało. Wszystkie żaluzje były zaciągnięte tak szczelnie, jak tylko się dało. Jakby miały stłumić wrażenia, jakie będą towarzyszyć pierwszej wizycie policji. Pierwszej, odkąd stanie się jasne, że właściciel już nigdy nie przyjdzie.

Zbliżało się wpół do ósmej. Pierwszy dzień, pomyślał Winter. Wpół do ósmej pierwszego dnia. O którejś godzinie wczoraj - albo bardzo wcześnie dzisiaj - Jimmy wszedł, poszedł do sklepu i już tam został. Przez ostatnie dwa lata sklep był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę. To błąd,

pomyślał Winter. Wciąż stał w zaciemnionym przedpokoju. Niezamykanie sklepów na noc to błąd. To może być niebezpieczne.

Jak Jimmy dostawał się do sklepu? Nie wiedzieli. Znali jego adres, ale na razie tylko tyle. Nie licząc taksówki Rein- holza, na niewielkim parkingu przed sklepem było pusto. Żadnego roweru ani motocykla. W linii prostej od domu Jimmy'ego do sklepu z pewnością było siedem kilometrów. Gdyby jechać samochodem albo rowerem - ponad dziesięć.

Winter wyciągnął komórkę i wybrał *numer* Bergehema. Bergehem wciąż był na miejscu zbrodni.

- Cześć, tu Erik.

- Co u ciebie?

- Właśnie wszedłem. Ale coś mi wpadło *do głowy*. Sprawdźcie, czy gdzieś w okolicy nie ma innych pojazdów. W krzakach, na polu, gdziekolwiek. I pod tymi domami za ścieżką.

- Czego mamy szukać?

- Środka transportu, z którego korzystał Jimmy Foro.

- Okej.

- I musimy się dowiedzieć, jak dostali się tam Aziz i Reza.

- Okej.

- A co tam u was?

- Krew zaczyna schnąć. I czuć, ale już nie curry.

- A co z gapiami?

- Większość rozeszła się do domów. Porozmawialiśmy z tyloma, z iloma zdążyliśmy Ale nie było wśród nich miejscowych.

- Musieli być miejscowi - odparł Winter. - Przecież to był ich osiedlowy sklep.

- Ale ofiary nie miały w okolicy krewnych. A dla tutejszych to ma znaczenie.

- Co za bzdury. Przecież to ma znaczenie dla każdego.

Bergehem nie odpowiedział.

- A widzisz tam jakieś dzieci? Chłopców? Spróbuj jakiegoś złapać.

- Dobra.

- To znaczy niedosłownie, Lars.

- Erik, nie musisz przypadkiem przeszukać mieszkania?

- To do usłyszenia. - Winter się rozłączył i wetknął komórkę do kieszeni.

Przeszedł przez przedpokój i ostrożnie wszedł do salonu.

Potrzebował dosłownie kilku chwil, żeby się zorientować, że ktoś tam był w ciągu ostatnich kilku godzin.

ŚWIATŁO PRÓBOWAŁO SIĘ WEDRZEĆ przez szpary między żaluzjami i wokół nich, ale ten, kto był w mieszkaniu przed Winterem, nie musiał się nigdzie wdzierać. Na drzwiach nie było śladów włamania, na oknach też nie. Skąd wiedział, że ktoś tu był? Wiedział. Między innymi dlatego, że już nie raz odwiedzał cudze mieszkania. Przez te lata robił to setki razy. Odwiedzał - czy raczej nawiedzał - je służbowo, pokazując legitymację, jeśli było trzeba. Ale rzadko było trzeba. Ci, którzy w nich mieszkali, często już nie żyli. Może byli gdzieś obok, na podłodze, w łóżku, na kanapie. Przed nimi nie trzeba było się legitymować. Przed śmiercią też rzadko tego wymagali. Ci, którzy ginęli z ręki bliźniego, zazwyczaj niewiele oczekiwali od życia i rzadko coś od niego dostawali. Na to było już za późno. Zawsze tak się to kończyło. Śmierć była nieprzyjemną historią krążącą w przepaści.

Spojrzał w dół, na ochraniacze, które miał na butach. W tym mieszkaniu zdawały się świecić, wyglądały wręcz wulgarnie. Przed oczami wciąż miał morze krwi. Pomyślał o szpitalu. O pacjentach, którzy jeden za drugim wchodzili do lekarza. Do jego żony. Pomyślał o niej. Została jego żoną kilka miesięcy temu, w szwedzkim kościele w Fuengirolí.

O tym też pomyślał. Wiele myśli przychodziło mu do głowy, kiedy lustrował pokój, szukając jakiegoś potwierdzenia swoich przypuszczeń. Słyszał samochody przejeżdżające Kanel-gatan i nieco dalej, Pepparvägen i Timjansvägen¹. Wszystkie ulice nosiły nazwy przypraw, ale cynamon, pieprz i tymianek nie pasują do siebie. W końcu pojedynczemu promieniowi światła udało się wdrzeć przez żaluzje. To znaczyło, że słońce wspięło się już po niebie. Promień przeciął pokój. Winter dostrzegł tańczący w świetle kurz. W środku jakby unosiła się mgła. Najwyraźniej sprzątanie nie było hobby Jimmy'ego Foro. A może ktoś wzniecił kurz niedawno. Jeszcze trochę i opadnie na

¹ Ulica Cynamonu, ulica Pieprzu, ulica Tymianku (wszystkie przypisy tłumaczkii).

podłogę. Spojrzał w dół. Zauważył coś, co nie było dywanem. Przykucnął, nie dotknął kolanami podłogi. Guzik. Mały guzik, może od koszuli. Podniósł wzrok, na wysokości twarzy miał teraz kanapę. Poduszki chyba się powysuwały, leżały niesymetrycznie, przynajmniej z tej perspektywy. Może Jimmy Foro wołał, żeby leżały właśnie tak, ale nie był pewien. Wstał, podszedł do okna, podciągnął żaluzje i wyjrzał na ulicę. W słońcu wszystko wydawało się białe, kolory niemal zniknęły. Trawa była biała, możliwe, że stanowiła lustrzane odbicie fasady budynku. Na Kanelgatan nie było nikogo. Jakby właśnie nastąpiła pora sjeisty. Odwrócił się w stronę pokoju. Dla Jimmy'ego już zawsze będzie sjeista, wieczny odpoczynek. Chociaż sjeista nie jest pojęciem nigeryjskim. Ale śmierć jest, gwałtowna śmierć to konkretne pojęcie. Tam, w Nigerii, ale i tu, w Szwecji, w tym najpiękniejszym kraju na ziemi, który pozdrawiam².

Łóżko było niepościelone. Może zawsze tak wyglądało. Na środku pościel piętrzyła się niczym namiot. Na nocnym stoliku stało zdjęcie mężczyzny. Nieśmiało uśmiechał się do obiektywu. Miał jakieś trzydzieści lat. Jimmy. Zdjęcie sprzed pięciu, sześciu, może siedmiu lat. Na pewno zrobione już w Szwecji. Wcześniej Winter widział tylko jego zdjęcie paszportowe. Wyglądał tak samo: ten sam wyraz twarzy, to samo ujęcie. Ale teraz jego twarz już taka nie była. Zniknęła wraz z jego życiem.

Rozejrzał się, szukając kolejnych zdjęć, ale żadnego nie znalazł. Może były gdzie indziej. Może będą też zdjęcia innych osób, ale nie miał co do tego pewności. Z tego co wiedział, Jimmy miał tylko siebie. Tylko swoją podobiznę mógł postawić na stoliku obok poduszki. Czy był w jego życiu jeszcze ktoś? Dlaczego zginął? Może dlatego, że jacyś narwani dranie weszli do sklepu, żeby do kogoś strzelić, kogoś zabić. Może wcale nie byli narwani, może nawet nie byli draniem. Chociaż nie, byli. Prawdopodobnie czaili się na kasę, ale po tym, jak strzelili, rabunek im się nie udał. Strzały były tak głośne, że zabójcy sami doznali szoku. A zszokowały ich skutki strzelaniny.

2 Cytat ze szwedzkiego hymnu narodowego.

A może żadna z tych hipotez nie była prawdziwa.

Zabójcy ścigali Jimmy'ego, bo znali go od dawna. Może ścigali Saida albo Hiwę, może ich wszystkich. A może dwóch z nich. Zdarzają się zabójstwa z premedytacją, ale czasami do głosu dochodzi pech: niewłaściwe miejsce i tak dalej. Nigdy nie należy się znajdować w niewłaściwym miejscu, to reguła numer jeden. Dotyczy każdego. Zawsze trzeba być we właściwym miejscu, z właściwymi ludźmi i o właściwej porze.

Czy sklep Jimmy'ego okazał się miejscem niewłaściwym?

Czy Jimmy był niewłaściwym człowiekiem? Czy był nim od zawsze?

A świt... półmrok zawsze jest niewłaściwą porą. W półmroku dzieje się wszystko, co złe. Tak jest wszędzie, jak świat długi i szeroki.

Poszedł z powrotem do przedpokoju. Słyszał odgłosy dobiegające zza drzwi: kroki i urywki rozmów. Zadzwoiła komórka. Odebrał.

-Tak?

- Tu Bertil.

-No?

- Gdzie jesteś?

- W mieszkaniu Jimmy'ego.

- Znalazłeś coś?

- Może. Ktoś tu był.

- Po wszystkim?

- Tak sędzę.

- Szukał czegoś?

- Nie wiem. A ty gdzie jesteś?

- W samochodzie. Jadę na Rannebergen.

Winter słyszał szum otaczający Bertila: ruch uliczny, warkot, klaksony

- Po co dzwonisz?

- W mieszkaniu Rezaia nikt nie odbiera. Dzwoniłem tam kilka razy. Chłopaki z Angered czekają pod drzwiami, ale jeszcze nie weszli.

- To znaczy, że miał żonę? Said Rezaia?

- Według urzędu imigracyjnego tak.

- Też z Iranu?
- Odpowiedź brzmi: tak. Przyjechał do Szwecji pierwszy, ona później.
- A dzieci?
- Nie mieli. Przynajmniej władze nic o tym nie wiedzą.
- Czyli żona nie odbiera?
- Nie udało nam się z nią skontaktować. Jeszcze o niczym nie wie.
- Ja jej powiem. Niech nikt nie dzwoni do drzwi, dopóki nie przyjadę.
- Za drzwiami znów rozległy się głosy.
- Jaki to adres?
- Fjällblomman... dziewięć - odpowiedział Ringmar, od czytując adres z kartki. - Nie znam tej dzielnicy, ale to chyba w jej centrum. O ile można to tak nazwać.

W centrum Rannebergen znajdowały się supermarket ICA, pizzeria, szkoła, hala sportowa z basenem, przedszkole, biuro spółdzielni mieszkaniowej i parking.

Ringmar czekał na Wintera na parkingu, przy samochodzie zaparkowanym obok miejsca zarezerwowanego dla autobusu objazdowej biblioteki. Obok stał radiowóz z Angered.

- Są tam. - Ringmar wskazał na jeden z budynków, trzy-piętrowy beżowo-brązowy dom z różowymi obramowaniami okien. Na jednym z balkonów powiewała szwedzka flaga.

Jeden umundurowany policjant czekał przy wejściu pośrodku. Winter zaliczył powtórkę z rozrywki. Drugi raz tego dnia zadał koledze po fachu te same pytania i usłyszał te same odpowiedzi.

Przyszedł dozorca, pięćdziesięcioletni mężczyzna w czapce. Z pasem narzędzi na brzuchu wyglądał jak żołnierz. Na lewej piersi, na plakietce, miał wypisane imię - Hannu. Wezwał go Ringmar.

- Czy Fredrik i Aneta dotarli już do domu Hiwy? - zapytał Winter, kiedy wchodzili na górę.

~ Tak. Rozpętało się tam prawdziwe piekło.

- W jakim sensie?

- Był najstarszym synem wielodzietnej rodziny. Ojca nie ma,

zaginał gdzieś w Kurdystanie. Któreś z dzieci też. Matka została sama z całą resztą.

- Ile miał lat?

- Dwadzieścia cztery. Tylko on w tej rodzinie pracował. Na czarno, z tego co zrozumiałem. A przynajmniej na szaro. Ale co to za różnica.

- I co to za piekło się u nich rozpętało?

- Nie domyślasz się?

- Domyślam.

- Słyszałem wszystko w tle.

- Ciesz się, że to nie ty się tam znalazłeś.

Ringmar nie odpowiedział.

- Ile takich wizyt zaliczyłeś, Bertil? Z taką wiadomością?

- Zdecydowanie za dużo. Jako najstarszy z drużyny zdecydowanie za dużo.

Tak było. To właśnie komisarz Bertil Ringmar przez lata miał za zadanie informować bliskich ofiar o ich śmierci.

Ostatnio dzielił ten ciężar z Winterem. A było to przekłete brzemię. Zawsze szło gorzej, niż można było sobie wyobrazić. Zawsze. Zawsze rozpętywało się piekło. Mogło to wyglądać inaczej, ale piekło to piekło. Niektórzy przeżywali je sami, inni dzielili się nim ze światem. Czasami robili jedno i drugie.

Na drugim piętrze nikt im nie otworzył. Zadzwonili jeszcze raz. Czekali. Dozorca Hannu też. Ringmar nacisnął dzwonek kolejny raz. Dla pewności załomotał w drzwi. Potem skinął na Hannu, który już trzymał w ręku pęk kluczy.

Na końcu krótkiego przedpokoju znajdował się salon. Winter widział przez okna drzewa. Pokój był bardzo jasny. Widać było również dachy zaparkowanych pod domem przyczep. Jadąc tutaj, Winter zauważył mnóstwo przyczep. Stały na wąskich parkingach wciśniętych między bloki i Rannebergs- vägen. Wyglądało to tak, jakby każdy z mieszkańców miał za oknem dodatkowy dom, z którym mógłby ruszyć w drogę.

Wciąż stali na klatce.

- O której zaczyna pan pracę? - zapytał Winter dozorcę.

- O wpół do ósmej. Zazwyczaj przychodzę wcześniej, ale w tygodniu między ósmą a dziewiątą mam dyżur telefoniczny.

- Ma pan biuro tutaj? W tym domu?
- Tak, w szczycie budynku.
- Spotkał pan kogoś, idąc tutaj dziś rano?
- Nie, niezupełnie.
- Co to znaczy niezupełnie?
- Widziałem, jak ktoś odjeżdża samochodem.
- O której?
- Chyba koło siódmej. Może trochę po.
- Skąd?
- Skąd odjeżdżał samochód? Z parkingu. - Wskazał na plac przed sklepem. Było na nim stosunkowo pusto. Ludzie byli w pracy. - O, stamtąd.
- To był jeden samochód czy więcej?
- Jeden. Odjeżdżał, kiedy otwierałem drzwi biura.
- Jaka marka?
- Hm... Chyba opel. Dość stary, ale nie jestem pewien. Wyglądał na corseę. Białą. Lekko zardzewiała. - Uśmiechnął się.
- Właśnie po tym można rozpoznać opła.
- Dość stary? - zapytał Ringmar. - To znaczy, jak stary?
- Nie wiem. Może dziesięcioletni. Nie wiem.
- Zauważył pan coś jeszcze, jeśli chodzi o ten samochód?
- Prawy błotnik był lekko wgnieciony.
- Jak to? - zapytał Ringmar.
- No, wyglądało to na uszkodzenie po małej stłuczce. Błotnik był wygięty.

Ringmar skinął głową.

- Zna pan Saida i jego żonę? - zapytał Winter.
- A... co się właściwie stało?
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Nie, nie znam ich.
- A z widzenia?
- Nie. Mieszkam tu dopiero od Wielkanocy.
- Shahnaz - wtrącił Ringmar. - Ma na imię Shahnaz. Winter wyciągnął kopię zdjęcia paszportowego Saida i pokazał dozorczy.
- To on.
- Dozorca spojrzął i pokręcił głową.

- Nawet jeśli go spotkałem, nie rozpoznałbym go - powiedział.

WINTER ZAMKNAŁ DRZWI, ale w przedpokoju nie zrobiło się od tego ciemniej. Nagle poczuł się oślepiiony. Zamrugał oczami. Przez chwilę kręciło mu się w głowie. Miał zawroty już kilka razy, odkąd wrócili z Hiszpanii. Pewnie wypoczął aż za bardzo, za bardzo się wyluzował. Nie był gotowy na konfrontację z prawdziwym światem.

- Coś nie tak, Erik?

- Nie, w porządku - odparł i otworzył oczy

- Jak się czujesz?

- Chyba aż za dobrze. Miałem za dużo luzu.

- Aha.

- Przejdzie mi.

Ringmar spojrział w głąb przedpokoju. Zmrużył oczy.

- Nie podoba mi się to - stwierdził.

Winter nie odpowiedział.

Ruszyli w stronę salonu. Na lewo była kuchnia. Bez drzwi.

Winter się zatrzymał, wszedł do kuchni. Rozejrzał się. Wyglądała niemal sterylnie, blat był czysty, na stole stały tylko kwiaty w wazonie. Niebieskie i czerwone. Nie miał pojęcia, co to za rodzaj, gatunek czy jak tam się to nazywa. Za oknem dwoje dzieci huštało się na niewielkim placu zabaw. Widział, że się śmieją, ale okno i izolacja tłumiły dźwięki. Zupełnie jak na niemy filmie. Widział go już tyle razy: dzieci na huśtawkach na placu, który odwiedzał po raz pierwszy, choć miał wrażenie, że już kiedyś tam był. *Déjà vu*, które w rzeczywistości nie było *dejà vu*. Był tu już, i to wiele razy, tylko na innym placu zabaw, w innej dzielnicy. A dzieci zawsze siedziały na huśtawkach albo w piaskownicy. Zupełnie jakby były swoistą gwarancją tego, że jednak można wierzyć w przyszłość.

- Erik.

W głosie Bertila słychać było pewną ostrość. Może strach. Profesjonalny strach. Winter znał to uczucie. Wiedział, o co chodzi. Wiedział, co czeka za rogiem. Ringmar stał w progu

sypialni, na prawo. Odwrócił się do Wintera. Winter wyczytał z jego twarzy, co zobaczył. Ringmar znów spojrzał w głąb pokoju. Winter też zobaczył. Już wiedział. Ringmar wszedł do pokoju.

Leżała w poprzek łóżka. Głowa zwisała nienaturalnie nad lewą krawędzią. Nienaturalnie. Winterowi wystarczył rzut oka. Ze zwykłego ludzkiego punktu widzenia nie ma w tym nic naturalnego, pomyślał, idąc w jej stronę. Ale jednak dla mnie, dla Bertila, to całkiem naturalna sytuacja. To dlatego tutaj jesteśmy. To nas tu przywiodło. Czekano na nas. Już tu było.

Usłyszał głos Ringmara. Mówił coś do komórki.

W przedpokoju było równie jasno, jak wcześniej, nawet jaśniej. Winter miał ochotę przejść przez salon i zaciągnąć żaluzje, ale nie chciał niczego ruszać. W ogóle nie powinno go tam być. Czekali na techników. Posłuchał Torstena Öberga.

- Proponuję wezwać patrol z Borås - powiedział mu. - Nie chcę ryzykować.

- Słusznie.

- Zwłaszcza jeśli te zabójstwa coś łączy - dodał Öberg. - Jeśli ofiary coś łączy że tak powiem.

- Jasne. Nie chcemy przecież, żeby coś stamtąd trafiło tutaj.

To ważne. Policjanci byli coraz bardziej świadomi, że mogą przenieść ślady z jednego miejsca zbrodni w inne. Ślady mogą przewędrować na technikach albo na policjantach, a potem utrudnia to śledztwo.

Ringmar stał w drzwiach sypialni.

Teraz nie mogli już nic zrobić. Nigdy nie mogli. Czas wyjść i zdać się na Pię i techników z Borås.

- Co tu się, do cholery, dzieje - powiedział Ringmar, ale pytanie było retoryczne, więc Winter nie odpowiedział. Przetarł oczy. Zrobiło mu się gorąco, jakby nagle upał z dworu wdarł się do mieszkania. Kiedy wchodzili, w środku panował chłód, jakby działała klimatyzacja, ale przecież szwedzkie mieszkania nie są klimatyzowane. Nikt nie sądził, by kiedykolwiek było to potrzebne.

- Nie minęło dużo czasu - powiedział Ringmar.

- Nie ma co spekulować, Bertil.

- Nie spekuluję.

Winter słyszał w jego głosie irytację. W minionych latach się to nie zdarzało, ale w ciągu ostatniego miesiąca, kiedy wrócił po półrocznym urlopie - owszem. Jakby coś się stało, ale nie z nim, tylko z Bertilem. Na pewno z Bertilem. On wciąż był taki sam. Spokojniejszy, ale taki sam.

- Ten samochód... - powiedział Winter.

- Wspomniałem o nim, kiedy dzwoniłem - odparł Ringmar.

- Nie słyszałeś?

Winter nie odpowiedział. Tym razem też nie było takiej potrzeby. Wyszedł do przedpokoju, potem na korytarz i na dwór. Plac przed domem wyglądał inaczej niż pół godziny wcześniej. Już nigdy nie będzie taki sam. Sąsiedzi będą wstrząśnięci, w najbliższym czasie nie będą rozmawiać o niczym innym. Potem zapomną. Niektórzy się przeprowadzą, choć nie z tego powodu. Z innych. Naturalnych. Niektórzy jak zwykle wyruszą z przyczepą na wakacje. Może już teraz, zaraz. Niedługo będzie lipiec. Prawdziwe lato. On przeżył swoje lato zimą. Teraz jest w pracy. I właśnie dlatego to lato jest bezpieczne.

Dzieci z placu zabaw gdzieś poszły, jakby ktoś im już powiedział, co się stało w mieszkaniu na drugim piętrze.

Huśtawki wciąż się bujały. Może to przez wiatr, ale nie wiało. Było bardzo słonecznie. Winter spojrzął na bezchmurne niebo. To miejsce przepuszcza dużo nieba. W ogóle w północnych dzielnicach nieba jest więcej niż w centrum. Z miejsca, w którym stał, widział zdecydowanie więcej błękitu, niż mógłby zobaczyć z ulicy przed swoim domem, na Vasaplat- sen. A ze swojego mieszkania widział go jeszcze mniej.

Nagle Ringmar stanął obok niego.

- Przepraszam, jeśli byłem niemiły.

- Wybaczam.

- Po prostu czasami człowiek ma dość.

Winter milczał.

- Musi być jakiś związek.

- Nagle tamto zabójstwo okazuje się czymś innym - powiedział Winter.

- Chodziło o Saida Rezaia? - Ringmar odwrócił się do Wintera. - To jego chcieli dopaść?

- I ją.

- Musi być jakiś związek - powtórzył Ringmar. - Najpierw on, potem ona.

- Albo w odwrotnej kolejności.

Ringmar przytaknął.

- A może nie. Może nie było żadnej kolejności.

- Co masz na myśli?

- To, że Said był sprawcą - wyjaśnił Winter.

- Poderżnął gardło własnej żonie?

- O ile to właśnie tak zginęła.

- Na to wygląda - powiedział Ringmar.

Winter pokiwał głową.

- To dlatego, że coś zrobiła? - zastanawiał się Ringmar. - Zabił ją, bo coś zrobiła? A może dlatego, że czegoś nie zrobiła?

- Musimy spekulować ostrożnie - powiedział Winter. - Ale Said byłby teraz w trudnej sytuacji, gdyby nie to, że już zdążył się znaleźć w gorszej.

- Nie umiem sobie tego wyobrazić - odparł Ringmar. - Zrozumiałem, co powiedziałaś, ale na razie nie będę o tym myślał. - Popatrzył na Wintera. - Mógłbym na razie o tym nie myśleć?

Tęskni do lepszego świata, pomyślał Winter. Wciąż do niego tęskni. Jest o dziesięć lat starszy, a wciąż ma nadzieję. Ja już zacząłem ją tracić. A nie chcę. Chcę być jak Bertil. Ale nie umiem nie myśleć o takich sprawach.

- Możesz się skupić na tym, co się stało w sklepie - powiedział Winter.

- Załóżmy, że zabójcom chodziło o Saida Rezaia... - Ringmar zaczął powoli.

-Tak?

- ...a pozostali po prostu znaleźli się w niewłaściwym miejscu - ciągnął Ringmar.

- W takim układzie to od początku musiało być niewłaściwe miejsce. Obaj tam pracowali.

Ringmar skinął głową.

- A Said Rezai, z tego co wiemy, był klientem. O ile on też tam nie pracował.

- Nic nam o tym nie wiadomo.

- Więc sprawca poświęcił dwie osoby, żeby dostać jedną?

- Już nieraz tak było.

- Ale nie u nas, Bertil. Nie w Göteborgu.

- Nikt nas przeciwko temu nie szczepił.

- Nie szczepił? A cóż to za okrutne porównanie. Przecież to nie ptasia grypa.

Tylko spokojnie, pomyślał Winter. Ta rozmowa donikąd nas nie zaprowadzi. Musimy wrócić do naszej metody.

Bo mieli swoją metodę. Pozwalali płynąć słowom, skojarzeniom, pytaniom, czasami odpowiedziom, myślom. Burza mózgów, czasami niezbyt silna wichura, czasami coś więcej. Stwierdzenie „to tylko spekulacje” było zaprzeczeniem tej metody.

- Mogli go zastrzelić gdziekolwiek - powiedział Winter.

- Dlaczego właśnie tam?

- Żeby wyglądało na napad rabunkowy.

- Nic nie ukradli.

- No właśnie.

- Nic, o czym byśmy wiedzieli.

- Przypadkowy napad. *Random robber*, jak by powiedzieli Jankesi. To nie byłby pierwszy raz w tym mieście.

- Byłby pierwszy z takim skutkiem.

- Ale i tego się doczekamy. Już się doczekaliśmy.

- A kobieta, Shahnaz?

- Ona też była częścią planu - stwierdził Ringmar.

- Planu? Jakiego planu?

- Nie wiem.

- A czy tu w ogóle chodziło o plan?

- A o co, jeśli nie o plan?

- O nienawiść. Może o zemstę.

- Zemstę za co?
- Zemstę rodową. Szacunek. Honor. Upokorzenie.
- A co by to oznaczało?
- Nie wiem.
- Co wiemy o życiu Rezaistów?
- Nic.
- Wkrótce dowiemy się wszystkiego o ich śmierci, ale nadal nie będziemy nic wiedzieć o ich życiu.
- Pewnie co do śmierci też będzie sporo niewiadomych - stwierdził Winter.
- Technicy idą - zauważył Ringmar. - Aż z Borås.

Winter i Ringmar znów stali przed sklepem. Wydawało się, że znaleźli się w kręgu ciszy. I faktycznie - to był krąg. Wyznaczała go rozciągnięta wokół rozświetlona południowym słońcem biało-niebieska policyjna taśma. Ciekawscy już się rozeszli. Wiatr też ucichł.

Ruch na trasie się nasilił, ale nie za bardzo. Kiedy w dali mijały ich kolejne samochody, Winter widział odwracające się w jego stronę twarze: spójrzcie, Winter tam stoi, coś musiało się stać. Aha, odgradzili teren. A więc to kolejny napad. Ten facet występował w telewizji.

To będzie długi dzień, pomyślał Winter i odwrócił się w stronę budynku. Od zmierzchu do świtu. Może powinniśmy tu zostać aż do jutrzejszego ranka i spróbować zrozumieć, co się tu stało.

- Staram się zrozumieć, co się tu stało - powiedział Ringmar. Winter omal nie podskoczył.
- Bertil, potrafisz czytać w myślach?
- Nie, bo co?
- Nic. Mówiłeś, że starasz się to zrozumieć, tak?
- Właśnie. Jest druga w nocy. Jeszcze trochę i będzie trzecia, niedługo potem świt. Nawet latem nie ma po co włączyć się o tej porze.
- Imprezowicze się włączą.
- Ale tutaj? To nie twoja Vasagatan, Erik. To nie centrum.
- Racja.

- No więc jest druga - ciągnął Ringmar. - Środek nocy. W sklepie jest trzech mężczyzn. Było trzech mężczyzn. Co najmniej trzech. Może było ich więcej, to znaczy zanim zaczęła się strzelanina. Potem dochodzi do egzekucji. O drugiej w nocy było tu trzech mężczyzn.

- Do czego zmierzasz?

- To nie były godziny szczytu, tylko środek nocy. Wprawdzie Jimmy miał otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale przecież o tej porze nie potrzeba do obsługi dwóch osób.

- Dwóch osób do obsługi jednego klienta - dodał Winter.

- W tym kraju to całkiem uzasadnione.

- Ale oni nie byli stąd.

- Mimo wszystko.

- Już wiem, do czego zmierzasz.

- O niczym nieuzasadnionej porze zjawia się Said Rezaï, żeby coś kupić - mówił dalej Ringmar. - Czy tak właśnie było?

- Tak czy inaczej, nie zdążył nic kupić - odparł Winter.

- Kieszenie miał puste.

- Więc w sklepie stoją Jimmy i Hiwa. Wchodzi Said.

- Taaak.

- Potem dochodzi do masakry.

- Mów dalej.

- Taksjarsz przyjeżdża *jakaś* godzinę później. Wzywa nas.

- A gości już tu nie ma.

- Gości już nie ma - powtórzył Ringmar. - Jadą w stronę Rannebergen.

- Tak albo nie. Jeszcze nie wiemy. Musimy poczekać na wyniki sekcji.

- Byli gotowi podjąć ryzyko. - Ringmar zdawał się go nie słyszeć.

- Jakie ryzyko?

- Przecież ktoś mógł zadzwonić kilka sekund po strzelaninie.

- Zadzwonić gdzie? Na policję?

- Tak.

- Ale nikt nie zadzwonił.

- No nie. Załóżmy więc, że pojechali do Saidu, żeby zamordować jego żonę. Wiedzieli, że tam jest. Wiedzieli o nim

i o Shahnaz.

- Znali ich - zaproponował Winter.

- Inaczej chyba nie mogło być. O ile Said nie zabił jej sam.

Winter zajął do sklepu. Było pusto. Technicy mieli jeszcze wrócić. Zawsze wracali, o ile tylko mieli powód. A prawie zawsze jakiś był. Podczas dochodzenia wstępnego należało patrzeć zarówno wstecz, jak i w przód. Choć częściej patrzyło się wstecz, przynajmniej na początku. W środku mogło być coś, czego jeszcze nie rozpoznali, a co mogło im pomóc, i to niesamowicie.

Winter odwrócił się do Ringmara.

- Czekali.

- Słucham?

- Czekali - powtórzył Winter. - Jimmy, Hiwa i Said. Nie znaleźli się tutaj dlatego, że nie mieli nic innego do roboty Bo, na przykład, nie chciało im się spać. Nie. Na kogoś czekali. Mieli się z kimś spotkać.

- Tutaj, w środku? - zapytał Ringmar, ruchem głowy wskazując na wnętrze sklepu, które litościwy cień osłaniał przed południowym słońcem. Jeszcze nie było dwunastej.

- A jest lepsze miejsce na spotkanie?

-Nie.

- Ktoś miał tu przyjść, więc czekali.

- I ktoś przyszedł. Ten, kogo się spodziewali?

- Nie wiem.

- Erik, stać cię na więcej.

- No więc tak. Tak obstawiam.

- Czyli to byli starzy znajomi?

- Albo nowi.

- Zatem trzy ofiary czekają, a do sklepu wchodzi ich znajomi?

-Tak.

- Strzelby w rękach, pełen rozmach.

- Pełen rozmach?

- Wiesz przecież, o co mi chodzi.

- Mieli strzelby, ale może na początku nie było żadnego rozmachu - odparł Winter.

- Chodzi ci o to, że się pokłócili?
- Możliwe.
- O co?
- O cenę.
- Cenę czego?
- Towaru.
- Jakiego towaru?

Winter skinął głową w stronę sklepu.

- Raczej nie o sól czy cukier - powiedział.
- Tylko o coś, co wygląda podobnie?

Winter pokiwał głową, wciąż stojąc twarzą do szyby.

- W sumie czemu nie - odparł Ringmar.
- Jeśli narkotykowe interesy coś charakteryzuje, to agresja.
- I to, że angażują się w nie całe rodziny.

Winter nie odpowiedział.

Nagle ruszył z miejsca. Dookoła budynku.

Ringmar poszedł za nim.

Winter przystanął ze wzrokiem wbitym w ścieżkę. Po drugiej stronie pola rysowały się sylwetki domów. Ich szarawy odcień teraz wcale nie wydawał się szary. Przypominał raczej ognisty pomarańcz wieczornego nieba.

- Erik, o co chodzi?
- Przypomniałem sobie tego chłopca.
- To mógł być ktokolwiek. Zwykły chłopiec, i tyle.
- Nie sądzę. - Winter zrobił kilka kroków ścieżką. - Nie sądzę, Bertil.

FREDRIK HALDERSI ANETA DJANALI przeszli obok stacji Hammarkullen. Odjeżdżał stamtąd tramwaj na Kungs- ten. Stamtąd był już tylko rzut beretem do Långedrag. To były jakby dwa bieguny.

- Najdłuższa linia tramwajowa w mieście - powiedział Halders, zatrzymując się przy ruchomych schodach.

-Tak?

- Tak sadzę. Przynajmniej w sensie metaforycznym.

- W sensie metaforycznym?

- Długa podróż między klasami - wyjaśnił Halders. - Wiele lat dzieli tę okolicę od Långedrag. - Popatrzył na Anetę. - Cała era.

- Skoro tak twierdzisz...

- Tak twierdzą. Sam nigdy nie zapaściłem się dalej niż do Lunden. - Spojrzał w niebo, jakby chciał zmierzyć, ile w linii prostej jest stąd na południe, do Lunden. - Stąd do Lunden jest nie więcej niż sześć kilometrów.

- Sześć stuleci.

- Chociaż ja stąd nie pochodzę - odparł Halders takim tonem, jakby dopiero co sobie to uświadomił.

- Ja też nie. - Aneta usunęła się nieco na bok. Mijali grupę ciemnoskórych mężczyzn. Dwóch z nich uprzejmie skinęło głowami. - Właściwie nikt stąd nie pochodzi.

- Racja. Nieźle powiedziane.

- Sama nie wiem.

- Ale wtapiasz się tu w tło.

- Mam nadzieję, że nie żartujesz, Fredrik, bo to ani czas, ani miejsce na żarty

- Akurat miejsce jest odpowiednie. Masz ochotę na kebab?

Stali przed Marias Pizzeria & Café. Niedawno ją otworzyli. Aneta zobaczyła dwóch ciemnoskórych mężczyzn siedzących przy stoliku pod oknem. Z Afryki, może z Somalii. Tak, zdecydowanie wyglądali na Somalijszyków. Ona sama była

jakby z Afryki, o ile można tak powiedzieć o kimś, kto urodził się w szpitalu Östra, sześć kilometrów od Hammarkullen. Jakieś stulecie stąd. Tak, była z Afryki, a jednocześnie była pierwszym szwedzkim pokoleniem w rodzinie Djanali. Jej rodzice przybyli z Wagadugu, stolicy ówczesnej Górnej Wolty. Uciekli do Szwecji. Teraz kraj nazywa się Burkina Faso. W końcu, kiedy zaczęli tęsknić za bardzo, sytuacja polityczna się poprawiła, a ich córka dorosła i została policjantką, opuścili Göteborg. Mama zmarła w Wagadugu wkrótce po powrocie. Wtedy pojechała do Afryki. Po raz pierwszy zobaczyła kraj i miasto rodziców. Czuli, że to jej dom, choć leżał tak daleko. Niesamowite przeżycie. Tak daleko i tak blisko. Czuli się jak w domu, chociaż wiedziała, że nigdy nie będzie mogła mieszkać w Burkina Faso. I nie chodziło o biedę, język, pracę czy kulturę. No, może trochę. Chodziło o coś innego, coś, czego nie umiała nazwać. Wracając samolotem Air France do Paryża, płakała. Płakała, kiedy wróciła do domu. Nagle wszędzie czuli się obco. Jeszcze nie do końca jej przeszło. Może nigdy nie przejdzie. Może to uczucie istniało od zawsze, nie mogło zniknąć. Nie było go widać gołym okiem, zupełnie jak śladów butów na podłodze w sklepie Jimmy'ego. Czekali tylko, żeby dojść do głosu. Przyszło na świat razem z nią, w szpitalu Östra.

- Nie, nie mam ochoty na kebab. Jest dziewiąta rano - odpowiedziała. - Ale na kanapkę ewentualnie tak.

- To zjemy na spółkę. Sam nie jestem szczególnie głodny.

Weszli. Kobieta stojąca za ladą powitała ich, jakby byli stałymi klientami. Mężczyźni siedzący pod oknem wstali i wyszli.

Kanapka była solidna. Wegetariańska.

- Całkiem niezła - powiedział Halders z pełnymi ustami. - Lubię papryczki.

- Wiem.

Wiedziała. Po kilku latach bycia razem zamieszkali razem w domu w Lunden. To ona przeprowadziła się do niego. On już od jakiegoś czasu mieszkał tam z dziećmi, Hannesem i Magdą. Sprowadził się tam trochę wcześniej, to znaczy sprowadził się z powrotem, kiedy jego byłą żonę Margaretę przejechał pijany

kierowca. Aneta już wcześniej pomieszkiwała u niego, ale i tak był to poważny krok. Dla wszystkich. Ale nie było wyjścia.

Niejednego mogłoby to zdziwić. Fredrik i Aneta nie byli zwyczajną parą.

Ale Fredrik się zmienił. Wreszcie zaczął się odnajdywać, jak sam powiedział, nie tak dawno. Gdzieś jest ten ktoś, kto jest mną. Zabrzmiało jak głęboka refleksja. Taka na poważnie. Wciąż wygłaszał sarkastyczne uwagi, nawet drastyczne, ale już nie tak często i już inaczej. Niedługo miał zostać komisarzem. Nastąpi odrodzenie - powiedział z krzywym uśmiechem. Ale naprawdę potrzebowali komisarza, ktoś musiał nim być. Ich szef, Sture Birgersson, jesienią miał odejść na emeryturę. Winter miał przejąć formalny nadzór nad tym, czym w praktyce zarządzał od siedmiu lat. A Ring- marowi nie ubywało lat. Natomiast Halders przez ostatni rok, czy może pół roku, czuł, że młodnieje. W pewnym sensie rozkwitł pod nieobecność Wintera. Czasami ta przemiana była na tyle oczywista, że aż komiczna. A może i trochę tragiczna. Tak myślała Aneta. Winter rzucał na Haldersa cień, z którego ten nie umiał wyjść. To nie była wina Wintera. Po prostu tak było, i już.

Haiders otarł usta. Zamrugał i na wpół przymkniętymi oczami spojrzął w słońce. Kilka kobiet w czarnych hidżach szybko szło przez plac. A może to przez słońce chusty wydawały się czarne. Świeciło mocno, ostro zarysowując cienie. Na zewnątrz wszystko było czarne albo białe. Haiders przeciągnął ręką po krótko ostrzyżonej głowie. Skinął w stronę placu.

- Miejmy nadzieję, że nikt z rodziny Azizów nie zobaczy, jak sobie tu siedzimy i zjadamy jak gdyby nigdy nic - powiedział.

- Myślę, że mają na głowie inne sprawy.

- O tak, do cholery.

- Ona nic nie wiedziała. Jego matka.

-Nie.

Halders napił się wody i odłożył serwetkę na talerz.

- Zjawiamy się i mówimy, że jej syna zastrzelono w pracy, a ona nawet nie wiedziała, że tam pracował - powiedziała Aneta.

- Wiedziała, że pracował.
 - Ale nie, że tam.
 - A to ma jakieś znaczenie?
 - Dla niej? Czy dla śledztwa?
 - Zaczniemy od niej.
 - No to oczywiście, że ma. Pomyśl, przez co ona teraz przechodzi. A trauma będzie dwa razy większa, kiedy się okaże, że życie jej syna w pewnym sensie było dla niej tajemnicą.
 - Rodzeństwo mogło wiedzieć - powiedział Halders.
 - Z tego co mówili, nie wiedzieli.
 - Myślę, że kłamią. Ta dziewczyna, jego siostra, według mnie wiedziała.
 - O czym?
 - ~ Gdzie pracował, oczywiście. Gdzie wtedy był.
 - A dlaczego miałyby kłamać?
 - Musimy ją o to zapytać. Następnym razem.
 - Tylko zapytaj delikatnie.
 - Zawsze jestem delikatny.
 - To ludzie, którzy, delikatnie mówiąc, zaznali złego traktowania.
 - Wystąpili o azyl.
 - Na razie tylko wystąpili.
 - Mówiła, że ich prośbę odrzucono cztery razy, tak?
 - Tak mi się wydaje. Musimy to sprawdzić.
- Halders pokiwał głową.
- Okropna sytuacja - podsumowała Aneta. - Tak czekać i czekać.
 - Ale dzieci, tak czy inaczej, musiały iść do szkoły.
 - Przez to wszystko wydaje się jeszcze bardziej cyniczne.
 - Przynajmniej nie musieli się ukrywać.
- Halders zauważył, że Anecie rozbłysły oczy.
- Nawet mi nie przypominaj, że to my, że to policja ścigała te ukrywające się rodziny, a kiedy już je znalazła, siłą wsadziła do lecącego z powrotem samolotu.
 - To nie była nasza decyzja - odparł Halders.
 - Nasza decyzja? NASZA?! My tylko wykonywaliśmy rozkazy? A kim my jesteśmy? Nazistami?

- To nie takie proste.

- Nie takie proste? Nie takie proste? Policjanci z innych części kraju mają do roboty co innego niż ściganie wystraszonych na śmierć dzieci, starają się mieć do roboty coś innego, a w naszym okręgu policja gorliwie rzuca swoje zasoby do nagonki.

- Nie jestem pewien, czy cała ta histor...

- Historia? - przerwała mu Aneta. - Na Boga, kiedy parę lat temu wydano zarządzenie o weryfikacji przyznanego obywatelstwa³, wszyscy inni od razu złożyli broń, ale nie my, nie Göteborg! Wiesz, co wtedy myślałam, Fredrik? Wiesz, co wtedy myślałam?

- Tak, wiem, co myślałaś. Mówiłaś mi. I to nie raz.

- To powtórzę. Myślałam o tym, żeby zrezygnować ze służby.

- W takiej sytuacji wszystkie siły dobra są potrzebne.

- Boże, Fredrik, to dobrze, że się zmieniłeś, ale są pewne granice. Kim ty jesteś: policjantem czy politykiem?

- Nie możemy dyskutować o wszystkim naraz. - Halders próbował się uśmiechnąć.

Nic to nie dało.

- Jak sądzisz, co ta przerażona rodzina czuła i myślała, kiedy wleźliśmy z buciorami do ich domu?

- Mogę sobie wyobrazić.

- To dobrze. Bo w tej sprawie bez empatii daleko nie zajdziemy. Czy raczej w tych sprawach. Bez empatii i bez obrażni.

- Teraz ty mówisz jak Winter.

- Mówię jak ja.

Halders nie odpowiedział. Kiwnął na stojącą za ladą kobietę i wyciągnął portfel.

- Niech firma za nas zapłaci. To przecież śniadanie służbowe, chociaż możemy je nazwać lunchem.

Aneta pochyliła się nad stolikiem.

- To co zrobimy? - zapytała.

Halders odebrał rachunek, kobieta wróciła za ladę. Wy-

³ Na podstawie zarządzenia z 16 września 2004 roku wcześniejsze decyzje o nadaniu szwedzkiego obywatelstwa miały zostać poddane weryfikacji. W przypadku nieprawidłowości mogły zostać anulowane.

ciągnął z portfela kilka banknotów i podniósł wzrok.

- Co masz na myśli?

- Wydaje mi się, że jedna lub kilka osób z tej rodziny wie więcej, niż nam powiedzieli. Ale musimy działać ostrożnie. Ta sprawa jest inna. Zupełnie inna. Wszystko w niej jest inne.

- Rozumiem.

- Jeśli chcemy się czegoś dowiedzieć, musimy o tym pamiętać. Kiedy będziemy zadawać pytania i kiedy będziemy słuchać odpowiedzi.

- O ile ktoś nam odpowie.

- Odpowie.

Kobieta wróciła po pieniądze. Wyglądała, jakby pochodziła z Bliskiego Wschodu, ale Aneta pomyślała, że możliwe, że urodziła się w szpitalu Ostra. Przyglądała się jej, kiedy szła w stronę baru. Znowu stanęła za kasą. Obok niej jakiś mężczyzna kroił na kawałki tortillę nadzianą mięsem *à la* kebab. Aneta, jeśli już zdarzało jej się jeść kebab, prosiła o doner kebab, z wielkich plastrów baraniny ułożonych jeden na drugim, ale ta wersja tego dania nie była w Szwecji zbyt popularna. W ogóle słowo kebab kojarzyło się źle. Było jakby gorszej jakości. Jak towar importowany z regionu, z którego nie chce się niczego importować. No, może z wyjątkiem oliwek. I daktyli. Daktyle przyjęły się w Szwecji już w latach pięćdziesiątych, nawet w czterdziestych. Teraz były już produktem w pełni szwedzkim. Jak gołąbki. Te szwedzkie, w kapuście, nie orientalne w liściach winorośli⁴. Kebab nie doczekał się jeszcze swojej szwedzkiej wersji. Chociaż tortille *à la* kebab można było znaleźć w każdej prowincjonalnej dziurze.

Halders zaczął się podnosić i nagle zmarł.

- Czy to przypadkiem nie ona? Jego siostra? - zapytał, wskazując na plac za oknem.

Aneta się odwróciła.

Zobaczyła jakąś dziewczynę idącą szybko przez przeciwległy kraniec placu. Najpierw, zanim jej oczy przyzwyczyły się do światła, widziała tylko odcinającą się na jasnym tle sylwetkę.

⁴ Gołąbki (szw. *kåldomar*) z mielonego mięsa owiniętego liśćmi kapusty są tradycyjnym daniem również w Szwecji.

Nie miała na sobie hidżabu. To dlatego Haldersowi wydawało się, że ją rozpoznał. Miał rację. To była siedemnastoletnia siostra zabitego Hiwy. Aneta nie mogła sobie przypomnieć jej imienia, nagle ją to zawstydziło. Ale miała je zapisane w notesie.

- Dokąd idzie? - zapytał Halders i szybko ruszył do wyjścia.

- Nie może... - zaczęła Aneta, ale Halders już był na zewnątrz i przecinał plac. Zupełnie jakby nadciągała ogromna chmura.

Aneta nie widziała już dziewczyny.

Nasrin. Miała na imię Nasrin. Sprawdziła w notatniku.

Kiedy podniosła wzrok, Halders znikł już za krzewami i drzewami rosnącymi po prawej.

Wyszła i poczuła, jak mocno wieje. Widziała też, że gałęzie się ruszają. Wiatr był gorący, przypominał ten, który poznała na obrzeżach rodzinnego miasta rodziców. Bo obrzeża miasta były jednocześnie obrzeżami pustyni. Zachodziły na siebie.

Przeszła przez plac i ruszyła uliczką zaczynającą się po drugiej stronie.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyła Haldersa. Stał i czekał. Kiedy ją zobaczył, pomachał do niej, a potem zaczął się rozglądać.

- Zgubiłem ją.

- Widziała cię?

- Nie sędzę. Nie było jej, kiedy tu doszedłem.

Przed nimi rozciągał się duży parking.

- Nie mogła wsiąść do samochodu. Zauważyłbym.

- Ale tam dalej też jest parking - stwierdziła Aneta.

- A do tego dużo przejść i ścieżek. - Halders wskazał na lewo. - No i krzaków.

- Nie sędzę, żeby próbowała się ukryć.

- Tak czy inaczej, chciałbym wiedzieć, dokąd szła - powiedział Halders.

- Mogła iść dokądkolwiek - powiedział Ringmar podczas popołudniowego zebrania.

- Nie - odparł Halders. - Wyglądała, jakby szła w konkretnym kierunku. I spieszyła się. - Spojrzał na Anetę, jakby szukał potwierdzenia. - No nie?

- Sama nie wiem. - Aneta popatrzyła na Ringmara, Wintera i Bergehema.

- Oczywiście, że wiesz.

- To nie musi nic oznaczać - powiedział Bergehem. Halders nie odpowiedział. Chyba nie słuchał. Patrzył na Anetę, jakby go zdradziła.

- Czyli rodzina nie wiedziała, że Hiwa pracował? - zapytał Winter.

- Na czarno - wtrącił Halders.

- Niezupełnie - odparł Ringmar.

- Kto tak twierdzi?

- To samo źródło, z którego wiemy, że tam pracował.

- Nic o tym nie wiem - stwierdził Halders. - O kim mowa?

- O sąsiedzie.

- Sąsiedzie? Czyim?

- Sklepu.

- Kręcisz.

- Zrozumiesz, jak zobaczysz okolicę - wyjaśnił Ringmar.

- A skąd się wziął ten sąsiad?

- Stał wśród gapiów, przy taśmie - powiedział Winter.

- To wszystko brzmi podejrzenie.

- Dlaczego?

- Po pierwsze: skąd wiedział, kto tam leży?

- Od razu zaczęliśmy przesłuchiwać ciekawskich - odparł Ringmar.

- I?

- Ten facet twierdził, że był w sklepie tego wieczoru i że byli tam też ci dwaj z obsługi. Tak się wyraził.

- Wiedział, jak się nazywali?

-Tak.

- No dobra. Ale my już wtedy znaleźliśmy ofiary, tak? -Tak.

- A wiedział coś o tym trzecim? O Sairze?

- Saidzie - poprawił go Bergehem.

- Co? - Halders nie zrozumiał.

- Nazywał się Said - powtórzył Bergehem. - D na końcu.

- Jezu, bo to faktycznie ogromna różnica.

- Fredrik, mam nadzieję, że żartujesz.

- Żartuję.

- Czy ktoś jeszcze chciałby rzucić jakiś żart? - zapytał Winter. - Zanim zaczniemy na poważnie.

JUŻ NIE MARZNĘ. Wcześniej, kiedy słońce wschodziło, marzyliśmy jak psy. Dopiero dwie godziny po wschodzie się ociepla.

Stoję przed namiotem i patrzę, jak słońce unosi się nad górą niczym krwawa pomarańcza. Nagle wszystko wokół robi się czerwone - piach, namioty, góry, kamienie.

Wielbłądy stoją sto metrów dalej. Dwa wielbłądy. Są też psy. Obudziły się już i biegają między namiotami, szukając jedzenia. Ale jedzenia nie ma - ani dla nich, ani dla nas. To dlatego kiedy tylko widzę wschodzące słońce, myślę o krwawych pomarańczach. Albo o owocach granatu, bo właściwie to o nich myślę. O krwawych pomarańczach staram się zapomnieć. Nie minął jeszcze tydzień, odkąd jedliśmy granaty. To było, zanim uciekliśmy. Lubię granaty. Lubię sok schowany w każdym ziarenku. Zupełnie jakby każde ziarno było małym bukłakiem. Och, gdybyśmy teraz mieli kilogram granatów.

I gdyby oni w ogóle nie mieli tych innych granatów. Gdyby te inne granaty nie istniały. Umiem je rozpoznać. Wszyscy w osadzie umieli. Kiedy hałasy brzmiały tak, jakby wszystko po drodze do osady wybuchło - wiedzieliśmy. Kiedy widać było dym - też. Chmury dymu. Jakby wszystkie gałęzie na równinach płonęły jednocześnie. Języki ognia sięgają nieba. Wygląda to trochę jak na polach ropy, ale nie do końca. Ten ogień jest ciemniejszy.

Przez ostatnie dwa dni zjedliśmy tylko trochę chleba i wypiliśmy odrobinę wody. Chleba z mąki, którą mama zabrała ze sobą, kiedy uciekaliśmy. Nie wiem, jak ją włożyła do skórzanego worka. Jakby już wcześniej ją tam spakowała. Jakby wiedziała, że to nadejdzie - ogień, granaty, strzelaniny. Noże. Bo miało nadejść.

Ale już nie marzniemy. Można sobie iść na skraj obozowiska, jakby bliżej słońca. Tam jest ciepłej.

Ponad niewielkimi ogniskami w obozowisku unosi się dym.

Nie ma go dużo. Nad ogniskiem gotujemy wodę na herbatę. Bo mamy trochę herbaty, choć niedługo się skończy. Ale nie mamy cukru, a herbaty właściwie nie da się pić bez cukru. Nie byliśmy do tego przyzwyczajeni.

Tata zawsze mówił, że jeśli ma się cukier do herbaty, to znaczy, że wszystko jest jak należy. Czasami tak mówił: jeśli ma się sól do chleba, to wszystko jest dobrze, jeśli ma się cebulę do ryżu, to jest dobrze, jeśli ma się pieprz do baraniny, to jest dobrze, jeśli ma się masło do jajek, to jest dobrze, jeśli ma się olej do okry, to jest dobrze.

I było dobrze. Wszystko to mieliśmy, więc było dobrze.

Bawiliśmy się w starych ruinach pałacu. Ruiny miały pięćset lat, a wcześniej pałac stał siedemset.

Nasza osada istniała od tysiąca lat, tak mówili. Potem, w obozowisku, mówili, że już nie istnieje. Tak donieśli ci, którzy przyszli po nas.

Mama właśnie wychodzi z namiotu. Krzyczy coś do mnie, ale nie słyszę. Macha, żeby mnie przywołać. Czegoś ode mnie chce.

CIE NIE NA DWORZE BYŁY CORAZ DŁUŻSZE, wyciągało je popołudnie. Ale jeszcze nie robiło się szaro, do zmierzchu została godzina. W czerwcu czas od świtu do zmierzchu ciągnął się w nieskończoność. Niedługo cienie słupów oświetleniowych stadionu Ullevi wyciągną się dalej, do następnej ulicy Winter nie sięgał wzrokiem aż tak daleko. W tej sekundzie ledwo widział rozłożone na stole papiery i twarze wokół. Zamknął i otworzył oczy, już nie kręciło mu się w głowie.

- Eriku, w porządku? - zapytała Aneta.

-Tak.

- Przepracowałeś się? - zapytał Halders z niewinną miną.

- Jeszcze nie.

Halders spojrział na zdjęcia, które mieli przed sobą. Przedstawiały leżące na łóżku ciało. Ciało Shahnaz Rezaei, zamieszkałej przy Fjällblomman dziewięć. Jej dusza była już gdzie indziej. Ta twarz nie jest już jej twarzą, pomyślała Aneta. Teraz jest nasza.

- Jak to się nazywa? - zapytał Halders. - Nienawiść?

Nikt nie odpowiedział.

- Co mówią ci z technicznego?

- Jeszcze nic - odparł Winter. - Pracują nad tym, jak my.

- A co mówi Pia?

- Że jest kilka możliwych przyczyn zgonu - odpowiedział Ringmar.

- Domyślam się - powiedział cicho Halders, przyglądając się zdjęciom. - Cholera. - Podniósł wzrok. - Musimy dorwać tych drani, i to szybko. Już wystarczająco długo chodzą po ziemi.

Wszyscy milczeli.

- A jeśli to się łączy ze strzelaniną w sklepie? Założę się, że tak - ciągnął Halders. - To nie mógł być przypadek. *No way*.

Na to też nikt nie odpowiedział.

- Mowy nie ma - Halders przetłumaczył samego siebie.

- Sam mógł to zrobić - powiedział Berghem. - Said.

- Zobaczymy, co wykaże analiza jego osobowości - stwierdził

sucho Winter.

- Przecież, do cholery, nic o tych ludziach nie wiemy - powiedział Halders.

- Jeszcze nie - odparł Winter.

Halders jeszcze raz spojrzął na zdjęcie, a potem odwrócił je rewersem do góry.

- To co robimy? - zapytał.

- Operacja pukanie do każdych drzwi już się zaczęła - powiedział Ringmar.

- Gówno z tego będzie - stwierdził Halders. - Musimy czekać na techników i panią doktor. - Jeszcze raz popatrzył na zdjęcie. - A myślę, że i z tego gówno będzie. - Spojrzął na pozostałych. - Dowiemy się, jak zginęła, ale nie dlaczego.

- Tego też się dowiemy - odpowiedział Winter.

Halders pokręcił głową.

- Zajmie nam to tysiąc i jedną noc.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że w Göteborgu działa tysiąc jeden gangów. Północne dzielnice miasta stały dla nich prawdziwą bazą werbunkową. Były wśród nich gangi motocyklowe, jak Bandidos, Hells Angels, Red Devils czy Red White Crew, gangi więzienne, jak Original Gangsters i Wolfpack, gangi młodzieżowe, jak X-team i Ti-grarna. A do tego grupy etniczne zorganizowane w prawdziwe sieci: Albańczycy, Kurdowie, Somalijczycy i imigranci z dawnej Jugosławii.

Chociaż akurat żadna grupa etniczna nie stworzyła szajki zajmującej się przestępstwami, szczególnie poważniejszymi, jak przemyt na dużą skalę, narkotyki, kradzieże czy handel ludźmi. W przypadku prawdziwych szajek przestępstwa integrują ich członków. Pieniądze i zyski też. Nie ma znaczenia, kto skąd pochodzi. Liczy się to, ile będzie umiał zarobić na przestępstwie. Do spółki z innymi, bo wiadomo, że w jedności siła. Działalność przestępcza znosi podziały narodowe i religijne, za nic ma ideę starej dobrej svenssonskiej tożsamości. Svenssonskiej, bo to przeciętny Svensson duma nad przeszłością częściej niż handlarz narkotyków z Albanii, Iranu, Somalii czy samej Szwecji, niebiesko-żółtej Szwecji. W

tym sensie przestępczość okazała się odpowiedzią na problemy z integracją i podziały społeczne. Zapewnia jedność i bezpieczeństwo. Dość niebezpieczne bezpieczeństwo, ale to mniejsze zło. Mniejsze od czego? Wciąż mało kto wie.

Policja spróbowała zgarnąć i przesłuchać znanych członków gangów z północy miasta, ale akcja objęła też inne rejony. Jeśli faktycznie chodziło o narkotykowe porachunki, to prędzej czy później, zapewne prędzej, powinno to wyjść na jaw, choć oczywiście szczegóły nie będą jasne. Kiedy chodzi o narkotyki, nigdy nie są.

A Winter musiał znaleźć broń. Dzięki gangom broni na ulicach było coraz więcej. To, co dziesięć lat wcześniej wydawało się nie do pomyślenia, dziś było codziennością. W mieście pojawili się nowi obywatele i nowa broń. Dużo broni. Dochodziło do porachunków, strzelano na placach, w restauracjach, na ulicach. Na plażach - ot, porachunki na świeżym powietrzu.

Winter stał na światłach na Avenyn. Był ciepły letni wieczór, w mieście pełno ludzi. Próbował sobie przypomnieć, jaki jest dzień, ale dał sobie z tym spokój. W ciągu ostatniego półrocza przestał liczyć czas i teraz trudno mu było się na nowo przyzwyczaić. Poniedziałek, wtorek, piątek, niedziela. Wiedział tylko, że na pewno nie niedziela.

Zadzwoiła komórka. Leżała na siedzeniu pasażera. Rozpoznał numer na wyświetlaczu.

- Tak, Bertil?

- Pia była. Mówiła, że do zabójstwa doszło nad ranem.

- Nad ranem? Ale kiedy?

- Wcześniej, parę godzin po północy, może przed siódmą. Zapaliło się zielone i Winter ruszył.

- Pytanie tylko, kiedy Said przyszedł do sklepu - powiedział.

- Według Pii do strzelaniny doszło niedługo przed albo po świcie, czyli w tym samym czasie. Ale to już wiedzieliśmy.

Nadal nie udało im się znaleźć świadka, który by zeznał, że słyszał strzały. Dziwne, zupełnie jakby zabójcy użyli tłumika. Ale to nie było możliwe, jeśli się wzięło pod uwagę obrażenia, jakich doznały ofiary. Ściany mogły częściowo stłumić hałas,

ale nie aż tak. Może to dlatego, że sklep stał na uboczu. Przy takiej odległości od bloków ludzie mogli uznać strzały za hałasy z ulicy, za krztuszącą się rurę wydechową albo jakiś inny odgłos letniej nocy. A może w ogóle nikt nie zwrócił na nie uwagi.

Mogliby zrobić eksperyment i postrzelać jeszcze trochę.

- Nie wiemy, czy w sklepie był ktoś jeszcze - powiedział Winter. - To znaczy, nie licząc ofiar i zabójców.

- Masz na myśli kogoś, komu by się udało przeżyć?

-Tak.

- Chodzi ci o te kroki, które słyszał taksjarsz?

- Nie, nie o to. Chodzi mi o to, czy był tam ktoś, komu udało się uciec. Albo komu pozwolono odejść, że tak powiem.

- A dlaczego myślisz, że był ktoś taki?

- Nie wiem. Coś tu się nie zgadza. Pojadę tam jutro rano i jeszcze raz wszystko przeanalizuję.

- Ja muszę najpierw coś załatwić. Przyjadę później.

- Powiedziałem, że ja tam pojadę. Ty nie musisz.

- Ale chcę.

- No dobra, to do zobaczenia. - Rozłączył się.

Skręcił w stronę Vasaplatsen, objechał sąsiednie budynki i zjechał do podziemnego garażu.

W piekarni na parterze kupił bagietkę. Piekli kilka razy dziennie. Był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że może kupić świeże bułki nawet wczesnym wieczorem. To był mocny argument za zostaniem w tym mieszkaniu.

Jadąc windą, rozmyślał o chłopcu, który przyglądał mu się przed blokiem dwieście metrów od sklepu, w którym zginęli trzej mężczyźni.

Technicy Bo Lundin i Isak Holmström z Borås pracowali już nad podobnymi sprawami. Byli też na bieżąco z najnowszą metodą badań DNA - LCN, Low Coy Numbers. Dzięki niej można było znaleźć ślady, których wcześniej nie dawało się znaleźć, a do tego można było ich szukać w miejscach, jakie wcześniej nikomu nie przyszyły do głowy.

Bo Lundin zwrócił uwagę, że okno w kuchni Rezaiów było wyjątkowo dokładnie umyte, dokładniej niż okna w innych

pokojach. Przez szybę widać było opustoszały plac zabaw. Możliwe, że ktoś coś z tego okna startł. I już samo to było ciekawe. Jeszcze ciekawsze było to, że ten ktoś, kiedy czyścił szybę, musiał na nią chuchać. A w wydychanym powietrzu mogły się znajdować cząsteczki DNA. Słowem: możliwe, że ktoś zadał sobie trud, żeby usunąć ślady z miejsca, którego zapewne nikt by nie badał. A wycierając szybę, sprawił, że policyjni technicy dostrzegli, że coś na niej było.

Mieli też kark i potylicę ofiary.

Zabójca oddychał.

Lundin nie był pewien, czy uda mu się zabezpieczyć jakieś ślady. Ale miał nadzieję.

Pracował w masce i jednorazowym kombinezonie ochronnym.

Siedzieli na balkonie i obserwowali rozciągające się nad dachami niebo. Wciąż miało intensywnie niebieski kolor.

Winter wypił łyk białego wina, rieslinga z Turckheim. Było miękkie, niemal jak woda spokojnie podpływająca wieczorem falami do brzegu. Bo i ten wieczór był spokojny. Noc jeszcze się nie zaczęła.

Nagle z mieszkania dobiegł krzyk.

- Znów ma koszmary - powiedziała Angela.

- Ja pójdę.

W przedpokoju usłyszał płacz.

Lilly siedziała w łóżeczku.

Elsa spokojnie spała w swoim.

- Już dobrze, skarbie. - Podniósł ją i poczuł, że cała jest spięta ze strachu. Co jej się śniło? Co takiego kryło się w jej podświadomości, wywołując ten niepokój? Nie skończyła jeszcze dwóch lat. On potrafił zrozumieć swoje sny Czasami wręcz ich wyczekiwał. Bo jakkolwiek straszne by były, nigdy nie można było ich mierzyć miarą rzeczywistości. Ale właściwie pochodziły z rzeczywistego świata, jego świata. Jak ten dzisiaj. Dobra, wyłuzuj, do cholery. Przestań myśleć. Po prostu ukołysz małą do snu. Już prawie zasnęła. Już śpi. O, tak. Czuję, jak bije jej małe serce. Już się uspokoiło.

Położył Lilly z powrotem i ostrożnie okrył ją prześcieradłem.

Na koldrę było za ciepło. W ich starym mieszkaniu ciepło zbierało się w ciągu dnia i zostawało na noc, okrywając je niczym derka. Otwieranie wszystkich okien i próby zrobienia przeciągu nic nie dawały, jeśli nie było wiatru. A już od tygodni porządnie nie wiało. Jakby wiatr wstrzymał oddech. *Ta myśl przysła* mu do głowy dzisiaj, kiedy patrzył na nieruchome liście na drzewach i krzewach wokół miejsca zbrodni. Liście wokół miejsca zbrodni. Brzmiało to jak tytuł. Może tytuł jego biblii zbrodni. Założyli ją dzisiaj. Miała szansę rozrosnąć się do opasłego tomu. Już była gruba - cztery zabójstwa w jedną noc. Kiedy się zastanawiał, czy będzie ich więcej, spekulował, ale to nie były tylko spekulacje. Wszystkie te lata nauczyły go, że powinno się słuchać pojawiających się znikąd myśli. Choć tym razem nie chciał ich słuchać.

- Już śpi - powiedział, kiedy wrócił na balkon, usiadł na rattanowym fotelu i chwycił kieliszek. - Może to przez tę zmianę kraju i kultury

- I pogody - odparła Angela. - Jest cieplej niż na południu Hiszpanii.

- No właśnie.

- Mógłbyś przynieść jeszcze trochę wody, skarbie? - Angela podniosła pustą szklanke.

Znów wstał, chwycił karafkę i poszedł do kuchni. Odkręcił wodę i czekał, aż zrobi się możliwie najzimniejsza. Wrzucił do karafki kilka kostek lodu.

- Dzięki - powiedziała Angela, kiedy przyniósł jej wodę. Usiadł. W butelce zostało jeszcze trochę wina. Wypije to i na dziś koniec. Whisky też nie będzie już pił. Nie wiadomo, co go czeka jutro. Albo dziś w nocy, albo jutro w nocy.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytała Angela po chwili.

- Chyba muszę.

- To powiesz, kiedy mamy przestać.

- Chodzi o tego chłopca.

- Myślisz, że to był on?

-Tak.

- Dlaczego?

- Patrzył na mnie jakoś szczególnie.

- To dlaczego do ciebie nie podszedł?
- Może ktoś go obserwował.
- Mój Boże.
- Takie odniosłem wrażenie.
- Ze czuł się obserwowany?
- Tak. Albo przynajmniej tak mu się wydawało.
- A dlaczego tak mu się wydawało?
- Bo coś zobaczył. Widział zbrodnię.
- A co tam robił? Dlaczego się tam znalazł?

Boże, Angela jest jak Bertil, pomyślał. Kiedy Bertil przejdzie na emeryturę, będę miał ją.

- Może wyszedł pojeździć na rowerze. Albo porobić coś innego... sam nie wiem.

- W środku nocy? O tej porze? Ile miał lat? Dziesięć? Dwanaście?

- Coś koło tego. Nie więcej.
- I pozwolili mu jeździć samemu?

Winter wzruszył ramionami.

- Może nie był sam - ciągnęła Angela.
- Też o tym pomyślałem.
- Może był z którymś z tamtych?
- Możliwe.

- A jak go znajdziesz?

- Odwiedzamy wszystkich w okolicy Mieszkanie po mieszkaniu. Rozmawiamy z policjantami patrolującymi ten teren, z pracownikami spółdzielni, ze szkołami, z kółkami sportowymi. Tamtejsza policja rozmawia też ze swoimi źródłami, z obu stron prawa. Większość stoi po tej drugiej stronie.

- Zapowiada się mnóstwo roboty.

Winter pokiwał głową.

- Ile czasu to zajmie?
- Zdecydowanie za dużo.

Rozlał resztę wina do dwóch kieliszków. Napił się. Było już trochę za ciepło. Odstawił kieliszek i dolał trochę zimnej wody.

- To mógł być ktoś zupełnie inny - powiedział.
- O ile w ogóle ktoś tam był - odparła.
- Taksówkarz był pewny

- Można mu wierzyć?

Winter znów lekko wzruszył ramionami. Nie lubił tego, ale i tak to robił.

- Nie chcę już o tym rozmawiać - powiedział.

- Dobrze.

- Chcę porozmawiać o czymś przyjemnym.

- Morze. Porozmawiajmy o morzu.

- O jakim morzu?

- Może o tym tam. - Wskazała na wschód, ponad grzbietami dachów.

- Co z nim? - zapytał, ale wiedział, co chciała powiedzieć. Stara dyskusja, która za każdym razem przybierała nowy obrót.

- Po głowie kołocze mi się myśl o działce nad brzegiem tego właśnie morza. Czasami nawet wyobrażam sobie, że stoi tam dom.

- Dom? Działka?

- Dziwne, nieprawdaż?

- Tak, dziwne.

- Ta działka musi teraz być warta sporo pieniędzy.

- Zawsze była.

- To dlaczego jej nie sprzedamy?

- A chcesz tego?

- Sama nie wiem. Może właśnie cię prowokuję, a może nie. Ale mam wrażenie, że nigdy nic z tym nie zrobimy. Ze nigdy się stąd nie wyniesiemy.

- Czy to takie straszne?

- Nie. Wiesz, co mam na myśli. W mieszkaniu śpią nasze kwiatuszki, a powietrze nie jest tutaj najlepsze. Wiesz przecież. Rozmawialiśmy o tym już tysiąc razy. Twierdzisz, że dla ciebie jest już za późno, ale dla Elsy i Lilly nie jest.

- Mówiłem, że dla mnie jest za późno?

- Mówiłeś, że jesteś uodporniony. Mówiłeś sto różnych bzdur, ale teraz pamiętam tylko to.

- Mogę zapalić?

- Nie zmieniaj tematu.

- Nie zmieniam. Muszę zapalić. Denerwuję się.

- No proszę, znów zmieniasz temat.

- Angela, naprawdę dobrze by ci się tam mieszkało? Tam jest pięknie i może wszystko będzie super, ale... czy ta działka nie jest trochę odcięta od świata? Czy my nie będziemy tam odcięci od świata?

- Od czego?

- Od tego. - Zatoczył ręką koło. - Od miasta.

- Nie wiem. Czasami mi się wydaje, że to wcale nie jest prawdziwe miasto.

- W porównaniu z Marbellą Göteborg jest duży.

- Ja go nie porównuję do Marbelli.

- A do czego? Do Madrytu? Barcelony? Paryża? Londynu? Mediolanu? Singapuru? Bombaju? Sydney? Nowego Jorku?

-Tak.

Winter się zaśmiał.

Zapalił corpsa.

Dym uleciał w wieczorne powietrze. Widział go jeszcze długo.

- To piękne, kiedy w pogodny wieczór dym tak sobie ulatuje.

- Idę się położyć. - Angela wstała.

Zadzwoniła komórka. Położył ją na stole. Angela przewróciła oczami i pomachała mu na dobranoc. Odebrał.

- Dobry wieczór, Winter.

Rozpoznał głos w słuchawce.

- Dobry wieczór, Sivertsson. Dzięki, że zadzwoniłeś.

Holger Sivertsson był szefem zespołu patrolowo-interwencyjnego z Angered.

- Mówiłeś, że mogę dzwonić późno. Albo wcześniej. Ale nie masz za co dziękować. Wiadomość jest taka, że nie ma żadnych wiadomości.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nasze źródła nic nie wiedzą. Na razie. Jeszcze nie.

- Nie jesteś zdziwiony?

- Niewiele już mnie dziwi. Nie po dwudziestopięcioletniej służbie tutaj.

- To już tak długo?

- Ale złego słowa nie dam powiedzieć o naszym rejonie.
- Nic nie mówiłem.
- Niezasłużenie mamy złą reputację.

Winter nie odpowiedział.

- Mieszka tu osiem tysięcy imigrantów - ciągnął Sivertsson. - Nie licząc Bergsjón, które podlega pod ICortedala. Ale oczywiście przekraczamy granicę. Przekraczamy wszystkie granice. Jeździmy na przykład za naszą drogą młodzieżą do miasta. Uwierz mi, wszyscy członkowie gangu są zdziwieni, kiedy wychodzą sobie z klubu w centrum, a tu salutuje im patrol z ich osiedla.

- Wyobrażam sobie.

- Żadnej anonimowości. Nie ma dokąd uciec. Bo anonimowość to najlepsze, czego może oczekiwać przestępca.

- A tym razem trafiliśmy na wyjątkowo anonimowych.

- Znajdziemy coś. Wiemy, jak postępować z naszymi źródłami. Gdyby kryło się za tym coś większego, już byśmy wiedzieli. Teraz, a nawet już wtedy. Niewykluczone, że dowiedzielibyśmy się przed tymi, którzy brali w tym udział.

Praca ze źródłem polega na tym, że zwiadowca nawiązuje kontakt z informatorem. Może to być czynny członek gangu albo ktoś z przestępczych peryferii, czasami ktoś z zewnątrz. Najważniejszy jest kontakt. Zwiadowca musi nawiązać bliską znajomość z informatorem, z wtyczką. Ważna jest również anonimowość. Informator ryzykuje życie. Zdradzanie tajemnic przestępczego świata to tabu. Winter o tym wiedział. Dlatego ogromne znaczenie ma ukrywanie tożsamości źródeł. Sivertsson nie wiedział, z kim współpracuje jego dwudziestu jeden podwładnych pracujących w terenie. Nie wiedział nawet, ile mają źródeł. I nie chciał wiedzieć. Żeby nie ryzykować popełnienia błędu. Pewnie by go nie popełnił, ale zwykła kartka z nazwiskiem zostawiona tu czy tam mogłaby doprowadzić do katastrofy. Jeśli ktoś cokolwiek wiedział, to ktoś, kto miał ewentualnie zapewnić wsparcie: dziś mam spotkanie tu i tu, jeśli nie wrócę, to...

Winter wiedział też, że coraz trudniej jest coś od świadków wyciągnąć. Ludzie mówią mniej. Bardziej się boją. A policja

potrzebuje wiadomości z półświatka. Dlaczego niektórzy zgadzają się zostać wtyczkami policji? Dlaczego ktoś chciałby podpisać *in blanco* wyrok śmierci na siebie? Żeby przeżyć coś ekscytującego. Żeby wzbogacić swoją tożsamość o dodatkowy wymiar. Żeby tkwiąc w przestępczym świecie, być jednocześnie kimś więcej. Być kimś. Poczucie cholerną adrenalinę.

- Nie wiem, czy wiesz, jak wygląda nasza sieć kontaktów - usłyszał w słuchawce.

- Wiem.

- Nie sądzę. Ale nieważne. Wiadomość na teraz jest taka, że na razie nie mamy wiadomości, ale będziemy mieć.

- Mówiłeś, że nie wierzysz, że kryje się za tym coś więcej. Jesteś pewien?

- Tak, chyba że zupełnie zmienili zwyczaje.

- Oni? To znaczy kto?

- Wszyscy. Gangi i freelancerzy. Chodzi mi o to, że niemożliwe jest przeprowadzenie większego interesu narkotykowego tak, żebyśmy niczego nie podejrzewali. Tak samo jest zresztą z mniejszymi. To niemożliwe.

- A jednak robią te interesy.

- No właśnie, czy to nie zadziwiające? Od zawsze się nad tym zastanawiam. Dlaczego przestępczość w ogóle istnieje, skoro mamy policję?

- Ciekawe przemyślenia. Myślisz, że w tym przypadku mamy do czynienia z amatorami?

- To znaczy?

- Z jakimiś ofiarami, które wkroczyły do gry, nie wiedząc, co ryzykują? Może potknęli się jakoś przy większej partii heroiny, może ją ukradli, a to była kara?

- To naprawdę duża sprawa. Patrząc z perspektywy centrum miasta, możesz nie rozumieć. Tu się mówi o Jimmym Foro i o tym, co się stało w sklepie. Nawet jak się mierzy naszą miarą, to duża sprawa.

- Chyba rozumiem.

- Tak czy inaczej, wiedzielibyśmy. Któryś z informatorów musiałby coś wiedzieć, choćby po fakcie. Coś usłyszeć.

Nieosiżliwe, żeby coś takiego nie wyciekło.

- Więc stało się niemożliwe?

- Chodzi mi o to, że to nie była żadna kara, czy jak tam to nazwać. Nie chodziło o żadną partię towaru.

- A jakieś inne interesy? Prostitution? Handel ludźmi? Kradzież cennych towarów? Żywność z czarnego rynku?

- Żywność z czarnego rynku?

- To poważna sprawa.

- Żartujesz sobie?

- Nie.

- To dobrze, bo to jest poważna sprawa. Mamy tu z tym duży problem. Ale bez względu na to, o jaką branżę chodzi, i tak powinniśmy coś wiedzieć. Chociaż trochę.

- No to o co poszło?

- To chyba ty musisz odpowiedzieć na to pytanie.

- Po prostu głośno myślałem.

W ŚWIETLE ŚWITU WSZYSTKO WOKÓŁ wyglądało miękko. Zupełnie jakby się oglądało świat przez gęstą tkaninę. Kiedy się poruszał, ona ruszała się razem z nim. Ale teraz ruszał się tylko on. Wokół panował zupełny spokój. Poranek był ciepły, w nocy temperatura nie spadła poniżej dwudziestu stopni. Kiedy ciemność zaczęła spowijać niebo, kochał się z Angelą. Czuł pot na jej karku. Nie wsłuchiwał się w żadne inne dźwięki. Ani wtedy, ani teraz. Nie tego szukał.

Parking od wejścia do sklepu dzieliło dwadzieścia metrów. Może znajda ślady innych samochodów, a może nie. Prawdopodobnie nie. Wcześniej stawało tam wiele aut, teraz było pusto. Taśma odgradzająca teren zwisała do ziemi, ale chyba wciąż pełniła swoją funkcję. Przemierzał odcinek między parkingiem i budynkiem. Chodził w tę i z powrotem. Wcześniej kazał sfilmować tę trasę. Technicy zrobili zdjęcia. Tędy musieli w pośpiechu nadejść zabójcy. W pośpiechu, a może ukradkiem. A może po prostu szli zwyczajnie, tak jak on. Było cicho, jak teraz. Z tego co wiedział, pobliską drogą nie przejeżdżał żaden samochód. Może jeszcze odezwie się jakiś świadek, dopiero co dali komunikat. Może jest ktoś, kto tędy przejeżdżał. Nic nie widział, ale mijał to miejsce. Ktoś, kto jechał w tę albo w drugą stronę, kiedy zabójcy odjeżdżali. O ile mieli samochód. Może biegli. Może zniknęli między tamtymi domami, pomyślał, spoglądając w dal. Mieliby zablokować całą dzielnicę? Całe miasto?

O tej porze trawa wyglądała na moką. Torsten Öberg znalazł świeże ślady butów. Dziecięcych. Chłopięcych albo dziewczęcych. A może to był ktoś dorosły, ktoś, kto miał małe stopy. Nagle przez głowę przetoczyły mu się różne myśli. O tym, co się tu stało: kasa wykazała, że ostatniego klienta obsłużono czterdzieści dwie minuty po północy. Sprawdził to Bergenhem, pomógł mu producent kasy. Czy zabójcy coś kupili? Zanim podnieśli strzelby załadowane różnymi nabojami, różną amunicją, przez co nie dało się teraz określić,

ile dokładnie ich było. Czy to miało dla zabójców jakieś znaczenie?

Ważne było dla nich, jak to wszystko przebiegnie? Kogo najpierw zastrzelą? Jimmy leżał najbliżej drzwi. Dalej - Said. Hiwa chyba właśnie odchodził od lady Hiwa Aziz. Młody Kurd, który zakończył życie w czerwcową szwedzką noc. Nie po to tu przyszedł. Czy podchodził do zabójców, kiedy oberwał? Dlaczego nie rzucił się w przeciwną stronę? Może nie uszedłby za daleko, ale za sklepem było jeszcze jedno pomieszczenie, a w nim okno. Było zamknięte, kiedy Winter przyjechał tu po raz pierwszy. Popatrzył na sklep kolejny raz. Przy odrobinie wyobraźni można by go uznać za mały szklany pałac. Nie brakowało mu wyobraźni, czasem miał jej aż nadto. Bywała szalona, ale zawsze pomagała mu w pracy. Przynajmniej do tej pory. Teraz już nie był niczego pewien. Ale to normalne, wręcz oczywiste.

Hiwa Aziz. To on jest tutaj kluczem. Dlaczego tak sądzę? Kluczem do czego?

Miał szansę, tak mu się przynajmniej wydawało. A dlaczego? Bo znał zbójców. Wiedział, co się stanie?

Weszli w ochraniaczach na butach. Przecież Hiwa, Said i Jimmy to widzieli.

Założyli je na zewnątrz.

W środku zostawili ślady w dwóch różnych rozmiarach, nie wiadomo dokładnie jakich - od czterdziestu do czterdziestu dwóch. Może było ich więcej. Morze Czerwone nie ujawniło żadnych oczywistych śladów.

Spojrzał na subtelne poranne niebo. Już robiło się cieplej. Nadchodził kolejny rekordowy dzień. Warto przyjechać do Göteborga, ale nie latem. Latem jest za gorąco.

Chodził w kółko. Ilu zabójców znajdziemy? Spróbujemy znaleźć. Nie, znajdziemy. Dopadniemy. *We will hunt them down*. Pomyślał o swoim przyjacielu z południowego Londynu, Stevie Macdonaldzie, komisarzu policji pracującym w rejonie, gdzie co roku odnotowywano setki zabójstw. A może co kwartał. Croydon samo w sobie było miastem, jednym z największych w Anglii. Croydon wchłonęłoby Göteborg. Na

początku października zamierzał pojechać z rodziną na tydzień do Londynu. To najlepszy czas. Wynajmą apartament w hotelu w Chelsea. Może wypiją ze Steve'em po piwie. Będą spoglądać na Selhurst Park, w którym mieści się nieszczęsny Crystal Palace. To miejsce może się podobać tylko matkom. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, poszli do pubu Prince George. Mieścił się przy głównej ulicy Thornton Heath. Przyleciał wtedy do Londynu, żeby pomóc w śledztwie - przy Clapham Common zamordowano chłopaka ze Szwecji. A teraz stał tu, na szwedzkim asfalcie, w świetle poranka. Niebo powoli się przejaśniało, tracąc niewinne światło. Znowu nadchodziło słońce. Stanął w drzwiach. Widział Morze Czerwone. Nie dało się go usunąć. Jego kontury, ślady po nim zostaną tu na zawsze. Wątpił, czy kiedykolwiek ktoś otworzy tu sklep, ale może się mylił. Wszyscy zapominają, czasami bardzo szybko. Żałował, że on tak nie potrafi. Więc to tędy weszli. Jedna twarz tu, druga tu. Czy ofiary stały tam, gdzie je znaleziono? Pewnie było zaledwie parę kroków różnicy, ale to mogło zdecydować. Dla niego, bo dla nich nie miało to już znaczenia. Ale dla niego owszem. Teraz wszystko jest ważne. Decydujące.

Nagle znowu zakręciło mu się w głowie. Jakby na ułamek sekundy stracił przytomność. Co jest, do cholery? I wtedy na wschodzie pokazało się słońce. Jeden promień trafił go prosto w twarz. Poczul ból w oku. Czuł go już kilka razy tej wiosny. A nie powinno tak być, jeśli właśnie wróciło się po pół roku z południowej Hiszpanii. Po czymś takim nie powinno się mieć pierwszej w życiu migreny. Ale zawroty ustały i już o tym nie myślał.

Halders stał na środku trawnika. Kolejną noc z rzędu. Weszło mu to w krew. Po dziesięciu minutach wszedł z powrotem do domu. Aneta się odwróciła, kiedy kładł się do łóżka.

- Fredriku, co się dzieje?

- Nie mogłem spać.

- To spróbuj jeszcze raz - wymamrotała i odwróciła się na drugi bok.

Nie odpowiedział. Zamknął oczy. W pokoju, przy za-

suniętych roletach, panował litościwy mrok. Przed oczami zamigotały mu czarne i czerwone mroczki. Niektóre wyglądały jak kijanki. Poruszały się jak w układzie choreograficznym. A potem poruszyło się coś jeszcze - głowa. Odłączała się od ciała. Była w coś owinięta. Widział tylko głowę. Zrozumiał, że już śni. Wiedział o czym. Obudził się. Aneta spała. Potrafił rozpoznać, kiedy śpi. Po spokojnym oddechu. Umiała zasnąć w każdej chwili. Jeśli postanowiła, że będzie spać, to spała. Może odziedziczyła tę umiejętność po przodkach, pomyślał. Może w Afryce tak mają. Muszę ją zapytać. Podniósł się i sięgnął po zegarek. Punkt piąta. Po nocnym spacerze przespał zaledwie godzinę. Powinno wystarczyć. Wstał, włożył szorty i poszedł do kuchni nastawić wodę, ale w końcu zmienił zdanie.

W samochodzie, ziewając, nastawił płytę. Leżała na wierzchu sterty ułożonej na siedzeniu pasażera. Kevin Welch. Piosenka o letnim deszczu, ale teraz nie padało. Opuścił szybę. Powinien spać miękkimi deszcz. Gdzieś. Kiedyś. Jechał na północ i niemal w ogóle nie czuł zapachu miasta.

Promień słońca niczym wiązka lasera oświetlał budynek: trzecie piętro, okno z lewej. W tym jasnym świetle wyglądało na czarne. A potem promień znikł, jakby słońce zaszło. Winter stał w połowie ścieżki prowadzącej do bloków. Spojrzał na krótko przyciętą trawę. Potem na asfalt. Niestety asfaltu nie można było przeczesać w poszukiwaniu niewidocznych śladów. Ruszył w stronę bloków. Nagle coś się tam poruszyło. Coś błysnęło za krzakami z lewej strony Czy to kolejny promień? Nie. Nie sięgnąłby aż tam. Kiedy słońce wyjrzy na wschodzie zza horyzontu, promienie dotrą najpierw do dachów. Znowu! Trochę dalej w lewo. Coś mrugało. Za krzakami ktoś jechał na rowerze. Ruszył biegiem przez pole. Szybciej niż powinien - ze względu na kolana i łydki. Zobaczył chłopca. Skręcił i odbił od krzaków. Winter próbował przyspieszyć, był w połowie pola. W tym miejscu krzaki się kończyły. Zobaczył, że chłopiec się obejrzał, a potem przyspieszył. To ten sam chłopiec. Biegł dalej. Podniósł rękę, jakby chciał się z nim przywitać. Chciał, żeby ten gest wyglądał przyjaźnie. Chciał w ten sposób zatrzymać chłopca, ale chłopiec ani myślał przystawać. Nawet się nie

obejrzał. Skreślił za róg i zniknął. Teraz Winter biegł już po asfalcie. Czuł napięcie w łydkach, ale na razie nic sobie jeszcze nie naderwał. Ale płuca zaczęły się poddawać. Nagle klatkę piersiową przeszył mu okropny ból, promieniował aż do oka. Byłoby dobiec do rogu, pomyślał. Zaraz tam będę.

Halders chciał objechać sklep i zawrócić, ale na parkingu zobaczył samochód Wintera. Mercedes, ale Winter powinien pomyśleć o nowszym modelu. Chyba że zaczeka dziesięć lat. Wtedy wszyscy będą chcieli mieć takie auto. W stylu vintage. Za dziesięć lat wszyscy będziemy vintage. Wtedy wszyscy będą nas chcieli, nawet bardziej niż teraz.

Zaparkował obok Wintera. Wysiadł i ruszył w stronę sklepu. Był tu pierwszy raz, wczoraj nie było na to czasu. Drzwi były otwarte. Ale nie zobaczył ani policjanta, ani ochroniarza, który by pilnował wejścia. Ktoś powinien tu stać. Zajrzał do środka i zobaczył czerwień rozciągającą się od progu do regałów, lady i stolików. Na półkach było pełno różnych rzeczy w torebkach, pudełkach, słoikach i puszkach. Z jaskrawymi etykietami. Była też lodówka z mrożonkami i niewielki dział mięsny z grubymi tureckimi baraniami kielbasami zwiniętymi w pęta. I stoisko z warzywami. Czerwono-zielono-fioletowe. Halders umiał rozpoznać bakłazany, ale sam rzadko je przyrządzał, bo zajmowało to cholernie dużo czasu. Plastry trzeba było posolić i przycisnąć, żeby przed smażeniem straciły wodę. Były też duże płaskie chleby, słoiki z ogórkami i papryczkami, pudełka z ulepkowatymi słodyczami, które po jednym kęsie zapewniały cukrzycę na całe życie. To było coś więcej niż osiedlowy sklepik, więcej nawet niż spory sklep spożywczy. Ciekawe, ile z tych produktów jest przechowywanych tak jak trzeba. Czy w tych dzielnicach w ogóle ktoś się przejmuje przechowywaniem żywności? Czy stara dobra szwedzka ICA⁵ nie musiała zamknąć tutejszej filii z powodu zbyt wysokich kosztów regularnych dostaw?

Rozglądał się. Od lewej do prawej. Wszędzie ślady zbrodni. Boże, strasznie to wygląda. Kto może aż tak nienawidzić?

5 Popularna w Szwecji sieć sklepów samoobsługowych

Kiedy wcześniej na komendzie oglądał zdjęcia, pomyślał, że celem było usunięcie wszystkich twarzy.

- Jakby polowali na twarze - powiedział później Winterowi. - Ale przecież nie mogło chodzić o to, żebyśmy ich nie zidentyfikowali.

Winter nie odpowiedział.

- Nie sądzisz?

- Nie, wydaje nam się, że nie.

- Co masz na myśli?

- Jeszcze nie wiem - odparł Winter. - Jest w tej sprawie coś, czego nie rozumiem. Jeszcze.

Halders wciąż stał w progach.

Nagle na zewnątrz rozległ się krzyk. Jakby ktoś wzywał pomocy. Jakby rozniosło się echo.

Winter usłyszał, jak jego głos odbija się echem między blokami. Krzyk nic nie dał, chłopiec i tak się nie zjawił. Mógł skręcić za róg albo wprowadzić rower do którejś klatki i zniknąć. Może to zwyczajny chłopiec. Może nic nie widział. Może nic nie wie. Czy to on śledzi mnie, czy ja jego? Nagle na niebie rozwrzeszczały się mewy. Winter się wzdrygnął, wyrwany z zamyślenia. Ruszył wzdłuż ściany bloku, skręcił za róg i wpadł prosto na Haldersa.

- Jezu, a ty co tu robisz?

- I nawzajem - odparł Halders, rozmasowując czoło.

Winter zerknął mu przez ramię.

- Widziałeś kogoś? - zapytał.

- Nie.

- A chłopca? Dziesięcioletniego?

- Nie, nikogo nie widziałem.

- Był tutaj. Ten chłopiec. - Winter wskazał za siebie i za róg bloku, w stronę ścieżki, w stronę cichego sklepu, a potem z powrotem. - Ten chłopiec, którego widziałem wtedy rano, po zabójstwie.

- Był tutaj? - Halders się rozejrzał, a potem spojrzął na zegarek. - Tak wcześnie?

- No właśnie. A ty co tu robisz?

Halders spojrzął na północ. Stali przed sklepem. Winter zapalił corpa. Zaciągnął się, a potem wypuścił dym. Niczym widoczne zanieczyszczenie uleciał w czyste powietrze. Unosił się na północ, ale w połowie pola się rozproszył. Winter zaciągnął się znów. Dym gryzł go w gardło. Może już czas rzucić palenie. To będzie ostatni. Poranek jest na to zbyt piękny. Życie - zbyt cenne i tak dalej. Przecież to on jest odpowiedzialny za rodzinę *und so weiter*. Czasami Angela używała tego zwrotu. Elsa też go przejęła. Niedługo pewnie i Lilly zaczniesz. *Und so weiter*. I tak dalej.

- Ktoś ją odwiedził - powiedział Winter. - Shahnaz Rezai.

- Kto?

Winter nie odpowiedział.

- Kto mógłby ją odwiedzić o tej porze?

- Ktoś, kto był też tam. - Winter wskazał na sklep. Szklane ściany lśniły niczym pryzmat.

- Kto ją odwiedził? - powtórzył Halders.

- Ktoś, kogo znała.

Halders pokiwał głową.

- Przecież mogła zobaczyć przez judasza kto to. Nie wpuściłaby obcego, nie w środku nocy.

- Może nikogo nie wpuszczała. Może zabójca już był w środku.

- Said.

- Said - przytaknął Halders.

- Albo ktoś, kogo znała.

- Nie znamy jeszcze ich znajomych. I myślę, że nie zdobędziemy pełnej listy.

- Może nie będziemy musieli - odparł Winter.

- Jedziemy?

Przy wejściu do centrum handlowego na Rannebergen wisiała tablica. Przez szklaną ścianę Winter zauważył pizzerię. Zaparkował obok hali sportowej i basenu. Potem zawrócił, żeby obejrzeć tablicę. „Lubimy przedmieścia”. Może to miejski urząd gospodarki mieszkaniowej umieścił tu ten napis. To do nich trafiają czynsze. A może to gmina. Albo jakaś inna instytucja publiczna. Wszyscy lubią przedmieścia, dopóki są

przed-mieściami, pomyślał. Dopóki trzymają się peryferii. Bo kiedy zaczynają się ruszać, robi się nieciekawie. Kiedy zaczynają się zbliżać do centrum miasta. Do Va- saplatsen. Wtedy trzeba się stamtąd wynosić. Na południe, na południowe przedmieścia. Na południe od południa.

Tam gdzie czyściej, ładniej, bielej. Ale nawet na Rannebergen jest ładnie i biało. Zgodnie z decyzją urzędu na każdej klatce mają mieszkać tylko trzy imigranckie rodziny. Niesamowite, że też nikt nie pomyślał o tym wcześniej!

- Kurwa, ile flag - powiedział Halders, spoglądając na bloki.

- To Dzień Flagi, czy co?

- Nie ma już Dnia Flagi - poprawił go Winter. - Teraz mówi się Święto Narodowe⁶.

- Tak, tak.

- I już było.

- No to przegapiłem.

- To był dzień wolny od pracy.

- I tak przegapiłem. - Halders ruszył w stronę Fjällblom- man.

Martwe mieszkanie aż jaśniało od światła poranka. Winter i Halders poruszali się ostrożnie. Obojgu towarzyszyło poczucie wstydu, jak zawsze. Szli za śmiercią. Najpierw było życie, potem pojawiała się śmierć, a za nią Winter i Halders. Ale tu już nie było kogo przeproszać. Nikt się nie ostał przy życiu. Nie było kogo pocieszać. Nie było kogo pytać.

- I nikt z sąsiadów nic nie słyszał - powiedział Winter.

- Ściany nie przepuszczają. Tu, w Szwecji, mamy dobre ściany

- Ktoś musiał coś słyszeć.

- A dlaczego mieliby nam o tym mówić?

Winter polował głową. No właśnie, dlaczego? Co świadek by na tym zyskał? To, że go poklepiemy po ramieniu? Grzeczne podziękowania albo słowa uznania od władz policji okręgowej?

A może kilka strzelb wycelowanych w twarz? Nie. Takie zakończenie przewidziano za coś innego, dla kogoś innego.

- Wyciągniemy to z nich - powiedział Halders.

⁶ W Szwecji przez lata 6 czerwca obchodzono Dzień Flagi. W roku 1983 dzień ten przemianowano na Święto Narodowe.

- Co chciałeś tu zobaczyć? - zapytał Winter. - Czemu chciałeś tu teraz przyjechać? Czemu nie mogłeś z tym poczekać, aż słońce wzejdzie na dobre?

- Na zdjęciach nie było dokładnie widać, jak leżała. A technicy nie mogli nas tu wpuścić od razu.

- Leżała w poprzek łóżka.

Halders milczał. Stał przy łóżku. Padał na niego cień. Wciąż wyglądało tak jak wtedy, kiedy Winter przyszedł tu po raz pierwszy. Ale to już nie było łóżko.

- Dlaczego łóżko? - zapytał Halders. - I dlaczego właśnie tak?

- Mów dalej.

Halders bez słowa odsunął się o kilka kroków. Potem wrócił, przykucnął, wstał. Za oknami skrzeczała mewa. Tutaj też się pojawiały. A może to była rybitwa. Nagle zaskrzeczała, a jej skrzek wpadł do środka przez okna. Brzmiał płytko, nie było w nim prawdziwej radości.

- Albo sama kogoś wpuściła, albo i tak się tu wdarli - powiedział Halders.

- Na drzwiach nie ma śladów - odparł Winter.

- Klucz. Mieli klucz.

- Said miał klucz. Mieszkał tu.

- Ale to nie on. To już wiemy. Od Pii. Albo od ludzi Torstena.

- Jeszcze nie dostaliśmy wszystkich wyników.

- Doszli do łóżka - powiedział cicho Halders, jakby do siebie.

- To miało się stać w łóżku. Miała leżeć w nienaturalnej pozycji. Tak, w nienaturalnej pozycji. - Spojrzał na Wintera. - W pozycji do zaszlachtowania.

Winter pokiwał głową. Też o tym myślał. Ta zbrodnia miała w sobie coś z rytuału. Czy to był rytuał? Kto by go przeprowadził? Czy coś takiego istnieje? Czy uda mu się go rozpoznać? Czy jest jakiś podręcznik rytuałów?

- Można ją było zabić na podłodze, w kuchni, w salonie - ciągnął Halders. - Ale nie.

- Przed morderstwem coś się stało.

- Coś powiedzieli. - Halders zrobił gest dłonią. - Może odprawili jakąś ceremonię. Coś, co trzeba przedtem zrobić albo powiedzieć. Przed.

- Ale to było już po?

- Po? Mówisz o strzelaninie na Hjalibo?

-Tak.

- Tak sędzę. Niedługo po. Może równocześnie. Nie wiem.

- Jeśli zabito ją wtedy co pozostałych, to chyba to wszystko nie trzyma się kupy.

- Trzyma się.

Winter znów usłyszał skrzek za oknem. Ci, którzy tu mieszkali, też go pewnie słyszeli. Może budził ich wczesnym rankiem, kiedy sen jest najzdrowszy. Słysząc też było silnik samochodu. Chodził aż nadto głośno. Przecież wciąż było wcześnie.

Próbował wyobrazić sobie Saida Rezaia, ale nie widział całej sylwetki, tylko jej zarys. Powyżej ramion robiła się niewyraźna, niemal niewidoczna. Umierając, stracił twarz. Nie miał jej też, kiedy Winter próbował wyobrazić sobie, jak wyglądał przed śmiercią. Stracił twarz. Czy stracił ją już wcześniej? On i tamci dwaj, Jimmy i Hiwa? Czy to było tylko potwierdzenie? Shahnaz Rezaie nie straciła twarzy. Ale straciła coś innego. Jej śmierć jeszcze bardziej wszystko skomplikowała, o ile to możliwe. Czy taki był zamysł?

- Może Said wszystko zmienił - powiedział Winter.

Halders spojrział na niego. Wciąż stał przy łóżku, które już nie było łóżkiem. Wyglądał, jakby śnił. Miał zamknięte oczy.

- Nie spodziewali się, że Said tam będzie - ciągnął Winter. - Ale skoro już tam był, nie miał szans.

- Chodzi ci o to, że miał pecha?

- Prawdziwego pecha. Rozpoznali go, a on ich.

- Więc uważasz, że zabójcy nie byli zamaskowani?

- Nie wiem, ale nie wydaje mi się. U Jimmy'ego nie było monitoringu i oni o tym wiedzieli.

- Pytanie tylko, dlaczego nie miał monitoringu.

- Dlaczego nie miał go akurat wtedy. Wcześniej miał, ale go

zdemontowano.

- Kto go zdemontował?

- No właśnie. Kto? Sam Jimmy.

- I jego goście o tym wiedzieli? Wiedzieli, że nie ma kamer?

-Tak.

- Więc byli tam już wcześniej.

- Może wiele razy.

- Tym razem przyszli, żeby zerwać znajomość.

-Tak.

- Nie po to, żeby okraść sklep.

-Nie.

- I natykają się na Saida.

- Są zaskoczeni.

- Przecież chyba zauważyliby go przez drzwi? Albo przez okna? Przez te cholerne szklane ściany?

- Może akurat był na zapleczu - ciągnął Winter. - I wyszedł, kiedy usłyszał krzyk, rozmowę czy cokolwiek innego. A może stał tak, że nie było go widać z zewnątrz.

- Mamy tam jeszcze trochę roboty - powiedział Halders.

- Trzeba zrobić jeszcze kilka kroków, w tę i z powrotem. Zorientować się, kto stał tu, a kto tam.

Winter przytaknął.

Halders rozejrzał się po pokoju.

- A kiedy Said już nie żył, przyszedł czas na likwidację jego żony i to szybko.

Winter znów przytaknął.

- Nie mogli ryzykować i pozwolić jej żyć - dodał Halders. - Gdyby się dowiedziała o śmierci męża, wiedziałaby, kto to zrobił.

- O ile to faktycznie takie proste.

Zsiadł z roweru, a potem wsiadł na niego z powrotem. Kiedy jeździł między blokami, było cicho. I ciepło. Pomyślał, że między domami jest cieplej niż gdzie indziej, jakby ciepło się ukrywało.

Czy on sam się ukrywał? A jeśli tak, to przed kim? Nie powiedział nikomu w domu, więc o niczym nie wiedzieli.

Ale ktoś go szukał. Biegł za nim, za jego rowerem. Wiedział, kto to był. Ale nie chciał z nim rozmawiać. I w tym sensie się ukrywał.

WINTER JECHAŁ Z OPUSZCZONĄ SZYBĄ. Wydawało mu się, że czuje zapach morza. W powietrzu było coś słonego. Minął centrum Angered. Z tego miejsca aż do głównej ulicy ciągnęły się bez końca parkingi. Jakby zbudowano je na przyszłość. Tak samo domy w tej dzielnicy - je także zbudowano na przyszłość, która właśnie nadeszła.

Pojechał na południe Angeredsleden. Halders jechał przed nim. Widział jego wystający przez okno łokieć. Był brązowy i owłosiony. Można to było stwierdzić nawet z tej odległości. Miał na sobie džinsy i T-shirt. Winter - lnianą koszulę i bawełniane spodnie. Zakładał je w półśnie. Resztki snu, o którym już zapomniał, uchowały się jeszcze w jego ruchach. Śniły mu się morze i plaża. Od powrotu z Hiszpanii często miał podobne sny. Tam, w Andaluzji, raczej mu się to nie zdarzało, ale kiedy znów znalazł się w domu, wspomnienie linii brzegu znów wracało do niego w snach. Linie zawsze były proste i długie, ciągnęły się tam, gdzie wzrok nie sięgał, niczym równoległe horyzonty bez końca.

Kiedy się ubierał, Elsa krzyknęła przez sen. Poszedł do sypialni dziewczynek. Nie obudziła się.

W ciszy wypił w kuchni filiżankę kawy. Znów rozmyślał o morzu. O uchodźcach. Przeprawiali się przez morza. Błękitne morza. I te czerwone. Przez Morze Czerwone. Śródziemne. Widział, jak wyławiano uchodźców z wody na zachód od Estepony. Wiedział, że tysiące ludzi próbowały się dostać do Ceuty. Nie był tam nigdy i wcale nie miał ochoty pojechać do Maroka, a już na pewno nie do tego małego afrykańskiego kawałka Hiszpanii. Do Ceuty. Tego reliktu ery imperializmu. Już tam, w Afryce, znajdowało się przedmurze Europy. Wiedział, że ludzie ginęli w falach, zanim udało im się dotrzeć do lądu. Nie było im nawet dane zginąć w Europie, nie zdążyli do niej dopłynąć przed śmiercią. Wtedy akurat był w drodze do La Linea, sam. To nie był ładny brzeg.

Halders podniósł rękę, wskazał na lewo, a potem skręcił.

Tak to się kiedyś robiło. Winter pomyślał, że jechał kiedyś samochodem, z którego kierunkowskaz wyskakiwał niczym wskazówka albo flaga. Miał wtedy trzy lata, może cztery. To był samochód jego taty, czy raczej dziadka Gósty. Czyli Volkswagen, bo tata miał mercedesa. Powoli on też się dorobił mercedesa. Kiedy go kupował, nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nie powiedział ojcu, bo w ogóle o niczym sobie nie mówili. Później zaczęli, ale wtedy było już za późno. Bengt Winter umarł w Hospital Costa del Sol w Marbelli. Winter był w szpitalu, ale akurat w tym momencie nie było go przy łóżku ojca.

Pojechał za Haldersem na południe, potem skręcili w stronę Hammarkulletorget. Zaparkowali. Halders zamknął samochód i podszedł do Wintera.

- Mieszkają kawałek za stacją i za placem - powiedział.

- Przy tej ulicy. - Wskazał na plac. - Zupełnie jak w miasteczku na wsi.

- Miasto nie może być na wsi - odparł Winter, wysiadając z mercedesa. - Albo miasto, albo wieś.

- No to tutaj jest wieś. - Halders się rozejrzył. - Ja tak właśnie wyobrażam sobie wieś.

- A ty, Fredrik, skąd jesteś? Z Vasterås⁷?

- A dlaczego pytasz? - Halders nagle zrobił się podejrzliwy.

- Tak sobie.

- Absolutnie nie. - Halders ruszył w stronę placu.

- Poczekaj, ktoś do nas macha.

- Gdzie?

- Tam dalej, przy tych kamieniach.

Teraz Halders też zauważył. Machał do nich mężczyzna w ich wieku. Poranek był ciepły, ale on miał na sobie garnitur. Znów podniósł rękę. Chyba się uśmiechał, ale może tak im się tylko wydawało. Przez słońce. Promienie właśnie zaczęły odbijać się od twarzy, ścian i okien.

- Tłumacz miał tu być za pół godziny - powiedział Halders. - Około dziewiątej. Ale to chyba musi być on.

Mężczyzna zaczął iść w ich stronę, ruszyli mu naprzeciw.

7 Vasterås - miasto w środkowej Szwecji.

Możliwe, że wciąż się śmiał, a może otworzył usta, bo słońce raziło go w oczy.

- Mozzafar Kerim - przedstawił się i wyciągnął rękę. Najpierw podał ją Winterowi, potem Haldersowi. - Przyjechałem trochę za wcześnie.

- My też - powiedział Halders.

- Mieszka pan w tej dzielnicy? - zapytał Winter.

Kerim się wzdrygnął. Pytanie padło zniechęcająco, jak na przesłuchaniu. A przecież to nie przesłuchanie, pomyślał Winter. Potrzebuję jego pomocy.

- Nie... Mieszkam na Gårdsten.

- Zna pan Azizów? - zapytał jeszcze Winter.

- Tylko na tyle, na ile my, Kurdowie, się tutaj znamy.

- To znaczy? - wtrącił się Halders.

- Jesteśmy dla siebie jak bracia i siostry.

- Chodziło mi o to, czy kiedyś ich pan spotkał. Kogoś z rodziny. Spotkał ich pan osobiście?

- Może raz. Podczas jakiejś imprezy.

- Urządzacie duże imprezy? - zapytał Winter, żeby nieco rozluźnić atmosferę.

- Czasami.

- Spotkał pan Hiwę Aziza? - zapytał Halders.

- Tak sądzę. Ale tylko tak... jak to się u was mówi? W przelocie?

Winter zauważył, że Kerim spuścił wzrok. Może to przez słońce, może chciał dać do zrozumienia, że już czas iść, a może z innego powodu.

- Skąd to nazwisko? Aziz? - zapytał.

- Najprawdopodobniej mają je po ojcu. - Kerim wyglądał na zaskoczzonego. - Gdyby ojciec tu był, dzieci nazwano by po dziadku.

- Tak to funkcjonuje?

Kerim przytaknął.

- Właściwie każdy z nas ma trzy imiona.

- A gdzie on jest? - zapytał Winter. - Ich ojciec?

- Przyjechali tu bez niego.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Umarł. Zamordowano go. W Kurdystanie. Chyba w irackiej części. A może w tureckiej.
- Wie pan, w jakim to było mieście?
- Nie.

Drzwi otworzyła starsza siostra. Halders nie zapytał jej, dokąd szła, kiedy widział ją ostatnio na placu. To nie byłby dobry początek przesłuchania. Czy też rozmowy, bo tak wolał to nazywać Winter.

Przedstawili się.

- Nasrin - odpowiedziała dziewczyna.

Potem od razu się odwróciła i poprowadziła ich przez przedpokój do salonu. Ściany były białe, a może tylko tak wyglądały w jasnym świetle. Słońce wpadało przez okno nieosłonięte ani żaluzjami, ani firanką. Z przedpokoju weszli do salonu. Siedziała tam kobieta i druga dziewczyna. Obie wstały. Wyglądały na wystraszone. Kobieta była podobna do córek, ale grubsza i niższa od Nasrin. Ale oczy miały identyczne. Oczy najstarszego syna Winter mógł zobaczyć na zdjęciu, które zrobiono, kiedy Hiwa jeszcze żył. Teraz już ich nie miał. Ta kobieta wygląda na przerażoną, pomyślał. I nic dziwnego. Ale lepiej, że jesteśmy tutaj, a nie na komendzie. Pokoje przesłuchań są urządzone tak, żeby zapewniały poczucie bezpieczeństwa, ale to fałszywe poczucie. O wystroju tego mieszkania, przynajmniej tej jego części, którą zobaczył, nie myślał. Pomyśli później. Skoncentrował się na kobietach, które miał przed sobą. Na stole zauważył spodek ze szklanką herbaty i kilkoma kostkami cukru, baldawę, chałwę i ciastka przypominające ptasie gniazda, ziarna słonecznika i owoce. Pani domu przygotowała poczęstunek dla gości. Witwały go jak gościa. Miał się napić herbaty i skosztować słodkiego ciasta o tysiącu warstw. Cóż, nie byłoby to żadne poświęcenie.

Ediba Aziz, matka, usiadła. Przedstawiła się cicho, tłumacz powtórzył jej imię. Mozzafar Kerim stał obok młodszej siostry, Sirwy. Jakiś czas później Nasrin wyjaśniła Winterowi, że Sirwa znaczy lekki wiatr, Hiwa - nadzieja. Imię młodszego brata, Azada, znaczy wolność, kurdyjskie imię, które kiedyś było zakazane. A co oznacza twoje imię, Nasrin? - zapytał ją. Kwiat,

którego i tak pan nie zna. A co znaczy Erik? - zapytała ona. Właściwie to nie wiem, odpowiedział Winter. A czy to nie imię szwedzkich królów? - dopytywała się. Tak, ale ja nie jestem królem, odparł. To imię musi mieć coś wspólnego z królem, dodała. Później to sprawdził. Erik znaczy władca, ale także samotny.

Hiwa to nadzieja, rozmyślał potem. A Sirwa - lekki wiatr, jak lekkie kroki.

Nasrin usiadła w potężnym fotelu przy oknie. Wyglądała na dwór, jakby to, co się działo w pokoju, jej nie dotyczyło. Tak to odebrał Winter: nie ma mnie tutaj, mówcie sobie, co chcecie.

Wiedział, że przyjechali do Szwecji pięć lat wcześniej, z północnego Iraku. Z Kurdystanu, kraju, który nie był krajem, który należał do Iranu, Iraku, Turcji, Syrii. Według Kurdów wschodni, południowy, północny i zachodni Kurdystan tak naprawdę nie należał do tych państw. Choć Kurdowie osiedlali się tam i stamtąd wędrowali dalej w świat. Przekraczali istniejące i nieistniejące granice, rozpraszali się jak diaspora, przypominając światu, że wolność jest gwarantem braku granic.

Azizowie zatrzymali się właśnie tutaj. Ale wciąż nie wiedzieli, czy będą mogli zostać. Nadal czekali. Szwedzkie władze twierdziły, że w północnym Iraku spokój panuje już tak długo, że nie ma powodu go opuszczać. Żeby tam nie wracać. Szwedzkie władze wiedziały najlepiej.

Ale najstarszy syn i tak dostał pozwolenie na pobyt stały, pomyślał Winter.

Nasrin wciąż wpatrywała się w pustkę za oknem. Przypominała skierowaną do środka kwarcówkę. Powinna założyć okulary słoneczne, pomyślał. Sirwa patrzyła mu prosto w twarz, z jej spojrzenia biła szczerść. Wciąż była dzieckiem. Jak to możliwe? Ediba nie patrzyła na nikogo. Zamknęła oczy - jak do modlitwy. Może rzeczywiście się modliła, za syna. Hiwa miał zostać w poświęconej szwedzkiej ziemi. Bo w Szwecji cała ziemia jest poświęcona. Zawsze gotowa, by przyjąć swoje ofiary. Mozzafar Kerim spojrział na Wintera. Czekał na coś, co mógłby przetłumaczyć. Przełożyć. Ale przekład nie musi być

wierny A co, jeśli Kerim źle mnie zrozumie? Albo je? Może mieć ku temu swoje powody W wielu miejscach może coś przekłamać. Dobrze, że Fredrik biegle mówi po kurdyjsku.

- Pani Aziz... - zaczął Winter.

Nie zareagowała. Wciąż miała zamknięte oczy.

Kerim coś powiedział, dopiero wtedy na nich popatrzyła.

- Musimy pani zadać kilka pytań - ciągnął Winter. - To zajmie tylko chwilę.

Nie wiedział, czy uda mu się do niej dotrzeć. Była pogrążona w żalu, a ten potrafi być głęboki jak jaskinia. Głęboki i mroczny. Już raz to przeżyła, wiele lat temu. A teraz wszystko wróciło. Winter słyszał, jak Kerim powtarza słowa. Zakładał, że to jego słowa. Ale teraz musi zapomnieć o Kerimie, musi podejść do tego tak, jakby mówił bezpośrednio do Ediby Aziz. Musi patrzeć na nią, nie na tłumacza. Musi ją skłonić do tego, żeby i ona patrzyła na niego. Zadał pierwsze pytanie, o tego, którego brakowało teraz w pokoju. Myślał, że będą wszyscy. Tak zakładał.

- Gdzie jest pani najmłodszy syn? Gdzie jest Azad?

Podniosła wzrok i rozejrzała się, pośpiesznie, jakby chciała się upewnić, że Azada rzeczywiście nie ma. Nie wyglądała na zaskoczoną.

- Wyszedł - powiedziała, patrząc nieobecny wzrokiem.

Winter widział przez okno gęstą koronę klonu rosnącego po drugiej stronie podwórza. Tworzyła ścianę. Może chował się za nią Azad. Kerim popatrzył w tę samą stronę co Edi- ba, jakby w zakres jego obowiązków wchodziło również śledzenie spojrzeń i gestów. To dobrze, pomyślał Winter, słowa to nie wszystko. Przekonał się o tym podczas przesłuchań, tych krótkich i tych długich. Trzeba umieć interpretować. Same słowa mogą znaczyć wszystko albo nic. Czasami przesłuchiwał kogoś godzinami, dniami, tygodniami, jakby on i tamten ktoś mówili różnymi językami, a nie można było znaleźć tłumacza. Sam musiał pełnić tę funkcję.

- Chłopak powinien tu być - wyszeptał mu do ucha Halders.

- Powinni być wszyscy.

- Gdzie jest Azad? - powtórzył Winter.

- Nie możecie chociaż jego zostawić w spokoju?

To Nasrin. Wtrąciła się. Kiedy Ediba zaczęła wyglądać przez okno, jej córka przeniosła wzrok z okna na Wintera. Jakby spojrzenia ich obu miały się nie zmieścić na ulicy przed blokiem i na pobliskim szkolnym boisku, na którym dzieci grały w piłkę albo rozmawiały w grupkach. Nie było lekcji, ale dzieci i tak tam stały.

Nasrin nie potrzebowała tłumacza. W jej szwedzkim nie było słyhać żadnych naleciałości.

- Nasrin, co chcesz przez to powiedziec? - zapytał Winter.

Nie chciał z nią rozmawiać, jeszcze nie teraz, ale zmusiła go. Teraz nie mógł jej zignorować.

- Nic. Chodzi mi tylko o to, że jesteśmy tu teraz. A Azad nie musi tu być. Nie chce tu być. - Kiwnęła głową w stronę okna. - Teraz chce spędzać czas tylko na dworze. Chce jeździć na rowerze.

- Na rowerze?

- Tak. Lubi jeździć na rowerze. Teraz też jeździ.

To niemożliwe, pomyślał Winter.

To nie mógł być on. Stąd do Hjällbo jest naprawdę daleko. Ale nie za daleko. Ten odcinek można przejechać na rowerze w stosunkowo krótkim czasie. Tam i z powrotem. Nie wiedział, jak wygląda Azad. Zanim wyjdą, będzie musiał poprosić, żeby mu pokazały jego zdjęcie. Kerim spojrzał na niego: kontynuujemy? Winter odwrócił się z powrotem do matki. Wpatrywała się w dal.

- Muszę pani zadać kilka pytań o Hiwę, pani Aziz.

Nie odpowiedziała. Nie był pewien, czy usłyszała. Powtórzył pytanie, Kerim też. Jak echo. Dobry sposób, żeby się nauczyć obcego języka. Widział, że Nasrin się zbiera, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Co chciała wtrącić tym razem? Nie możecie zostawić Hiwy w spokoju? Nie, nie mogli. Martwi nie zaznają spokoju, jeśli to on zajmuje się ich śmiercią. Albo ich życiem. W pewnym sensie, kiedy się zjawia, ozywają na nowo.

- Jak długo Hiwa pracował u Jimmy'ego Foro?

Wciąż milczała. Winter powtórzył.

- Nie wiem... kto to jest - odpowiedziała, wciąż wpatrzona w jeden punkt.

Teraz również on wyjrzał przez okno. Tłumacz też, może wszyscy w pokoju. To jak prowadzenie przesłuchania... z profilu, pomyślał. Jak na egipskich malowidłach ściennych. Tu, w pokoju, na ścianach nie było obrazów. Wisiały tylko makaty utkane z mocnej, ale nie grubej włóczki. Kolory były jakby przesiane przez piach i słońce. Tak to wyglądało. Na ścianie w głębi wisiała mapa. Przedstawiała nieznanemu mu kraj.

- Jimmy Foro - powtórzył. - Był właścicielem sklepu, w którym pracował pani syn. Hiwa.

Pokiwała głową, ale sprawiała wrażenie, jakby pierwszy raz słyszała o Jimmym. Może tak było.

- Czy Hiwa mówił, gdzie pracuje? - zapytał.

Ediba Aziz pokręciła głową.

- Nie mówił?

Znów pokręciła głową.

- Wiedzieliście, że pracuje w sklepie?

Znów zaprzeczyła.

Winter popatrzył na Nasrin, ale siedziała tyłem do niego. Postanowiła już nic nie mówić, widział to. Wiedział. Teraz wszyscy mieli sobie radzić sami, bez jej pomocy. Jej profil miał ostry zarys, jakby ktoś go wyciął w powietrzu. Między nią a Hiwą było sześć lat różnicy. Na pewno sześć? Nie, siedem. Ona pewnie też pogrążyła się w żalu. Była tu, ale jakby jej nie było. Była gdzieś tam, była tym, na czym spoczywał jej wzrok. Zielenią za oknem, słońcem, może dziećmi.

- Chciałbym, żeby pani odpowiadała na moje pytania, pani Aziz. Słowami. Żeby pani coś mówiła.

- Nie wiedziałam, że Hiwa pracował w tym sklepie - powiedziała.

- Była tam pani kiedyś?

Popatrzyła na niego. W jej spojrzeniu malowało się szczere zdziwienie.

- A po cóż miałabym tam chodzić?

- Może żeby coś kupić.

- Ale to daleko.

- Wie pani, gdzie jest ten sklep?

Teraz wyglądała na nieco zdezorientowaną. Spojrzała na najstarszą córkę, na jej profil.

- Nasrin...

Nasrin odwróciła się do niej.

-Tak?

Ediba kiwnęła głową w stronę Wintera.

- O co chodzi?

- Sklep... - powiedziała Ediba.

- Co sklep?

- Gdzie to jest?

- Na Hjällbo.

Ediba odwróciła się z powrotem do Wintera.

- Hjällbo - powiedziała.

- Wiedziała to pani? Zanim pani syn... zanim to się stało?

- Nie.

- Nigdy pani z nim o tym nie rozmawiała?

-Nie.

- Nigdy nie mówił o pracy?

-Nie.

- Dlaczego nie?

Nie odpowiedziała. Winter powtórzył pytanie. Kerim też, zanim jeszcze Winter skończył mówić. Teraz stanowili zespół.

- Ja... nie pytałam - powiedziała Ediba.

- Ale wiedzieliście, że Hiwa pracuje?

- Trochę - odparła po chwili.

- Wiedzieliście, że trochę pracował?

-Tak.

- Przynosił do domu pieniądze?

-Tak.

- Dużo?

- Nie, mało.

- Jak mało?

- Nie za dużo.

Wymijająca odpowiedź, pomyślał Winter. Niewiele wiedziała o jego pracy. Może nie chciała pytać. Może myślała, że to coś, o czym wolałaby nie wiedzieć.

Nagle ostrożnie się podniosła. Powiedziała coś do tłumacza.

- Musi iść... za potrzebą.

- W porządku.

Wyszła z pokoju powoli, jakby miała problemy z chodzeniem. Winter nie widział jej nóg ani żadnej innej części jej ciała, nie licząc twarzy.

Młodsza córka śledziła jej kroki. Nie powinno jej tu być, pomyślał. To był błąd.

- Sirwa, jeśli chcesz, możesz wyjść - powiedział. - Albo porobić coś innego. - Spróbował się uśmiechnąć. Pokazać swoją serdeczną twarz. - Nie musisz tu siedzieć.

- Chyba powinniście byli to powiedzieć na samym początku? - zapytała Nasrin.

- Tak, to prawda.

Nagle na jej twarzy zauważył zdziwienie. Jakby to była ostatnia odpowiedź, jakiej mogła się spodziewać od policji. Zaskoczyło ją, że policjant mówi tak potulnie.

- Popęlniliśmy błąd - ciągnął Winter.

- To policja popełnia błędy?

- Zdarza się.

Winter zobaczył, że Halders mu przytakuje.

- Nigdy nic podobnego nie słyszałam - odparła Nasrin. Nie uśmiechała się, ale w jej oczach było coś... może ironia... może rezygnacja. Rozczarowanie. - Policja nigdy nie przyznaje się do błędów.

- Nigdy mnie nie pytałaś. Inspektora Haldersa też nie.

Teraz się uśmiechnęła. Tak, to był uśmiech, ale natychmiast znikł.

- My nie ufamy policjantom.

- Są policjanci i policjanci.

- Naprawdę?

- Nasrin, my jesteśmy z wydziału śledczego, z policji kryminalnej. Rejonowej. Jesteśmy tutaj, bo musimy zbadać okoliczności zabójstwa twojego brata. I to jedyny powód, dla którego tu przyjechaliśmy. Zrobimy co w naszej mocy, żeby dorwać tych, którzy go zabili.

Nasrin polowała głową.

- To dlatego musimy zadawać te wszystkie pytania. Niektóre wydają się głupie. Niektóre... może brutalne. Nie wiem. Musimy zadać naprawdę dużo pytań, szczególnie teraz, na początku. Rozumiesz? Potrzebujemy pomocy twojej i mamy, waszej rodziny. Musicie nam pomóc, jak tylko możecie. Potrzebujemy tego.

- Nam nigdy nikt nie pomógł.

Winter nie odpowiedział. Spojrzał na Haldersa. Halders tylko pokiwał głową.

- Mówi pan, że musimy wam pomóc, jak tylko możemy - powtórzyła Nasrin. - A kto pomoże nam?

Winter widział, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkła i znów wpatrzyła się w okno.

- To mogę iść? - zapytała Sirwa. - Mogę już iść?

- Jasne - odparł Winter.

- A teraz przychodźcie tutaj po pomoc - zaczęła na nowo Nasrin, nie patrząc na Wintera.

Sirwa wyszła. Może zaraz pokaże się na podwórku i starsza siostra zobaczy ją przez okno.

Winter wstał i podszedł do okna. Stanął tak, żeby nie zasłaniać widoku Nasrin. Na dworze kilkoro dzieci bawiło się w piaskownicy. Jedno huštało się na huśtawce. Jak zwykle.

Dzieci na placach zabaw zapomnianych przez Boga

- tyle ich już widziałem, pomyślał. Teraz zobaczył też wychodzącą z klatki Sirwę. Przeszła szybko przez plac, patrzyła wprost przed siebie. Nie patrzyła na boki, do tyłu ani w górę, w okno, w którym stał. Jedno z dzieci, dziewczynka, pomachało do niej. Ona też podniosła rękę na powitanie. Po chwili zniknęła za rogiem. Widocznie w tej historii dzieci znikają za rogiem, pomyślał. Znikają.

- Jest naprawdę smutna - usłyszał nagle tuż obok.

Nasrin się podniosła. Stała teraz obok niego.

Pokiwał głową. Nie zapytał, jak ona się czuje. W ten sposób mógłby wszystko zepsuć. Ale może nie było już czego psuć. Może nie ma znaczenia, co powie albo zrobi.

- Jak myślisz, dokąd poszła Sirwa? - zapytał.

- Wiem, dokąd poszła.

- Dokąd?
- Tam, gdzie jest Azad.
- To znaczy gdzie?

Nie odpowiedziała.

- Powiniennem wiedzieć?
- Nie.
- W takim razie nie będę pytał.
- Dobrze.
- Ale chcę cię zapytać o sklep.

- Rozumiem.
- Jak długo Hiwa tam pracował?
- Niedługo.
- Miesiąc? Dwa?

- Może pięć albo cztery. Nie pamiętam, kiedy dokładnie mi o tym powiedział. A już wtedy chyba pracował tam od jakiegoś czasu.

- Jak dostał tę robotę?

- Nie wiem. Nigdy nie mówił.

- Znałaś ten sklep, zanim Hiwa zaczął tam pracować?

- Tak... wiedziałam, gdzie to jest. Stąd do Hjällbo nie jest tak daleko. Myślę, że większość tutejszych wiedziała o sklepie. - Popatrzyła na Wintera. - Był czynny non stop. Ludzie znają takie miejsca.

- Skąd Hiwa znał Jimmy'ego Foro?

- Nie wiem.

- Czy to nie dziwne, że ci nie powiedział?

- Nie pytałam.

- Mimo wszystko.

- Dla mnie najważniejsze było, że miał pracę. Dla niego też. Wprawdzie nie na cały etat, ale jednak. - Wskazała ręką w stronę Hammarkullen, w stronę wszystkiego, co widzieli za oknem, ale i tego, czego nie było widać. - Tutaj nie ma pracy. A już na pewno nie dla nas.

- A ty co robisz?

- Ja? Czy to ważne?

- Chodzisz do szkoły?

- Tak. Dziwne, nieprawdaż? Skończyłam pierwszą klasę

liceum. Profil społeczny.

- Liceum w Angered?

- A gdzie by indziej?

- Nie wiem.

- Zobaczymy, jak długo to jeszcze potrwa.

-Hm...

- Rozumie pan, co mam na myśli?

- To, że twoja rodzina może nie dostać pozwolenia na pozostanie w kraju?

- Tak. Moja i setki innych.

- To okropne.

-Ale policja okazuje się bardzo gorliwa, kiedy kogoś trzeba deportować.

Nie odpowiedział.

- Musicie być aż tak gorliwi?

-Nie.

- Ale jesteście.

To również Winter przemilczał. Zobaczył, jak za oknem jakaś kobieta chwyta dziecko za rękę, a potem otrzepuje mu z kolan piach i odchodzi. Na placu zabaw było mnóstwo piachu. Jak na tę okolicę był dziwnie gruboziarnisty.

- Spotkałaś kiedyś Jimmy'ego?

-Nie.

- Nie odwiedzałaś nigdy Hiwy w pracy?

- Parę razy. Może ze dwa.

- Nie więcej?

-Nie.

- Dlaczego?

- Nie lubiłam tego miejsca. Sama nie wiem... po prostu go nie lubiłam. - Wpatrywała się w okno. - A teraz nie lubię go jeszcze bardziej.

- A dlaczego wcześniej go nie lubiłaś?

- Nie wiem.

- Czego tam nie lubiłaś?

- Nie wiem - powtórzyła.

- To przez Jimmy'ego?

- Słucham?

- Czy to przez Jimmy'ego nie lubiłaś tego sklepu?
- Nigdy go nie spotkałam. Mówiłam przecież.
- No tak. Przepraszam.
- Chyba pan nie zapomniał. Nie jest pan jeszcze taki stary.

Wiedział pan, że to powiedziałam.

Winter nie odpowiedział.

- Próbuje mnie pan przechytryć?

- Nie.

- Oczywiście, że tak.

- Mówiłaś, że nie lubiłaś tego miejsca - powiedział Winter po chwili. - Spotkałaś tam kogoś? Klientów? Przyjaciół? Znajomych?

-Nie.

- A Saida Rezaia? Jego też zastrzelono. Spotkałaś go kiedyś? - zapytał wprost.

- Z tego co wiem, to nie. Może go spotkałam, ale go nie znałam, więc nie mogę wiedzieć, czy go spotkałam, czy nie.

- Pokażemy ci jego zdjęcie.

- Muszę je oglądać?

- Nie takie. Nie po strzelaninie.

Winter zobaczył, że zza rogu budynku wychodzi dziewczynka. Sirwa. Krok za nią szedł chłopiec. Azad. Lekki wiatr i wolność szły obok siebie.

Popatrzyli w górę, w okno, w którym stali Winter i Nasrin.

Nasrin im pomachała. Dzieci pomachały do niej, ale bez uśmiechu.

Winter też podniósł dłoń. Bez sensu.

- Znałam tam tylko Husseina - powiedziała Nasrin, wciąż wpatrzona w rodzeństwo.

- Husseina?

- Tak, Husseina Husseina. Tak się nazywa. On też tam pracował. Spotkałam go tylko raz.

Winter usłyszał za sobą jakiś odgłos. Odwrócił się. To Halders potrącił krzesło. Winter zauważył zdziwienie na jego twarzy.

- Hussein Hussein? - zapytał. - Pracował tam? Pracował tam jeszcze ktoś poza Jimmym i Hiwą?

- No tak, Hussein. - Nasrin popatrzyła na niego. - Nie wiedzieliście?

- HUSSEIN HUSSEIN! Co to ma znaczyć, do cholery?!

- To nazwisko - powiedział Winter.

- Tego się akurat domyśliłem - odparł Halders. - Chodzi mi o tę sytuację.

- Ale i tak nie wiemy, czy naprawdę się tak nazywa.

- Ani czy w ogóle istnieje.

- A po co Nasrin miałyby kłamać?

- Specjalnie zadajesz tak naiwne pytania?

-Tak.

- A czy to w ogóle było pytanie?

- Spróbuj na nie odpowiedzieć. Po co miałyby kłamać?

Skręcili w lewo, w Bredfjöllsskolan. I kolejny zakręt.

Szkoła wpasowywała się w pozostałe zabudowania. Wszystkie domy wyglądały jednakowo. Dzieci grały w nogę. Piłka poturlała się pod stopy Wintera. Kopnął ją szerokim lukiem z powrotem na drugą stronę boiska. Dzieciaki aż krzyknęły.

- Nieźle - powiedział Halders. -1 to z lewej. Nie przypominam sobie, żebyś był lewonożny.

- Z każdej nogi umiem dobrze zagrać.

- Powinniśmy na nowo ruszyć z policyjną drużyną.

- Ciebie dożywotnio zdyskwalifikowali.

- Już o tym zapomnieli.

- Przypomni im się, jak tylko wejdiesz na boisko. Halders nie odpowiedział. Przyglądał im się stojący w drzwiach sześciolatek. Na nosie miał okulary w rogowych oprawkach. Zasłaniały mu pół twarzy. Halders do niego pomachał i chłopiec uśmiechnął się szeroko.

Szli dalej wzdłuż budynku szkoły. Przy pizzerii Gloria skręcili w prawo.

- Głodny? - zapytał Halders.

- Zamknięte - odpowiedział Winter.

Przebiegli Hammarkulletorget. Winter jeszcze od Azi- zów zadzwonił do prowadzącego archiwum wydziału Möllerströma. Möllerström zapisał nazwisko i zaczął działać.

Winter spojrzął na zegarek. Komunikat ruszył w świat. Wszyscy mają szukać Husseina Husseina. Nasrin Aziz ma sobie przypomnieć, jak wyglądał. Może pomogą jej graficy. Najnowsze programy komputerowe powinny wreszcie przynieść pożytek. Może wygenerują dla nich twarz. Bo akurat teraz brakuje im ich wielu. Przed oczami stanęła mu twarz chłopca. To nie Azada Aziza wtedy widział. Tego się zresztą spodziewał. Teraz odnalezienie chłopca jest równie ważne, jak odnalezienie Husseina Husseina, pomyślał. Może nawet ważniejsze. Hussein może się okazać kimś innym. To mogło być nieporozumienie.

- Hiwa mówił, że Hussein czasami tam pracował - powiedziała Nasrin.

- Kiedy to powiedział?

- Kiedy tam byłam. Hussein też tam wtedy był.

- Przywitałaś się z nim?

- Nie, tylko go widziałam.

- Czym się zajmował?

- Jak to?

- Co robił, kiedy tam byłaś?

- W sklepie?

-Tak.

- No... nic. Po prostu tam był.

- I jak to wyglądało? Hiwa wskazał ci go i powiedział, że to Hussein i że tam pracuje?

- Jakoś tak... A może tylko kiwnął głową w jego stronę.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym wcześniej?

- Myślałam, że wiecie - odpowiedziała. - Wydawało mi się, że dowiedzieliście się od razu.

Minęli Marias Pizzeria, dla odmiany otwartą, ale Winter nie był głodny Halders otworzył drzwi samochodu.

- Myślę, że ona nie kłamie - powiedział Halders.

- Mogła o tym powiedzieć za pierwszym razem. Kiedy ty z nią rozmawiałaś.

- Nie pytaliśmy jej o to. Nie pytałem, czy w sklepie był zatrudniony ktoś jeszcze. - Halders wszedł i zamknął drzwi. -

Zresztą czy tu można mówić o zatrudnieniu? Koleś tylko parę razy zdejmował puszki z regałów i dostał za to trochę kasy

- On tam był - powiedział Winter.

- Ale już go nie ma.

- To gdzie jest? Czemu się do nas nie odezwał?

- Chyba można na to odpowiedzieć na kilka sposobów, nie sądzisz?

- Tak czy inaczej, teraz musimy go znaleźć.

- W takim czy innym stanie.

Zadzwoiła komórka Wintera.

- Bergsjön - w słuchawce odezwał się głośno Möllerström.

- Mówisz o Husseinie?

- Zawiadomiłem już chłopaków, którzy przepytują ludzi na Hjällbo. Ktoś skojarzył jakiegoś Husseina, który pracował w sklepie. Ale nie był pewien.

- Dzięki, Janne.

- Ale to nie jest solidny trop. Temu komuś wydawało się, że Hussein mieszka na Bergsjön.

- A dlaczego tak mu się wydawało?

- Nie mam pojęcia. To naprawdę nic pewnego. - Winter słyszał, jak Möllerström stuka w klawiaturę. - W mieście jest kilku Husseinów Husseinów. - Znów zaczął stukać. - Ale może nie wszyscy mają telefon. - Stukot. - Nie mamy w rejestrze nikogo o tym imieniu i nazwisku. Jest Hassan Hussein. Kradzież.

- Sprawdź go. I sprawdź, jakie spółdzielnie mieszkaniowe działają na Bergsjön. Dowiedz się, czy nie wynajmują mieszkania jakiemuś Husseinowi, i natychmiast do mnie zadzwoń.

- Już o tym pomyślałem - odparł Möllerström.

- To dobrze. - Winter się rozłączył. - Jedziemy na Berg- sjön - powiedział do Haldersa i szybko ruszył do samochodu.

Jechali Gråbovagen, a potem Bergsjövägen. Na wschodzie pokazała się góra Bergsjön - rosła z każdą sekundą. Wbrew jej nazwie w okolicy nie było jeziora⁸, ale góra - owszem. Cały

⁸ Bergsjön to po szwedzku górskie jezioro.

płaskowyz pokrywały połacie lasu i betonu. Bergsjón wyglądało jak ogromna średniowieczna twierdza otoczona fosą - asfaltową Bergsjövägen. Niesamowite miejsce. Surrealistyczne. Obrazu dopełniały kosmiczne nazwy ulic: Stratosfärvägen, Nebulosagatan, Universumsgatan, Meteor-gatan, Kometgatan.

Winter zaparkował przy Rymdtorget⁹. No tak, tutaj wszystko - i ulice, i plac - stanowi jedność z kosmosem. Może dlatego, że tę część miasta zbudowano z myślą o przyszłości. Zbudowano ją z rozmachem. Może mieli się tutaj osiedlić mieszkańcy innych planet.

Halders wysiadł z samochodu. Zaparkował obok Wintera.

- Kiedy tu byłeś ostatni raz? - zapytał, rozglądając się. Winter się zamyślił.

Kiedyś właśnie tutaj, niemal na środku betonowego placu, przed pubem, musiał obezwładnić jakiegoś ćpuna. Wtedy jeszcze nie było tutaj pubu. Facet miał nóż. Szwed

- wtedy mieszkało ich tu więcej. Nadal pamiętał jego oczy. Był naprawdę niebezpieczny. Miał gadzie ruchy i gadzi mózg. To był letni dzień, zupełnie jak dziś. Ale czy już wtedy była tutaj ta przychodnia? Winter właśnie zauważył szyld. Kiedy w ogóle doszło do tej bójki? Pewnie jakieś piętnaście lat temu. Był tutaj potem? Nie, w każdym razie nie przypominał sobie.

Zadzwoiła komórka.

-Tak?

- Tellusgatan dwadzieścia. - Głos Möllerströma dobiegał z daleka, jakby dzwonił z kosmosu. - W spółdzielni mówią, że właśnie tam mieszka ten podwójny Hussein.

- Mieszka sam?

- Tak wynika z umowy najmu.

- Dzięki.

- Uważaj na siebie.

- Jest ze mną Fredrik.

- Właśnie to miałem na myśli.

- Wyślij tu jakiś wóz.

- Już jest w drodze - odparł Möllerström.

- Powiedz, żeby zaczekali przy Rymdorget - poprosił Winter. - Ten, kto nimi dowodzi, może do mnie zadzwonić.

Winter się rozłączył i wetknął telefon do kieszeni.

- Tellusgatan - powiedział.

- Tam dalej jest mapa - odparł Halders.

Podeszli do niej. Okazało się, że Tellusgatan biegnie półkolem na północ.

Halders przesunął dłonią po głowie. Chyba się zgrzał, twarz miał czerwoną.

- Muszę się schować w cieniu - powiedział i zaczął się rozglądać. Cały plac był zalany słońcem. Nieliczne cienie były wyraźne, miały ostre zarysy. Plac był duży i pusty Nic, tylko kamień i niebo. Ulice odbiegające od placu wyglądały jak wykute w betonowej bryle. Kosmos i światło, pomyślał Halders. Ten obraz przypominał mu okładkę płyty Pink Floydów. *Wish you were here*. Szkoda, że cię tu nie ma.

Idąc w stronę Tellusgatan, minęli przedszkole. Na placu zabaw stała duża drewniana lokomotywa. Bloki ciągnęły się po horyzont. Zawsze tak było. Jak okiem sięgnąć, a nawet dalej - zwaliste sylwetki domów.

- Jest - powiedział Halders.

Na klatce schodowej było chłodno i cicho. Na liście lokatorów znaleźli Husseina Husseina.

- To mniej więcej tak, jakby się nazywać Fredrik Fredrik - stwierdził Halders.

- Jeden Fredrik to aż nadto - odparł Winter.

- Ha, ha.

- No to wchodzimy

- Czwarte piętro.

Na górze też było cicho. Z innych mieszkań nie dobiegały żadne dźwięki. Może wszyscy byli w pracy, może nad morzem albo nad jeziorem. Przed blokiem też było pusto. Winter nacisnął dzwonek. Rozległ się sygnał - przesadnie jazgotliwy Halders był zwarty i gotowy. Wyglądał, jakby zaraz miał wyważyć drzwi. Albo przynajmniej zamek. Winter zadzwonił jeszcze raz. Usłyszeli kolejny sygnał. Chyba było go słyhać w całym bloku. Winter złapał za klamkę. Ostrożnie ją nacisnął.

Drzwi się otworzyły.

Halders wyciągnął sig-sauera.

W kieszeni Wintera zawibrował telefon.

-Tak?

- Winter? Tu Wickstróm. Jesteśmy na do...

- Tellusgatan dwadzieścia - przerwał mu Winter. - My wchodzimy. Wy też chodźcie na górę.

- Dobra.

Halders kolbą pistoletu uchylił drzwi.

Stanęli z boku, Halders z jednej strony, Winter z drugiej.

- Hussein?! - zawołał Winter. Starał się zrobić to w miarę cicho. - Hussein Hussein?

- Policja - dodał Halders.

Czekali. W środku panowała cisza. Ale to nie musiało nic znaczyć. Taka cisza sama w sobie może być podejrzana.

- Hussein?! - zawołał znów Winter.

- Wchodzimy - powiedział Halders.

Wtedy otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza.

Wyrzał zza nich jakiś chłopiec.

- Cześć. Jak się nazywacie? - zapytał.

- Schowaj się i zamknij za sobą drzwi. - Halders dał chłopcu znak ręką. Tą, w której nie trzymał pistoletu.

Na to chłopiec otworzył drzwi jeszcze szerzej. Widzieli za nimi przedpokój. Chłopiec widział przedpokój Husseina, i to lepiej niż oni.

- Wejdz i zamknij drzwi - powtórzył Halders.

Chłopiec mógł mieć trzy lata, może dwa i pół. Nie wyglądał na przestraszonego. Dla niego zaczęła się zabawa. On też chciał pistolet. Zrobił krok do przodu, potem kolejny, i wtedy chwyciła go kobieta, która nagle wyłoniła się z przedpokoju. Zobaczyła, co się dzieje. Wycofała się z chłopcem. Chłopiec zaczął krzyżeć.

- Proszę zamknąć drzwi - powiedział jeszcze raz Halders. Winter zajął do mieszkania. W środku nic się nie ruszało.

Podniósł broń i szybko wszedł do środka. Zrobił kilka kroków. Za plecami słyszał oddech Haldersa. W przedpokoju było ciemno i ciepło. Jakby słońce skryło się gdzieś za

cieniami. Czuć było zaduch. Słodkawy zapach. Winter widział drobiny kurzu unoszące się w smudze światła. Dochodziła z głębi mieszkania. Zupełnie jakby ktoś poświecił latarką. Wskazywała pokój po prawej. Tak to przynajmniej wyglądało.

- Ani jednego Husseina nie ma dziś w domu - powiedział Halders. - To chyba zresztą całkiem logiczne.

Winter nie odpowiedział. Przeszli przez mieszkanie.

Było w nim kilka rzeczy na krzyż, prawie nie było mebli. Na podłodze w salonie cztery gołe materace. W sypialni - jednoosobowe łóżko. Cóż, czasami salon cieszy się większym wzięciem niż sypialnia.

Ktoś tu był przed nimi. Możliwe, że czegoś szukał. Chyba że Hussein jest niesamowitym bałaganierzem. On albo pozostali lokatorzy. Bo musieli jacyś być.

- Może wychodził w pośpiechu - powiedział Halders. - Nie mógł znaleźć rakiety do tenisa i się zrobił bałagan.

- Drzwi były otwarte.

- Ktoś je otworzył kluczem, jak widziałem.

- Łóżko jest porozpruwane.

- Nie pierwszy raz takie widzę.

- Po co miałby pruć materac?

- Może schował w nim pieniądze?

-Nie.

- Schował w nim coś innego?

- Tak.

- Narkotyki?

- Może.

- Albo schował to gdzie indziej - powiedział Halders. - Bo widać, że gdzie indziej też szukali.

Na klatce schodowej rozległy się kroki i głosy. Dotarły posiłki.

- Winter? - powiedział ktoś. - Winter, jesteś tam?

- A ja się nie liczę? - zapytał Halders.

Na stoliku w salonie Winter zauważył dwa kubki. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że w obu na dnie są resztki płynu.

- Miał gości - powiedział Winter.

- No, możliwe. To coś dla Oberga.

- Czajnik w kuchni nie był lodowato zimny.
- W mieszkaniu jest dość ciepło - zauważył Halders.
- Musimy porozmawiać z sąsiadami.
- Ten mały z przeciwka się ucieszy.

Kiedy stanęli w progu, chłopiec zaczął skakać po przedpokoju. Bał się podejść zbyt blisko, ale zapewne było to najbardziej emocjonujące wydarzenie w jego życiu. Winter widział, że chciałby, żeby znów wyciągnęli broń. W dodatku kiedy otworzyli drzwi, zobaczył też umundurowanych policjantów na korytarzu. To był dla niego wyjątkowy dzień. Dla nas też okazał się całkiem dobry, pomyślał Winter. A dopiero się zaczął.

W mieszkaniu byli tylko chłopiec i jego mama. Kiedy powiedzieli, jak się nazywają, ona też się przedstawiła. Miała na imię Ester. Z tabliczki na drzwiach Winter odczytał nazwisko: Okumus. Chłopiec miał na imię Mats.

Nie widziała dziś Husseina. Nie pamięta, kiedy widziała go po raz ostatni. Jego albo tych innych. Bo bywało u niego wielu ludzi.

- Nie znam go za dobrze.
- A jak dobrze go pani zna?
- Mówimy sobie dzień dobry. Tylko tyle.
- Hussein! - powiedział chłopiec.
- Mats, znasz Husseina? - zapytał Winter.

Chłopiec pokiwał głową.

- Wcale go nie zna - wtrąciła Ester Okumus. - Mówi tak tylko dlatego, że go pan pyta.

Winter przykucnął. Chłopiec cofnął się o krok.

- Bawisz się czasami z Husseinem? - zapytał.
- Nigdy się z nim nie bawił! - odpowiedziała mama.

- A na podwórku? - Tym razem Winter zwrócił się do niej. - Może zdarzyło się, że kiedyś huśtał pani syna.

- Nie. - Kobieta spojrzała na dziecko. - Po prostu mówił mu dzień dobry, kiedy go spotykaliśmy na dworze. Tak jak ja. - Przeniosła wzrok na Wintera. - Dlaczego go szukacie? Zrobił coś?

- Nie wiemy - odparł Winter i wyprostował się. Zesztywniało mu lewe kolano. Ale przynajmniej nie kręciło mu się w głowie.

- Widziała pani, żeby ktoś go ostatnio odwiedzał?

- Z tego co pamiętam, to nie.

- Może przypomni sobie pani później?

- To znaczy?

- Jeśli się pani chwilę zastanowi.

- Nie, nie sędzę.

Nie chce z nami gadać, pomyślał Winter. Dla niej, w przeciwieństwie do chłopca, nasza wizyta wcale nie jest wielkim przeżyciem. Przynajmniej nie takim jak dla niego.

- Słyszała pani coś dzisiaj na schodach?

-Nie.

- A wychodziła pani dziś?

- Nie.

- Nie wie pani, czy Hussein utrzymywał kontakty z innymi sąsiadami?

-Nie.

Winter, Halders i dwaj policjanci, którzy przyjechali radiowozem, zrobili szybką rundę po mieszkaniach, ale tylko w jednym ktoś im otworzył: mężczyzna, który nic nie widział i nie *słyszał*. Wprowadził się niedawno i nie zamierzał zostać długo.

- To się nazywa życiowa wolność - powiedział Halders, kiedy wyszli.

Całą drogę do Rymdtorget towarzyszyło im skrzeczenie mew. Winterowi krajobraz znów wydał się surrealistyczny. Przypominał okładkę Pink Floydów zaprojektowaną przez Storma Thorgersona. Dawno nie słuchał Pink Floydów. To była jego młodość. *Remember when you were young*. Kiedy byłeś młody. Jego ulubionym albumem był *Ummagumma*. Miał tę płytę. *Careful with that Axe, Eugene*. Ostrożnie z tą siekierą.

Nacisnął przycisk na pilocie i jego mercedes piknął. Za głośno. Czuł pot na karku. Halders miał mokre czoło. Otarł je i pochylił się nad mercedesem.

- I co robimy? - zapytał.

Zadzwoiła komórka Wintera. Kiedy wyszli z klatki, włączył głoś, więc sygnał zabrzmiał zbyt piskliwie.

- Nie mamy Husseina w rejestrze - odezwał się Möllerström.

- Jesteś pewien?

- Chłopaki znaleźli w mieszkaniu Foro kartkę z jego PESEL-em i od razu do mnie zadzwonili.

- No dobra.

- Na razie z nich wszystkich tylko przeszłość Foro możemy prześledzić dokładnie - dodał Möllerström. - Choć tu też historia jest nie za długa.

- Chyba że wliczyć w to śmierć - odparł Winter.

- Na razie to wszystko. - Möllerström się rozłączył.

- Może facet po prostu wyszedł na zakupy - powiedział Halders. - Ten cały Hussein Hussein Hussein. - Halders osłonił oczy przed słońcem i spojrzał w stronę bloku. - Czy Arabowie nie mają przypadkiem trzech imion?

Winter wyciągnął paczkę corpsów i zapalił jednego.

- A ty ile masz imion, Fredrik?

- Że co?

- Nazywasz się po prostu Fredrik Halders?

- Nie. Fredrik Göran Halders.

- To razem trzy, nie?

- Ha, ha. Już łapię. A ty jak masz na drugie?

- Sven.

- Sven? Nie wierzę.

Dym z cygaretki unosił się w powietrzu. On też, tak jak przed chwilą dźwięki, jakby przeszkadzał. Wyglądał obco.

- Ile palisz dziennie? - zapytał Halders.

- Prawie w ogóle nie palę. Jeśli już, to wieczorem.

- No tak. A piękny wieczór właśnie mamy.

- Przecież się nie zaciągam.

- To jaki to ma sens?

- To długa historia.

- A ta historia też będzie długa?

- Może to zależy od nas.

- To zależy od tego, jak sprawnie kontrolujemy gangi z północnej części miasta.

- Całkiem nieźle. Przynajmniej według dzielnicowego z Angered.

- Czyli jeśli to ktoś z nich, ktoś z gangu, to go znajdziemy?

To masz na myśli?

- Nic nie mam na myśli.

- Niepokoi mnie, że ani Hiwy, ani Saida, ani Husseina Drugiego nie mamy w kartotekach.

- No tak. - Winter znów wydmuchnęła dym. - Czasami trzeba się niepokoić i takim obrotem spraw.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- To nie znaczy, że byli czyści.

- Czyści jak śnieg. Czy jak hera.

- Albo nieczyści.

- Te ofiary mogły przywieźć niewyrównane rachunki stamtąd, skąd przyjechały.

Winter pokiwał głową.

- Cholernie trudno to sprawdzić.

-No.

- Może trzeba będzie pojechać do Kurdystanu, a potem do Iranu, Iraku, Syrii, Turcji, a może nawet na Malediwy - powiedział Halders.

- Na Malediwy?

- Tak. Myślę, że i tam przydałoby się zajrzeć na parę tygodni. Tak dla pewności.

- Miałbym jechać z tobą?

- Miałem zamiar zabrać Anetę, w końcu to jej tereny.

- Fredrik, Malediwy leżą przy południowym wybrzeżu Indii.

- To dobrze.

Winter zaciągnął się jeszcze raz. Przez parking przeszła jakaś rodzina. Tata, mama, siostra i brat. Wsiedli do samochodu. Volvo. Wyglądali na Skandynawów.

- Jeśli chodzi o narkotyki, szybko się dowiemy - powiedział Winter.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Ale czego? Że to narkotyki czy że się dowiemy?

- Narkotyki... Coś tu się nie zgadza. Przecież gadałeś z Sivertssonem. Nie umiał z niczym połączyć tej sprawy.

- Czasy się zmieniają. Metody też.

- Strzał prosto w twarz? To żadna nowa metoda. Przecież tu nie chodzi o jakieś młodzieżowe hity na czasie.

- A kto powiedział, że chodzi o młodzież.
- Teraz głównie oni działają w branży - stwierdził Halders.
- Według mnie nie masz racji.
- Nie ja to wymyśliłem.
- Ale według ciebie nie chodzi o narkotyki?

Halders sztywno wzruszył ramionami. Cały był zeszywniały. Może dziś wieczorem powinien przebiec z dziesięć kilometrów. Pieszczoty z Anetą też go rozluźniały. Może i tego dziś spróbuje. I posłucha Pink Floydów. Szkoda, że cię tu nie ma. O ile taki wieczór w ogóle wchodzi w grę. Może on i Winter utkną gdzieś do nocy albo i na dłużej.

- Musimy się czegoś dowiedzieć o Husseinie - powiedział Winter i rzucił peta na ziemię.

- Facet zniknął na zawsze.
- Jak to?
- Zszedł do podziemia. Dobrowolnie albo nie.
- No to go wykopujemy.
- Ha, ha.
- Bez przesady, to nie było śmieszne.

Halders ruszył w stronę samochodu.

- Sednem jest motyw - powiedział Winter. - To motyw był tu decydujący.

- Narkotyki albo zabójstwo honorowe - odparł Halders.
- Albo jeszcze coś innego.
- Niby co?
- Musimy uruchomić wyobraźnię.
- Chyba właśnie na tym polega ta robota.

Winter pojechał na Hjällbo, Halders wrócił na komendę. W drodze Winter słuchał Lars Jansson Trio. *Witnessing*. Pomyślał, że i tutaj wiele zależy od świadka, ale nie mają żadnego. Zawsze wszystko zależy od świadków. I od czasu. Brakowało mu teraz świadków, a wiedział, że istnieją. Jak zawsze chodzi o to, żeby ich odnaleźć. Żeby osiągnąć sukces. *Success*. Albo ponieść porażkę. *Failure*. *Succes-Failure* to pierwszy kawałek na tej płycie. A potem *Grip it*. Chwyć to. Ale co? Na pewno nie chodzi o szczęście, nie w tym przypadku.

O pecha też nie. Może o zło? Oczywiście, że tak, ale ono zawsze

ma wiele twarzy. Wiele albo żadnej. Przypomniały mu się ofiary z dziwnego sklepiku Jimmy'ego. Dziwnego pod wieloma względami. Pod względem położenia, odosobnienia, pustki dookoła. Sklep spożywczy czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę stojący na uboczu. Prawdziwa sprzeczność. Właśnie to ułatwiło zabójcom zadanie.

Winter ruszył ze sklepu w stronę bloków. Ścieżka była równie pusta jak zawsze. Czuć było samotność. Ogarnął go smutek, jakby wciąż towarzyszyła mu molowa tonacja kompozycji Larsa Janssona. Pomyślał o chłopcu na rowerze. Pojawi się, jeśli pójde ścieżką? Jeśli zaczekam? Zaczeka na mnie? Spojrzał w stronę okien. W promieniach słońca wyglądały na srebrne. Jeśli ktoś stoi teraz za którymś z nich, jest niewidoczny. A on mnie widzi? Ja nie jestem niewidoczny. Może powinienem pomachać?

Poszedł dalej w stronę domów. Nie wiało. Nic też nie ruszało się w zaroślach z lewej strony. Przeciął pole. Wiem, że wszystko zależy od tego chłopca, pomyślał.

TO TUTAJ WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO. Chociaż nie, to byto gdzieś daleko stąd. Zaczęło się zupełnie gdzie indziej. A potem przybyło tutaj. A może było tutaj od zawsze. Czekają. Winter się rozejrzył. Te domy. Cała ta część miasta. Pokryta nierównościami i polami. Te dziwaczne miasta w mieście przypominające kamienie rozrzucone precyzyjnie, w równych odstępach. Tutaj, tutaj i tu. Teraz kamienie połączyły ulice, które wcisnęły się pomiędzy nie, otaczając te minimiasta pierścieniem. Między nimi a domami właściwie nie było wolnej przestrzeni. Nie było dokąd uciec. A może przeciwnie: uciec można było wszędzie.

Krążył wokół bloku. Pięćdziesiąt metrów, siedemdziesiąt. Czyżby słyszał rower? Odwrócił się szybko, ale nic nie zobaczył. Zaczął biec. Teraz go dostrzegł. Jego plecy Chłopiec jechał inną ścieżką, biegnącą w stronę drugiego bloku. Jechał tak, że całe jego drobne ciało poruszało się w górę i w dół, w górę i w dół, jakby ktoś go wsadził w jakąś maszynę.

- Zaczekaj! - krzyknął Winter. - Hej! Zaczekaj!

Wciąż biegł. Znow zaczęły mu dokuczać płuca - on nie był maszyną. Snuć się po okolicy z prędkością ślimaka to jedno. Ale nagle ruszyć biegiem to coś innego. Już drugi raz mu się to tutaj przytrafiło. Prawdopodobnie ludzie stojący w oknach zaczęli się już zastanawiać, co to za wariat biega po podwórku. Był pewien, że patrzą. Dlaczego biegnie? Dokąd zmierza? Skąd przybył?

Czy chłopiec go zauważył? Nie było go już widać. Znow zniknął. Niczym hałas rozlegający się w określonym celu, hałas, który trudno zrozumieć. Ale on miał cel. I powinien go rozumieć. Może nawet już zrozumiał. Właśnie dlatego chciał porozmawiać z chłopcem. Gdyby tylko - kiedy już złapie oddech - mógł go chwycić za ramię. Delikatnie. Gdyby mógł go ochronić. Teraz chodził, gdzie chciał, ale to mogło się wkrótce zmienić.

Zatrzymał się. Oddychał ciężko, otarł czoło. Przyszło mu do

głowy, żeby zapalić corpsa. To był doprawdy głupi pomysł na poradenie sobie z brakiem formy. Następnym razem przyjadę tu w dresie i najpierw zrobię rozgrzewkę przed sklepem, pomyślał.

Powoli ruszył z powrotem. Przystanął i zapalił. Minęła go taksówka. Jechała na południe. Rozpoznał ją.

- Więc on wciąż krąży po okolicy?

Ringmar i Winter szli przez park przy komendzie. No, powiedzmy, że to był park. Szli w stronę stadionu Gamla Ullevi. Minęli szczyt budynku i zawrócili. Nie zajęło im to dużo czasu. Krążenie między budynkami, obchodzenie rogów - najwidoczniej weszło im to w krew.

- Nie musiałeś przyjeżdżać. Mogliśmy się dogadać przez telefon.

- Przecież mówiłem, że będę. Uroczy letni dzień i spacer po pięknym parku z przyjacielem. Czegóż chcieć więcej?

- Znalazłoby się całkiem sporo - odparł Winter.

- Reinholz, ten taksiarz. Wygląda na to, że ma sporo kursów w tamtym rejonie. Najwidoczniej teraz też mu się jakiś trafił.

- Może.

- A nie tak to wyglądało?

-Nie.

- Ale to był on?

- Dzielił mnie od niego kawałek, ale poznałem profil.

- Tego faceta?

- Samochodu.

- Żartujesz sobie.

- Miałem lornetkę.

- No tak, oczywiście.

Ringmar przez chwilę rozmyślał o tym kłamstwie. Zauważył taksówkę. Jechała w stronę Nya Ullevi.

- Chcesz go do nas zaprosić? - zapytał.

- Może facet jest po prostu ciekawy.

- Właśnie o tym mówiłem.

- Albo miał tam do załatwienia jakąś sprawę tej nocy, kiedy popełniono morderstwo.

- Wiedział, gdzie powinien się znaleźć?

-Nie.
- Wiedział, kogo tam zastanie?

-Tak.
- Wiedział o wszystkich?
- Nie.

I znów ruszyli ze swoją metodą. Strumień myśli, wszystkie możliwości i wszystkie ślepe zaułki. Luźne domysły, które czasami okazywały się szybsze, niż sądzili.

- Miał trafić na Jimmy'ego Foro?

-Tak.
- A na tego... Hiwę?

- Może.
- Na Husseina?
- Nie.

- Dlaczego nie?
- Jakoś nie widzę tam Husseina. Nie wtedy.

- Jak to?

- Chodzi o to, że on... Sam nie wiem. Zostawmy go na chwilę.

- Może był tam wcześniej - zasugerował Ringmar.

- Zostawmy go na chwilę - powtórzył Winter. - Potem o nim porozmawiamy.

- A Said? Czy Reinholz wiedział, że Said tam będzie?

- Może.

- A zabójcy?

- Może.

- Spodziewał się, że będą tam zabójcy?

- Może.

- Ale nie spodziewał się, że mogą się okazać zabójcami?

- Nie.

- Coś poszło nie tak.

- Możliwe, ale dla Reinholza, nie dla innych.

- Więc zabójstwo było od początku zaplanowane? Oni wiedzieli, co się stanie, a on nie?

- To zależy, co masz na myśli, mówiąc od początku. Ringmar nie odpowiedział. To jest problem. Może chodzić o godziny, tygodnie, lata.

Podeszli do pobliskiej stacji Shella i skręcili w stronę myjni. Przypominała sklep Jimmy'ego. Była podobnej wielkości, chociaż doklejoną ją do głównego budynku stacji.

- No to jaki był cel wizyty Reinholza?
- Był kurierem.
- Przyjechał coś odebrać czy zostawić?
- Odebrać.
- Coś więcej niż towar?
- Może.
- Miał odebrać zabójców?
- Hm...

Przy parkingu zawrócili po raz kolejny.

- Zamówili go na godzinę? - zapytał Ringmar.
- Przecież musieli się jakoś stamtąd wydostać.
- Swoim samochodem.
- Nie, nie było żadnego samochodu.
- Skąd możesz wiedzieć?

Winter nie odpowiedział.

- OK, załóżmy, że uciekli na piechotę. Polem albo tą ścieżką prowadzącą do bloków.

Winter pokiwał głową.

- Lekkim krokiem - dodał Ringmar.
- Nie.
- Więc nie było żadnych lekkich kroków?
- Były

- To słowa taksówkarza.
- Myślę, że mówił prawdę.
- Dlaczego?
- A dlaczego nie?

- Może wiedział więcej, niż powiedział.
- Nie spodziewał się, że zastanie to, co zastał - odparł Winter. - Kiedy potem rozmawialiśmy, wyglądał tak, jakby przekazywanie właściwych informacji przynosiło mu ulgę.

- Właściwych?

- Prawdziwych. Albo przynajmniej takich, które wydawały mu się zgodne z prawdą na podstawie tego, co słyszał.

- Wydawały mu się zgodne z prawdą? A co to właściwie

znaczy?

- Po tylu latach spędzonych w pokoju przesłuchań chyba sam wiesz?

- Prowadzenie przesłuchań wcale nie szło mi tak dobrze.

- Jesteś w tym lepszy, niż sądzisz.

- A ty skąd wiesz?

- Ta sprawa tego dowiedzie.

- Sprawa? Uważasz, że liczba pojedyncza jest tu na miejscu?

- No to sprawy. Tak czy inaczej, wszystko się ze sobą łączy.

- Chyba zawsze tak jest, co?

- To nie miało być filozoficzne spostrzeżenie.

- Kiedy ściągniemy tego kolesia?

Winter spojrzął na zegarek. Potem na niebo.

- Czy Angela nie chciała przypadkiem jechać po południu nad morze? - zapytał Ringmar.

- Wszyscy chcieliśmy jechać, ale mamy jeszcze sporo czasu. Dziś nie będzie wieczoru.

- Reinholz nam nie zniknie. Nie ucieknie. Gdyby chciał, już by to zrobił. - Ringmar też popatrzył na niebo.

- A wieczór i noc mogą być długie. - Odwrócił się do Wintera. - Teraz mamy trochę spokoju. Może warto wziąć parę godzin wolnego. Nie wiadomo, kiedy znów trafi nam się okazja.

- Nie. Ściągniemy go od razu.

- Wracaj do domu, to wyskoczmy na parę godzin - powiedziała Angela do telefonu. - Dziewczynki tego potrzebują, ty zresztą też. Wyjechałeś z domu o czwartej rano. Jeśli musisz kogoś przesłuchać, możesz to zrobić wieczorem.

Nie odpowiedział. Ringmar jeszcze nie zadzwonił do Reinholza, żeby się umówić na przesłuchanie. Zupełnie jakby czekał na potwierdzenie, ale wcale nie od Wintera.

- Lepiej wieczorem niż po południu - ciągnęła Angela. - Wtedy wszystko z nich wyciśniesz. Wieczór jest nawet lepszy niż poranek.

- No dobra - odpowiedział.

Morze było wspaniałe. Winter odkroił sobie kawałek bagietki i sięgnął po oliwę z sardeli. Jego własny wynalazek.

- Mam nadzieję, że nie muszę mieć wyrzutów sumienia
- powiedziała Angela.

Winter podniósł butelkę pod słońce, potem ją odkorkował i powąchał oliwę. Ładnie pachniała.

- Teraz lekko skropię bułkę.
- Chyba nie słyszałeś, co mówiłam.
- Nie.
- To dobrze.

- Możesz mi podać pietruszkę i doniczkę z tymiankiem?
Angela wyciągnęła się i podała mu świeże zioła.

Dzieci bawiły się w wodzie za ich plecami. Mewy skrzeczały. Nie było słyhać pustego ani przeraźliwego śmiechu. Piach był ciepły. Jego piach, o ile oczywiście można być właścicielem piachu albo na przykład drzew. Ale to była ich działka, działka rodziny Hoffman-Winterów. Bo przecież Angela nazywa się Hoffman-Winter. Brzmi to jak nazwa pruskiej promenady. Dobrze, że nie powiedziałaś pruskiego marszu, stwierdziła Angela. Zresztą wszystko zależy od wymowy, dodała.

Brzmi też jak nazwisko niemieckiego biathlonisty, powiedział jeszcze Winter.

Za ich plecami Elsa i Lilly Winter zaniosły się śmiechem. Pewnie woda była zimna. Winter usłyszał też, a potem zobaczył prom. Był biały i piękny. Wszystko było piękne: on, ona, dzieci, woda, niebo, skały i piach. Szwedzki raj. Sami byli szwedzkim rajem. Jesteśmy rajem, pomyślał. Ten kraj to raj.

Chłopiec przemierzał na rowerze swój świat. Zastanawiał się nad tym, co widział. Było zupełnie jak w filmie.

Film i coś jeszcze. To było jak wspomnienie, o którym sam nie wiedział, że je ma. Może ktoś mu to opowiedział, ale chyba nie. Czy można pamiętać coś, co się nie wydarzyło?

Nie chciał pamiętać.

Nie chciał wiedzieć.

Chciał komuś o tym opowiedzieć.

Hama Ali Mohammad żył w dwóch światach. Na jeden świat składały się dni, na drugi - noce.

Nie należał do ludzi, których można nie szanować. Taką

decyzję podjął już dawno, kiedy tylko dorósł na tyle, żeby móc o tym decydować. Nikt nie będzie robił z niego kretyna. To zrozumiał od razu. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Jedyne, co się liczy, to pieniądze. Bez nich nie ma się żadnego świata, a na pewno się nie ma takiego, jakim go widział Hama Ali. Pieniądze się kradnie. Starczy ich przecież dla wszystkich. Z tego co wiedział, naprawdę dla wszystkich.

I tak zetknął się z policją. Można powiedzieć, że się z nimi zbratał. Kiedy przechodził przez plac na Angered, powiedział glinie z dzielnicowej komendy: Siema! Tamten odpowiedział mu po arabsku: Chyba się załaził. Hama Ali odpowiedział coś jeszcze. I tak to było. Hama chciał mieć jakiś sekret. To go jarało.

A teraz dowiedział się czegoś nowego. Sam nie wiedział, co o tym sądzić. To było aż nadto emocjonujące. Psychoza. Prawdziwa psychoza.

Nie chciał wiedzieć.

Nie chciał o tym opowiadać.

Bał się jak cholera.

Więc zwiął.

Przed spotkaniem z taksówkarzem umówili się na jeszcze jedną rozmowę. Dla Wintera to nie było przesłuchanie. Rzadko uznawał przesłuchania za przesłuchania. Bo też rzadko świecili komuś lampą prosto w twarz. Ten stereotyp zniknął już nawet z filmów.

Mozaffar Kerim stanął w drzwiach komendy punktualnie. Winter zjechał po niego. Potem razem wjechali na piętro, do wydziału śledczego.

W windzie Kerim zapytał go, o co właściwie chodzi.

- Tylko o kilka drobiazgów - wyjaśnił Winter. - Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Proszę siadać - powiedział Winter, kiedy weszli do pokoju. Sam usiadł naprzeciwko.

Kerim przysiadł na brzegu krzesła, jakby lada moment miał wyjść. Było widać, że wolałby być gdzie indziej.

- Dlaczego powiedział pan, że ledwo zna Azizów? - zapytał

Winter.

Kerim się wzdrygnął.

- Słucham?

Winter powtórzył pytanie.

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- Mam powtórzyć?

- Nie znam ich.

- Proszę wymyślić coś innego.

- Nie znam ich... w tym sensie.

- To znaczy?

- Nigdy z nimi nie pracowałem.

- A to co znaczy?

- Ze nigdy ich nie tłumaczyłem.

- No to w jakim sensie ich pan zna?

Kerim milczał.

- Zapytam inaczej. Czy kiedykolwiek spotkał pan kogoś z tej rodziny? Raz albo więcej razy?

- Nie znam nikogo z nich.

- Nie o to pytałem.

- Dlaczego w ogóle zadaje mi pan te pytania?

- Zadałem tylko jedno. Chcę usłyszeć odpowiedź tylko na to jedno pytanie.

Kerim chyba się zastanawiał. Wyglądał przez okno. Może po prostu chciał być gdzieś daleko, daleko od tego pytania i od Wintera.

- W czym problem? Dlaczego nie chce pan odpowiedzieć?

- Spotkałem tylko Hiwę - powiedział Kerim cicho.

- Dlaczego nie powiedział nam pan od razu?

Kerim prawie niezauważalnie wzruszył ramionami.

- W jakich okolicznościach go pan poznał?

- W kawiarni.

- Której?

- W Limonell.

- Gdzie to jest?

- Jest ich kilka.

- Ale o której pan mówi, do cholery!?

- O tej przy Kaneltorget. Właśnie sobie przypominałem.

- Na Gårdsten? - Winter spojrział na wiszącą na ścianie mapę. Północna część miasta. - Tam mieszkał Jimmy Foro.

Kerim nie odpowiedział.

- Dlaczego się tam spotkaliście?

- Po prostu... tak wyszło.

Facet się nie wymiga, pomyślał Winter. Nic nie mówiąc, chce mi coś przekazać.

- Dlaczego się spotkaliście?

- To był, jak to mówią, czysty przypadek.

- W jakim sensie?

- Byłem tam i zaczęliśmy rozmawiać.

- A dlaczego pan tam był?

- Mieszkam w okolicy. Często bywam w tej kawiarni.

- A dlaczego Hiwa tam był?

- Nie wiem. Nie powiedział, a ja nie pytałem.

- O czym rozmawialiście?

- O niczym szczególnym.

Jeszcze do tego wrócimy, pomyślał Winter. Miał przed oczami to miejsce: niewielki placyk, o ile tak można to nazwać, Kanelgatan, osiedlowy sklep - Jimmy miał do niego bliżej niż do swojego.

- Dlaczego nie chciał pan nam o tym powiedzieć od razu? - *zapytał.*

- Wydawało mi się, że to nieistotne.

- Przecież nie jest pan głupi. Wie pan, że chcemy się dowiedzieć wszystkiego o tych ludziach.

- Przepraszam.

Kerim powiedział to bardzo cicho. Wyglądał, jakby rzeczywiście było mu przykro. Może i było.

- Jimmy'ego Foro też pan znał? - *zapytał Winter.*

- Nie.

- On też mieszkał w okolicy.

Kerim nieznacznie poruszył ramionami.

- No to zacznijmy od początku - *powiedział Winter.*

Ringmar zadzwonił o wpół do drugiej.

- Ten tłumacz jeszcze u ciebie jest?

- Poszedł pół godziny temu.

- I?
 - Boi się.
 - Czego?
 - Nie chciał powiedzieć.
 - A pytałeś?
 - Nie. Jeszcze nie. Najpierw musi nam trochę poopowiadać. Z własnej woli.
 - A poopowiada?
 - Jeśli będzie miał trochę czasu na przemyślenia, to tak.
 - A niby nad czym miałyby rozmyślać?
 - Nie wiem. Ale jeśli chodzi o niego, to coś jest na rzeczy. Mam przeczucie. Stara dobra intuicja działa.
 - Aha.
 - W każdym razie nie widzę żadnego logicznego wyjaśnienia.
 - Ale czego?
 - Tego, kim on jest.
 - Przecież jest tłumaczem, nie? Sprawdziliśmy to.
 - Chodzi mi o to, kim jest w tej sprawie. Jaką odgrywa rolę.
 - Według ciebie można tu mówić o rolach?
 - Czasami.
 - Role główne i drugoplanowe - podsumował Ringmar.
 - On znał Hiwę.
 - Jak dobrze?
- Winter nie odpowiedział.
- Erik?
 - Tak, słyszałem. - Winter zrobił pauzę. - Wydaje mi się, że oni byli... kochankami.

JERKER REINHOLZ POZA TAKSÓWKĄ czuł się jak pół człowieka. Jakby mu brakowało połowy osobowości. Niektórzy całe życie spędzają w samochodzie, pomyślał Winter. Dla nich miasto to tylko coś, co miga za szybą.

A potem nagle wszystko się zatrzymuje.

- Dlaczego pan się tam zatrzymał? - zapytał Winter.

Tym razem rozmowa nie odbywała się u niego, tylko w jednym z pokoiów przesłuchań. Niewielkie okno było otwarte. Słyszać było szum wieczornego ruchu na ulicach, od Heden do Liseberg. Ostatnio po wizycie w tamtejszej kawiarni miał mdłości. Chyba już ją zamknęli. Jak to miejsce się nazywało? To było coś w stylu Filiżanka Kawy. Chociaż nie, miało jakąś sympatyczniejszą nazwę. Samochód Dziadka? Nie, nie aż tak sympatyczną.

- Po co się zatrzymałem? Już wam mówiłem - odparł Reinholz. - O co panu chodzi?

- Jakie papierosy pan pali?

- Co proszę?

Winter popatrzył na dyktafon. Taśma się kręciła.

Powtórzył pytanie.

- Marlboro.

- Z filtrem czy bez?

- Że co?

- Pali pan marlboro z filtrem czy bez?

- A są bez filtra?

- W sklepie Jimmy'ego nie.

Reinholz się nie odezwał. Jakby tego nie słyszał. Myślał o czymś innym. Może o tym, co przed chwilą powiedział, albo o tym, jaki właściwie jest cel tej rozmowy.

- U niego w ogóle nie było marlboro - dodał Winter.

- No tak. Pewnie się skończyły.

- A wcześniej miał?

- Tak sądzę. Kiedyś je tam kupowałem. Dlatego się za-

trzymałem. Żeby kupić fajki.

Winter milczał.

Obaj słyszeli ptasi śpiew za oknem. Urywał się, a potem zaczynał na nowo, zupełnie jakby śpiewak co chwilę odpoczywał.

- Myślałem, że mają tam marlboro - powiedział Reinholz. - Bo i po co bym tam stawał?

- To pan niech mi powie.

- Ale co? Po co miałbym się zatrzymywać, jeśli nie po to?

Winter nie odpowiedział. Czasami metoda „nie pytaj” sprawdza się podczas przesłuchań. Nie pytaj i, co ważniejsze, nie odpowiadaj.

- Tylko dlatego się tam zatrzymałem. Bo i po co innego?

- Proszę opowiedzieć wszystko od początku. Od chwili kiedy pan skręcił w stronę sklepu.

- Przecież już wam mówiłem!

- To rutynowe postępowanie.

- Rutynowe, mówi pan?

- No więc od chwili kiedy pan skręcił - powtórzył Winter.

Na zewnątrz było pusto. Wkrótce miało zacząć świtać. Ta noc nie dostała zbyt dużo czasu dla siebie. Autostrady łączące północ z południem. Nad asfaltem blask reflektorów. Ich bezsensowne światło znikало w świetle świtu. Wiało od zachodu, nagle wiatr przyniósł ze sobą świst pociągu. Zatrzymał samochód przed sklepem. Budynek stał samotnie. Potrzebował papierosów. Sklep był niemal cały przeszlony. W środku nic się nie ruszało.

Przeszedł przez parking. Doszedł do wejścia. Odgłos kroków niósł się daleko w noc. Bo wciąż jeszcze była noc. Gdyby była inna pora roku, to byłby środek nocy, do świtu byłoby jeszcze daleko. Skądś dobiegło echo.

- Skąd? - zapytał Winter.

- Nie wiem... gdzieś zza budynku.

- Co to był za dźwięk?

- Jakby krzyk.

- Jakiego rodzaju krzyk?

- No nie wiem... po prostu krzyk.

- To mógł być ptak? Może mewa?
- Mewa? Nie... Tam nie ma ptaków. I było za wcześnie.
- Jest pan pewien?

- Jestem przyzwyczajony do tego, że jestem na nogach tak wcześnie. Czy też tak późno, zależy jak na to patrzeć. Przyzwyczajony do pracy nocą. Wiem, o której godzinie mewy pojawiają się latem.

Winter pokiwał głową.

- Może to ja - powiedział Reinholz.

- Może pan powtórzyć?

- Może to ja krzychałem.

- Idąc przez parking?

- Nie, potem. To znaczy... zaraz po. Kiedy stanąłem w drzwiach.

- Ale słyszał pan krzyk, jeszcze zanim pan do nich doszedł?

- Już sam nie wiem. Może to byłem ja. Może to echo mojego krzyku.

- Krzychał pan do kogoś? Krzychał pan, idąc przez parking?

- Nie. Dlaczego miałbym to robić?

- Dlatego, że coś pan usłyszał?

-Nie.

- Może coś pan zobaczył?

- Nie. Niby co miałbym zobaczyć?

- Może ktoś stamtąd wybiegł?

- Nie, nie. Przecież bym wam powiedział. Dlaczego miałbym o tym nie wspomnieć?

- Może pan nie pamięta.

- O czymś takim bym pamiętał.

- Ale nie pamięta pan, czy pan krzychał. Albo kiedy pan krzychał.

Reinholz wymamrotał coś niezrozumiale.

- Może pan powtórzyć? - poprosił Winter.

- Pana tam nie było.

- Nie było.

- Nie wie pan, jakie to uczucie.

- Przyjechałem jakąś godzinę później.

- Ale nie był pan tam sam. Nie był pan sam.

- Nie.

- Straszne uczucie. Jakbym był zupełnie sam na świecie.

- Dlaczego tak się pan czuje?

- Wtedy się tak czułem.

- Ale dlaczego?

- Bo... to wszystko, co widziałem. Cała ta krew... całe morze krwi. Cholerne Morze Czerwone.

- Widział je pan jeszcze z zewnątrz?

- Tak mi się wydaje. Tak... może to dlatego krzyknąłem. To znaczy krzyknąłem, kiedy jeszcze byłem na zewnątrz.

- Teraz pan sobie przypomina? Ze krzyknął pan, zanim pan wszedł do środka?

- Musiało tak być.

- A potem?

- Co potem?

- Co pan słyszał potem?

- Te kroki.

Winter się nie odezwał. Kiwnął głową w stronę Reinhol- za: proszę mówić dalej.

- Wydawało mi się, że ktoś jest na zewnątrz - ciągnął Reinholz. - To była cholernie niemąla myśl. Jakby ktoś wiedział. Rozumie pan? Jakby ktoś widział. Widział. Rozumie pan?

Winter pokiwał głową. Rozumiał. Widział jego zaczerwienione oczy. Facet nie wyglądał na wypoczętego. Może za dużo pił. Może za dużo jeździł. Za mało spał. Za dużo myślał. Mówił nie to co trzeba. Robił nie to co trzeba. Zadawał się z nieodpowiednimi ludźmi.

- Ktoś biegł - powiedział Reinholz.

- Dziecko?

- Nie wiem.

- Wcześniej mówił pan, że kroki były lekkie.

- Tak to brzmiało.

- Ale nie jest pan pewien?

Reinholz nie odpowiedział.

Winter powtórzył pytanie.

- Może po prostu coś te kroki stłumiło - odparł Reinholz.

- Co?
- Nie wiem... może trawa.
- I dlatego wydawały się lekkie?
- Tak.
- Możemy to sprawdzić, tam, na miejscu.
- Jak to?
- Można posłuchać, jak to brzmi.
- Będzie pan biegał?
- A czemu nie?
- A potem porównamy to z krokami dziecka?
- Możemy.
- No tak, tam jest sporo dzieci.
- Co pan ma na myśli?
- To, co powiedziałem. Tam jest dużo dzieci.
- A widział pan tam jakieś dziecko tamtego ranka?
- Mówiłem już, że to właściwie nie był ranek. Mówiłem, kiedy to było. Mniej więcej. Za wcześnie na to, żeby dzieci chodziły po dworze.
- Ale widział pan jakieś?
- Nie.
- Znał pan kogoś ze sklepu?
- Ja nie... o co panu chodzi?
- Znał pan którąś z ofiar?
- Już wam mówiłem.
- Czy wcześniej spotkał pan kogoś z nich?
- Przecież musiałem, nie? W końcu kupowałem tam kiedyś papierosy.
- Od kogo?
- Miałbym pamiętać coś takiego?
- A to nie jest normalne? Zapamiętać, od kogo się kupuje?
- Normalne? Przecież oni wyglądali tak samo jak wszyscy i...
- zaczął Reinholz, ale ugryzł się w język.
- Co pan chciał powiedzieć?
- Nic.
- Ze wyglądali jak wszyscy inni? To pan miał na myśli?
- Nie.
- Więc co?

- Chodziło mi tylko o to, że... nie umiałbym ich rozpoznać.
Nie wiem, czy od kogoś coś kupowałem, czy nie.

Chyba chciał dodać coś jeszcze. Winter czekał.

- A tam, w środku... w ogóle niczego nie dało się rozpoznać.
Winter milczał.

- Mój Boże - powiedział Reinholz.

- Czy kiedykolwiek wiozł pan któregoś z nich taksówką?

- Z tego co pamiętam, to nie.

- A mógłby pan sobie przypomnieć?

- Jak to?

- Może jeśli się pan zastanowi?

- To nic nie da. Jeśli nie potrafię sobie przypomnieć, od kogo coś kupowałem, to tym bardziej nie pamiętam, kogo wiozłem.

- Wygląda na to, że jest pan pewny.

Reinholz wzruszył ramionami.

- Rozumie pan chyba, że przyda nam się każda pomoc -
powiedział Winter.

- Oczywiście.

- Jedną z najważniejszych rzeczy w mojej pracy jest pomaganie ludziom w przypominaniu sobie. Każdy drobiazg może być istotny. Rozumie pan?

-Tak.

- Boi się pan?

- Co? - Reinholz się wzdrygnął. Niezbyt wyraźnie, ale dało się to zauważyć. - Czy się boję?

- Boi się pan kogoś?

- A cóż to za pytanie?

- Czy ktoś próbuje pana nastraszyć?

- Nie. Po co ktoś miałby mnie straszyć?

- Może dlatego, że pan coś wie.

- Nic nie wiem. Co miałbym wiedzieć?

Popatrzył na Wintera, jakby to od niego miał dostać odpowiedź. Jakby chciał pokazać, że chętnie by współpracował, gdyby wiedział jak. A to już coś. Jest tyle różnych rodzajów współpracy. Wiele obliczy.

- Nic nie wiem - powtórzył Reinholz.

- Dokąd pan jechał, kiedy się pan zatrzymał po papierosy przed sklepem Jimmy'ego?

- Dokąd? Wracalem do miasta. Chcialem się już zawinąć.

- Zawinąć?

- Skończyć robotę i zawinąć się do domu.

Winter skinął głową.

- A teraz mogę jechać do domu?

- A czy jest ktoś, kto się boi pana, panie Reinholz?

- Mam nadzieję, że nie przesadziłeś - powiedział Ringmar.

- Z nim nie - odparł Winter.

- Jak to?

- On każde pytanie przyjmował tak, jakby się go spodziewał. Ringmar pokiwał głową.

- Wiesz, co mam na myśli.

Ringmar znów przytaknął.

- Widywałem już takich - powiedział.

- Coś tu jest na rzeczy. Nie możemy ot tak sobie dać mu spokoju.

- Nie damy.

- Musimy sprawdzić wszystkie jego kursy. Trzeba się skontaktować z jego korporacją. I sprawdzić wszystkich klientów.

- Ale przecież nie wszyscy płacą kartą.

- Niektórzy nie płacą w ogóle - odparł Winter.

- Albo płacą na czarno. Chociaż w dużych korporacjach to się raczej nie zdarza.

-*A propos* czerni. Zapraszam do nas na kawę.

- Jeśli dostanę do tego coś mocniejszego, to chętnie.

Winter pozwolił Ringmarowi wybrać. Po dyskretnej wypowiedzi Ringmar zdecydował się na piętnastoletnią Glenfarclas.

- Piętnastoletnia jest w sam raz - powiedział Winter. - Mocna i dobra. Według mnie ma lepsze proporcje smaku niż dwudziestojednoletnia.

- Co za szczęście, że miałeś ją w domu. Tę piętnastoletnią.

- Starsze roczniki też ci smakowały. Mam tu nawet dwudziestopięcioletnią.

- To prawie dwa razy starsza.

- Nie zawsze wiek jest decydujący.

Ringmar podniósł ciężką butelkę whisky. Na etykietce widniała wieżyczka z iglicą, dachy stodół, pole, niebo, a w tle - łagodne wzniesienie.

- Kupiłeś ją właśnie tam?

- Oczywiście.

- Oczywiście? A niech cię, Erik.

- Mają tam bardzo fajną gorzelnię. Dużą i nowoczesną. Właściwie to firma rodzinna, nie żaden koncern. No i, ma się rozumieć, gorzelnia jest w Speyside, to część the Highlands. Tuż przy miejscowości Marypark, o ile dobrze pamiętam. Mieścina też jest urocza.

- Wiesz, na Jaegerdorffsplatsen jest uroczy sklep monopolowy.

- Lubisz go?

- Nie. Chodzi mi tylko o to, że nie trzeba jechać do Szkocji.

- Ale to sama przyjemność. Zresztą w tym monopolu nie mają Glenfarclas.

- Mogę spróbować? - zapytał Ringmar. - Czy trzeba czekać na chwilę natchnienia?

Angela zaczęła się śmiać. Pochyliła się i delikatnie klepnęła Ringmara po policzku. Siedzieli przy kuchennym stole. Zza okna dobiegł odgłos zdecydowanych kroków jakiegoś przechodnia. Echo odbijało się od ścian, doszło do nich i uniosło się do nieba. Zapowiadała się jasna noc. Do Midsommar¹⁰ zostały dwa dni. Potem nad Skandynawię znów powoli nadciągną ciemności. A za pół roku będzie Boże Narodzenie. Ale wtedy już powoli zacznie się robić jaśniej. I tak dalej, i tak dalej. Tak oto, ani się człowiek obejrzy, mija kolejny rok.

- Może to się tylko wacha? - ciągnął Ringmar.

- Łyknij sobie, Bertilu - powiedziała Angela.

Ringmar podniósł szklanke, Winter też. Angela złapała swój kieliszek z winem. Napili się.

Ringmar zrobił minę jak zawodowy kiper.

¹⁰ Szwedzkie święto obchodzone w weekend przypadający najbliżej 24 czerwca. Wywodzi się z pogańskich obrządków związanych z letnim przesileniem.

- Hmm... - powiedział, odstawiając szklanę z cienkiego szkła. Wyglądała jak nieco wyższa i węższa wersja kieliszka do koniaku.

- Dość... mocna. - Znow podniósł szklanę i delikatnie zamieszał. - I ma odpowiednią konsystencję.

Winter się uśmiechnął.

- Rozpoznałeś jakieś aromaty? - zapytał.

- Posmak dymu. Ale nie za mocny

- Dobrze.

- I coś słodkiego... nie bardzo, ale... sam nie wiem.

- To posmak beczki do sherry - wyjaśnił Winter.

- No jasne - przytaknął Ringmar.

Angela znów się zaśmiała.

- Widzę, że jesteś w nie najgorszym nastroju - powiedział Ringmar.

- Miło jest pobyć trochę w towarzystwie - odparła.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- W twoim i Erika.

Spojrzała na Wintera.

- No właśnie, niedawno poruszaliśmy ten temat - powiedział Winter.

Angela napiła się wina. Czerwone cahors wieczorem wydawało się czarne. Zresztą niemal w każdym świetle tak wyglądało.

- Straszna jest ta sprawa, którą teraz badacie - powiedziała po chwili.

- Jedna z najgorszych, z jakimi miałem do czynienia - odparł Ringmar.

- Trafiliście już na trop tego drugiego pracownika?

- Nie musimy teraz o tym rozmawiać - wtrącił Winter.

- Ale ja chcę - powiedziała Angela.

- Wszędzie go szukamy - odpowiedział Ringmar. - Teraz to nasz priorytet.

- Ale co mogło się stać? - zapytała.

- Jak to?

- No z nim. Z... jak mu tam było... Husseinem?

- Tak, z Husseinem Husseinem.

- Wszystko mogło się stać - powiedział Ringmar.
- Nie ma żadnej rodziny? Urodził się w Szwecji?
- Nie, prawdopodobnie nie.
- Jest uchodźcą?
- Prawdopodobnie tak. Właśnie to sprawdzamy.

Angela popatrzyła na Wintera. Siedział ze szklanką w ręce, ale nie pił. Patrzył gdzieś w dal, w noc. Po chwili odwrócił się do nich.

- Wiele osób jest zamieszanych w tę sprawę - powiedział, odstawiając szklankę. - Zbyt wiele.

- Co masz na myśli?

- Jest tyle różnych hipotez. - Winter spojrzał na Ring-

- Sam wiesz.

- To chyba dobrze - wtrąciła Angela.

- Sam nie wiem.

- Na przykład ta z tłumaczem - powiedział Ringmar.

- To znaczy? - zapytała Angela.

- Nie możemy go rozgryźć czy., sam nie wiem, jak to powiedzieć.

- A to tak rzadko się zdarza, że nie możecie rozgryźć świadka albo podejrzanego? To chyba raczej norma?

- No tak - przyznał Ringmar.

-Ale właściwie dlaczego miałbym próbować przejrzeć tłumacza czy choćby tego taksówkarza? - zapytał Winter.

- Bo to twoja praca - odparła Angela. - Chyba powinienes podejrzewać wszystkich?

Ringmar się uśmiechnął.

- Niezbyt optymistyczna wizja - stwierdził Winter.

- Nie raz dobrze na tym wyszedłeś - wtrącił Ringmar.

-Hm...

- To znaczy na przeczuciach.

- A ty, Bertil? Nie masz żadnych przeczuć?

- Jeśli chodzi o tłumacza?

-Tak.

- Może... zobaczymy. Chociaż sam nie wiem, co sądzić o tej ich miłości.

- Czyjej miłości?

- Erik uważa, że tłumacza coś łączyło z jedną z ofiar.
 - To tylko przypuszczenie - zaznaczył Winter.
 - Z tą kobietą? - zapytała Angela.
 - Nie. Z jednym z mężczyzn - wyjaśnił Ringmar.
 - To mogło być motywem zbrodni?
 - To jedno z pytań, które sobie zadaliśmy.
- Angela pochyliła się nad stołem.
- A co na to tłumacz? - zapytała.
 - Jeszcze go nie zapytaliśmy - odparł Winter.

WIATR PRZYNIÓSŁ ZE SOBĄ KRZYKI. Mogły się rozlegać jakieś dziesięć kilometrów dalej. Mieli na to swoje określenie: wołanie z drugiej strony. Z drugiej strony świata. Albo i z tej. Ale i tak z innego świata. To wciąż tkwi w pamięci, choć tylko w pamięci tych, którzy byli wystarczająco starzy lub wystarczająco młodzi. W tamtym świecie słońce rusza się częściej niż ludzie. Tutaj jest na odwrót. Tam słońce pali długo, bardzo długo, a gdy zachodzi, to jakby tylko na chwilę. To właśnie wtedy piach zalewała krew. Pustynia była morzem. A oni nie mieli żagla. To czerwone morze było nieruchome. Nie było na nim wiatru. Nikt z nich nie mógł mieć żadnej nadziei. Już byli martwi.

Ale ja żyję, w przeciwieństwie do wujka Alego. On leżał pod białym prześcieradłem. Mam go przed oczami: wstał rano, poszedł w stronę zarośli. Kiedy wrócił, nie było widać twarzy, bo słońce właśnie weszło i świeciło prosto w oczy. Oślepiało.

Co jest gorsze? Oślepnąć czy umrzeć? Nie wiem, naprawdę nie wiem. Wcale nie chcę widzieć tego, co teraz widzę. Ale nawet jeśli się czegoś nie widzi, i tak można to mieć w pamięci. I można widzieć coś innego. Ale jeśli się umrze, w ogóle się nie widzi i nie pamięta. Jest się niczym. A może trafia się do Boga. Może wtedy można spoglądać w dół, na ziemię. Ale to straszne: widzieć siostrę, brata, mamę - i nie móc im pomóc. Bo gdyby można było pomóc, tata by nam pomógł. Gdyby rzeczywiście był tam, w górze, i spoglądał na mnie. A jak się widzi, na pewno jest gorzej, niż kiedy się o niczym nie wie. Widzieć, a nie móc pomóc.

Nikt nam teraz nie pomaga.

Wtedy też nikt nam nie pomógł.

Nie mam pojęcia, co się stało z ludźmi z innych wiosek.

Mama mówiła, że na zachodzie widziano żołnierzy. To tam, gdzie słońce zachodzi. Ono zachodzi, a oni się pojawiają. Kiedyś rozmawialiśmy z bratem o tym, że żołnierze żyją pod

piachem. W ziemi. Ze nienawidzą słońca. I nas. Nienawidzą wszystkiego.

I znów sobie przypominam: idziemy. Przez kilka dni szliśmy w złym kierunku. Szliśmy na zachód. I to nie był zły kierunek dlatego, że są tam żołnierze, ale dlatego, że tam już nie ma granicy.

A właśnie do granicy zmierzamy. Nie rozumiem tego. Granica. Ale jaka granica? Zawsze mi mówili, że granic jest dużo. U nas w osadzie mówiło się, że granica jest o, tam, i zataczało się koło ręką, a wszyscy się z tego śmiali. Jakbyśmy nie potrzebowali granic.

Ale teraz już nikt się nie śmieje. Teraz granica jest nam niezbędna. Chociaż nie wiemy, co zrobimy, kiedy już do niej dotrzemy. Nie wiemy, jak to daleko. Ktoś powiedział, że jutro tam będziemy. Ale równie dobrze możemy tam dotrzeć w przyszłym roku. A do przyszłego roku jest jeszcze dużo czasu.

TYM RAZEM MIESZKANIE JIMMY'EGO FORO wydało się Winterowi większe niż ostatnio. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Po prostu kwestia czasu. Po upływie kilku dni od zbrodni wszystko jakby przybierało inny kształt, proporcje się zmieniały. Wszystko ułożyło się jak do odpoczynku. Pokój, w którym właśnie stał, zrobił się szerszy.

Z kuchni dobiegał beznamiętny szum lodówki. Wszystko było jak zwykle, wszystko działało.

Zadzwoniła komórka. Także ten dźwięk zabrzmiał głośniejsz niż gdzie indziej.

- Tu Winter.

- Witam. Tu Lars Palm, prezes spółdzielni mieszkaniowej Hjällbostaden. Szukał mnie pan.

- Dobrze, że pan dzwoni.

Winter wyjaśnił, o co chodzi.

Kiedy rozmawiał, zobaczył chłopca na rowerze. Dokładniej mówiąc - jego plecy. Że też on zawsze znika.

- Mamy tu dwa tysiące dwieście mieszkań - powiedział Palm.

- Aha.

- Jeśli już ktoś mógłby pomóc znaleźć jakiegoś lokatora, to nasz personel sprzątający - dodał Palm.

- Sprzątający?

- Nasze dozorki wiedzą wszystko - ciągnął Palm. - Wiele z nich pracuje tu od samego początku, odkąd powstało osiedle.

- No proszę.

- Są dla nas prawdziwą opoką. Dzięki tym kobietom wszystko jakoś się tu trzyma. - Winterowi wydawało się, że Palm się zaśmiał. - Uspokajają ludzi i pilnują porządku. I, jak mówiłem, wiedzą o wszystkim, co się tu dzieje. Kto tu mieszka. Kto jak wygląda. I dlaczego nagle ktoś zaczyna parkować gdzie indziej. O ile oczywiście ktoś ma samochód.

- To świetnie.

- To Finki, już ostatnie. Teraz w tych okolicach mieszka

niewielu Finów.

Finowie. Winter właśnie przed chwilą minął klatkę, w której mieszkali Finowie. Akaciagården 18. Na tabliczkach widniały tylko fińskie nazwiska.

- Finki i Szwedki - dodał Palm. - To nasze weteranki.

- To świetnie - powtórzył Winter.

- Odezwę się do pana.

- Będę wdzięczny. Proszę dać znać, jak tylko będzie pan mógł. Liczy się każdy szczegół.

- Więc chodzi o chłopca? Jeździ sam na rowerze?

Winter opowiedział, jak wygląda i ile mniej więcej ma lat.

- Wygląda na to, że nie schodzi z tego roweru. Miał też piłeczkę tenisową, przynajmniej kiedy go widziałem pierwszy raz.

- Grozi mu niebezpieczeństwo?

- Nie wiem. Możliwe, że tak.

- Może opowiedział rodzinie o tym, co widział albo słyszał.

- Niewykluczone - odparł Winter.

- W takim razie już ich tu nie ma.

- Myśli pan, że poczynili aż tak zdecydowane kroki? - zapytał Winter.

- Jeśli chłopiec jest w niebezpieczeństwie, to reszta rodziny też. Jeśli im powiedział, możliwe, że od razu się wynieśli.

- To chyba może pan sprawdzić?

- To znaczy, czy ktoś się ostatnio wyprowadził? Oczywiście.

- Może od tego zacznijmy, a potem proszę popytać wśród swoich Finek.

- Odezwę się do pana.

Zdjęcie Jimmy'ego stało w ramce na masywnej szafce, na wysokości metra. Rozmawiając przez telefon, Winter stał przed nim. Ramka była złota. Uśmiech Jimmy'ego też.

Ach, ten uśmiech. Na całym świecie ludzie zmuszają się do niego na zamówienie fotografa. Co oznacza? Dlaczego w ogóle tak się uśmiechamy? Kto tego potrzebuje?

Pochylił się niżej. Jimmy wpatrywał się w jakiś punkt za jego plecami. Winter się odwrócił. Zobaczył tylko ścianę z oknem pośrodku. Widać było przez nie ulice, parking i bloki.

Podszedł do okna. Przez podwórko szedł jakiś mężczyzna. Rozpoznał go.

Mozaffar Kerim rzucił mu spojrzenie znad filiżanki kawy.

- Mogę usiąść?

Tłumacz wskazał mu puste krzesło naprzeciwko. Choć teraz nie był już tłumaczem, ale samotnym mężczyzną siedzącym z kawą w knajpce na Kanelgatan.

Winter usiadł.

Do stolika podeszła kelnerka.

- Jedną kawę proszę.

- Coś do tego? - zapytała.

Winter spojrzał na pusty talerzyk stojący obok filiżanki Kerima.

- Poproszę to samo co pan.

- Czyli drożdżówkę z cynamonem.

- To specjalność tej kawiarni - powiedział Kerim. - Przejęli pałeczkę od Limonell. - Wskazał na drzwi. - To było tuż obok. Dawniej to była moja ulubiona kawiarnia. - Uśmiechnął się niewyraźnie. - Ale zamknęli ją.

- Limonell jest też na Hjällbo - odparł Winter.

- Kiedyś mieli dwie kawiarnie. Ale widać im się to nie opłacało.

- Drożdżówki i pizza. Czemu nie?

Siedzieli w pizzerii Suverän.

Kelnerka z uśmiechem odeszła od stolika. Za to Kerim się nie uśmiechał.

- Bywa pan tu codziennie? - zapytał Winter.

- Jeśli mam czas.

Winter się rozejrzał.

- Przyjemnie.

Kerim powoli podniósł rękę i spojrzał na zegarek, jakby chciał przypomnieć sobie i Winterowi, że czas ucieka.

- Wybiera się pan gdzieś? - zapytał Winter.

Kerim pokręcił głową.

- Nie pracuje pan dziś?

- Jeszcze nie teraz.

- Zdarza się, że dostaje pan zlecenie bez uprzedzenia?

Kerim nie odpowiedział.

- Tak na co dzień - dodał Winter. Myślał o wizycie Kerima u Azizów. Wiedział, że Kerim też o tym pomyślał.

- Czasami.

- Myśli pan o Hiwie?

Kerim się wzdrygnął jak rażony prądem.

- O co panu chodzi?

- O to, o co zapytałem. O Hiwę.

- Nie, nie myślałem o nim.

- A o czym?

- Ale... pan nie ma prawa nachodzić mnie i wypytywać, o czym myślę. Czy może policji wolno się tak zachowywać? Sprawować nadzór nad myślami?

- Nie, w tym sensie nie.

- To w jakim?

Kelnerka przyniosła tacę z kawą i drożdżówką. Postawiła filiżankę i talerzyk przed Winterem i odeszła.

- W niewielu miejscach obsługują jeszcze przy stolikach

- powiedział Winter, spoglądając na kelnerkę. Promienie słońca wpadały przez drzwi, rozświetlając wnętrze.

- No dobrze. Myślałem o nim.

Winter pokiwał głową i ugryzł drożdżówkę.

- Był moim przyjacielem - dodał Kerim.

Aneta i Halders zaparkowali przed sklepem ICA. Kiedy wysiedli z samochodu, uderzyło ich ciepłe powietrze.

- Jest trzydzieści stopni - powiedziała Aneta.

- Widziałem.

- Pewnie będzie tak ciepło przez cały weekend.

- To możemy zjeść śledzia w ogrodzie.

- Nie, dziękuję.

- Nie chcesz siedzieć w ogrodzie?

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Ale musisz się nauczyć jeść śledzie¹¹. Kiedyś wreszcie musisz zostać Szwedką.

- Pewnie połowa obywateli podziękowałaby za śledzia.

¹¹ Młode ziemniaki ze śledziem to jedno z tradycyjnych dań podawanych podczas Midsommar.

- Niemożliwe.
- Lubię za to młode ziemniaki.
- I ziemniaki w płynie.
- Wystarczy mi sznaps do posiłku.
- A co to za sznaps. Wypić jeden kieliszek to żadne picie.
- A kupiłeś co trzeba?
- To znaczy alkohol? A jak myślisz?
- Bertil też przyjdzie?
- Tak. Będą Bertil i Birgitta, i Erik, i Angela.
- Okej.

- Drużyna tworząca trzon wydziału śledczego miałyby spędzić wieczór osobno tylko dlatego, że jest Midsommar?

- No właśnie.

Jakiś piesek przebiegł przez parking: kundel o masywnym tułowiu i krótkich nóżkach. W ogóle nie wyglądał groźnie. Rozejrzał się na wszystkie strony, jakby szukał kogoś ze smyczą, pana, pani albo hycła. Potem zniknął za najbliższym rogiem.

- Uwaga na wilka - powiedział Halders.
- Psy nie mogą biegać bez smyczy.
- Powiedz to temu kundlowi.
- Nie muszę. Właśnie idzie właściciel.

Jakiś mężczyzna przebiegł przez parking. Też miał ciężki tułów i krótkie nogi. Zawołał do nich:

- Widzieli państwo przed chwilą psa?
- Mówi pan o tym rottweilerze?
- Co? Nie... taki mały. Sam nie wiem, co to za rasa.

Chyba jego samego zdziwiło to, co powiedział.

Trochę zwolnił, ale nie zatrzymał się. Wyglądał, jakby biegł po bieżni.

- Kundel pobiegł tam, za róg. - Halders pokazał mu gdzie.
- Dziękuję - odparł mężczyzna i też zniknął za budynkiem.
- Dramat życia codziennego. Nigdy się nie kończy - podsumował Halders.

- Ten, który nas tu ściągnął, jest trochę poważniejszy - odpowiedziała Aneta.

- Idziemy.

Ruszyli w stronę domu. W ostrym świetle słońca wyglądał blade, jakby promienie wyzały prawdziwy kolor tynku. Jak na południu, pomyślał Halders. Jeśli słońce utrzyma się odpowiednio długo, wszystko wyblaknie.

- Jeszcze nigdy tu nie byłam.

- Na Rannebergen? Żartujesz?

- Nie. Przejeżdżałam tędy, ale nigdy nie miałam po co się zatrzymać.

- No to teraz masz.

Stali przed wejściem. Halders wyciągnął klucze.

Aneta wzięła głębszy wdech.

- Nie ma już żadnych śladów po zabójstwie - powiedział Halders.

- Wiesz, że dla mnie to nie ma znaczenia.

- Nie musiałaś tu przyjeżdżać.

- Spadaj.

Weszli na schody.

Na klatce słychać było muzykę, dźwięki zdawały się opadać spiralnie. Jakieś orientalne rytmy, pomyślał Halders, cokolwiek miałyby to oznaczać. Orient to szerokie pojęcie. Może się odnosić do połowy świata.

W mieszkaniu było chłodno, ale w powietrzu wciąż unosił się ten specyficzny zapach. Ale może to tylko kwestia wyobraźni. Halders popatrzył na Anetę. Ona też to poczuła.

Na podłodze w kuchni zauważyła kilka much. Były tłuste i nie ruszały się. *Kiedy* podeszła, nie odleciały

Na dworze bawiły się dzieci. Nie widziała ich, kiedy wchodzili do klatki.

- To się stało nad ranem - powiedział Halders za jej plecami.

- Kiedy na dworze nie było nikogo - odparła, wciąż wpatrzona w dzieci na placu zabaw. Chłopiec się huśtał, a dziewczynka kopała głęboki dół w piaskownicy. Tunel do Chin. Czy dałoby się w ten sposób dokopać do Chin? W sumie Chiny zajmują dużą część północnej półkuli. Z Rannebergen do Chin. Albo do Iranu. To też nie jest mały kraj. Mają tam dużo pustyń, dużo piachu. Rezaiowie byli z Iranu. Może właśnie do ich ojczyzny prowadziłby tunel wykopany w piaskownicy.

Dziewczynka, która kopala, też mogła stamtąd pochodzić. Miała czarne włosy, bladą buzię, duże ciemne oczy i charakterystyczny nos. Wszystko to Aneta widziała dokładnie. Okno było bardzo czyste.

Winter odłożył drożdżówkę. Była dobra, ale duża. Kelnerka podeszła i dołała mu kawy Kerim podziękował za dolewkę. Zabawne słowo, dolewka, powiedział. Popatrzył na pełną filiżankę Wintera. Takie proste. Brzmi trochę tak, jakby wymyśliło je dziecko. Rozumie pan? - zapytał Wintera.

-Tak.

- Jak się jest tłumaczem, zwraca się na to uwagę.

Winter pokiwał głową.

- To znaczy na to, dlaczego słowa brzmią tak, a nie inaczej. Na to, jak powstały. Dla mnie to bardzo ciekawe.

- Dla mnie też - odparł Winter. - Dość często się nad tym zastanawiam.

- Zapisuje pan?

- Ale co?

- Zapisuje pan słowa, nad którymi się pan zastanawia?

- Nie. A pan?

- Czasami.

- Może powinno się tak robić.

- To proszę zapisywać.

- No dobrze.

- Ma pan dzieci?

- Dwie córeczki.

- Gratuluję.

- Dziękuję. A pan?

- Czy mam dzieci? Nie.

Kerim uciekł wzrokiem, zapatrzył się w okno. Na dworze akurat nie było dzieci. Winterowi wydawało się, że Kerim właśnie ich wypatruje.

- Tutaj jest dużo dzieci - powiedział i znów popatrzył na Wintera.

- Co pan ma na myśli?

- Nie widać ich. Dużo się chowa. Albo ktoś je chowa.

Winter pokiwał głową.

- I jak długo tak będzie? - zapytał Kerim.

- Nie wiem.

- Najpierw ustanowili ten przepis, zgodnie z którym wszyscy ukrywający się mogli się ujawnić, a ich wnioski o azyl miały być rozpatrzone ponownie, a potem znów zaostrzyli prawo i ludzie znów musieli się ukryć.

- Wiem.

- Dlaczego władze tak zrobiły?

- Proszę mnie nie pytać. Szczerze mówiąc, jestem równie zdziwiony, jak pan.

- I powiedział pan to otwarcie?

- Tak, mówiłem nawet, że jestem z tego powodu wściekły.

- A komu pan to powiedział?

- Wszystkim, którzy chcieli słuchać.

- I pomogło?

- Nie.

- Czy to się kiedyś skończy?

- Tak.

- Kiedy?

- Nie wiem.

- Kiedy wreszcie władze zrozumieją, że ludzie cierpią?

- Tego też nie wiem.

- To co pan wie?

I kto tu zadaje pytania? - pomyślał Winter. Kto ma przewagę? Który z nas?

- No więc nie. Nie mam dzieci. Nie tutaj.

- Ma pan rodzinę gdzie indziej?

- Nie. Chyba źle mnie pan zrozumiał.

Chłopiec nie miał odwagi nikomu o tym powiedzieć. Wiedział, co by się wtedy stało. Tak mu się przynajmniej wydawało. A wcale nie chciał, żeby tak było.

Ale wiedział, że to niebezpieczne. Najlepiej zapomnieć. Jeździć na rowerze i zapomnieć. Szkoła już się skończyła, więc miał czas. A jeśli się zmęczy odpowiednio mocno, może zapomni.

Tego człowieka, który go gonił, później już nie widział.

Hama Ali Mohammad zgubił komórkę. Bez niej czuł się jak bez ręki.

Ludzie gadali o zaginięciu Husseina. Szukali go, ale to było, jak to mówią, szukanie igły w stogu siana. To tak jakby szukać jakiegoś Mohammada w Arabii. Albo pana Singha w Indiach.

Ktoś zapytał, czy to Hussein pracował u tego Nigeryj- czyka. Plotka poszła w świat, ale zawsze tak było.

Ale tym razem chodziło o coś poważnego. Hama Ali nie znał wszystkich szczegółów, ale historia była okropna. To było coś naprawdę poważnego.

Hama Ali czekał. A trudniej było czekać bez komórki. Nie miał się czym zająć. Przynajmniej było chłodno, bo na dworze był prawdziwy upał. To mu pasowało.

Nagle zobaczył za oknem tego faceta. Uniósł rękę. Siema!

- Mówił pan, że Hiwa był pana przyjacielem?

-Tak.

- W jakim sensie?

- A w jakim sensie można być czyimś przyjacielem?

- Nie wiem.

- Proszę. I znów pan nie wie.

- W jakim sensie się przyjaźniliście? - powtórzył Winter.

- No, na przykład spotykaliśmy się tutaj. - Kerim wskazał ręką. - Albo tam, w kawiarni, kiedy jeszcze istniała. Ale to już panu mówiłem.

- Dlaczego nie chciał pan o tym powiedzieć wcześniej?

- Bo pan nie pytał.

- Nie pytam o kawiarnię.

- Nie sądziłem, że to ma znaczenie.

- Hiwę zamordowano - powiedział Winter. - Zastrzelono.

Kerim milczał.

- Powinien pan być jako jeden z pierwszych przyjść do mnie i powiedzieć, że go pan znał.

- Tak wyszło.

- Dlaczego pan milczał? Boi się pan czegoś?

- Chyba wszyscy się czegoś boją? - Kerim spojrzał Winterowi prosto w oczy. - Tutaj wszyscy się boją.

- Nie wierzę. To tylko wymówka.

Kerim nie odpowiedział.

- Czy Hiwa się czegoś bał? - zapytał Winter. - Czy o czymś wiedział?

- Niby o czym?

- O czymś, o czym nie powinien wiedzieć.

Znów milczenie.

- Co takiego wiedział?

Kelnerka popatrzyła na nich zza lady. Była wystarczająco daleko. Nie mogła słyszeć, ale Winter widział, że Kerim spogląda na nią od czasu do czasu.

- Chce pan, żebyśmy się gdzieś przenieśli?

-Nie.

Kerim pokręcił głową.

Zaczął cicho łkać.

Winter nie wiedział, czy kelnerka to widzi. Odwróciła się do nich plecami.

Kerim wyciągnął chusteczkę i dyskretnie wytarł nos.

Popatrzył na Wintera.

- Jeszcze nie wypłakałem wszystkich łez.

- Czasami tak to jest.

- A co pan może o tym wiedzieć.

- Ja też jestem tylko człowiekiem.

- Po prostu stara się pan mnie sobie zjednać.

- To powszechnie stosowana metoda przesłuchań.

- A do tego próbuje pan żartować.

- Najczęściej na próbach się kończy. Bo z tego, co widzę, nie śmieje się pan.

Kerim znów zapatrzył się w okno. Ulicą przejechał jakiś samochód. Inny ruszył z parkingu. Winter nie zauważył, kiedy ktoś do niego wsiadł.

- Hiwa się czegoś bał - powiedział ze wzrokiem wbitym w okno.

Winter milczał, czekał. Też spojrział w jasną pustkę za szybą.

- Nie wiem czego.

- A co mówił?

- Nie rozmawialiśmy o tym.

- To skąd pan wie?

- Zmienił się.

- Jak się zmienił?

- Nie umiem tego wyjaśnić.

Spojrzał Winterowi prosto w oczy.

- A kiedy się zmienił? - zapytał Winter.

- Jakiś miesiąc temu... Chyba. Sam nie wiem. Może trochę wcześniej, może później.

- Ale jak się zmienił?

- Wydawał się... nerwowy.

- To znaczy?

- Nie wiem. Jakbym go nie poznawał. Nie był taki jak... wcześniej.

- A jaki był wcześniej?

- Radosny

- A potem już nie był?

- Niby był, ale jakoś inaczej.

- A na czym polegała ta różnica?

- Nie żartował już tak jak wcześniej. - Winterowi wydawało się, że na ustach Kerima pojawił się uśmiech, ale może to tylko samotny promień światła przemknął przez jego twarz. - Bo wcześniej robił to często.

- Z czego żartował?

- Ze wszystkiego. Na przykład z polityki. Z uchodźców. Z Saddama. Z Amerykanów. Z Turków. Ze Szwedów. I z Somalijszczyków. Ze wszystkiego.

- A potem skończyły mu się tematy do żartów?

- Tak.

- Zaczął się bać.

- Tak...

- Mówił panu, że się boi?

- Nie.

- To może się nie bał.

Kerim popatrzył na Wintera.

- Jak to?

- Może tylko się panu wydawało?

- Nie. Gdyby mi się wydawało, teraz bym panu o tym nie mówił.

- Ale po jego śmierci nie chciał pan nic powiedzieć.

Kerim znów się wzdrygnął.

- Pan też się boi.

-Nie.

- Boi się pan tego samego co on.

- Niby czego? Przecież nie wiem, dlaczego on się bał.

- Tego samego, co go zabiło.

Kerim milczał.

- Nie potrafię pojąć, dlaczego od razu nam pan nie powiedział. - Winter pochylił się nad stolikiem. - Ze nie powiedział pan mnie.

Kerim wciąż się nie odzywał.

- Może pan próbował.

Kerim, przed chwilą wpatrzony w swoją pustą filiżankę, spojrzał na Wintera.

- Może pan próbował, ale my nie zrozumieliśmy.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Winter zauważył, że kelnerka rzuciła okiem w ich stronę. Może spojrzenia jej i Kerima się spotkały.

Kerim i Hiwa bywali tu. A teraz jeden z nich nie żył. Ale bywali tu. Wybrali właśnie to miejsce. Tutaj nie czuli się zagrożeni. Może Kerimowi nic tu nie groziło. Kiedy Winter wszedł, Kerim nie wyglądał na przestraszonego. Teraz też nie. Chyba wyglądał na zrelaksowanego. A może nie. Może się bał, ale tego nie okazywał. Nie okazywał komu? Kelnerce. Winter znów na nią popatrzył. A ona znów się odwróciła. Jakby przyglądała się placowi za oknem. Był zupełnie pusty. I cichy. Panowała na nim martwa cisza.

- Czym się zajmował Hiwa? - zapytał Winter.

- Nie rozumiem.

- Bawił się w narkotyki? Handel żywnością z czarnego rynku? Kradzieże?

- Nie, skąd. A co to jest handel żywnością z czarnego rynku?

- Przecież pan wie.

Kerim pokręcił głową.

- Nie zajmował się niczym w tym rodzaju. Nie sędzę. To niemożliwe.

- Na pewno?

- Jeśli ma pan na myśli przestępstwa w ogóle, to ja nic o tym nie wiedziałem.

Taką odpowiedź można było rozumieć na wiele sposobów.

- Czy Hiwa mógł się zajmować jakąś działalnością przestępczą? - zapytał Winter.

- Mówiłem już, że według mnie nie.

- Dlaczego nie?

- On nie był taki.

- Może nie miał wyboru.

Kerim nie odpowiedział.

- Może ktoś go zmusił.

- Nie wiem.

- I dlatego się bał.

- Nie wiem.

- Chciałbym, żeby mi pan pomógł znaleźć innych jego przyjaciół.

- Ale ja... nie wiem, z kim się przyjaźnił.

- Nie wierzę.

- Naprawdę.

- Jak dobrze znał pan Jimmy'ego i Saida?

Kolejne wzdrygnięcie.

- Kogo?

- Przecież pan wie, o kim mówię.

- Zaskoczył mnie pan. - Kerim postukał palcami w filiżankę.

- Dlatego tak podskoczyłem. Ale nie znałem ich.

- Tak jak na początku nie znał pan Hiwy? - zapytał Winter.

STRACH. MYŚLAŁ O STRACHU. Strach nie przejmuję się granicami państw. Staje się towarem coraz bardziej dochodowym. Strach jako sukces. Sukces zbudowany na strachu. Winter znów był w drodze na północ miasta. Jechał z opuszczoną szybą i wciągał niebiesko-żółte zapachy zieleni. Zapachy stare jak świat. Przechwycić strach, ludzki strach. Przejść go, stanąć za nim i chwycić go od tyłu. Albo z którejkolwiek strony. Choć od przodu nie jest łatwo. Na to strach jest przygotowany Często czeka na atak z przodu i taka technika się nie sprawdza. W tym sensie strach jest przewidywalny. To chyba dlatego, że nie jest czymś naturalnym, pomyślał Winter, objeżdżając rondo. Strach jest wymuszony. Pochodzi z zewnątrz. Wywołuje go ktoś inny. Kto? Strach jest wszędzie. Jest czymś uniwersalnym. Jest jednym ze skutków globalizacji. Tamci zabili, trzymając w rękach półautomatyczne strzelby Strach też jest uzbrojony. Strach przeraża. Może przestraszyć na śmierć. I wraca, kiedy chce. W nocy, rano, latem, jesienią. Teraz jest lato, chociaż dopiero co się zaczęło. Może strach też. Jutro wigilia Midsommar. Wszyscy będą się cieszyć.

Przed południem Hammarkulletorget wyglądał szaro. Jakiś mężczyzna przeciął go z walizką na kółkach. Przywitał się z Winterem skinieniem głowy, tak jak się wita z obcymi. Winter odpowiedział.

Nasrin Aziz czekała przed pizzerią U Marii. Palila papierosa, wydmuchiwała dym w stronę położonego niżej przystanku tramwajowego. Zakasłała.

- Palenie to nie przelewki - powiedział Winter, wskazując na paczkę papierosów, którą trzymała w ręku.

- I kto to mówi.

- Proszę?

- Sam pan pali.

- Skąd wiesz?

- Widziałam przez okno. Kiedy byliście wtedy u nas. Kiedy

pan do nas szedł.

Znów się zaciągnęła, a potem wydmuchnęła dym. Niczym mgiełka uniósł się w powietrzu. Nagle na placu zrobiło się jesienno. Kilka osób przystanęło przy ruchomych schodach prowadzących na przystanek. Jakaś pięćdziesięcioletnia kobieta chyba żebrała wśród przechodniów. Wyglądała na Szwedkę.

- Twoja mama wie, że palisz? - zapytał Winter.

- Doniesie pan?

Popatrzyła na niego. W jej oczach chyba widać było bunt.

- Nie, skądże. Ja tak nie robię.

- To *po co pan* pyta?

- Sam nie wiem.

- Ona o niczym nie wie. - Zaciągnęła się głęboko, a potem rzuciła wypalonego do połowy papierosa na chodnik i zdeptała. Na nogach miała lekkie skórzane buty na niewysokim obcasie.

- Nie wie.

- O czym?

- O niczym. W ogóle nie kontroluje, co się dzieje.

- To kto kontroluje?

Nie odpowiedziała.

Winter chyba zrozumiał, o co jej chodziło. W wielu imigranckich rodzinach rodzice stracili kontrolę nad wszystkim. Nie mieli kontaktu z otaczającym ich światem. Nie znali języka. Poza domem nie mieli nic. Bali się. Dzieci funkcjonowały w tym obcym, przeraźliwym świecie. Wchodziły do niego i wychodziły. Przekraczały granicę setki razy dziennie. Czasami już nie wracały.

- Kto w waszej rodzinie kontroluje, co się dzieje?

- Chyba kto kontrolował. - Popatrzyła na Wintera. - Będziemy tu tak stać?

Nasrin nie chciała wejść do pizzerii. Przeszli przez plac. Żebraczki już nie było.

- A więc to Hiwa wszystko kontrolował?

Nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie i przesuwiała palcami po torebce, choć jej nie otwierała. Nie wyciągnęła kolejnego papierosa. Winter też nie miał ochoty na corpsa.

Głupio by mu teraz było. Ta dziewczyna nie powinna palić. Miała na to zbyt ładną cerę, była zbyt młoda. No i szkoda płuc i tak dalej, i tak dalej. Była za młoda. Powinni zabronić palenia w tym wieku.

- A co kontrolował?

Wciąż nie odpowiadała. Szli w stronę szkoły Jakieś dzieci wykrzykiwały coś do Nasrin, ale im też nie odpowiedziała.

- To tutaj chodzi Azad? - zapytał Winter, wskazując na rozświetloną słońcem szkołę.

- Czasami - odparła.

- Wagaruje?

- Czasami - powtórzyła. - Doniesie pan na niego? Powiadomi pan szkołę o wagarach? Chociaż lekcje już się skończyły. Są wakacje.

- To chyba jego nauczyciel powinien porozmawiać o wagarach z kim trzeba.

- Niby z kim?

- Chociażby z waszą mamą.

- Ona nie ma pojęcia, co się dzieje. Przecież mówiłam.

- Od jak dawna wagaruje? - zapytał Winter.

- A dlaczego pan pyta?

Zatrzymała się. Minęli już szkołę i pizzerię Gloria. Po lewej stronie były biura wynajmu mieszkań i sklep z ubraniami i zabawkami na wystawie. Może second hand. W każdym razie dzieciom musiało się tam podobać. Winter widział zresztą kilkoro wchodzących tam maluchów. Jakaś dziewczynka się odwróciła i popatrzyła na nich. Zauważył też wiszący kilka metrów dalej szyld: Lekarz.

- A co mówi Azad? - zapytał.

- O czym?

Pytania otwarte. Czasami się sprawdzają, czasami nie. Tym razem odpowiedź wróciła jak echo. Pewnie zajmie mu to więcej czasu. Ale może się okazać, że było warto.

- O tym, że Hiwę zastrzelono.

- A co miałby mówić?

Winter nie odpowiedział.

- Czy to ma teraz dla kogokolwiek znaczenie? - dodała.

- Dlaczego ktoś zastrzelił Hiwę? - zapytał Winter. Wciąż stali. Nagle Nasrin ruszyła z powrotem w stronę placu.

- Co takiego wiedział Hiwa? - ciągnął Winter. - Co takiego kontrolował?

Nasrin wybuchnęła płaczem.

Mury kościoła wydawały się chłodne. Wszystko wokół było nagrzane, ale nie kościół i wieża. Może była zbyt blisko nieba.

- A co miał wiedzieć? - zapytała.

- Coś, o czym nie powinien.

- To znaczy? Co by to mogło być?

- A co ci mówił? Co mówił Hiwa?

- Mnie? Nie mówił mi nic takiego.

- Nic? Nie był czymś... podekscytowany? Może czymś się denerwował?

-Nie.

- Nic, co by go zmieniło? Przez co zmieniłby zwyczaje? Albo stałby się kimś innym?

Nie odpowiedziała.

- To bardzo ważne - powiedział Winter.

- Co takiego mogło go zabić? Co było tak ważne, że dopuścili się takiej zbrodni?

-Oni?

-Co?

- Powiedziałaś oni.

- Ktoś. Oni albo ktoś jeden. Nie wiem. Kto może wiedzieć? - Zrobiła pauzę. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie wiem, Nasrin. Może chodzi o narkotyki. Może o coś innego. Jakąś działalność przestępczą. Coś, o czym wiedział, a nie powinien wiedzieć.

- Ale chyba ja też bym o tym wiedziała. Na pewno bym się zorientowała.

Minęli kościół. Winter słyszał dźwięk zapalanych silników samochodowych. Przed nimi rozciągał się duży parking.

- Niemożliwe, żebym się nie zorientowała.

- Czasami ludzie mają sekrety, o których nie wie nikt inny - powiedział Winter.

- Właśnie dlatego mówi się na to sekret. Ale ktoś inny pewnie by mi powiedział. Ktoś by się na pewno wygadał.

- Na przykład kto?

- Nikt z jego znajomych nie bawi się w przestępstwa. Przecież z nimi rozmawialiście.

- Jeszcze rozmawiamy.

- No to wiecie, że nie ma wśród nich przestępców.

- Nie do końca.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Wielu z nich było już kiedyś przesłuchiwanym przez policję.

- Przesłuchiwanym? I co z tego? To nic nie znaczy. Tutaj przecież wszyscy byli kiedyś przesłuchiwani!

- Nie wszyscy jego znajomi to niewiniątka.

- Nie chcę tego słuchać.

- Oni się boją - dodał Winter.

- Czego?

- Tego, przez co zginął Hiwa.

Winter odprowadzał Nasrin do domu. Na placu pachniało cementem. Po zachodniej stronie trwała przebudowa. Robotnicy właśnie zrobili sobie przerwę. Winter zobaczył betonowe płyty ułożone w stertę przed nieruchomą betoniarką. Z balkonu na drugim piętrze pobliskiego bloku zwisała szwedzka flaga.

Nagle na plac wjechał Azad na rowerze. Z dwoma kolegami. Kiedy zobaczył Wintera, zatrzymał się jak koń w galopie. Jego koledzy pojechali dalej, minęli Wintera i Nasrin. Azad wyglądał tak, jakby zobaczywszy siostrę, chciał zawrócić. Zresztą ona chyba też miała ochotę to zrobić. Co jest z tą rodziną nie tak? Boją się. I to nie mnie. Bali się już wcześniej. I to nie deportacji. Nie, przynajmniej nie teraz, nie w ostatnich dniach. Może przez ostatni miesiąc. Coś się stało wcześniej. Hiwa wpakował się w coś, z czego nie mógł się wykręcić. Dłaczego, do cholery nie możemy się dowiedzieć, co to było? Czy wszyscy tutaj się boją? Czy to wszystko dlatego? Miasto zbudowane ze strachu? To my je zbudowaliśmy. My, Szwedzi tradycjonałści, Svenssony.

- Azad!

Winter usłyszał krzyk Nasrin. Chłopiec właśnie zawracał tam, skąd przyjechał, ale zatrzymał się i odwrócił się do nich. Włosy kleiły mu się do czoła. Nasrin szybko do niego podeszła.

- Co ty robisz na dworze w taki upał? Cały jesteś mokry.

Azad nie odpowiedział. Popatrzył na Wintera spod pozlepianej od potu grzywki.

- A ty co robiłaś? - zapytał, przenosząc wzrok na siostrę.

- Przecież ty też jesteś na dworze.

- Ja musiałam odpowiedzieć na kilka pytań.

Szybko rzuciła okiem na Wintera.

Chłopiec też na niego spojrzał. Jego spojrzenie mówiło wyraźnie, że on nigdy w życiu nie odpowie na pytanie psa. Gliniarza.

- Ciebie też chciałbym zapytać o kilka rzeczy, Azad - powiedział Winter.

Azad nie chciał pizzy. Ani nic innego.

- Ja zjem kebab - oznajmił Winter. - Jestem głodny.

Nasrin zadowolona się kubkiem kawy.

- Nie jem lunchu - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę być jeszcze grubsza, niż jestem.

Azad przewrócił oczami. Winter zrozumiał. Nasrin była szczupła, wręcz chuda, a papierosy i niejedzenie lunchu jeszcze dokładały swoje.

Spojrzenie Azada uciekało w stronę obracającego się rusztu z kebabem. Pewnie potem, kiedy już Winter dostanie swoje danie, chłopiec będzie się wpatrywał w jego talerz. Subtelna tortura, choć niezamierzona.

- Obiecuję, że nie będę o nic pytał podczas jedzenia - powiedział i kiwnął głową w stronę Azada. - Potem zresztą też nie.

- To po co tutaj siedzimy? - zdziwił się chłopiec.

- Mówiłem przecież, że jestem głodny.

Azad znów popatrzył na opiekane mięso. Mężczyzna stojący za ladą właśnie odkrawał wspaniałe zarumienione plastry.

Winter poprosił o mięso prosto z rusztu, ze wszystkimi dodatkami. Zakładał, że pita też będzie ciepła.

- Azad, nie jesteś ani trochę głodny?

Winterowi wydawało się, że Nasrin się zaśmiała, ale może to był kaszel, a może kichnięcie. Zasłaniała usta.

- Nasrin?

- O co chodzi? - zapytała, odsłaniając twarz.

- Chcesz coś do jedzenia?

- Mówiłam, że nie jadam o tej porze.

Winter zrozumiał, że jej nie namówi. Pewnie cały czas będzie się wpatrywać w okno, może wyjdzie, jeśli będzie jej zbyt ciężko.

- Azad?

Chłopiec milczał. Ale to właśnie była odpowiedź.

W drodze powrotnej Winter słuchał Larsa Janssona i jego pianina. Dźwięki przypominały delikatny deszcz, który właśnie zaczął padać. Przez chwilę rozmawiali z Nasrin o muzyce. Wspomniała o jakimś kurdyjskim piosenkarzu, który mieszkał w Szwecji, ale wrócił do domu, do Kurdystanu. Jego irackiej części. Ale nie wiedziała, gdzie dokładnie. Nazywał się Zakaria, był dość młody. Śpiewał pieśni o miłości. Wspomniała też o piosenkarce Niyan Ebdulli i o Alanie Omerze. Winter nie mówił nic o muzyce, którą słyszeli, kiedy dotarli na miejsce zbrodni. To była inna kurdyjska wokalistka, Sehin Talebani. Sprzedawca ze sklepu z muzyką orientálną od razu rozpoznał jej głos. Pokazał im płytę: *Bo to Kurdistan*. Dla ciebie, Kurdystanie. Na okładce było miasto. Na pierwszym planie fontanna, w głębi - góry. Już od dawna Winter nie był tak spokojny jak wtedy, kiedy siedział z Nasrin i Azadem. Może to ten kebab ze wszystkimi dodatkami, ale to raczej mało prawdopodobne. To ta muzyka.

NA PEPPARGATAN¹² SIĘ POMYLIŁ I ŹŁE SKRĘCIŁ. Był taki czas, kiedy w knajpach wszystko serwowano z pieprzem cayenne, który w gruncie rzeczy wcale nie jest pieprzem. Wtedy byłem młody. Nie przepadałem za tym, ale może warto spróbować jeszcze raz. Na przykład do żeberek cielęcych podduszanych na mleku.

Pizzeria była tak samo pusta jak wczoraj. Chociaż to nie była pora lunchu.

Kelnerka też była ta sama. Przedstawiła się: miała na imię Maia. Nie spytał o nazwisko.

- Poznaje mnie pani? - zapytał.

- Tak. Był pan tu wczoraj.

- Nie byłem sam. Zna pani tego drugiego mężczyznę?

- Tak. To nasz stały klient. - Uśmiechnęła się. W tym świetle jej zęby wydawały się bardzo białe. - Jeden z nielicznych.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem.

Winter wyciągnął zdjęcie.

- A jego pani rozpoznaje?

Przyjrzała się twarzy Hiwy Aziza. Identyczne zdjęcie wciąż wisiało na ścianie w jego domu. Hiwa wpatrywał się w dal. To było jego ostatnie zdjęcie, zrobione zaledwie pół roku wcześniej w zakładzie fotograficznym.

- Nie, tego nie rozpoznaję. - Spojrzała na Wintera.

- Jest pani pewna?

- Na tyle, na ile to możliwe. - Spojrzała jeszcze raz na zdjęcie, potem znów na Wintera. - Kto to?

Może nie czyta gazet i nie śledzi telewizyjnych doniesień o zbrodniach. I może nie rozmawia z sąsiadami.

- Pracował u Jimmy'ego Foro - wyjaśnił Winter.

- A to kto?

- Ten zastrzelony

- Ach, ten!

12 Peppargatan - ulica Pieprzu.

- Zabili go razem z chłopakiem ze zdjęcia.
- Więc to oni!
- Ten chłopak tu bywał.
- Tak?

Winter jeszcze raz wyciągnął w jej stronę rękę ze zdjęciem. Przyjrzała mu się, a potem oddała.

- Ale i tak go nie rozpoznaję.
- Może akurat kiedy tu bywał, nie miała pani zmiany.
- Pracuję tu na okrągło.
- W takim razie to dziwne, że go pani nie rozpoznaje,

prawda?

- Może miał zarost.
- Proszę się jeszcze przyjrzeć.

Popatrzyła na zdjęcie.

- Może to *on*. Ale to *znaczy*, że wtedy miał zarost.

- Siedział z tym mężczyzną, z którym widziała mnie pani wczoraj?

- Tak... tak mi się wydaje.

- Nie jest pani pewna?

- To chyba był on.

- Jak często tu bywał?

- Może kilka razy... Nie pamiętam. Dwa, trzy razy. Winter pokiwał głową.

- A Jimmy Foro? - zapytał.

- On był czarny. Pamiętam jego twarz. Ale on nigdy tu nie był.

- Dlaczego?

- A skąd mam wiedzieć?

- Widziała go pani kiedyś?

- Tak... Oczywiście nie wiedziałam, jak się nazywa, ale przechodził tędy parę razy. Rozpoznałam go na zdjęciach w gazetach. Ale na nich nie było widać, że był niesamowicie wysoki.

- Niesamowicie wysoki.

- Jeśli to faktycznie on, to był bardzo wysoki. Wyższy od pana.

- Chodził sam?

- Wtedy kiedy go widziałam?
- Tak.
- Tak mi się wydaje. To mógł być tylko raz, ale był sam.
- Rozmawiała pani z nim?
- Nigdy.

Shirin Waberi powiedziała, że ma siedemnaście lat. Winter nie umiał ocenić, czy mówi prawdę. Wyglądała na czternaście, piętnaście. Ale akurat teraz nie o wiek chciał pytać.

Była jedną ze znajomych Hiwy. Chodziła do jednej klasy z Nasrin, więc wiek powinien się zgadzać.

Znała Hiwę.

I jego przyjaciela, Alana Darwisha.

- Alan i Hiwa przestali się spotykać - odpowiedziała cicho na pytanie Wintera.

Siedzieli na ławce przed kościołem na Hjällbo, w cieniu dużego drzewa, którego nazwy Winter nie znał.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Co takiego się stało?

- Mówię, że nie wiem.

- Pytałaś Nasrin?

-Nie.

- A może rozmawiałaś z nią o czymś innym?

- O czym?

- O czymkolwiek.

- Nie widziałam się z nią, odkąd... to się stało.

Odgarnęła włosy z twarzy. Błyszczały w słońcu.

- Kiedy się widziałyście ostatni raz?

- Nie widziałyśmy się od zakończenia szkoły.

- Co się takiego stało?

Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy. Odkąd skończyła się szkoła. Winter nie wierzył. Sam nie wiedział dlaczego. Może dlatego, że mówiąc to, spojrzała na niego.

- Nie rozumiem. Co się miało stać?

- Nie jesteście przyjaciółkami? Nie widujecie się codziennie? Nie odpowiedziała.

- A Alan i Hiwa byli przyjaciółmi? Takimi, którzy widują się

codziennie?

- Nie wiem.

- Żaden z nich nie wspominał, dlaczego przestali się spotykać?

- Nie, nigdy

Nigdy to mocne słowo. Winter stał w mieszkaniu Jimmy'ego Foro. Nigdy jak nigdy więcej, nigdy przenigdy. Za oknem zaskrzeczał ptak. Odwieczny odgłos, nigdy nie zniknie, dopóki ziemia będzie się kręcić. Wszystko może się stać, dokąd tylko ziemia będzie się kręcić.

Od jak dawna Jimmy i jego znajomi mogli się bawić w przestępców amatorów? Dla takiej zabawy z pewnością nie warto ginąć. Dla niczego nie warto ginąć, ale dla niektórych spraw jeszcze mniej niż dla innych. Na komodzie pod ścianą stała szwedzka flaga. Czy dla niej warto ginąć? Dla niej albo dla jakichś innych barw narodowych? Ginąć za kraj? A co to jest kraj? Do kogo należy? Co to jest naród? Szwedzki naród? Czym właściwie jest? Tutaj, na północy, nie chodzi o kolor skóry, ale o pieniądze, a one są bezbarwne, zaś ten, kto dla nich zabija, jest daltonistą. Nie ma uczuć. Tak zakładałam. Czy mam rację? Zemsta to terytorium uczuć. Odwet. Czy można jej dokonać bez uczuć? Może tak. Jakby była siłą wyższą. Ale kto kieruje zemstą? Sama śmierć? Wsłuchiwał się w odgłosy, ale w mieszkaniu Jimmy'ego panowała absolutna cisza. Już wszystko stąd zniknęło. Trzeba będzie szukać gdzie indziej.

Zadzwoiła komórka.

Ringmar. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, kichnął.

- Na zdrowie.

- Dzięki, stary. Gdzie jesteś?

- W mieszkaniu Foro.

- Coś znalazłeś?

- To mieszkanie jest równie martwe, jak jego właściciel.

- Torsten nie ma dla nas żadnych wieści.

- Właściwie nie liczyłem na to.

- Możliwe, że trafiliśmy na trop Husseina Husseina.

- Zamieniam się w słuch.

- Chociaż teraz nazywa się Ibrahim.

- No tak.

- Albo Hassan.

- Akurat teraz mi to zwisa. Równie dobrze mógłby się nazywać Jokkmoks-Jokke. Mów, co wiesz.

- Wiemy to od jednego z informatorów Braciszka Malmera. Znasz go. Od lat pracuje na Angered. Wychwycił jakąś plotkę i pomyślał, że może nas to zainteresować.

- A dlaczego tak pomyślał?

- No... nie wiem. Jego zapytaj.

- No dobrze, dobrze. I co mówił informator?

- Ze niejaki Ibrahim czy też Hassan albo i Hussein ukrywa się w okolicy i...

- To może ich być dwóch - przerwał mu Winter. - Albo nawet trzech.

- Niby tak. Ale to oczywiste, że koleś łązi po okolicy i przedstawia się różnymi imionami. Przyjmuje różne tożsamości.

- Łazi po okolicy? Myślałem, że się ukrywa.

- Powiedzmy, że stara się nie rzucać w oczy, dobra? Całą resztę omów sobie z Braciszkiem, a on dopyta informatora. W każdym razie trzeba to sprawdzić.

- Wspominałeś o okolicy. Mamy jakieś szczegóły?

- Z tego co wiem, to nie.

- A kto w północnych dzielnicach nie stara się nie rzucać w oczy? To samo zresztą dotyczy miasta albo nawet kraju.

- Wiem przecież.

- Nie możemy pogadać z tym informatorem?

- Pytałem. Braciszek mówi, że koleś się boi.

- Jak wszyscy

- Braciszek starał się go przekonać, ale nic nie wskórał.

- To po co w ogóle się do nas zgłaszał?

- Już o to pytałeś.

Winter zapytał więc Braciszka. Widział przy tym błękitne niebo rozciągające się ponad jego łysą głową. Jego czaszka wyglądała jak martwa planeta tkwiąca w niepojęcie niebieskim wszechświecie. Planeta odwróciła się, kiedy Braciszek spojrział za siebie, żeby sprawdzić, na co patrzy Winter.

I zobaczył to samo: główny plac Angered. Tłum ludzi. Centrum

północnego Göteborga. Jeśli ktoś nie chciał, nie musiał się stąd ruszać na południe.

Siedzieli w cukierni Jerkstrand. To Braciszek zaproponował to miejsce.

- To tutaj spotykasz się z informatorami? - zapytał Winter.

- Marzenia - odparł Braciszek.

- A mógłbym się z nim spotkać?

- Marzenia.

- Może mi się uda wyciągnąć z niego coś jeszcze. Nowa twarz, no wiesz.

- Czyli utrata mojej. Chcesz, żebym stracił swoje źródła?

- A na co nam one, skoro nic nie chcą powiedzieć?

- Nie bądź niesprawiedliwy.

- Ale ten facet nie chce mówić.

Braciszek nie odpowiedział. Spojrzał na dwóch mężczyzn, którzy właśnie weszli i usiedli przy stoliku pod drzwiami. Siedzieli na tyle daleko, że nie mogli ich słyszeć. Winter zorientował się, że Braciszek ich poznał, może nawet ich znał. Obaj mieli krótkie czarne brody. Ubrani byli w dość eleganckie garnitury. Brak zainteresowania dwoma policjantami w cywilu ich demaskował. Jeden z nich podniósł się i ruszył do lady, żeby złożyć zamówienie. Przechodząc obok ich stolika, rzucił Winterowi obojętne spojrzenie.

- To jeden z tych dwóch? - zapytał Winter, kiedy ich minął.

- Aż takim idiotą nie jest.

- To kim oni są?

- Średnie ryby. Trochę narkotyków, trochę kradzieży, trochę pobić. Po trochu wszystkiego, co może się wydać kuszące.

- Brzmi dość poważnie.

Braciszek wzruszył ramionami.

Mężczyzna znów ich minął. Niósł dwa talerzyki z ciastkami francuskimi. Usiadł przy stoliku i powiedział coś do swojego towarzysza.

- Przyszli rzucić na ciebie okiem - powiedział Braciszek.

- No to dzięki za pomoc. Przecież to ty zaproponowałeś to miejsce.

- Potem mi podziękujesz.

- Dlaczego myślisz, że ten Hussein Hussein to ten, którego szukamy?

- Zacznijmy od tego, że mój informator w ogóle nie zaczynałby tematu, gdyby nie miał podstaw.

- A dlaczego w ogóle cię informuje?

- Powiedzmy, że jest mi coś winien. - Braciszek chyba się uśmiechnął, ale trudno było to stwierdzić na pewno, bo jego usta wyglądały jak cienka kreska. - I to dużo.

- Ale boi się.

Braciszek przytaknął.

- Czego?

- Właśnie tego, jak sądzę. Tego, co się stało. Tych, którzy to zrobili. To, że wspomniał o koleśku, który się ukrywa, to i tak dużo. A to, że do tego zaznaczył, że to ma coś wspólnego z waszą sprawą, znaczy, że coś musi być na rzeczy. - Braciszek chyba znów się uśmiechnął. - On wie, że musi mi dostarczyć nie byle jakich informacji, żeby... no żeby sam się nie znalazł w kiepskiej sytuacji.

- Ale gdzie on jest? Mówię o Husseinie.

- Nie wiedział.

- Wierzysz w to?

- Nie. Na pewno wie więcej, niż powiedział.

- A gdyby ten Hussein faktycznie był gdzieś tutaj, w którejś z północnych dzielnic?

-Tak?

- To rozsądne?

- Może nie miał wyboru. Tutaj jest u siebie. Gdzie indziej nie ma żadnej ochrony.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

- Otóż to.

- A jaką on ma tutaj ochronę?

- Nie wiem. Może jest na odwrót. Może ktoś go szuka.

I nie mówię o nas. Jeśli teraz wyjdzie z nory, to po nim. Lepiej zaczekać, aż wszystko się uspokoi.

- Ale się nie uspokoi - stwierdził Winter.

- Chodziło mi o to, że trochę się uspokoi.

- Musisz go mocniej przycisnąć. Postraszyć go trochę, czym

tam ich zazwyczaj straszysz.

- Wtedy go stracę.

- Takie życie.

- Wszyscy w policji wiedzą, że z ciebie filozof.

Mężczyźni siedzący pod drzwiami wstali i wyszli. Jeden popatrzył na Wintera. Jego spojrzenie nie było całkiem obojętne. I dobrze, pomyślał Winter. Może się jeszcze spotkamy. I to wkrótce.

- I co teraz zrobi tych dwóch? - zapytał Braciszka, który odprowadzał ich wzrokiem. Szli przez plac.

- Doniesie.

- Komu?

- Grubszej rybie.

- To znaczy?

- Jest ich kilka. Nie znam za dobrze tych dwóch. Są nowi. Nie wiem, czy nam się przydadzą. To znaczy tobie.

Winter przeniósł wzrok z mężczyzn na Braciszka.

- Kiedy znów się z nim spotkasz?

Braciszek popatrzył na zegarek.

- Za godzinę. Może.

- Zadzwoń do mnie zaraz potem.

Telefon zadzwonił po dwóch godzinach. Winter wstał i wyłączył Michaela Breckera w połowie solówki.

-Tak?

- Nie przyszedł.

- A to się zdarza?

- Jemu nigdy się nie zdarzało.

I znów to mocne słowo. Nigdy. Braciszek wydawał się zaskoczony Nawet więcej - zaniepokojony

- Czekalem z telefonem do ciebie, bo najpierw chciałem sprawdzić, co się z nim stało.

- I co?

- Nikt go nie widział od wczorajszego wieczoru.

- Ach, tak.

- Gadałem z nim właśnie wczoraj, późnym popołudniem. Prawie wieczorem. Był w domu od jakiegoś czasu, ale wieczorem miał wyjść. Nie wrócił.

- To normalne?
- Ze nie wraca na noc do domu?
- Tak.

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Jego rodzina jest do tego w pewnym sensie przyzwyczajona. Nie jest tak, że dzwonią do mnie, bo nie wrócił.

Braciszek zrobił pauzę. Winter słyszał jego oddech. Był zdyszany, jakby biegł do telefonu albo biegał z nim, szukając informatora. Może dla niego to jak poszukiwanie swego rodzaju przyjaciela. Może dla niego ta strata była bardziej dotkliwa, niż Winter mógł sobie wyobrazić.

- Ale nigdy nie zdarzyło mu się nie przyjść na spotkanie ze mną. Nigdy.

Nigdy. Tym razem to słowo wydawało się mocniejsze niż kiedykolwiek.

- No to teraz będziemy szukać dwóch osób - powiedział Winter.

- To musi być coś naprawdę poważnego, skoro mój człowiek decyduje się zniknąć.

- To jest coś poważnego.
- Cholera, koleś ryzykuje wszystko.
- Może ryzykuje życie.

Braciszek nie odpowiedział. Winter wiedział, o czym myśli.

- Dalej będę próbował to rozpracować. Zrobię, co się da. Mam jeszcze kogo pytać - inni też mają u mnie długi.

- Tylko żeby przez ciebie wszyscy nam nie zniknęli.

- To miał być żart?

- Jak mogę ci pomóc? - zapytał Winter, żeby zmienić temat.

- Teraz nie potrzebuję pomocy Odezwe się.

Po tych słowach Braciszek się rozłączył. Winter nacisnął przycisk na pilocie i Brecker mógł skończyć swoje *African Skies*. Podszedł do biurka i ze sterty papierów wyciągnął jedną kartkę. Wykręcił numer wewnętrzny i ściszył muzykę.

- Oberg.
- Cześć, Torsten. I jak tam z Husseinem?
- Jeszcze nie udało nam się sprawdzić, czy był w mieszkaniu

Rezaiów. Ale pracujemy nad tym.

- On nigdy tam nie przyjdzie. Chyba że będzie się tam chciał ukryć.

- Ale wtedy chyba go wyhaczycie, co?

- Zastanawia mnie coś innego: ile osób mogło być ostatnio w mieszkaniu Husseina Husseina.

- Sprawdzamy to.

- Dobra. A ci z Borås się odzywali?

- Nie. Teraz zajmuje się tym laboratorium kryminalistyczne w Linköping.

- A ty co o tym sądzisz?

- Coś może z tego być. Oni są nieźli. Lundin to szczwany lis.

- To dobrze.

- A dlaczego zastanawiałeś się nad mieszkaniem Husseina?

- Braciszek Malmer stracił źródło. Koleś zniknął.

- A kto to?

- Tylko on zna jego tożsamość. Ale jeśli koleś się nie odnajdzie, dowiemy się i my.

- A ten koleś mógł znać Husseina?

- Może wiedział, kim jest. I wiedział, że Hussein się ukrywa.

- Gdzie?

- Nie wiemy Nie chciał powiedzieć.

- W jeziorze Bergsjón?

- Cholera wie.

- Bo przecież raczej nie w swojej dzielnicy.

- Nie wiem.

- Dobra, my dalej będziemy badać ślady.

Brecker doszedł już do *Naked. Soul*. Winter zrobił głośniejsze i podszedł do okna. Wyrzwał na tak zwany park i Ullevigatan, Fattighusån i Stampgatan leżące za nim. Przejechał tramwaj. Niebieski wagon tylko mignął na tle złocistego światła. Na dworze wszystko było niebieskie albo złociste. W równych proporcjach. Nawet trawa była bardziej złocista niż zielona. Jutro niebo też będzie niebieskie. Jutro wigilia Midsommar.

Wieczorem pojechali na Jörkholmen się wykapać. Winter niczym wielbłąd przeniósł dziewczynki na plecach - z parkingu na niewielką plażę wciśniętą między domki. Nie zatrzymał się,

tylko w ubraniu ruszył do wody. Elsa i Lilly krzyczały ze strachu i z radości. Zresztą żadne z nich nie miało na sobie zbyt wielu ubrań. Kiedy woda ochlapała mu twarz, poczuł na ustach sól. Jakaś żaglówka płynęła w stronę otwartego morza, zapewne na midsommarowy rejs. Dwie dziewczynki pomachały z pokładu do jego córek, a może także do niego.

Braciszek Malmer zadzwonił, kiedy wracali do domu.

- Jak kamień w wodę.

Winter popatrzył na Angelę.

- Musimy wszcząć poszukiwania.

- Wolałbym, żebyś z tym zaczekał do rana.

- Dlaczego?

- Teraz to może bardziej zaszkodzić, niż pomóc.

- Dlaczego?

- Sam o tym wcześniej mówiłeś. Chyba nie chcemy, żeby wszyscy zniknęli?

- A ty możesz działać dalej?

- Tak. Mam swoich ludzi. Ci z Kortedali też nam pomagają, no i miejscowi.

- Ale czy w ten sposób nie narobicie za dużo zamieszania?

- Mam kilka tropów. Jeśli teraz ogłosimy zaginięcie, będę mógł o nich zapomnieć. A do tego zdradzę źródło i koleś będzie spalony na zawsze.

- Może oficjalne poszukiwania go nastraszą?

-Nie.

- Jak on się nazywa?

- Powiedzmy, że Marko. Ale zachowaj to dla siebie.

- Jasne.

- Zadzwonię potem.

Braciszek się rozłączył.

- Co się dzieje? - zapytała Angela.

- Jeden z informatorów gdzieś przepadł.

- A to nie jest normalne?

- Akurat teraz nie.

- I co zrobisz?

- Dziś wieczorem nie będę szalał z whisky.

- Przypomnę ci tylko, że jutro wigilia Midsommar.
- Przecież wiesz, że w Midsommar nie piję whisky.

Winter rzeczywiście nie szalał z whisky. Nawet nie tknął butelki, choć kiedy słońce oświetlało ją i stojące obok alkohole, połyskiwała zachęcająco, jakby skąpana w chwale. Wyglądało to zupełnie jak trik fotografa robiącego zdjęcia do reklam jedzenia.

Zanim dojechali do Vasaplatsen, dziewczynki zdążyły usnąć na tylnym siedzeniu. Winter zaparkował, a potem, znów jak wielbłąd, zaniósł je do domu. Do kolacji wypił butelkę piwa. Już od kilku dni nie dokuczały mu zawroty głowy. Nie wspominał o tym Angeli, uznał, że tak będzie lepiej. Na dole ktoś śpiewał żeglarskie ballady z dalekich mórz. Między domami wciąż unosiło się gorące powietrze. Nie wiało jak zawsze. Winter, wracając z Marbelli, przywiózł ze sobą słońce. Dopóki on tu będzie, ono też. Nie wiedział, jak długo zostanie. Angela dostała ofertę stałej pracy w słonecznej Hiszpanii. Proponowali jej posadę ordynatora. Wybór był niesamowicie trudny. Jego życie było tutaj. To tu miał swój podziemny świat, swoich przestępców, informatorów. Swoją otchłań. Swoje części miasta.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu. W przedpokoju.

Angela odebrała po jednym sygnale. Akurat była obok, wracała z sypialni dziewczynek. Elsa wciąż chciała dzielić pokój z Lilly. Lilly nie miała nic przeciwko temu. Czasami Winter słyszał, jak rozmawiają. Lilly nie znała jeszcze zbyt wielu słów, ale jakoś im to nie przeszkadzało.

Angela weszła do kuchni i podała mu telefon.

- Bertil.

Winter chwycił słuchawkę.

- Chyba znaleźliśmy samochód.

- Samochód?

Może to przez słońce, morze i piach nie od razu zrozumiał, o czym Bertil mówi.

- Ten, którym uciekli.

ZBLIŻAMY SIĘ DO GRANICY i nagle strażnicy, a może żołnierze, zaczynają strzelać. Nadjechali samochodami. Są tak zapiaszczone, że wyglądają jak pagórki przesuwające się po piachu. Jakby pustynne wzgórza przesuwały się, wypluwając kolejne chmury piachu.

Krzyczymy. Wszędzie wokół rozlegają się krzyki, a potem wszyscy rzucamy się na ziemię.

Ja padam na moją siostrę i nagle czuję, że mi ciepło w rękę. Nic mnie nie boli, po prostu zrobiło mi się ciepło.

Słyszę krzyk mamy. Patrzę na nią. Nie wiem, czy krzyczy do mnie, do mojej siostry, czy tak po prostu. Bo wszyscy po prostu krzczą.

Jeden żołnierz wysiada z samochodu, czołgu czy jak to się tam nazywa. Stoi niedaleko. Śmierdzi benzyną i jeszcze czymś, przez co nie daje się oddychać. Strażnik ma na sobie mundur. Granatowy, zielony albo brązowy - nie da się rozpoznać, bo słońce właśnie zachodzi, a wtedy kolory wyglądają inaczej.

W oddali widać flagi. Ruszają się na wietrze. Chyba są czerwono-białe. Trzy albo cztery. To tamtędy biegnie granica. Nie widać, co jest po drugiej stronie, ale tam na pewno jest inaczej. Nie może być tak jak tutaj, bo przecież wtedy nie próbowalibyśmy się tam przedostać.

Nie zauważyliśmy, z której strony granicy nadjechali żołnierze. Może z tamtej.

Jeden ze starszych mężczyzn wstaje z rękami za głową. Krzyczy coś. Chociaż może to strażnik krzyczy.

Ja wciąż leżę na ziemi, ale próbuję zobaczyć, co się dzieje. Patrzę przez palce.

Żołnierz strzela do mężczyzny. Stoi zaledwie kilka metrów dalej. Podnosi strzelbę i strzela. Z odległości kilku kroków. Staruszek pada, nie macha rękami, nie rzuca go do tyłu. Nic takiego. Po prostu się osuwa.

Żołnierz robi krok w tył i strzela jeszcze raz.

Jedna ze starszych kobiet zaczyna krzyżeć. Widzę jej rękę,

o ile to rzeczywiście jej ręka.

Nagle wszędzie roi się od żołnierzy. Znow rozlegają się strzały. Wciskam twarz w piach. Kłuje. Już nie jest mi ciepło w ramię. Nie mam odwagi popatrzeć w żadną stronę. Moja siostra się nie odzywa. Chyba już nie oddycha. Wydaje mi się, że nie żyje. Ja chyba też zaraz umrę. Wszyscy zginiemy

DNI ŚWIETNOŚCI ZDECYDOWANIE MA ZA SOBĄ.

I noce. Teraz już nigdzie nie pojedzie. Nawet nie ruszy. Nie ma opon. Podwozie jest spalone, cała reszta też. Cofnął się do czasów prehistorycznych, a może trafił w sam środek końca świata. Mad Max, pustynne połacie, piach, skwar. Na parkingu wciąż było gorąco, choć piachu nie było za dużo. Słońce już zaszło, upał jeszcze trzymał. Ciemność rosła. Zazwyczaj mówi się, że ciemność zapada, ale Winter uważał, że rośnie. Wypęła z ziemi i krok po kroku zaciemnia wszystko, ale nigdy nie sięga nieba. Na zachodzie zawsze utrzymuje się światło, zwłaszcza teraz. Sięgało aż do lasu w centrum Bergsjón. Pobliska droga przechodziła w ścieżkę, która w końcu się urywała. To właśnie tutaj, przy dwóch bliźniaczych sosnach, znaleźli spalony samochód. Ktoś doprowadził go tak daleko, jak się dało.

Obszedł go dwa razy. Z daleka. Ringmar kazał ogrodzić teren. Wyglądało to absurdalnie, jakby go chronili przed łosiami albo renami. A jednak ktoś tu dotarł, a potem uciekł. Do centrum Bergsjón był jakiś kilometr, nie więcej. Ale równie dobrze mogłoby to być dziesięć kilometrów. Panująca wokół cisza była właśnie dziesięciokilometrowa, o ile można sobie taką wyobrazić. Ptaki zdrzemnęły się na chwilę przed porannymi śpiewami. Przed koncertem z okazji Midsommar.

Winter patrzył, jak technicy pracują. Torsten Öberg też przyjechał. Czasami wszystko zależało od ich pracy, a czasami miała mniejsze znaczenie, niż można było sądzić. Czasami wszystko zależało od niego, od Wintera. Swoją drogą zależeć to dziwne słowo. Jakby cała robota leżała i czekała na niego albo na techników.

Metr od taśmy i kilka metrów od samochodu leżał ochraniacz na buty. Niebieski plastik odcinał się jaskrawo od ściółki. Ten kolor tu nie pasował. Nie należał do tego miejsca, do lasu. Wyglądał zjadliwie.

- Ktoś coś zgubił - powiedział Ringmar, kiedy zauważył, że Winter też patrzy na ochraniacz.

- Powinien był zauważyć - odparł Winter i podniósł wzrok. -
A jak tam z odciskami?

- Torsten mówi, że jest kilka porządnych.

- To dobrze.

- Ale trochę za dużo.

- Powiedziałeś, że jest ich kilka.

Ringmar wskazał na ścieżkę i otaczający ich las. Przez pnie można było patrzeć na świat jak przez żaluzje.

- W ostatnich dniach kręcili się tu różni ludzie. W końcu to trasa spacerowa.

- Kto po nas zadzwonił?

- Jakiś anonim. Z budki telefonicznej.

- Której?

- W centrum Angered.

- To kawałek stąd. Kobieta czy mężczyzna?

- Facet. Tak twierdzą ci z Angered. Sądząc po głosie, młodszy.

- Zadzwonił do nich? Na komisariat w Angered?

- Zadzwonił na centralny numer i poprosił o przełączenie do komisariatu w Angered. Tak się wyraził.

- Hm... Więc chciał się dodzwonić właśnie tam. Widać ich się nie bał. Chciał zawiadomić kogoś, kogo znał.

- Dlaczego?

- A dlaczego w ogóle chciał nam mówić o samochodzie?

- zapytał Winter i ruchem głowy wskazał ochraniacz. Nie mógł jeszcze przejść za taśmę. Mógłby zniszczyć ślady.

- Wydaje mi się, że widzę na nim krew.

To była krew. To tylko kwestia czasu. Dowiedzą się, skąd się tam wzięła. Winter spodziewał się szybkiej odpowiedzi z laboratorium w Linköping.

- Jutro wigilia Midsommar - powiedział Öberg. Spojrzał na zegarek. - Właściwie to prawie dziś.

- Spróbuj - poprosił Winter. - Widziałeś w tym samochodzie coś jeszcze?

- Nie, nic nie znaleźliśmy.

- To oni. To musieli być oni.

Öberg nie odpowiedział.

- Jak myślisz?

- Na to wygląda.

- Po co to tutaj zostawili?

- A po co mieli go brać? - odparł Öberg. - Przecież wiadomo było, że spłonie. Taki w każdym razie był plan.

Winter jeszcze raz popatrzył na zwęglony wrak. Samochód był japoński. Wyglądał jak czołg, który trafił pod ostrzał. Wszystkie spalone czterokołowe pojazdy wyglądają podobnie. Zresztą ze wszystkim tak jest. Z ludźmi też.

- Dlaczego porzucili go tutaj? - zapytał.

- W końcu Hussein Hussein mieszka w okolicy - odparł Öberg.

- A porzuciłbyś samochód, którym uciekłeś z miejsca zbrodni, na własnym podwórku?

- Raczej nie.

- Myślę, że Hussein też by tego nie zrobił.

- Ale może skoro miał uciec, nie miało to znaczenia - powiedział Ringmar. Stał obok Wintera i przysłuchiwał się.

- To już by nie było jego podwórko.

- Ale po co w ogóle tu przyjeżdżać? - ciągnął Winter. - Do ciemnego lasu. Podpalili auto i wrócił na piechotę?

- Dobre pytanie.

- To nie on - stwierdził Winter.

- Związał ze sklepu od razu po zabójstwie?

- O ile w ogóle był w sklepie.

Winter i Ringmar siedzieli w mercedesie Wintera zaparkowanym przed urzędem dzielnicy Bergsjön. Było po północy. Zaczęła się wigilia Midsommar. Winterowi przyszło do głowy, że większość ludzi z okolicy pewnie nie potrafi zrozumieć idei świętowania Midsommar. To w końcu pogańskie święto. Nie ma nic wspólnego z żadnym bogiem, no chyba że z Bachusem, czyli Dionizosem, ale to akurat nie był pierwotny zamysł. Na początku chodziło o światło. I nadal o to chodzi. Światło tkwi w ziemi, pod asfaltem, i właśnie znów zaczyna się wyłaniać. Niczym mgła. Noc była ciepła. Więc dzień będzie gorący. Długi i gorący, pomyślał Winter. Właśnie się zaczyna.

- Dobra, podsumujmy - powiedział Ringmar. - Musimy się z

tym przespać.

- Masz zamiar spać?

- Jeśli mamy przetrwać przyjęcie u Haldersa, to chyba trzeba się trochę zdrzemnąć, nie?

- Cholera, faktycznie. To jutro.

- Dziś.

Winter zobaczył jakiegoś mężczyznę. Przechodził przez plac. Przystanął przed przeszkloną ścianą pubu i zajrzał do środka, jakby chciał sprawdzić, czy impreza już się zaczęła. Ale lokal, jak większość pubów, będzie dziś zamknięty. Wigilię Midsommar świętuje się w prywatnym gronie, z rodziną, najlepiej na dworze. Ale Winter nie był w nastroju do świętowania. Znowu bolała go głowa. Ćmiło go nad okiem. Nie mówił o tym Angeli. Wiedział, co by powiedziała.

Mężczyzna poszedł dalej, w stronę Rymdtorget. Raz odwrócił się w stronę samochodu Wintera. Musiał się przestraszyć ich sylwetek, bo przyspieszył, zaczął niemal biec, i po chwili znikł. Winter pomyślał o chłopcu z Hjällbo. Może jutro porozmawia z dozorczyńiami. Nie jutro, dziś. Jutro jest już dziś.

- OK, podsumujmy.

Winter zastanawiał się, czy nie opuścić szyby i nie zapalić corpa, nie wypuszczać dymu w noc. Ale potem śmierdziałoby w samochodzie, a musiał przecież myśleć o dzieciach. Fotelik Elsy stał na tylnym siedzeniu. Fotelik Lilly też zdążył już przenieść na tył. Jutro będzie tańczył z dziewczynkami wokół majowego drzewka¹³. Będą miały na głowach wianki. Angela też, może on też. Mam nadzieję, że Fredrik załatwił drzewko. Chcę potańczyć. Prawdziwi twardziele tańczą, przynajmniej ze swoimi dziećmi.

- Nie wiemy, o co tu chodzi - powiedział Ringmar. - To znaczy wiemy, że to było zabójstwo, ale nie wiemy, dlaczego do niego doszło.

- Tym razem jest wyjątkowo dużo niewiadomych.

- I wyjątkowo dużo zabójstw.

¹³ W święto Midsommar Szwedzi tańczą wokół tzw. majowego drzewka (szw. *midsommarstången*), czyli przybranego zieleń i kwiatami słupa.

- Tak, i jednocześnie dużo zabójstw.

- Właśnie to powiedziałem.

Winter opuścił szybę, ale nie zapalił. Nie widział nikogo. Nagle pośród tych cichych domów poczuł się osamotniony.

- Słyszysz? - Odwrócił się do Ringmara.

-Co?

Winter nie odpowiedział. Słuchał czegoś, czego nie było.

- Czy co słyszysz? - powtórzył Ringmar.

- Ciszę - odparł Winter. - Jest zupełnie cicho i to właśnie o to w tym wszystkim chodzi.

- O ciszę?

- Tak, o ciszę. Zdarzyło ci się kiedyś, żeby podczas dochodzenia było tak cicho?

Ringmar milczał. Ale to właśnie była odpowiedź. Był cicho.

- Trafiliśmy w samo serce żywotnych północnych dzielnic. Dzielnic podziałów etnicznych, osiemdziesięciu sześciu różnych narodowości, barwnych grup przestępczych, dobrze zorganizowanych gangów i łączącej ich wszystkich świetnie zorganizowanej sieci informacyjnej. Wszystko jest w niej dokładnie zaplanowane - tutaj ma się kontakty z każdym, kto może coś wiedzieć. I właśnie tutaj dochodzi do najbardziej spektakularnych zbrodni w historii miasta. Wartych największej uwagi, przynajmniej jeśli chodzi o media. Pewnie o tej sprawie mówi się w każdej rodzinie, począwszy od Gårdsten, przez Bergsjön, aż do Rannebergen. - Winter zrobił pauzę. Może dlatego, że usłyszał cichy szum wentylacji. Włączyła się na którymś z dachów. - I dokąd nas to wszystko zaprowadziło, Bertil?

- Do ciszy

Winter pokiwał głową. Otworzył drzwi i wysiadł. Wyjął paczkę corpsów i zapalił. Zaciągnął się, a potem wypuścił powietrze. Dym uniósł się do nieba. Pierwszy mach tego dnia, wspaniały, czysty i niewinny

- A cisza wiąże się z tym, czym zajmowali się ci mężczyźni - ciągnął Winter. - To był ich własny, prywatny przekręt i dlatego ta cisza też jest prywatna. Rozumiesz?

- Tak mi się wydaje.

Ringmar też wysiadł i stanął obok samochodu. Podniósł ręce za głowę, jakby się rozciągał.

- Nie jest w to zamieszana żadna zorganizowana grupa. Przynajmniej niebezpośrednio. Przynajmniej nie od początku.

- Może w ogóle.

- Nie wiem, Bertil. Nie rozumiem tej historii z informatorem Braciszka. Dlaczego zniknął?

- O ile faktycznie zniknął. I o ile to się łączy z tą sprawą.

- Myślę, że ktoś wie. Ktoś poza zabójcami. I poza tym chłopcem, o ile on jest świadkiem, a myślę, że jest.

- Chyba właśnie to się nazywa myślenie pozytywne.

Winter nie odpowiedział. Nie słuchał. Myślał o ciszy

- Jeszcze nigdy nie czułem tak wyraźnie, że wszystko zależy od zabezpieczania śladów - powiedział. - A one też mogą nas zaprowadzić z powrotem do punktu wyjścia.

- Daj spokój. To przecież ty mówiłeś kiedyś, że trzeba być przygotowanym na powrót na pole startowe. Ze to normalka w życiu śledczego.

Winter znów się zaciągnął. Corps miał delikatny, przyjemny smak. Dym zniknął szybciej, jakby powietrze było cieplejsze. Może rzeczywiście się ociepliło. Na pewno było ponad dwadzieścia stopni.

- Już dawno nie grałem w Monopol - powiedział.

- Właśnie grasz.

- W takim razie mam nadzieję, że uda mi się wybudować hotel na Strandvägen i na Norrmalmstorg i że złapię tego bydlaka.

- A dlaczego nie na Rymdtorget? - zapytał Ringmar.

- Tędy i tak nikt nie chodzi - odparł Winter, ale zanim skończył mówić, uświadomił sobie, że nie ma racji.

Z Bergsjövägen Winter skręcił w lewo zamiast w prawo.

- Myślałem, że jedziemy do domu - powiedział Ringmar.

- Po jedziemy inną drogą.

- Domyślam się, że tą dalej na północ.

Winter nie odpowiedział. Jechali w ciszy i w mroku przez Gräbovägen. Nie widzieli żadnego innego samochodu. Jakbyśmy byli na świecie zupełnie sami, pomyślał. Właśnie o

tej porze to się stało. Trzy doby temu. Może właśnie o pierwszej w nocy. W godzinie wilków. Wokół cisza. Potem pojawiają się wilki. Zabójcy. Może przyjechali tą drogą, którą teraz jadę ja. Widzieli to samo. Słyszeli tę samą pustkę. Skręcili w tym samym miejscu, zatrzymali się tutaj, popatrzyli na ten dziwny mały budynek. Wysiedli z samochodu, jak my. I ruszyli w stronę sklepu.

Widział, jak szli przez parking. Już wcześniej tu przyjeżdżał. I to nie raz. Ale teraz było inaczej. Nie chciał już tu bywać, przyjechał ostatni raz, żeby zobaczyć, czy., czy jest tak jak wcześniej. Ale nie było. Wymknął się w nocy, jak zawsze. Chociaż nie było już tak jak zawsze. Mama i tata jak zwykle się nie obudzili, ale to nie miało większego znaczenia. Teraz żałuję, że się nie obudzili. Żałuję, że w ogóle się wykradałem. Że tu byłem. I że wróciłem. To dlatego, że nie wierzyłem w to, co wtedy zobaczyłem. A potem uciekłem. Zapomniałem, że mam rower! A potem wsiadłem na niego. Nikt mnie nie widział. Myślę, że nikt. I to ani razu, kiedy tu bywałem. Ale nie powinno mnie tu być. Nie wiem, dlaczego znów tutaj jestem. Wcześniej było tu cicho. Może chciałbym, żeby znów było cicho i spokojnie jak wcześniej.

I jak wtedy, kiedy sklep był otwarty, kiedy ktoś w nim był, kiedy paliły się w nim światła. A teraz przyjechali ci. Nie widzę kto to. Jest ich dwóch. Muszę jechać.

- Co to było?

- Ale co?

- Ten odgłos za budynkiem - powiedział Winter.

- Nic nie słyszą...

- Cicho!

Teraz Ringmar również usłyszał.

Coś się ruszało.

Winter już ruszył biegiem.

Widział jego plecy, pobiegł za nim. Przyspieszenie od zera do stu metrów w sześć sekund. Minęli budynek. Ringmar wciąż miał przed sobą plecy Wintera, ale teraz zobaczył coś jeszcze: ruchomą, połyskującą plamę odbijającą się od pasma asfaltu i otaczającej go ciemnej trawy.

- To on! - krzyknął Winter. Ringmar słyszał jego oddech. Zobaczył, że plama znika za zaroślami. Była już pięćdziesiąt metrów od nich, potem siedemdziesiąt, aż w końcu znikła.

Zatrzymali się jednocześnie. Winter wymierzył cios w powietrze, jakby bił niewidzialnego przeciwnika. Odwrócił się gwałtownie do Ringmara.

- Teraz mi wierzysz?

- Dlaczego on się tu zakrada?

Znów stali na pustym parkingu przed sklepem.

- Nie wiem, Bertil. Coś go tutaj ciągnie.

- Ale co?

- Może strach. Nie wiem. Zapytałbym go, gdybym go spotkał.

- Aha.

- Więc on wciąż tutaj jest. To musi być on. Jego rodzina się stąd nie zabrała. Znajdę go. Najlepiej dzisiaj!

- To będzie długi dzień.

- Dobrze, że tu przyjechałem, co? Teraz wiem, że chłopiec wciąż tu jest.

Ringmar nie odpowiedział.

- I nie mów, że to był ktoś inny.

- Nie miałem zamiaru.

- Nie mogę się doczekać jutra.

- Może spróbujemy najpierw choć trochę się przespać?

Oczywiście śniły mu się rowery, cały peloton Tour de France. Wszyscy rowerzyści mieli identyczne twarze i żaden z nich nie miał więcej niż jedenaście lat. Znikali za rogiem domu, ale nie wyjeżdżali z drugiej strony. W śnie działało się coś jeszcze, ale kiedy się obudził, nie pamiętał co.

Kiedy wychodził, Angela i dziewczynki spały. Jemu wystarczyły cztery godziny snu. Nie czuł się zmęczony. Może poczuje się dopiero po południu, ale to bez znaczenia. Będzie mógł pokonać zmęczenie, tańcząc.

Kiedy wróci! w nocy do domu, wciąż dokuczał mu ból głowy. Łyknął tabletkę. Zadziałała. Angela coś wymamrotała. Nigdy się nie budziła całkiem. Jako młoda mama dwojga dzieci potrzebowała snu. Młoda w średnim wieku. On już nie jest

młody. Ale kiedy Elsa skończy liceum, jeszcze będzie pracował. Może nawet jeszcze wtedy, kiedy dostanie dyplom lekarza. O ile oczywiście będzie chciała studiować. Może wybierze taniec. Albo śpiew. Lilly na przykład świetnie idzie twist. Angela puszcza dziewczynkom *Let's twist again* Chubby'ego Checkera. Na okrągło.

Ulice były puste i czyste. Nie było śladu po ciemnościach, przez które jechał w nocy, tą samą trasą. Niebo i ziemia były wytarte do czysta. Przygotowane do dnia. Otworzył okno i poczuł, jak zapachy lata delikatnie wnikają do środka. Nic nie może się dziać gwałtownie. To w końcu Skandynawia.

Włączył radio. Utrudnień w ruchu nie było, bo nie było ruchu. Ci, którzy wybierali się za miasto, już wyjechali. Midsommar to dzień święty. Pogoda ma być ładna, oznajmił radosny kobiecy głos w radiu. Radości miał w sobie tyle, że wystarczyłaby połowa. Zawsze mnie irytowały radosne głosy, nie tylko w telewizji i w radiu, pomyślał. Jeśli ktoś jest stonowany, nie mówi z egzaltacją. Jeśli ktoś jest zgorzkniały - tym bardziej. Przyjemniej się słucha frustrata. Ale dziś wszyscy będą radośni. Włożył płytę do odtwarzacza i Gam- lestaden przejechał w towarzystwie muzyki Bobo Stensona. To była poranna muzyka, poranna raga. *Oleo de mujer eon sombrero*, kawałek po hiszpańsku. Rozumiał słowa, ale pomyślał, że najlepsza muzyka jazzowa ma swój własny język. Na siedzeniu obok leżała czarno-biała okładka: piaszczysta równina, plaża, bezkresne pustkowia. *War Orphans*. Kupił tę płytę jakieś dziesięć lat wcześniej. Wojenne sieroty. Właśnie do nich jechał. Czuł, że to będzie długie przedpołudnie. Może najdłuższe w życiu.

Kierownik spółdzielni mieszkaniowej Lars Palm czekał przed biurem. Wyglądał rzeško, jakby nie musiał zaczynać dnia w pośpiechu. Na placu za kościołem Winter nie widział nikogo. Wciąż było bardzo wcześnie.

- Przepraszam, że wyciągnąłem pana z łóżka - powiedział Winter.

- Przed panem zdążyli to zrobić inni - odparł Palm z uśmiechem.

- Mieszka pan tutaj?
- Niedaleko. Przy Hjällbovallen. A pan?
- Ja bliżej centrum, przy Heden.
- Aha. Jak dla mnie w centrum jest za duży ruch.
- Trudno się nie zgodzić.
- Za to tutaj jest jak na prawdziwej wsi.
- Przynajmniej w niektórych miejscach.
- Skontaktowałem się z Riitą. Właśnie ma zmianę.
- Przed Midsommar?
- Tylko parę godzin. Pracuje przy Sanspåret. Możemy tam iść.

Minęli Café Limonell. Za godzinę miała być otwarta.

- Limonell na Gårdsten już zamknęli - powiedział Winter.
- Nie wiedziałem.
- Właściwie nie wiem, czy miały tego samego właściciela.
- Tak sądzę. Teraz bywają tam głównie Somalijscy. To znaczy jako klienci.
- Tak?
- Mają najwięcej wolnego czasu, że tak powiem.
- Rozumiem.
- W hierarchii społecznej są najniżej. Kiedyś tak było z Romami, teraz z Somalijszymi.

Winter pokiwał głową.

Szli na południe. Minęli schody. Rzędy domów ciągnęły się w dal.

- Znam tę okolicę - powiedział Winter.
- No tak, był pan w naszej dzielnicy już parę razy.
- Chodziło mi o to, że znam to podwórko.

RI ITA PELTONEN WYGLĄDAŁA MŁODZIEJ, niż Winter się spodziewał. Chociaż sam nie wiedział, czego oczekiwał, może kobieciny wyjętej żywcem z dziewiętnastowiecznej zachodniej Karelii. Tak łatwo dać się zwieść stereotypom, nie tylko tutaj, w tych dzielnicach, gdzie wyobrażenia o ludziach nie mają nic wspólnego z wiedzą - ich wiedzą i wiedzą w ogóle. Zresztą i wiedza często okazuje się zawodna.

Chciał się spotkać z Riitą Peltonen osobiście, chciał sam zadać jej pytania.

Mówiła po szwedzku z melodyjnym akcentem. Tak mu się przynajmniej wydawało. To już nie było uprzedzenie. Po prostu jej szwedzki brzmiał pięknie. Przywodził na myśl wczesne lato.

- Tutaj jest wielu chłopców na rowerach - powiedziała.

- Tak, wiem.

- Jak on wygląda?

Winter opisał chłopca.

- Wielu chłopców tak wygląda. - Uśmiechnęła się.

- Ale ten wychodzi nocami. Często się to zdarza?

- Cóż, to zależy od sytuacji w domu. Od tego, jaki nadzór sprawują rodzice. Bo wielu z nich w ogóle nie wie, co robią ich dzieci. - Popatrzyła na Palma i na Wintera. - Są też tacy, którzy je kontrolują za mocno. - Lekko wzruszyła ramionami. - Tak źle i tak niedobrze. - Chyba znów się uśmiechnęła. - Najlepszy jest złoty środek. Wy po szwedzku macie na to jedno słowo: *lagom*¹⁴. Chyba w żadnym innym języku nie ma odpowiednika. *Lagom* jest najlepsze.

- Czasami - odparł Winter. - Ale czasami człowiek chce trochę zaszaleć.

- Szaleństwa to chyba nie jest coś typowo szwedzkiego.

- W każdym razie ten chłopiec może, przynajmniej do pewnego stopnia, robić, co chce. Jeździ po okolicy na rowerze.

¹⁴ *Lagom*, szw. w sam raz.

- Winter zatoczył ręką koło. - Widziałem go tutaj.

- Tutaj? - Riita Peltonen się rozejrzała. - Tu, na tym podwórku?

- Tak. Między tymi domami. Potem pojechał tam. - Winter wskazał, skąd przyszli z Palmem. - Jechał przez to pole, przy schodach.

- Zapytam koleżankę - odparła. - Z pana opisu.... nie umiem powiedzieć kto to.

- Rozumiem.

- Tu jest tylu chłopców... Teraz, kiedy są wakacje, widać ich wszędzie. Za godzinę pojawią się na dworze.

- Ten miał piłeczkę tenisową - dodał Winter. - Odbijał ją.

- Dlaczego chce pan z nim rozmawiać? - zapytała. - Wiem, że to ma coś wspólnego z tą okropną strzelaniną. Ale co ma do tego ten chłopiec?

- Jeszcze nie wiemy. Więcej nie mogę powiedzieć.

- Coś widział?

- Nie wiem - odparł Winter. - Mam nadzieję. - Rozłożył ręce i dodał: - A jednocześnie mam nadzieję, że nie.

- Grozi mu niebezpieczeństwo? Czy ktoś poza panem chce go znaleźć?

Riita Peltonen myślała jak śledczy. Przesunęła dłonią po siwo-blond włosach. Nie wyglądała, jakby skończyła pięćdziesiąt pięć lat. - Czy to aż tak pilne?

- Tak myślę.

- Zrobię, co mogę.

- Możliwe, że się wyprowadził. - Winter kiwnął głową w stronę Palma. - Rodzina mogła się stąd wynieść, nie informując o tym pana Palma i spółdzielni. To możliwe, prawda?

- Takie rzeczy już się zdarzały - odparł Palm.

- Kiedy? - zapytała Riita Peltonen.

- W ciągu ostatnich dni. Po zabójstwie - odpowiedział Winter. Z jednej z klatek wyszła kobieta w czarnej chuście. Popatrzyła na Wintera, a potem ruszyła w stronę pola. - Albo minionej nocy.

Znajomi Hiwy Aziza byli rozproszeni po północnych dzielni-

cach. Choć nie było ich wielu. Człowiek nie potrzebuje wielu przyjaciół, pomyślał Winter. Ważne, żeby byli właściwi.

Siedział przed nim Alan Darwish. Pizzerię Gloria otwarto parę minut wcześniej. Winter widział, jak właściciel otwiera lokal. Widział też, jak Alan idzie z przeciwka, przez boisko. Na jego drugim końcu grupka ludzi grała w nogę.

Winter zamówił kawę. Alan podziękował. Usiedli przy oknie. Wciąż było wcześnie. Za oknem Hammarkullen powoli budziło się do życia.

Alan był w wieku Hiwy, miał dwadzieścia parę lat. Na początku unikał spojrzenia Wintera. Wpatrywał się w okno.

- Skąd znałeś Hiwę? - zapytał Winter.

- A skąd wiecie, że go znałem? - odpowiedział Alan. Wciąż nie patrzył na Wintera.

- A to była tajemnica?

- Nie...

- Więc skąd się znaliście? - powtórzył Winter.

- No... ze szkoły. Tam się spotkaliśmy. Chodziliśmy do jednej klasy.

Winter pokiwał głową. To już oczywiście wiedział.

- A kiedy skończyliście szkołę, nadal się spotykaliście?

Alan bez słowa pokiwał głową.

- Gdzie byłeś, kiedy doszło do zabójstwa?

Mężczyzna, czy może chłopak, się wzdrygnął. Wyglądał na więcej niż dwadzieścia parę lat. Wyglądał, jakby był starszy od Hiwy, choć niedużo.

Pytanie było bezpośrednie.

- Tamtej nocy byłem w domu.

Winter pokiwał głową.

- Dlaczego pan pyta?

Właściciel lokalu przyniósł Winterowi kawę i odszedł. Za oknem przeszło kilkoro dzieci. Winterowi wydawało się, że był wśród nich chłopiec w za dużych okularach, którego widzieli z Haldersem. Popatrzył na niego, jakby go rozpoznał. Jego - białoskórego mężczyznę siedzącego naprzeciwko ciemnowłosego chłopaka.

- Kiedy spotkałeś się z Hiwą ostatni raz? - zapytał Winter,

nie odpowiadając na pytanie Alana.

- Nie pamiętam.
- Dzień przed zabójstwem? Tydzień? Dwa tygodnie?
- Jakiś tydzień. Parę tygodni. Coś koło tego. Sam nie wiem.
- Według mnie to były dwa miesiące. Co ty na to?

Alan milczał.

- Według mnie nie widzieliście się przez dwa miesiące.
- Kto tak powiedział?
- Zgadza się? Tak długo się nie widzieliście?
- Nie pamiętam.
- Nie pamiętasz, czy to były dwa tygodnie, czy dwa miesiące?

-Nie.

- Masz problemy z pamięcią?
- Nie musi pan się ze mnie wyśmiewać.
- Tylko pytam. Dwa tygodnie a dwa miesiące to duża różnica.

- To... nie były dwa miesiące. Może miesiąc.

- Tak czy inaczej, dość długo. Jak na przyjaciół długo się nie widzieliście.

Alan wzruszył ramionami.

- Chciałbym wiedzieć dlaczego. Co się stało?
- Nie rozumiem.
- Co się stało? Dlaczego przestaliście się spotykać?
- A skąd pan to wie? Kto panu to wszystko powiedział?
- Nieważne. Po prostu powiedz, czy tak było, czy nie.

Alan nie odpowiedział. Znow zapatrzył się w okno. Grupa dzieci, w tym mały okularnik, już sobie poszła. Winter popatrzył tam, gdzie Alan. Zobaczył piłkę lejącą lukiem ponad wysokim ogrodzeniem. Nie było widać, kto ją kopnął. I znow się pojawiła. Leciała wysoko w górę. Tym razem najwyżej. Alan wyglądał, jakby też chciał odlecieć i zostać w górze.

To ważne, pomyślał Winter. Cholernie ważne. To się łączy ze sprawą. Nie byłem pewien, o czym mówi Shirin Wa- beri, i nie wiedziałem, czy ona sama jest. Nasrin nic o tym nie wspominała. Nie powiedziała nawet o Shirin. Dowiedzieli się o niej od kogoś innego, nie pamiętał już od kogo. Tyle już się

przewinęło nazwisk. Dużo też było tych, którzy zadawali pytania, odwiedzali sąsiadów i znajomych, dzwoniли gdzie trzeba, sprawdzali listy nazwisk, adresy, szkolne zdjęcia.

Coś poróżniło Alana i Hiwę.

Coś się stało.

Przestali się spotykać.

Alan nie chciał powiedzieć dlaczego.

W ogóle nic nie chciał mówić.

Bał się.

To Hiwa coś zrobił. Sam. Albo z tamtą dwójką.

Gdyby wiedział, co to było, wiedziałby już bardzo dużo.

Alan bał się tak bardzo, że przestał się odzywać.

Teraz też wyglądał na przestraszonego.

Co takiego zrobił Hiwa?

To musiało być coś poważnego.

Kosztowało go to życie.

Teraz Alan bał się o własne, mógł to odczytać z jego twarzy.

Hiwa już nie miał twarzy Dlaczego ją stracił?

- Dlaczego przestaliście się przyjaźnić?

- Nie przestaliśmy.

- To dlaczego się nie spotykaliście?

- Czasami tak się zdarza.

- Co on zrobił, Alan? Co zrobił Hiwa?

Alan nie odpowiedział.

- Powiedz mi.

- Nie wiem.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco. Alan szukał wsparcia za oknem, ciągle uciekał wzrokiem w tamtą stronę. Piłki nie było już widać. On też nie mógł się unieść w powietrzu.

- Alan, czego się boisz?

- Nie boję się.

- Opowiedz mi o tym.

- Nie ma o czym.

Za oknem znów pojawił się okularnik. Gapił się na Wintera jak na gwiazdę. Owszem, w pewnym sensie Winter był znaną postacią, ale nie dla tego chłopca. Dla niego był po prostu kimś obcym, kimś innym.

Winter przeniósł wzrok na Alana. Teraz wpatrywał się w stół. Był przykryty obrusem w czarno-białe pasy. Cały lokal był czarno-biały. Winter pomyślał, że nie zdziwiłby się, gdyby w którymś kącie wisiła flaga Juventusu, ale na ścianach nie było żadnych ozdób. Może to były kolory jakiegoś arabskiego klubu, FC Bagdad albo FC Amman. Leciła muzyka. Arabska, kurdyjska albo perska. Głośnika nie było widać. Winter pomyślał, że powinien się zapoznać z tym gatunkiem. Chciał go posłuchać, zagłębić się. Tej sprawie towarzyszy muzyka, łączy się z zabójstwami. Zabójcy nie wyłączyli odtwarzacza w sklepie Jimmy'ego. Nie wyłączyli tej kurdyjskiej muzyki. Muzyki dla Kurdystanu. Dla ciebie, Kurdystanie. Dlaczego dla ciebie? Czy ta zbrodnia była dla ciebie? Czy tamci zginęli dla dobra Kurdystanu? Czy to właśnie stąd te odstrzelone twarze? Czy ofiary znieważły Kurdystan? Ale nic nie wskazywało na to, że to zabójcy przynieśli płytę. Ani na odtwarzaczu, ani na płycie, ani na okładce nie było żadnych śladów. Czy to przypadek? Czy oni w ogóle słyszeli muzykę? Przed strzałami? Po nich? Czy w ogóle zwrócili na nią uwagę? Jak dotąd nikt z przesłuchi- wanych nie powiedział, że tę muzykę Hiwa puszczał zawsze, gdy miał zmianę w sklepie. Ale to w pewnym sensie była muzyka Hiwy. I Saida. I klientów. To nie była muzyka Jimmy'ego, on nie miał w domu żadnych kurdyjskich płyt. Said miał kilka - kurdyjskich piosenkarzy i piosenek. Choć to mogły być płyty Shahnaz. Ale teraz ta muzyka zamilkła. Winter przypomniał sobie jedno nazwisko: Naser Razzazi, zapewne jedna z największych gwiazd. Nagrał płytę, która miała w tytule jakieś miasto. Nie pamiętał jakie. Widział ją u Rezaiów.

Dobiegł go głos Alana.

- Nie wiem, czym oni się zajmowali.
- Co powiedziałeś?
- Ze nie wiem, czym oni się zajmowali.
- Czym się zajmowali? A więc czymś się zajmowali.

Alan nie odpowiedział.

- Oni, czyli kto? Kogo miałeś na myśli?
- Nie wiem.

- Daj spokój. Przecież coś chciałeś przez to powiedzieć.

- Nie, przysięgam. Nie wiem, o co mi chodziło. Po prostu o to, że to nie była jedna osoba.

- A kto powiedział, że coś robili?

Alan milczał.

- Alan!

Mężczyzna stojący przy ladzie podskoczył, kiedy usłyszał podniesiony głos Wintera. Winterowi wydawało się, że zna Alana. Albo przynajmniej go kojarzy. To Winter zaproponował ten lokal.

- Nikt. Ale coś się działo. Tylko nie wiem co.

- Jak to?

- Wydawało mi się, że Hiwa czym się zajmuje. Jakimiś interesami. Nie wiedziałem czym.

- Nie wierzę ci. Nie wierzę.

Alan pokręcił głową.

- Chodziło o Jimmy'ego, Hiwę i Saida?

- Nie wiem. Nie znałem tamtych dwóch.

- Spotkałeś ich kiedyś?

- Kiedyś tak. Byłem przecież w sklepie. Może Saida.

O ile to był on.

- A Jimmy'ego?

- Kiedyś.

- A Husseina?

- Kogo?

- Husseina Husseina. On też tam pracował.

- Nie znam go.

- Był pracownikiem Jimmy'ego. Może pracował na pół etatu, jak Hiwa. Prawdopodobnie też na czarno.

- Ale jego... jego... - Alan nie skończył.

- Jego tam nie było. To prawda. - Winter pochylił się nieco do przodu. - Nie było go tam, kiedy przyszli zabójcy.

Nagle Alan spojrzał mu prosto w oczy.

- Jak on się nazywa? Hussein? To on to zrobił?

- Nie wiemy.

Alan wyglądał, jakby się zastanawiał nad imieniem, które usłyszał.

- To między innymi dlatego siedzę tu i rozmawiam z tobą, zamiast siedzieć w domu i zbierać z dziećmi kwiaty do przybrania drzewka.

Oczy Alana zrobiły się szkliste.

- Poznałeś go? - zapytał Winter.

- Nie. Albo nie wiedziałem, że to on.

- Czy on mógł być zamieszany w to, czym się zajmował Hiwa?

- Nie wiem.

- Czy Hiwa wymieniał ldedyś jego nazwisko?

-Nie.

- Jesteś pewien?

- Nie przypominam sobie. Ale nie, nie wydaje mi się.

- Co takiego robił Hiwa?

- Nie wiem.

- Wiem, że wiesz. To dlatego nie chciałeś się z nim więcej spotykać. Co to było? Czym się zajmował?

Alan milczał.

- Przez to zginął! Musiało to być na tyle poważne, że go przez to zabili. To dlatego się boisz? Bo wiesz, kto to zrobił? Bo zaczną cię szukać, jeśli się dowiedzą, że nam powiedziałeś?

Kiedy to powiedział, Alan wbił spojrzenie w okno, jakby wiedział, że ktoś tam stoi i ich obserwuje. Jakby ktoś wiedział, że się wygadał. Wyglądał, jakby chciał pomachać ręką i krzyknąć: Nie, nic mu nie powiedziałem!

- Czy Nasrin wie?

Alan aż podskoczył. To było coś więcej niż zaskoczenie. Winter nie wiedział, co to było, ale chłopak nagle spał się jeszcze bardziej, jakby był ze stali. Winter pomyślał, że wkroczył na kolejne pole minowe. W kolejną strefę ciszy.

- Ale o czym? O czym miała wiedzieć Nasrin?

- O tym, o czym rozmawiamy. O tym, co robił Hiwa i jego wspólnicy. O tym, o czym wiesz, ale nie chcesz mi powiedzieć.

- Ja nic więcej nie wiem. Chcę już iść. - Rzucił okiem w stronę lady. Właściciel lokalu też na nich spojrzął. Spojrzął na kawę stojącą przed Winterem. Winter nie wypił nawet jednego łyka, zupełnie o niej zapomniał. - Mogę już iść?

- Mógłbym cię zabrać na komendę - odpowiedział Winter. - Tam kontynuowalibyśmy tę rozmowę.

- A to się nie nazywa przesłuchanie?

- Na komendzie to jest przesłuchanie.

- Na jak długo? Jak długo moglibyście mnie trzymać?

- Dwanaście godzin.

- Ale wtedy ominęłoby pana świętowanie Midsommar

- odparł Alan. Winter widział, że chłopak nie żartuje. Nie uśmiechał się. - Zbieranie kwiatów i w ogóle.

Winter pokiwał głową.

- Nie chcę tam spędzić dwunastu godzin - powiedział Alan.

- Rozumiem.

- Jeśli będę musiał, to trudno. Ale nie mam nic więcej do powiedzenia.

Winter wstał. Alan znów się wzdrygnął. Nie wyglądał, jakby był gotów przesiedzieć dwanaście godzin. Sześć i jeszcze sześć.

- Przemyśl to - powiedział Winter. Wyciągnął portfel i podał Alanowi wizytówkę. - To numer mojej komórki. Możesz zadzwonić, kiedy zechcesz. - Spróbował się uśmiechnąć. - Nawet dziś. W Midsommar.

Alan chyba próbował odwzajemnić uśmiech.

Wziął wizytówkę i też wstał.

- Nie ma po co - powiedział.

Ale wziął wizytówkę.

Winter myślał o tej rozmowie, kiedy wracał do centrum. Alan sprawiał wrażenie, jakby miał coś do powiedzenia, coś ważnego, i jakby potrzebował kogoś, komu będzie mógł się zwierzyć. Wziął wizytówkę. Przypomniał sobie minę, jaką zrobił, sięgając po nią. Chłopak to przemyśli. Zadzwoni. Może dziś. Nie można przesadzić ze sznapsami u Fredrika. No i żadnej whisky. No, może trochę.

Hama Ali Mohammad siedział na trawie na skraju parku. Tutaj czuł się bezpiecznie. Dzieci biegały wokół majowego drzewka. Hamie nawet się to podobało. Nie widział nikogo znajomego, trzymał się miejsc, w których nikt go nie znał

- na przykład tutaj, w Gunnilse, mieszkali sami Svenssono-

wie. Tutaj ludzie go widzieli, ale mieli go gdzieś. Patrzcie, jaki pijany. Wiedział, że tak myśleli, ale olewał to. To nie miało żadnego znaczenia.

Wstał i ruszył.

Nie miał ochoty ukrywać się w jakiejś norze.

Wsiadł do autobusu i pojechał do centrum. Okolice galerii handlowej Nordstan były wyludnione.

Na ulicach było pusto. Jak nigdy. Svenssony zaczęły świętować swoje Midsommar. I dobrze, jemu to pasowało. Będzie można coś zwinąć. Na świecie jest przecież mnóstwo kasy, a on był sam.

Wrócił tramwajem.

Tu też pustki.

Zobaczył grupkę ludzi i schował się za budynkiem. Znał ich, chociaż wolałby nie znać.

Słońce świeciło mocno, zupełnie jakby spełniły się wreszcie dawne idiotyczne marzenia jego matki o dawnej ojczyźnie. O pustynnym słońcu. Słońcu dla wielbłądów. Mamy dwie wiadomości: dobrą i złą. Najpierw ta zła: do jedzenia jest tylko wielbłądzie łajno. A dobra: jest go całe mnóstwo.

Wtedy go zobaczył. Szedł pod ścianą, w cieniu. Uniósł rękę. Siema, ziom. Tak powiedział.

Hama wszedł w cień.

KOMENDA BYŁA TAK SAMO WYLUDNIONA jak wszystkie szwedzkie miasta tego dnia. Idąc korytarzem, Winter słyszał własne kroki. Bywało już tak, ale tylko w święta pustka była tak przejmująca. Nie pierwszy raz zjawił się w komendzie, podczas gdy wszyscy inni pracownicy spędzali czas z rodziną i znajomymi. Ale i on spędzał czas w rodzinie - dużej rodzinie połączonej więzami zbrodni. W rodzinie, której członkowie stali po dwóch stronach granicy prawa. Choć teraz, pomyślał, trudniej tę granicę znaleźć. Przez lata, które tu przepracował, przesunęła się o wiele kilometrów. Czy w ogóle jeszcze istnieje? Którędy biegnie? Może nadeszły czasy społeczeństwa nieznającego granic? Nieznającego granic miłości. I nienawiści.

Echo niosło się po ceglanych korytarzach. Słyszał je, ale wydawało mu się, że żyje własnym życiem, że nie ma nic wspólnego z jego krokami. W jednym z pokojów ktoś odkasznęła. Niemiły odgłos dał się słyszeć przez otwarte drzwi. Rozpoznał go.

- Więc jeszcze tu jesteś? - zapytał, stając w progu.

- Raczej dopiero co przyszedłem - odparł Ringmar zza biurka.

- Myślałem, że jesteś w domu i odpoczywasz.

- Naprawdę tak myślałeś?

- Nie.

- Wypoczęty muszę być dopiero za godzinę.

Winter spojrzął na zegarek.

- Za dwie i pół.

- Przez ten czas dużo zdążymy zrobić.

- Na przykład?

Ringmar wskazał na papiery i zdjęcia rozłożone na biurku.

- Możemy poukładać puzzle.

- To to są puzzle?

- A jak inaczej byś to nazwał?

- Nie wiem. Masowa egzekucja.

- A do tego jeszcze jedna, pojedyncza zbrodnia. Zabójstwo Shahnaz Rezai.

- Będzie ich więcej?

- Biorąc pod uwagę wszystkie nieznanne nam czynniki... to możliwe.

- Dlaczego?

- Bo w tej sprawie nie możemy się niczego dowiedzieć.

- Dlaczego nie możemy?

- Ludzie się boją. Wszyscy, których ta sprawa dotyczy, są wystraszeni.

- Dlaczego się boją?

- Bo wiedzą.

- Co wiedzą?

- To, czego my chcemy się dowiedzieć.

- A może jest na odwrót - powiedział Winter.

- Jak to?

- Boją się, bo nie wiedzą.

Ringmar nie odpowiedział. Pracowali ze sobą od lat i kiedy robili burzę mózgow, zawsze przynosiło to jakiś skutek. Taki czy inny. Gdzieś w tej szybkiej wymianie słów i myśli znajdowała się odpowiedź na ważne pytania. Czasami na początku, czasami w środku, czasami na końcu coś się wyłaniało i prowadziło ich dalej. Zgodnie z bezcenną policyjną tradycją nie zapisywali tych prowadzonych w błyskawicznym tempie dyskusji. To byłoby niemożliwe. Ale to, co wartościowe, zostawało w pamięci. Może i dziś trafi im się coś takiego. W przeciwnym razie będzie to beznadziejna strata czasu. Zwłaszcza że mieli na głowie co innego, na przykład świętowanie Midsommar.

- Ta sprawa ewidentnie wstrząsnęła okolicą.

- Ta okolica jest duża.

- I tak nią wstrząsnęła.

- Wszystkimi mieszkańcami?

- Prawie, jeśli wierzyć tamtejszej policji. A właśnie, przed chwilą rozmawiałem z Sivertssonem. - Ringmar kiwnął głową w stronę telefonu, jakby chciał pokazać, jak z nim rozmawiał.

- I co mówił?

- To, co powiedziałem. Ze ludzie są wstrząśnięci. Gangi się niepokoją. Są przyzwyczajone do tego, że wiedzą, a teraz wiedzą niewiele albo i nic. Jeśli dopisze nam szczęście, skończy się wojną domową. Tak mówił Sivertsson.

- Tak powiedział?

- Holger ma poczucie humoru. Wydaje mi się, że chodziło mu o *survival of the fittest*¹⁵. Potem do przymknięcia zostanie już niewiele.

- Ale to będą ci najsilniejsi.

- To prawda.

- Najwidoczniej nie da się ominąć teorii Darwina - powiedział Winter.

- A czy wszystko się wokół niej nie kręci?

- Sivertsson mówił coś o informatorze Braciszka?

- Nic nie wiedział. Kazał się kontaktować z Braciszkiem. Oni tak właśnie pracują.

- Braciszek powinien już do mnie zadzwonić. I to już jakiś czas temu.

- To pewnie oznacza, że źródło się nie odnalazło.

- Szukamy podejrzanego o morderstwo, a do tego informatora.

- A jeśli to ten sam człowiek?

- Nie. Nawet Braciszek nie byłby tak tajemniczy, do cholery.

- Może nie wie? Może nie wie o swoim źródle wszystkiego? - Ringmar wstał. - Pytałeś go?

- Na pewno sam o tym pomyślał.

- A jest równie dobry w myśleniu, jak my?

- Jak ty, Bertil. Równie dobry, jak ty.

Winter się uśmiechnął. Miłe uczucie. Choć twarz miał nieco napiętą, jakby skóra nie była przygotowana na uśmiech. Bo ostatnie dni były napięte, trudne. Wydawało mu się, że przez ostatni tydzień w ogóle nie spał. Tak bywało. Siedemnastogodzinny dzień pracy kilka tygodni z rzędu. Taka praca. I do diabła z tymi, którzy twierdzą, że jest inaczej, że policjanci zapominają o pracy, wychodząc z biura. A niech to,

15 Przetrawianie najsilniejszych.

przecież on prawie w ogóle nie bywa w biurze! Jego biuro jest na ulicy, w domach niewinnych, ale i winnych, w więzieniu, w prosektorium, na łąkach, nad jeziorami, w rowach i w lasach, w blokach i w willach, na autostradach, nad morzem i na szczytach gór. Bywa wszędzie.

- Rozmawiałem z Sivertssonem jeszcze o czymś - powiedział Ringmar. - To znaczy on rozmawiał ze mną.

- W porządku, Bertil, to nie ma znaczenia, jeśli tylko zapamiętasz, że rozmawiacie ze sobą. O czym?

- O prostytutce.

- O prostytutce?

- Tak. Albo o handlu ludźmi. Przecież wiadomo, że w całym mieście jest z tym problem. I cholernie trudno wytropić takie sprawy.

- Handel ludźmi? W północnej części miasta?

- Ludzie Sivertssona próbują rozbić jakąś szajkę, ale to niełatwe. Dziewczyny są przewożone z mieszkania do mieszkania. Już wiele razy zmieniali lokale.

- Wiedzą, kto za tym stoi? Kto należy do szajki?

- Wydawało im się, że wiedzą.

- Co to znaczy?

- Najwyraźniej pojawił się inny trop albo wiele innych. I to wszystkie naraz. Sivertsson jeszcze nie wie za dużo, ale ktoś z jakiejś młodzieżowej grupy słyszał o wykorzystywanych dziewczynach. Bardzo młodych. W wieku szkolnym.

- W wieku szkolnym? Czyli ile mają lat?

- Nie wie.

- Są z zagranicy? Szmuglują je tu z zagranicy?

- Tego też nie wie.

- To co wie?

- Na razie to najwidoczniej tylko plotka. Mówił, że takie plotki pojawiają się często. I to nie tylko na temat prostytutki. Teraz jest inaczej, bo nie potrafią powiązać z tą sprawą żadnej twarzy.

- To jego słowa?

- Tak...

Winter pokręcił głową.

- I co mają zamiar zrobić? - zapytał.
- Sivertsson ma to przemyśleć i spróbuje się dowiedzieć więcej.
- Ale rozumiem, że to co innego niż ta szajka alfonsów, którą tropią od jakiegoś czasu?
- Najwidoczniej tak.
- Jakiej są narodowości?
- Szajka? Chyba wspominał o Albańczykach i, oczywiście, o Bałtach.
- Albańczycy i Bałtowie? To dwa bieguny Europy. Proszę, cóż za wspólnota, większa niż Unia Europejska.
- Kryminaliści często wyprzedzają innych o krok.
- Ale tym razem to nie były znane im typy?
- Może nie.
- Skąd Sivertsson o tym wie?
- Pewnie od jakiegoś źródła.
- Przekłęte źródła! Potrzebuję czegoś więcej niż anonimowego gdybania niewidzialnych źródeł.
- Hm...
- Ale przyjrzymy się temu. Popytamy. -No.
- Kogo powinniśmy zapytać?
- Ja zapytałbym Husseina Husseina - powiedział Ringmar. - Mam do niego wiele pytań.

W pokoju panował zaduch, jak w rzadko odwiedzanych pomieszczeniach. Kilka lat temu postanowił, że w tym pokoju z ponurym widokiem na kanał będzie spędzał tak mało czasu, jak tylko się da. Nie musiał tu siedzieć. Ludzie, z którymi miał rozmawiać, byli gdzie indziej, u siebie, tam, gdzie czuli się bezpiecznie. Albo niebezpiecznie. Czasami, jeśli musiał, przeprowadzał w tym pokoju przesłuchania czy rozmowy, ale najczęściej mógł pracować, gdzie chciał. W tym sensie był jak freelancer. Lepiej niż w biurze czytało mu się w domu. Przynajmniej nocami, kiedy było cicho. Założył też biuro w barze przy Kungstorget, tam również dobrze mu się myślało. Podobnie było w barach na Costa del Sol, choć tamtejsze myśli były inne od tych, których potrzebował tutaj, na północy. Teraz już nie pamiętał, co takiego przychodziło mu do głowy w

słońcu, czy raczej w cieniu, ale to były dobre myśli, takie, które koją i leczą. Natomiast te, które musiał snuć teraz, nie przynosiły ukojenia. Kiedyś mogły przynieść ukojenie bliskim ofiar, o ile uda mu się złapać sprawcę lub sprawczynię. Wiedział jednak, że cokolwiek by zrobił, i tak ich nie pocieszy. Więc robił to raczej dla siebie.

Otworzył okno i zaciągnął się świeżym powietrzem. Widok był do niczego, ale powietrze niezłe. Delikatne, bo akurat ta strona budynku była pogrążona w cieniu. Wspaniały dzień. Po drugiej stronie kanału zaterkotał tramwaj. Jechał na północ. Winter nie widział w nim pasażerów. Wszyscy, którzy chcieli się znaleźć w północnej części miasta, już tam byli.

Włączył odtwarzacz, nie wiedząc nawet, jaką płytę w nim zostawił. Ostatnio słuchał go chyba tydzień temu, może pół roku temu. John Coltrane, cóż za niespodzianka. I to nie sam, ale w niezwykłym towarzystwie piosenkarza Johnny'ego Hartmana, jednego z najlepszych i najmniej docenianych. *They say falling in love is wonderful*, śpiewał Hartman. Mówią, że cudownie jest się zakochać. Na biurku rozdzwonił się telefon.

-Tak?

- Telefon do Erika Wintera - powiedział kobiecy głos w słuchawce. To nowa pracownica, pewnie zastępuje kogoś, kto jest na urlopie. Nie wiedział, jak się nazywa, ale kiedy ją mijał, kiwnął głową na powitanie, a ona mu odpowiedziała, rozmawiając przez telefon.

- To ja. Kto dzwoni?

- Przedstawił się jako Braciszek. Dzwoni z Angered. Połączyć?

-Tak.

Winter czekał, aż głos Braciszka zadudni w słuchawce. Już kiedyś rozmawiał z nim przez telefon. Braciszek chyba nie wierzył, że połączenie może pokonać dystans między Angered i Skånegatan.

- Winter? Jesteś tam?! - wrzasnął.

- Jestem. - Słuchając Braciszka, musiał trzymać słuchawkę dwadzieścia centymetrów od ucha, a potem przybliżyć, kiedy sam zaczął mówić.

- Postanowiłem od razu zadzwonić do biura. Podejrzewałem, że Midsommar czy nie Midsommar, pewnie tam jesteś.

- I jak tam Marko?

- Kto?

- Marko, twoje źródło. Mówiłeś przecież, że nazywa się Marko.

- No tak. Właśnie w tej sprawie dzwonię. Nadal nie ma po nim śladu.

- Dziwi cię to?

- Tak, w sumie tak.

- Jakieś nowe okoliczności?

- Nie. Jego dziewczyna jest niezadowolona. Obwinia mnie. A w ogóle nie powinna o mnie wiedzieć.

- Co się mogło stać?

- Nie żyje albo jest już z powrotem w Kirkuku.

- W Kirkuku?

- Albo gdzieś w Kurdystanie. Bo z tego, co wiem, Kirkuk jest w Kurdystanie.

- Marko jest Kurdem?

-Tak.

- To tak jak Hiwa Aziz.

- Winter, Kurdów jest wielu, nie tylko w Góteborgu.

- A dlaczego Marko miałby nie żyć?

- Bo się nie odzywa.

- Myślisz, że sprawy zaszły aż tak daleko?

- Chyba już ci to wyjaśniałem. Myślę też, że to może być niefortunny zbieg okoliczności, jeśli można tak powiedzieć. Może moje źródło nie ma nic wspólnego z twoją sprawą.

- Nie wykluczam żadnej możliwości.

- Jak dotąd nikt się słowem nie zająknął na ten temat.

- Bo w tej sprawie w ogóle wszyscy milczą.

- To co robimy?

Wychodząc z komendy, Winter zajrzał do wydziału technicznego. Wiedział, że Öberg tam będzie. Zostawił Johnny'ego Hartmana śpiewającego serenadę do jesieni, choć do jesieni było jeszcze daleko.

- Najwyraźniej jesteśmy w komendzie sami - powiedział

Öberg, kiedy Winter wszedł do najważniejszego i najświętszego pomieszczenia w całym budynku.

- No... Bertil poszedł piętnaście minut temu.

- A ty nie idziesz do domu świętować Midsommar?

- Idziemy do Fredrika i Anety.

- Do Haldersa? Tak dobrze się dogadujecie?

- Teraz ma o mnie lepsze zdanie niż kiedykolwiek. To pewnie dlatego, że nie było mnie pół roku.

- Pomyśl, jak by cię lubił, gdybyś wyjechał na rok.

- No... Albo na dłużej.

- Ja już za pięć lat odchodzę na emeryturę. Złeci jak z bicia strzelił. *A propos*, co tam u Birgerssona? Na niego chyba już niedługo przyjdzie pora?

- Za miesiąc - odparł Winter.

Za nieco ponad miesiąc szef wydziału śledczego Sture Birgersson miał odejść na dobre i zniknąć w tajemniczym świecie swojego prywatnego życia. Nikt nie wiedział, gdzie ten świat jest ani jak wygląda. Nie wiedział nawet Winter, jego najbliższy współpracownik. Jak dotąd do prywatnego świata Birgerssona najbardziej zbliżył się w zeszłym roku, kiedy Birgersson rozplakał się przy oknie w swoim gabinecie. Potem ocierał łzy w barze, w jego towarzystwie. To była wyjątkowa chwila. Birgersson wreszcie okazał słabość. Winter żałował, że nie zdarzyło się to jakieś osiemnaście lat wcześniej. To by bardzo pomogło młodemu śledczemu.

Oberg wskazał na rozłożone na stole powiększone zdjęcia spalonego wraku.

- Ten samochód jest interesujący - powiedział.

- Mam nadzieję.

- Znaleźliśmy zachowany kawałek ochraniacza na buty.

- Świetnie.

- Choć o odciskach stóp wokół samochodu nie mogę powiedzieć zbyt wiele.

- Aha.

- Linköping odezwie się po weekendzie.

- Czekam też na wiadomości z Borås.

- A kto nie czeka?

- Mam nadzieję, że coś z tego będzie.
- Ja nigdy nie mam nadziei.
- Torsten, mogę cię o coś zapytać?
- O wszystko, jeśli tylko wiąże się to z pracą.
- Ile osób jest w to zamieszanych? Z iloma zabójcami mamy do czynienia?
- Zacząłeś od najtrudniejszego pytania.
- Wiem.
- Właśnie taki mieli plan. Mówię o sprawcach. Chcieli, żeby było nam trudno to stwierdzić. Wystarczy spojrzeć na broń i amunicję. Ochraniacze na buty. I zwłoki. I na tę kobietę na Rannebergen.
- To właśnie tu musimy znaleźć wspólny mianownik. Między Hjällbo a Rannebergen.
- Ale przecież już mamy wspólny mianownik - Rezaiów.
- Ale to za mało. Musimy zrozumieć, co łączy te sprawy. Musimy mieć ślady, inaczej nigdy tego nie pojmiemy.
- Robimy, co możemy.
- Ale po co bawili się w podpalanie samochodu?
- Nie wiem, Erik.
- To się nie zgadza z resztą, to zbyt amatorskie posunięcie. Samo zabójstwo było niewiarygodnie brutalne, przypominało egzekucję, ale nie było amatorskie.
- Na początku nie, ale może potem coś się stało, może wpadli w panikę.
- Po tak długim czasie od zabójstwa?
- Może w tym czasie coś się stało z samochodem. Może nagle musieli się go pozbyć.
- Myślę, że wiedzieli, co robią. To była część planu.
- Więc nie ma sensu pracować nad śladami z miejsca spalenia?
- Wręcz przeciwnie.
- Jak to?
- Może oni wiedzą, że znajdziemy ślady, ale nie wiedzą, jak je wykorzystamy.
- Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz.
- Kiedy ich złapię, będę wiedział.

- Od tego, co znaleźliśmy w mieszkaniu Jimmy'ego Foro, nie jesteśmy wiele mądrzejsi. Jak choćby od tego guzika.

- Prawie o nim zapomniałem.

- *À propos* zapominania, pytałeś, ilu było zabójców.

Winter przytaknął. Kiedy poruszał głową, czuł ból. I znów zakłuło go nad okiem, choć tylko na dwie sekundy. Sprawę pogarszały słoneczne refleksy tańczące po laboratorium Oberga - odbijały się od stalowych blatów. Nagle poczuł, że chce być gdzieś daleko, gdzieś w cieniu, że chce tańczyć. Miał już serdecznie dość śmierci.

- Dwóch - powiedział Öberg.

Zabrzmiało to jak cios. Dwa ciosy. Mocne. Ale Winter się tego spodziewał.

- Jak do tego doszedłeś?

- Pamiętaj, że to wciąż tylko spekulacje, Okej?

- Jasne.

- Przemawia za tym kilka rzeczy-wyjaśnił Öberg. - Ślady, które zostawili w krwi, chodząc po podłodze w ochraniaczach. Popatrz.

Pochylił się i wyciągnął kilka zdjęć schowanych na półce pod blatem. Podszedł do innego stołu i rozłożył na nim odbitki. Winter podszedł bliżej. Znów zobaczył Morze Czerwone. Białe kreski, które narysował na nim Öberg, wyglądały jak wypalone. Przecinały się, nie miały jednego określonego kierunku.

- Nie jestem pewien rozmiarów. Przez te ochraniacze nie da się ich określić, ale wygląda na to, że jeden był większy, drugi mniejszy.

- A co to znaczy?

- To, co mówię. Ze jeden był większy od tego mniejszego.

Boże, co za absurd. Ból nie odpuszczał. Winter miał wrażenie, że teraz jego głowa - przed chwilą mniejsza - zrobiła się większa.

- To znaczy o ile większy? - zapytał. - Albo mniejszy?

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

- Ale sprawców było dwóch?

- Na to wygląda. - Öberg wskazał na makabryczne zdjęcia. -

Widzisz chyba układ ruchów. Są tu ślady dwóch par stóp. Wygląda to tak, jakby jeździli na nartach wodnych.

- A ślady ofiar?

- Ofiary miały na nogach buty ich ślady łatwo było odróżnić. No i ci zabici nie zrobili zbyt wielu kroków.

- No tak.

- Do tego dochodzą strzały i kąt ich padania. Zgadniają się ze śladami po ochraniaczach. Strzelały dwie osoby

- I nie znalazłeś innych śladów butów? - zapytał Winter. - Wiem, że pewnie już byś mi o tym powiedział, ale... teraz, kiedy już wiemy, gdzie były ofiary, a gdzie zabójcy... to może wiadomo, czy były tam jeszcze inne ślady?

- Myślisz o Husseinie Husseinie?

- Na przykład.

- Nie. Nic więcej nie znaleźliśmy.

Winter jeszcze raz popatrzył na zdjęcia. Widoczny na nich układ ruchów mógł oznaczać wszystko, trudno było o rozsądne skojarzenia.

- Coś jeszcze przemawia za tym, że było ich dwóch? - zapytał, wskazując na zdjęcia. - Ten wzór wygląda dziwnie. Musieli się aż tak przemieszczać? Czy nie powinni być trochę bardziej... oszczędni w ruchach? Nie powinni po prostu stać i strzelać?

- Czy coś jeszcze przemawia za tą teorią? Tak. Ułożenie ciał. Nie wiemy dokładnie, kto dostał pierwszy, ale myślę, że leżeli w takiej kolejności, w jakiej ich zastrzelono. - Öberg spojrzał na Wintera. - To się stało bardzo szybko.

- Zabójcy wiedzieli, kto kogo ma zastrzelić? Teraz głośno myślę. Ustalili to wcześniej?

Öberg nie odpowiedział. Przyglądał się zdjęciom. Nagle coś przykuło jego uwagę. Jakby zauważył coś, czego wcześniej nie widział.

Spojrzał na Wintera.

- Mówiłeś o tym dziwnym wzorze. I o układzie ciał. Wcześniej o tym nie myślałem, to znaczy nie do końca. Może ty też się nad tym zastanów. - Znow zapatrzył się na zdjęcia. - Omówimy to potem.

- To znaczy co?
- To, jak się przemieszczali ci w ochraniaczach. - Öberg wskazał palcem na zdjęcie. - Tu, tu i tu. Przy ladzie, tam, gdzie leżał Aziz. Widzisz? Tu ślady jakby się krzyżowały.
- Widzę. Właśnie to mnie zastanowiło. Co to oznacza?
- Wygląda to tak, jakby zabójcy zachodzili sobie drogę.

NARESZCIE PRZEKROCZYLIŚMY GRANICĘ. Tak przynajmniej wszyscy mówili. Byliśmy gdzieś w okolicach Zaxo, choć dla ciebie ta nazwa pewnie nic nie znaczy. Jest tam też Batifa, Amédi, Sersink, Kanimasi. Zналиśmy wszystkie nazwy w okolicy, ale dla ciebie one też są bez znaczenia. Dla nikogo nie znaczą, tylko dla nas. Są częścią naszego kraju, który nie istnieje. Ty tego nie zrozumiesz. Nikt, kto ma własny kraj, tego nie pojmie.

Dla ciebie ten krajobraz nic nie znaczy. Mogę opowiedzieć, jak wygląda, ale po co. Chcesz posłuchać? Może myślisz, że wiąże się z tym, co się stało? Może tak. Ale w Szwecji wszystko wygląda inaczej. Owszem, macie tu skały, ale zupełnie inne. Macie też piach, ale on pasuje tylko do tutejszych plaży. A u nas nie ma plaży. Nie myślimy o nich w ogóle. Nie tak jak wy. O morzu też nie. A u was morze jest na wyciągnięcie ręki.

Czasami nad nie jeździliśmy. Wtedy, kiedy trafiliśmy do waszego kraju, waszego miasta. Raz pojechaliśmy po południu. Najpierw tramwajem, potem przesiedliśmy się w autobus. A potem szliśmy kawałek, aż dotarliśmy nad morze. To było dawno temu. Dla mnie jakby w innym życiu. Ale jesteśmy tutaj, w tym innym życiu. Tu przyjechaliśmy. Choć naszą drogę do waszego kraju można by opisywać dłużej. Wiele się wydarzyło. Przekroczyliśmy granicę, ale nie mieliśmy dokumentów. Wyrzuciliśmy je. Ktoś powiedział, że tak trzeba, bo inaczej ktoś nam je zabierze i wykorzysta jeszcze raz. Kolejni uchodźcy przybiorą nasze nazwiska, a wtedy stanimy się kimś innym, bez przerwy będziemy przekraczać granicę, w tę i z powrotem. A wtedy nigdy byśmy się stamtąd nie wydostali. Rozumiesz? A skoro przyjechaliśmy tutaj bez dokumentów, nie mieliśmy nazwisk. Byliśmy nikim. Nikt nam nie ufał. Wszyscy myśleli, że wyrzuciliśmy dokumenty, bo jesteśmy jak ci inni. Ze właściwie nie chcieliśmy opuszczać swojego kraju, że wyjechaliśmy dla pieniędzy, dla lepszego klimatu, smaczniejszego jedzenia czy bardziej miękkiego łóżka.

A nie dlatego, że musieliśmy wyjechać ze swojego kraju, który ponoć nie jest nasz. Nie dlatego, że zmuszono nas do ucieczki. Ucieczki! Nie dlatego, że ginęliśmy! Choć wielu z nas umarło. A to tak, jakby mój tata nie umarł, jakby nie został zabity tak jak trzeba, a przecież nie żyje. I to właśnie jest najstraszniejsze.

Potem przez wiele dni i nocy nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Mijaliśmy nowe i stare granice. Mama zachorowała. Pewnej nocy powiedziała, że już nie da rady. To było w pociągu, w wagonie towarowym albo w ciężarówce. A może w namiocie. Może wtedy nawet przemytnicy nie wiedzieli, co się stanie. Słyszeliśmy, że ludzie znikają. Bardzo się baliśmy. Bez przerwy.

NA STOLE STAŁY ŚWIEŻO ZERWANE KWIATY To Aneta je zebrała. Rozłożyła też niebiesko-żółty obrus. Winter i Angela przynieśli dziewczynki na barana. Winter zauważył, że Elsa z roku na rok robi się coraz cięższa. Dobry Boże, niedługo będzie tak ciężka, że będzie mogła iść do szkoły.

- Szliście pieszo całą drogę? - zapytał Halders. Wyszedł po nich do furtki.

- Faktycznie tak się czuję - odparła Angela, ściągając z pleców Lilly.

- Cześć, Lilly!

Mała schowała się za nogą Angeli. Zrobiłbym to samo, pomyślał Winter.

- Cześć, Elsa. - Halders wyciągnął rękę.

- Cześć, wujku! - Elsa przywitała się z Haldersem.

- I tak się właśnie wita z wujkiem - odparł Halders. - Musisz nauczyć młodszą siostrę.

- Zrobi się.

Halders popatrzył na zegarek.

- Za godzinę powinna to potrafić. Wtedy spotkamy się znów. W tym samym miejscu.

Elsa z uśmiechem pokiwała głową. Już zdążyła się przyzwyczaić do Haldersa.

- A gdzie Magda i Hannes? - zapytała.

- Zajmują się majowym drzewkiem. Za chwilę zaczniemy je przybierać. Czekaliśmy tylko na ciebie i Lilly.

Pośród zielonych gałązek, którymi przybrali drzewko, znalazło się co najmniej siedem kwiatów.

Wszyscy razem ustawili drzewko w dziurze, którą Halders przed południem wykopał z dziećmi na trawniku.

Zatańczyli wokół drzewka co najmniej siedem tańców. Zaliczyli też większość piosenek, gier i zabaw. Dla Lilly wszystko to było nowe. Winter pokazywał jej kolejne ruchy, a Lilly zanosila się śmiechem, który stopiłby górę lodową.

Do śledzia Halders zaserwował Ödäkra Toffel i Brøndums Kummenakwavit - dwie najlepsze na świecie wódki kminkowe. Siedzieli w ogrodzie, wokół dużego stołu, a dzieci krążyły w tę i z powrotem. Aneta upiekła kielbaski, a Magda przyrządziła pulpeciki. Do śledzia Halders podał śmietankę. Wspaniale komponowała się z miękkim masłem, pastą ze śledzia, młodymi ziemniakami i szczypiorkiem. Okazała się lepsza od tradycyjnej kwaśnej śmietany.

- Przepis mojej babci ze Smålandii - powiedział Halders. - Na zdrowie!

Wzniesli toast i zaśpiewali.

Winter miał wrażenie, że wódka chłodzi mu gardło niczym lód. Pewnie butelki stały w lodówce od nie wiadomo ilu godzin. Teraz parowały na stole. Jeśli butelkę dopiero co wyjęto z lodówki, niebezpiecznie jest wypijać cały kieliszek naraz. Alkohol może uderzyć w przewód pokarmowy ciężko niczym ołów. W tym sensie szwedzki midsommarowy śledzik może być równie groźny, jak japońska ryba fugu. Do stołu siada się na własne ryzyko.

- I jak śledź? - zapytał Halders z niepokojem, kiedy zaczęli jeść.

- Naprawdę dobry - odparł Ringmar z widelcem zawieszonym w powietrzu.

Birgitta, jego żona - siedziała naprzeciwko - przytaknęła. Chwilę wcześniej Winter serdecznie ją uściskał. Ringma- rowie przyszli spóźnieni. Na początku Birgitta wyglądała na zmęczoną, ale teraz chyba dobrze się bawiła. Może to dzięki wódce. Aneta podała też białe wino, ale najpierw wszyscy sięgnęli po wódkę. To był rytuał, coś więcej niż tradycja. W końcu byli w Szwecji, współtworzącej pas krajów północy niestroniących od kieliszka.

- Niełatwo znaleźć dobrego śledzia - powiedział Halders. - To jak loteria. Marka, która jest dobra w tym roku, w następnym jest już do niczego.

- Śledź zawsze jest do niczego - powiedziała Magda. Elsa się zaśmiała.

- Cicho, dzieciaki - uciszył je Halders z uśmiechem. - Jak dorośnięcie, pokochacie śledzia.

- Nigdy!
- O nie, błeee - dodała Elsa.
- Kiedy byłem mały, mówiłem jak wy, a teraz spójrzcie!
- Halders uniósł kawałek śledzia.
- I byłeś dziewczynką? - zapytała Magda z niewinną miną.
- Wszyscy wybuchnęli śmiechem.
- No to zaśpiewajmy - zaproponował Halders.
- Helan går, sjung hopp faderallan lallan lej!*¹⁶
- A jak idzie Moi w sądzie rejonowym? - zapytała Angela.
- Wygląda na to, że nieźle - odparła Birgitta. - Dobrze się tam czuje.
- W tamtych stronach ludzie są inni.
- Mówimy o Eksjó, tak? - zapytała Angela.
- Tak.
- Na jak długo dostała tę posadę?
- Na razie zastępuje kogoś do końca roku. A potem i ona, i pracodawca zobaczą.
- A nie mieli przypadkiem zamykać oddziałów sądowych w mniejszych miastach? - zapytał Winter. - Wydaje mi się, że gdzieś o tym ostatnio czytałem.
- Może wreszcie poszli po rozum do głowy - stwierdził Ringmar.
- Socjaldemokraci? - wtrącił Halders. - W życiu.
- A gdzie mieszka? - zapytała Angela.
- W ładnym starym mieszkaniu w centrum, cokolwiek to słowo oznacza w małym mieście. Za kilka tygodni wybieramy się do niej z wizytą. Ładnie tam. To takie stare, drewniane miasteczko.
- To jedyne, czego socjaldemokratom nie udało się w tym kraju zniszczyć - powiedział Halders.
- A w innych krajach im się udało? - zapytała Aneta.
- Co?
- Powiedziałeś: w tym kraju. Więc pytam, w jakich innych krajach udało im się zniszczyć miasta.
- W Górnej Wolcie.
- Więc teraz macie w rodzinie prawniczkę - powiedział

¹⁶ *Cala setka schodzi, zaśpiewajmy...* - tradycyjna przyspiewka do pierwszego toastu.

Winter.

- Może się przydać - odparł Ringmar.

- A Martin podobno pracuje w Sydney?

- Tak... Ale na trochę przeniósł się do Singapuru. To znaczy krąży między Kuala Lumpur, Singapurem i Bangkokiem. Mają tam sieć hoteli. Chyba Shangri-La, co? - Ringmar odwrócił się do żony. - Martin pracuje dla hoteli Shangri-La?

- Tak mi się wydaje.

- Trzeba tam pojechać i sprawdzić - powiedział Winter.

- Myśleliśmy o tym - odparł Ringmar. - Może na święta.

- Wciąż jest szefem kuchni?

- Tak. Nie stoi już przy garach.

- Wspaniale - wtrąciła Angela.

- Ze nie stoi przy garach? - zapytał Halders.

- A my nie moglibyśmy pojechać do Kuala Lumpur? - zapytała Aneta.

- Najpierw chcę pojechać do Eksjö - odparł Halders. - Muszę na własne oczy zobaczyć miejsce, któremu udało się nie paść ofiarą szaleństwa socjaldemokratów. To zupełnie jak zwiedzanie antycznego miasta, które uchowało się do dziś. Albo czegoś, co przetrwało Dżyngis-chana. - Halders podniósł kieliszek. - No to za rok jedziemy do Eksjó.

- Do Eksjó! - krzyknęli wszyscy i napili się. Wódka do śledzia ma tę niesamowitą właściwość, że nie uderza do głowy. Może to dzięki konsystencji śledziowej sałatki. Jeśli się pije sznapsy w równych odstępach, a do tego łączy się je ze słabym piwem, człowiek się nie upija. Dziwne, ale prawdziwe. Dzięki temu midsommarowy śledzik jest niesamowitym poczęstunkiem. Zupełnie jakby się miało kieliszek z wódką zawieszony na sznurku w gardle.

Halders właśnie zaintonował tę piosenkę:

*Tank om jag hade lilla nubben uppä ett snöre i halsen
Jag skulle dra den upp och ner Så att den kändes som
mångafler*¹⁷.

Siema. Nie mogę tak mówić? No dobra, nie to nie. To po

¹⁷ Tradycyjna przyśpiewka: *Ach, gdybym miał w gardle kieliszek na sznurku, ciągnąłbym go to w dół, to w górę, żeby poczuć, że mam ich wiele.*

prostu mój język. Ja tak myślę, a nie tylko gadam. Nie chcę być takim ugrzecznonym frajerem jak większość Svenssonów. Ale dobra, spoko. A w ogóle to nie sądziłem, że przyjdiesz. Dlaczego? Bo w sumie sam nie wiedziałem, czy tu będę. W każdym razie jeszcze wczoraj nie wiedziałem. Co robiłem? Staralem się nie rzucać w oczy. Wszędzie pusto jak cholera. Czy z kimś gadałem? A skąd, z nikim. Czekałem na twój hajs. Mój hajs. Moje pieniądze! Obiecałeś, że będą moje. Przecież byłem cicho, nie? Słowem się nie odezwałem. Chcę hajs już teraz. Masz go przy sobie? Co mówisz? Gdzie indziej? Niby gdzie? Tam na górze? No dobra. O to też muszę cię zapytać. Nie no, jasne, że tutaj nie. Czaję. Ale psy są wszędzie, może myślą, że... Mnie też chcą przesłuchać. Czaisz? Przesłuchują wszystkich. Wszystkich! Wszędzie węszą. Dobra, dobra. Już idę, przecież powiedziałem.

Lilly się zdrzemnęła. Winter przysiadł na brzegu łóżka. Przed chwilą powoli się podniósł - wcześniej leżał przy Lilly, żeby mogła zasnąć. Przez chwilę się kręciła. W pokoju pachniało kwiatami i słońcem. Domyślił się, że to sypialnia Magdy - urządzona jak dla dziewczyny. Nad łóżkiem wisiały plakaty z końmi. Może za parę lat i on będzie musiał wozić dziewczynki do Alleby. Od niepamiętnych czasów działała tam szkołka jeździecka. Czy przypadkiem Lotta tam nie chodziła? Przed południem dzwonił do siostry. Zaprosiła ich jutro na obiad. Długo się nie widzieli. Całe wieki nie był w Hagen. Ostatnio nie jeździł już na zachód, tylko na północ. Najpierw długo był na samym południu, a potem została mu już tylko północ.

Lilly coś wymamrotała. Może mówiła o tym, jak się chodzi do kościoła. Bo do kościoła idzie się ramię w ramię. Minęło już sporo czasu, od kiedy był ostatnio. A brakowało mu kościoła. Nie tylko jako miejsca. Brakowało mu całej tej atmosfery. Bo w kościele jest spokojnie, nawet kiedy wierni śpiewają. Niedługo to będzie ostatnie coś warte miejsce, jakie nam zostanie. I wcale nie musi mieć nic wspólnego z Bogiem. Nigdy nie widziałem Boga w kościele, nawet na obrazie. Więc nie ma żadnych świadków. Proszę opisać, jak wyglądał. Jak był ubrany? Zaciągał? Jakim dialektem mówił? W jakim języku?

Szwedzki też zna? W skali świata to niewielki język, a jednak pastor w kościele zwraca się do Boga po szwedzku. Boże. Zwracam się do ciebie. W twoje ręce składam nasz los. Bóg istnieje dla tych, którzy go chcą. Jest nią lub nim, zawsze jest niewidzialny. Nie ma po co malować obrazów przedstawiających bóstwa, cały świat to wie.

Lilly przekreśliła się na plecy i zaczęła chrapać. Pewnie będzie miała takie same problemy z polipami jak Elsa. Może uda się to załatwić bez operacji, a może nie. Nagle przed oczami stanął mu stół operacyjny. Ostatnia rzecz, o jakiej chciał teraz myśleć. Tylko nie to: stół, skalpele, jaskrawe światło rażące zarówno chirurga, jak i pacjenta. Te niechciane myśli sprawiły, że ból głowy wrócił. Nie od razu, wracał powoli. Kolejne ukłucie nad okiem. Ból zaczął pulsować, a wypity alkohol niestety tylko pogarszał sprawę, choć wypił tylko dwa, może trzy sznapsy i butelkę piwa. Może kiedy Halders będzie nastawiał grill, łyknie trochę whisky. To powinno pomóc. Whisky zazwyczaj pomaga. Może się jeszcze położyć. Jeśli na chwilę zmruję oczy, na pewno mi przejdzie. Jeśli ten ból niedługo nie przestanie mi dokuczać, będę musiał powiedzieć Angeli. Albo poprosić w aptecce o jakieś leki na migrenę. Może można je wstrzyknąć w ściany? Bo to tkwi w ścianach i poza nimi, gdzieś na zewnątrz. Można tam dotrzeć strzykawką, to nawet lepsze niż pistolet. Niż strzelba. Nie chcę teraz myśleć o strzelbach. I o tym, co można z nimi zrobić. Ale nie mógł się opędzić od tych myśli. Znów miał przed oczami ułożenie ofiar i dziwne ślady kroków widoczne na zdjęciach Öberga. Czy zabójcy pokłócili się o to, kogo zabić? Czy może chodziło o kolejność egzekucji albo o sposób, w jaki mieli to zrobić? Myślał też o żonie Saida Rezaia, Shahnaz. Zapewne wpuściła do domu kogoś, kogo znała. Przecież było wcześniej rano. A może nikogo nie wpuściła, może zabójca już tam był. Może był nim jej mąż. Może już wcześniej nie żyła. Wciąż nie był do końca pewien, czy Shahnaz Rezaei zginęła przed strzelaniną na Hjällbo, czy po niej. Może nigdy się nie dowie, choć to nie oznacza, że nie dowie się, kto to zrobił. Był pewien, że znajdzie winnego. Już teraz wiedział, że będzie zaskoczony. Choć do

zaskoczenia, jak zawsze, doprowadzi go wnikliwe i logiczne rozumowanie. Czasem zaskoczenie przychodzi nagle, czasem małymi krokami. Zaskoczenie i niedowierzenie, że taka jest natura człowieka i takie są jego czyny. Zło? Jest wytworem człowieka. Bóg nie ma w nim swojego udziału. Jeśli o to chodzi, nie istnieje. Nigdy nie istniał. Diabeł prawdopodobnie też nie miał tu nic do powiedzenia.

Lilly zamlaskala, jakby wciąż siedziała przy stole i zajadała bezy Ból głowy zniknął. Winter usłyszał kobiecy śmiech. To chyba Angela. Jakieś dziecko krzyknęło. I znów śmiech. Słyszał też skrzek mewy. I na ziemi, i w powietrzu panował teraz przyjemny nastrój. Spojrzał na zegarek. Jeszcze dużo czasu zostało do chwili, kiedy słońce na krótko skryje się za linią horyzontu. Zupełnie jak ktoś, kto idzie do łóżka na godzinę, a potem wstaje do pracy. Zdarzały mu się takie dni i tygodnie. Właśnie ostatni tydzień był taki. To dlatego teraz przysnął. Wódka też zrobiła swoje. Śniło mu się, że leży na łóżku w cudzym domu. A obok leży jego córeczka. Drzemał zaledwie parę minut. Kiedy się obudził, nic się nie zmieniło. Po raz pierwszy śniła mu się rzeczywistość. To chyba ważne, że we śnie jego życie i obecna chwila były takie, jakie były naprawdę. Bo to oznacza, że nie można się przed nimi skryć. Sen nie jest drogą ucieczki. Niektórzy uciekają nawet w koszmary, znajdują w nich ukojenie. Spotykał już takich ludzi i pewnie będzie ich spotykał nadal. Ale to nie była przyjemna myśl. Dlaczego przyszła mu do głowy? Na dworze znów ktoś się zaśmiał. Aż miło posłuchać. Postawił nogę na podłodze i powoli zaczął się podnosić. Lilly się poruszyła, ale nie obudziła się. Tańce ją wykończyły, bezy też. Nagle i on poczuł nieodpartą ochotę na coś słodkiego. To jego krew domagała się cukru. Zjadłby nawet kilogram bez. Baklawę albo to drugie ciasto, kunafę. Słodkie jak diabli.

Co to za miejsce? Ciemno tu. Nie możemy się pokazać na zewnątrz? Albo jeszcze gdzie indziej? Przecież tu nikogo nie ma. Wszyscy zniknęli, a ten duży biały facet i jego brat siedzą gdzieś i śpiewają pijackie prześpiewki. Ze co? A co za różnica, czy to prześpiewki, czy prześpiewki? Masz od tego lepsze

samopoczucie? Wyluzuj. Pomóc ci się wyluzować? Zabawne. Równie zabawne, jak hajs. Zaczynam tracić cierpliwość. Odwaliłem swoją robotę, więc czekam na zapłatę. Jeśli ukryłeś hajs, to musisz go teraz znaleźć. Wiem, wiem. Mogli przeszukać twój dom, jasna sprawa. Co to? Słyszysz?

Ktoś tu jest? Coś słyszałem. Ptak? No, może. Teraz skrzeczy. Coś trzasnęło, ale to pewnie jakieś zwierzę. Albo słoń, albo wielbłąd. Znam ludzi, którzy mieli własne wielbłądy, a ty? Co? Nie słyszę, co mówisz. Znów coś trzasnęło. Słyszałeś? Jakaś gałąź trzasnęła. Ktoś tam jest! Kto to? Hej! Hej! Nie, muszę to sprawdzić. Muszę... Wydaje mi się, że kogoś widziałem. Ktoś tam jest!

Halders rozpałił grill elektryczną zapalniczką.

- Czasy rozpałki w płynie już się skończyły. Dość zatruwania atmosfery.

- Nie wspominając o zatruwaniu jedzenia - dodała Aneta.

- Jedzenie jest mniej ważne. - Halders zapatrzył się na węgle, pośród których pojawił się płomień.

Siedzieli na krzesłach porozstawianych na trawie. Promienie słońca wciąż były jasne i ciepłe, ale światło się zmieniło. Dzieci gdzieś sobie poszły. Słyszeli ich głosy dobiegające z domu. Starsze dziewczynki zajęły się Lilly. Już zdążyła się obudzić.

- Następnym razem, jeśli Martin będzie w domu, może nas odwiedzi i nauczy grillować - powiedział Halders.

- Powiem mu - odparł Ringmar.

Nikt nie zapytał, kiedy Martin był ostatnio w domu. Nie był to temat, który chcieliby poruszać. Winter spojrzął na profil Ringmara. Sześć lat temu Ringmar pokłócił się z synem. Już się pogodzili, ale Bertil nie zapomniał. Pozostali członkowie rodziny też nie. Po tym wszystkim Bertil nie był już sobą, o ile można w tej sytuacji użyć tego określenia.

- Kiedyś, jak miał jakieś dwadzieścia lat, zrobił na grillu świąteczną szynkę - powiedział Ringmar.

- Daj spokój, nie wierzę - stwierdziła Aneta.

- Naprawdę. To było dzień przed świętami. Wystawił grill na taras, załadował go brykietami i zaczął opiekować pięć-ciokilową szynkę. Musiał regularnie dokładać brykiety, inaczej grill by się

roztopił!

- I co, udało się? - zapytał Winter.

- To była najlepsza szynka, jaką jadłem - odparł Ringmar.

- Serio?

- Tak. Miała posmak dymu i była soczysta.

- I co, panierował ją też na grillu? - zapytał Halders.

- Oczywiście.

- A trzymałeś ją, kiedy to robił?

- A jak myślisz? - Ringmar wstał i podszedł do Halder- sa. Przyjrzał się nowemu grillowi. Dymiło coraz mocniej, więc zaraz powinno się rozpalić porządnie. To była inauguracja. Halders wciąż wyglądał na dumnego. Uważał się za mistrza grilla i historia o Martinie Ringmarze wcale nie zbiła go z tropu.

- Dzięki za podpowiedź - powiedział Halders. - W sylwestra grilluję karkówkę.

- Dobrze.

- Ja właściwie jestem prawie wegetarianką - powiedziała Aneta.

- A ja jestem wegetarianinem, który je mięso. - Halders uśmiechnął się do Ringmara. - Zapraszam na sylwestra. - Popatrzył na resztę gości. - Wszyscy jesteście zaproszeni.

W podziękowaniu wzniesli kieliszki z winem. Wszyscy z wyjątkiem Wintera, który pił whisky. Zapalił corpsa. Dym ulatywał w stronę dymu z grilla, jakby szukał towarzystwa.

- Może na Nowy Rok pojedziemy do Azji - odparł Ringmar.

- No tak, Kuala Lumpur, Singapur. Bądź tak miły i zachowaj to dla siebie, Bertil - powiedział Halders.

- A może Martin również w Kuala Lumpur grilluje szynkę? - zapytała Aneta. - Możecie go zapytać.

- Tak zrobię.

- Myślałem, żeby zacząć od drobnych zakąsek - zaproponował Halders. - Dzieci je uwielbiają.

Na grillu piekły się przeróżne specjały ale głównie baranina. Smaczna. Winter stał obok Haldersa, sączył whisky. Za chwilę miał nasmarować część mięsa glazurą. Halders też sączył whisky. Słońce schowało się już za wzgórze, ale powietrze

wciąż było ciepłe. Niebo miało wspaniałą niebieski odcień. Najlepszy. Wyglądało, jakby się zapadało.

- To jakaś cisza przed burzą, czy co? - zapytał Halders.

- O jakiej burzy myślisz?

- Pewnie o tej samej co ty.

- Udawalo nam się unikać tego tematu przez całe popołudnie. Może lepiej nie zaczynać.

- Tak, masz rację.

- Tak będzie lepiej. W tym śledztwie i tak dużo się dzieje.

- Więc ty przestałeś o nim myśleć?

-Nie.

- No to co za różnica?

- Taka, że nie musimy o tym słuchać.

- Z tego co wiem, myśli też się słyszy. W środku. A czasem lepiej obgadać niektóre sprawy.

- A czasem nie.

- No tak, to byłoby nie fair wobec Birgitty i Angeli.

Winter nie odpowiedział. Odstawił szklankę na stolik i chwycił miseczkę z glazurą. Pachniała ziołami, czosnkiem i chyba czymś słodkim. Ale nie miał już ochoty na słodycze. Choć zostało jeszcze trochę bez.

- Wobec dzieci też - ciągnął Halders.

Winter posmarował plaster baraniny. Halders właśnie ułożył na rożnie marynowaną baranią karkówkę. Popatrzył na Wintera.

- Jest zbyt cicho - powiedział. - Zbyt spokojnie. Zbyt pięknie. Mam złe przeczucia.

ZACZEKALI DO PÓŁNOCY Niebo wciąż było niesamowicie niebieskie, choć przybrało już inny, nieco ciemniejszy odcień. Taki kolor na pewno ma swoją nazwę. Drzewa otaczające ogród wyglądały jak tajemnicze cienie. Idealna sceneria. Dzieci spały w domu. Na Angelę też już przyszła pora. Zasnęła w niewygodnej pozycji na krześle i Winter zastanawiał się, czy nie wnieść jej do środka i nie położyć na jakimś wolnym łóżku. Niełatwo być rodzicem małych dzieci. A przez ostatni tydzień Angela zajmowała się dziewczynkami więcej niż on. On zajmował się nimi więcej niż ona przez ostatnie półrocze, więc wiedział, jak to jest. Jeszcze przed północą kleją się człowiekowi oczy, a już na pewno po kilku kieliszkach wina.

Halders wpatrywał się we wzgórze Lunden. W dole leżało centrum. Rozświetlały je niepotrzebne latarnie. Kilka samochodów sunęło w stronę stadionu Ullevi.

- Ludzie z innych krajów nie rozumieją, że Skandynawia może też tak wyglądać - powiedział.

- Mamy tu wszystko - stwierdził Winter.

- To prawda - zgodził się Halders.

- Ale nie zdajemy sobie sprawy, jak nam dobrze. - Winter wyciągnął z kieszeni paczkę corpsów.

- Ja sobie zdaję z tego sprawę - powiedziała Aneta.

- Jest jeszcze wino. - Halders wyciągnął się po stojącą na stole butelkę. - Noc jeszcze młoda.

- A kiedy się starzeje? - zapytała Aneta. - Kiedy wkracza w wiek starczy albo średni?

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. W Burkina Faso nie ma takich wyrażeń, jak noc jest młoda. Tam robi się ciemno wczesnym wieczorem, zawsze o tej samej porze. A noc jest mniej więcej równie długa, jak dzień. Dwanaście godzin światła i dwanaście ciemności.

- To tak jak w Kuala Lumpur - zauważył Halders. - Prawda, Bertil?

Ringmar nie odpowiedział.

- Bertil?

Z leżaka, na którym siedział Ringmar, dał się słyszeć pomruk.

- Odpowie, ale musi się obudzić - powiedziała ze śmiechem Birgitta.

- Już zasnął? A przed nami jeszcze tyle przygód.

Halders nie powinien tak mówić, pomyślał Winter. Sekundę później zadzwoniła jego komórka. Miał ją w kieszeni razem z paczką cygaretek.

Widział, jak całe towarzystwo się wzdrygnęło, wręcz podskoczyło, uniosło się kilka centymetrów w górę. Kto to może być?

Nocna centrala alarmowa.

Ktoś zgłosił się na sto dwanaście. Na miejsce wysłano radiowóz, który następnie porozumiał się z centralą. A centrala zadzwoniła do dwóch techników, którzy byli pod telefonem.

Już byli w drodze.

- Jakiś człowiek znalazł ciało na Bergsjön - powiedział komisarz z centrali, Johan Västerlid.

- Gdzie dokładnie?

Västerlid opisał gdzie.

- Technicy będą tam za chwilę.

- To mężczyzna czy kobieta?

- Nie wiem.

- Zadzwoń, jak tylko dowiecie się czegoś więcej.

Winter się rozłączył.

- Ciało na Bergsjön - powiedział.

- Zrozumiałem - odparł Halders. - Nie wiadomo kto to.

- Może to źródło Braciszka - powiedział Winter.

- A Braciszek już wie? - wtrącił się Ringmar. Właśnie się ocknął.

- Nie, jeszcze nie. Przynajmniej mnie nic o tym nie wspominali.

- I co teraz? - zapytała Angela.

- Zaczekam, aż technicy się odezwą.

Zadzwonił Lars Ostenson, jeden z weteranów wydziału

technicznego.

- To stosunkowo młody mężczyzna - powiedział.

- Jak zginął? - zapytał Winter.

- Wygląda na ranę kłutą albo ciętą.

- Zidentyfikowaliśmy go już?

- Nie.

- Gdzie to dokładnie jest? Tam, gdzie znaleźliśmy samochód?

- Nie. Kawalek dalej na północ.

- Dałeś znać Obergowi?

- Tak. Właściwie to on dzwonił. Centrala go powiadomiła.

- I co?

- Jest już w drodze.

- Opisz, jak wygląda ofiara.

Winter wysłuchał Öberga, podziękował mu i rozłączył się. Natychmiast wybrał kolejny numer.

Braciszek Malmgren odebrał po drugim sygnale.

Winter opisał mu ofiarę.

- Kurwa, to może być on - powiedział Braciszek. - Jadę tam.

- Ja też. To znaczy my.

- Jesteś trzeźwy?

- A dlaczego pytasz?

- Jest wigilia Midsommar.

- Już nie - odparł Winter, spoglądając na zegarek.

Ktoś musiał ich podwieźć, ale Winter wiedział, że nie ma szans na to, żeby w noc Midsommar mógł po nich szybko przyjechać radiowóz.

- Zadzwońię po Larsa - powiedział Winter.

Lars Berghem, jego żona Martina i córka Ada zostali zaproszeni do Haldersa, ale dwa dni wcześniej Ada dostała wietrznej ospy. A o opiekunkę było trudno - Ada była trochę zbyt kapryśna.

Berghem przyjechał po dziesięciu minutach. Halders, Ringmar i Winter wsiedli do samochodu. Czekać na Berghema, wypili po mocnej czarnej kawie. Żaden z nich nie był już pijany, ale trzeźwi też nie byli. Najbardziej zmęczony był Ringmar.

Po drodze Winter kilka razy przymknął oczy. Nie czuł

zmęczenia. Wciąż jeszcze miał siłę. Ciało mężczyzny. Kto to? Może kiedy zobaczą zwłoki, nadal nie będą wiedzieli. W tyle głowy czuł lekkie mrowienie. Kolejna noc w pracy Kogo spotkają? Jak bardzo się zbliżą do rozwiązania zagadki? Czy ta noc w ogóle zaprowadzi ich dalej? Już tak bywało

- sprawa zdaje się kurczyć, zacieśniać, ale to tylko złudzenie. Tak naprawdę kurczy się w środku, ale na zewnątrz się rozszerza i wydłuża, przekracza granice, które wcześniej zdawała się mieć. Granice się przesuwają.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał nagle Ringmar.

Winter wyjrzał przez okno. Pokazał się za nim wydłużony budynek fabryczny.

- To Gamlestaden - powiedział Berghem nieco zaskoczony. Przecież Bertil powinien rozpoznać Gamlestaden.

- To pojedź przez Kortedalę - odparł Ringmar. Mówił tak, że samogłoski wydawały się rozciągnięte, przerwy między spółgłoskami zrobiły się dłuższe.

- Właśnie tam jadę - odpowiedział Berghem.

Skręcili na skrzyżowaniu, które wyglądało dziwnie samotnie. Jakby wszyscy kierowcy je porzucili.

- Ljusårgatan¹⁸ - powiedział Halders. - Co za głupia nazwa.

Za oknem było widać głównie drogę i las. Minęli kilka ciemnych domów, a potem znów las. Taki widok można znaleźć w każdym zakątku Szwecji, ale tylko w Szwecji.

Minął ich samochód bez świateł.

- Co za idiota - powiedział Halders z niezadowoleniem.

- Pieprzony kretyn.

Inni milczeli.

- Dlaczego właściwie tu siedzimy? - dodał Halders. - Przecież te zwłoki to może być każdy

Nikt nie odpowiedział.

- No? Niby czemu mielibyśmy mieć tyle szczęścia, żeby te zwłoki okazały się nasze?

No właśnie. To mógł być każdy. Zwłoki mogły być częścią każdej innej tragicznej historii. Winter patrzył przed siebie.

18 Ulica Roku Świetlnego.

Bergnhem jechał szybko. Za chwilę powinni być na miejscu.

- Mam przeczucie, że to się wiąże z pozostałymi zabójstwami - powiedział Ringmar. - Wszyscy mamy. Inaczej byśmy tu nie siedzieli.

- Jak to daleko od drogi? - zapytał Halders.

- Kilkaset metrów - odparł Winter. - To skrót.

- Jak to?

- Można tam dojechać od drugiej strony. Od Rymdtorget.

Ale tędy jest bliżej.

- A ty skąd wiesz?

- Byłem tu kiedyś. Ale dawno.

Tak, dawno temu był w tym lesie. Chodził tymi drogami. Brał udział w bijatyce na placu. Wtedy był zupełnie trzeźwy. Dziś w nocy trzeba będzie się trzymać z dala od dziennikarzy. Choć akurat teraz można mówić o okolicznościach łagodzących. Bertil musi się trzymać z tyłu. Najwidoczniej wypił o jeden kieliszek za dużo, cokolwiek by to miało znaczyć. Może zaśnie w samochodzie. Lars może go przypilnować, dopóki nie wrócimy.

- To tutaj - powiedział Bergnhem.

Ale oni też już zauważyli policyjne koguty migające w mroku midsommarowej nocy. Światła brutalnie przecinające łagodną noc wyglądały niecałkiem realnie. Ale to nie był sen. Winter przypomniał sobie, co mu się śniło wcześniej. Tamten sen nie wypaczał obrazu rzeczywistości, był jej wiernym odbiciem. Sen nocy letniej.

Patrol, który dotarł na miejsce jako pierwszy, ogrodził taśmami całkiem spory teren. Winter widział za nimi Oberga. Obok zauważył plecy kogoś, kogo nie umiał rozpoznać. Öberg popatrzył w jego stronę i skinął, żeby podeszli.

Ofiara była raczej chłopakiem niż mężczyzną.

Rana była okropna.

Chłopak z wyrazem zdziwienia w oczach wpatrywał się w niebo. Przecież nie powinno go tu być.

- Wiemy, kto to? - zapytał Halders.

Öberg pokręcił głową.

- Nie ma przy sobie dokumentów - odparł. - Żadnych.

Portfela też nie.

- W każdym razie to nie Hussein Hussein - wtrącił Ringmar.
- Nie zgadza się z opisem, który dostaliśmy.

- Ten tu jest dużo młodszy - stwierdził Winter.

- I tak wygląda na Araba - powiedział Halders.

Öberg spojrział na niego tak, jakby Halders rzucił obraz- liwy rasistowski komentarz, jakby go nazwał brudasem.

- Czy ta rana, którą widzimy, była przyczyną zgonu? - zapytał Halders, wskazując na gardło ofiary.

- Z tego co mogę stwierdzić tu i teraz, tak - odparł Öberg. - Dowiemy się więcej, kiedy przyjdzie patolog.

Na miejscu było jasno jak w dzień. Nie potrzebowali zbyt wielu lamp. Öberg i jego ludzie przeczesywali teren. Na mchu znaleźli ślady butów, ale było ich dużo. To była uczęszczana ścieżka. Winter cały czas słyszał dobiegające z oddali odgłosy. Las tętnił życiem. Kiedy tak stali, stopniowo budził się do życia. Ptaki zaczęły śpiewać jak w dżungli.

- Kto nas zawiadomił? - zapytał Halders.

- Biegacz na orientację - powiedział Winter. Odbił już kilka rozmów telefonicznych, w tym jedną z centralą.

- Kto?

- Koleś, który brał udział w nocnym biegu na orientację. Może miał na głowie lampkę, nie wiem. Bo w sumie nie byłaby mu potrzebna.

- Biegi na orientację w noc Midsommar. To perwersja - stwierdził Halders.

- Licz się ze słowami - powiedział Ringmar.

- Facet pobiegł do domu i stamtąd zadzwonił. Pozwoliłem mu tam na nas poczekać. Potem z nim porozmawiam.

- No więc kogo my tu mamy? - Halders popatrzył na ciało. Na twarzy ofiary, tak jak w oczach, malowało się lekkie zdziwienie. Kto nie byłby zaskoczony w takiej sytuacji. Halders nie wiedział, jak w chwili śmierci wyglądała trójka ze sklepu. Zabójcy zaplanowali to tak, żeby nikt tego nie zobaczył. Może Jimmy, Hiwa i Said też byli zdziwieni.

- Znam kogoś, kto może będzie wiedział - powiedział Winter. Między drzewami rozległy się trzaski. Ktoś nadchodził.

Słysząc było słabe echo. Nie sięgało daleko. - Chyba właśnie się zbliża.

Braciszek nie potrzebował dużo czasu. Zmełł w ustach jakiś dosadny komentarz. Trochę było od niego czuć alkoholem, ale jeśli o to chodzi, Braciszek, glina z siatką tajnych kontaktów, nie był na miejscu znalezienia zwłok, a prawdopodobnie również miejscu zbrodni, osamotniony

- Pieprzony, głupi gówniarz - powiedział Braciszek. Nie okazał zmarłemu szacunku. - Ostrzegalem go. - Odwrócił się do Wintera. - Naprawdę.

- Przed czym? I kto to jest?

- Nazywa się Hama. Hama Ali Mohammad.

- To Marko?

Braciszek przytaknął bez słowa.

- Kim on właściwie był?

- Taki sobie drobny przestępca. Kradzieże i prochy na niewielką skalę. Do tego alfons. Nierób albo bezrobotny, jak to się dzisiaj mówi.

- Alfons?

- Przynajmniej jemu się wydawało, że działa w tym biznesie. Trzymał się raczej peryferii tego światka. Próbował do niego wejść, ale nie bardzo mu szło. I niewiele wiedział.

- Tak ci mówił?

Braciszek spojrział na zdziwioną twarz Hamy Alego. Chyba pomyślał coś w rodzaju: Tak, tak, dziw się, przecież ci mówiłem.

- Donosił ci? - zapytał Halders.

- Tak - odparł Braciszek, wciąż wpatrzony w twarz Hamy. - Ale teraz to już nie ma znaczenia, nie?

- Przed czym go ostrzegałeś? - zapytał Winter.

- Żeby nie podchodził zbyt blisko ognia.

- Ognia? - Winter przez chwilę wyobrażał sobie płomienie na leśnej przecince. - A nie o to w tym wszystkim chodzi? Żeby nasze źródła podchodziły tak blisko ognia, jak się da?

Braciszek nie odpowiedział.

- Braciszku?

- Bawił się też w przekręty z bronią. Chyba był chłopcem na posyłki, kimś w rodzaju pośrednika, nie jestem pewien. To właśnie tym się ostatnio zajmowaliśmy. Mówiłem mu, żeby się trzymał od tego z daleka.

- Dziwki tak, pistolety nie? - zapytał Halders.

- Mieliśmy inne źródła od handlu bronią. Wiedziały więcej niż ten biedak. - Braciszek popatrzył na zwłoki. Hama skończył na peryferiach wszystkiego, choć za życia próbował się znaleźć w centrum uwagi.

- No to bylibyśmy wdzięczni za jakieś informacje od nich - dodał Halders.

Braciszek się wzdrygnął.

- Co mówiłeś?

- Wciąż szukamy strzelb i chcielibyśmy wiedzieć, jak się znalazły w sklepie Jimmy'ego i jak stamtąd zniknęły.

- Myślisz, że nie robię, co w mojej mocy? Ze nie robimy, co się da?

Halders nie odpowiedział.

Braciszek chyba chciał coś dodać, ale w końcu się nie odezwał.

- W jaki sposób Hama był uwikłany w tę sprawę? - zapytał Winter, chyba raczej samego siebie niż innych.

- Zamordowano go z jakiegoś powodu - powiedział Braciszek. - Często niewiele trzeba, ale zazwyczaj coś tam się znajdzie.

- Wiedział za dużo?

-Tak.

- O broni?

- Sam nie wiem. Muszę wrócić do tej sprawy. O ile można powiedzieć, że w ogóle ją zostawiłem.

- Znał któregoś z zabitych?

- Z tego co wiem, to nie. Ale o to trzeba jeszcze popytać znajomych ofiar.

- Gdzie mieszkał?

- Na Gårdsten.

- Wschodnim czy zachodnim?

- Bardziej na zachód niż na wschód, jeśli o to ci chodzi.

Mieszkał na Salviagatan¹⁹. Chociaż nie, to była Muskogatan²⁰. Znasz te okolice.

- Tak, choć akurat tych ulic nie znam. Lepiej kojarzę okolice Kanelgatan.

- No tak. Kiedy budowali tę dzielnicę, sięgnęli po mnóstwo egzotycznych przypraw. Pewnie wiedzieli, jak tu będzie za trzydzieści, czterdzieści lat.

- Co on tutaj robił? - Winter zatoczył ręką koło. - Właśnie tutaj.

- Pewnie ktoś mu kazał tu przyjść. Albo on komuś.

- Często bywał na Bergsjön?

Braciszek wzruszył ramionami.

- Zazwyczaj bywał wszędzie.

- Znał Husseina Husseina? - Winter rzucił pytanie przed siebie, w ciepłe, gęste powietrze.

- Niewykluczone - odparł Braciszek.

Öberg pochylał się nad ściółką.

- To tu go zabili - powiedział, spoglądając na nich. - Jest tu tyle krwi, że nie ma co do tego wątpliwości.

- Aha.

- Silny cios.

- To i tak dziwne - powiedział Winter. - Był młody, ale nie był chuderlakiem. Powinien był się jakoś bronić. Ale z tego co widzę, na dłoniach i na ramionach nie ma żadnych ran.

- Nie ma.

- Jak ktoś mógł go tak zaskoczyć?

- Może odwrócił się plecami - zaproponował Öberg. - Rana wygląda na zadaną z tyłu.

Winter nie odpowiedział.

Za chwilę mieli zabrać ciało Hamy Alego. Samochód już czekał. Może odpowiedź na pytania o to, co się stało, kryła się w jego zwłokach. A może w glebie, w mchu, w gałęziach. Pachniało ziemią, a może krwią. Czuć było zapach żelaza.

- W ostatnich dniach było tu mnóstwo ludzi - powiedział Öberg.

¹⁹ Ulica Szałwii.

²⁰ Ulica Gałki Muszkatołowej.

- Tym razem nie będzie tak łatwo rozrysować schemat kroków - odparł Winter.

- Nie... Ale może zabójca nie działał sam. To tak *à propos* działania z zaskoczenia. Może było ich dwóch. Albo więcej.

- Też o tym myślałem, ale rana jest tylko jedna - zauważył Winter.

- Może ktoś odwrócił jego uwagę?

- Może obaj byli zaskoczeni?

- Zabójca nie był zaskoczony aż tak, żeby nie uderzyć.

- Nie zawahał się - stwierdził Winter.

- Nie było mowy o półśrodkach.

- Ściągnięto go tu po to, żeby go zabić.

- To tylko twoje przypuszczenia, Erik.

- Musiał ufać zabójcy.

- Może nie miał wyboru. Był zdesperowany.

- Dlaczego?

- Może chodziło o pieniądze. Nie wiem. Tym musicie się zająć ty i twoi współpracownicy. Czy ty i Bertil przypadkiem nie macie na to swojej metody? Kiedyś o niej słyszałem. Swobodny potok myśli.

Akurat teraz Winter nie mógł liczyć na Ringmara. Pojechał do domu. W tym świetle jego twarz wydawała się szara. Jestem już na to za stary, powiedział. Winter nie do końca wiedział, o co mu chodzi.

Ruszył. Öberg za nim.

- Dlaczego właśnie tutaj? - Winter przystanął i rozejrzał się.

- To miejsce jest trochę oddalone od ścieżki, ale to nie jest najbardziej odosobniony zakątek w okolicy.

- Może wcale im o taki nie chodziło.

- Może nie miał być odosobniony, tylko... widoczny.

Winter nie odpowiedział.

- Ktoś chciał nam przekazać wiadomość - powiedział Öberg.

- Nam albo komuś innemu - odparł Winter. - Może to był sygnał dla kogoś innego.

Przed chwilą przyjechała patolożka. Zabrała się już do pracy. Winter jeszcze nigdy jej nie widział. Nie wyglądała na dużo starszą od chłopaka, nad którym klęczała. Wstała i

podeszła do niego i do Öberga.

- Wiem, że to trudne, ale czy już coś wiadomo o godzinie zgonu? - zapyta! Winter.

- Nie - odpowiedziała. - Jeszcze nie.

- Ale leżał tu dłużej niż dobę? Nie żyje od ponad doby?

Lekarka popatrzyła na ciało. Hama wyglądał, jakby dopiero co ułożył się na mchu, żeby odpocząć.

- Na razie wygląda na to... - powiedziała z wahaniem. - Oczywiście trzeba to jeszcze zbadać, ale... raczej nie dłużej niż dobę.

WINTER ZADZWONIŁ DO ANGELI Z BERGSJÖN. Wróciły do domu taksówką. Bergenhem wysadził go przed bramą, przy Vasaplatsen. Kiedy się kładł, Angela i dziewczynki już spały. Angela wymamrotała kilka słów. On, zanim dotknął głową poduszki, wymamrotał coś w odpowiedzi.

Obudził się, czując, że spada. Ze spadł. To był sen, ale już się skończył. Wstał, założył szorty i ostrożnie przeszedł po drewnianej podłodze. Zamknął za sobą drzwi i ruszył do kuchni. Cicho nalał do szklanki zimnej wody i wypił.

Poszedł do salonu i otworzył wychodzące na ulicę drzwi balkonowe. Wyszedł. Pod stopami czuł nagrzane kafelki. Zupełnie jakby stał na patio mieszkania, które wynajmowali w centrum Marbelli, kilkaset metrów od placu Pomarańczy. Tam też czasami wychodził nocami. Zazwyczaj po to, by rozmyślać o wszystkim i o niczym. W niektórych kręgach nazywa się to życiem. A niełatwo jest żyć własnym życiem. Większość ludzi od tego ucieka. On sam jest do takiej ucieczki pierwszy.

Ale w końcu, po półroczu spędzonym w słońcu, zatęsknił za ulicami. Życie samo w sobie było tajemnicą, ale on przywykł też do podtajemnic, które tworzyli ludzie, zazwyczaj z bronią w ręku. Brakowało mu tego. Wciąż jeszcze nie dojrzał do tego, żeby zostawić ten podziemny świat. Był jak zawodnik wagi ciężkiej, który wrócił na ring, żeby znów oberwać po mordzie. Czasami komuś przyłożyć. Czasami przemyśleć kolejny ruch. Czasami stać się częścią przeciwnika. Spaść w jego otchłań. Zejść w nią wyobraźnią. Stać się częścią tej otchłani. A potem opuścić ją, zanim będzie za późno. Dlatego właśnie opuścił ją w zeszłym roku - bał się, że już jest za późno. Ale nigdy nie jest. Tak się tylko mówi. To pocieszenie. Bo dopóki człowiek nie umrze, nie jest za późno. A śmierć też może być kolejnym początkiem. Miliony ludzi na świecie umiera i to może pocieszać. Następnym razem będzie lepiej. Niektórzy próbują już w tym życiu. Rzucają wszystko i zaczynają od zera.

Zaczynają od zera w północnych dzielnicach Góteborga. Nie są mniejszością. Ale są mniejszością, z którą mam do czynienia. To oni zadają moje zagadki. Rozwiążę je. Na dole, przez Vasaplatsen, przejechał samochód. Jechał na północ. Była to jedyna oznaka życia, jaką widział. O ile samochód może być oznaką życia. W oddali, nad Angered, słońce wylaniało się zza dachów. Wyglądało, jakby wschodziło w górach położonych na północ od Angered. Jakby to tam mieszkało. Na Rannebergen. Jak Said i Shahnaz Rezaiowie. Irańczycy z okolic Tabriz. Said uciekł w drodze na front. Nie chciał ginąć jako osiemnastolatek. A wszyscy, którzy jechali na front, walczyć z Irakiem, wiedzieli, że nie przeżyją. Winter nie wiedział, czy Said właśnie tak to opisywał, ale słyszał już tę historię od innych. Nie wiedział też, czy to prawda, że Said zbiegł. Nie wiadomo dokładnie, jak i dlaczego opuścił kraj, ale przybył tutaj. Mył okna, potem trochę pracował w warsztacie, od czasu do czasu miał się też innych zajęć, ale zazwyczaj był bezrobotny. Dla takich jak Said nie było pracy. Przed laty czytał raport opracowany przez wydział socjologii czy jakąś inną instytucję. Wynikało z niego jasno, że to samotnym młodym Irańczykom najtrudniej jest znaleźć swoje miejsce w nowym kraju. Nikt nie chciał im wynajmować mieszkań, nawet spółdzielnie mieszkaniowe mające mieszkania socjalne. Żaden poważny pracodawca nie chciał młodego „brudasa” z Iranu, stary zresztą też by nikogo nie ucieszył. Wszystkim Arabom było ciężko, ale z jakiegoś powodu Irańczykom jeszcze trudniej. Może dlatego, że wtedy było ich wielu, stanowili większość. Przed wojną uciekły całe zastępy Winter nie wiedział dokładnie ilu. Wiedział za to, że Said Reza dopuścił się kilku drobnych przestępstw, choć nie trafił do więzienia. Po pewnym czasie znalazł sobie żonę. Ona też pochodziła z jego stron. Choć ona już była w Szwecji. Zazwyczaj, o ile było to możliwe, mężczyźni ściągali sobie żony z Iranu. Ale Shahnaz mieszkała tu z rodzicami. Oni jednak po paru latach wrócili do Iranu. Może tęsknili tak mocno jak rodzice Anety. Ich córkę, Shahnaz, właśnie zabito w mieszkaniu socjalnym. Said wreszcie znalazł sobie jakieś miejsce. Może dlatego, że nie był

już samotnym młodym człowiekiem, właściwie nie był już młody. Był po prostu Irańczykiem.

Shahnaz zajmowała się domem. Nie mieli dzieci. Dlaczego, na Boga, ktoś podciął jej gardło? Co takiego zrobiła? Czy w ogóle coś robiła, czy tylko wiedziała za dużo? W jaki sposób była w to zamieszana? Kto ją wciągnął? Said? Ktoś inny? Ulicą przejechał kolejny samochód. Niedługo miasto się obudzi, ale robi to bardzo powoli. Midsommar to najdłuższy dzień, tak jak Boże Narodzenie, Nowy Rok, no i oczywiście Wielki Piątek. Jeśli Said był zamieszany w jakieś przestępstwo, to jego żona też? Czy za jej śmiercią stało coś więcej niż ryzyko ujawnienia tajemnicy? Czy i ona była częścią zemsty?

- Eriku, nie chcesz wrócić do łóżka?

Angela położyła mu rękę na ramieniu. Siedział na balkonowym krześle. Nie miał na sobie koszuli.

- Nie zimno ci? - zapytała. - Jak dla mnie jest trochę chłodno.

- Nie myślałem o tym.

- A o czym?

- Sam nie wiem. O wszystkim i o niczym.

- Takie rozmyślania to nic dobrego, kiedy trzeba spać.

- Może nie powinienem spać. Może tak właśnie ma być.

- Ale, mój drogi, sen jest niezbędny.

- Nie mogę spać. Może pośpię sobie w przyszłym tygodniu albo tydzień później. Albo w przyszłym miesiącu.

- Kiedy już rozwiążesz tę sprawę?

- O ile tak można to nazwać.

- A jak inaczej?

- Sam nie wiem.

- Naprawdę się staracie. Pojechaliście tam całą grupą w noc Midsommar.

-No.

- Naprawdę musieliście ciągnąć Bertila? Był zmęczony.

- Sam chciałem. Co miałem mu powiedzieć? Bertil, nie możesz?

- Może niedosłownie.

- No dobrze. To może nie był najlepszy pomysł. Ale Bertil nie narobił tam żadnych szkód.

- A ty i Fredrik? Na co się tam przydaliście?

- W sumie to na nic. W zasadzie na nic. - Winter się podniósł. -Ale dobrze, że pojechałem. Od razu się dowiedziałem kto to. To może nam pomóc. Może już jutro. To znaczy dziś.

Angela milczała. Słyszała to już nie raz. Wszystko mogło pomóc. Tak mówił podczas przesłuchań. Powtarzał to też sobie. Tylko wyobraźnia mogła narzucić w tej kwestii granice, ale granice nie istnieją. Nikt nie wie ani którejdy biegną, ani kto je wytyczył.

- Chodź. Wracamy do łóżka. Lilly niedługo wstanie.

Obudził się, bo ktoś usiadł mu na brzuchu. A do tego powiedział coś niezrozumiałego.

- Musicie się zająć małą. Ja muszę spać.

To Elsa podrzuciła Lilly rodzicom. Mała kiwała się właśnie na jego klatce piersiowej.

Angela jeszcze spała.

Podniósł Lilly. Zaśmiała się. Angela odwróciła się na drugi bok.

Ugotował kaszkę. Nie pachniała nawet tak źle. Czuł się trochę otępiaty, ale głowa go nie bolała. Język nie był wysuszony. Trzy sznapsy, mała whisky i butelka piwa, i kieliszek wina w jedną midsommarową noc. Słońce świeciło, ale nie przeszkadzało mu to. Postanowił, że zje z Lilly kaszkę i resztki z wczorajszego obiadu. Potem Angela go zwolni i przeczyta Lilly kilka bajek, a potem, kiedy słońce będzie już wyżej, prześpi się jeszcze z godzinę i pojedzie do północnej części miasta.

Lilly zaczęła powtarzać fragmenty wczorajszych piosenek. Wymowa bez zarzutu. Mała wydorowała przez noc. Prawdziwa damulka.

Siostra Hamy Alego wpatrywała się w Wintera, jakby nie dowierzała jego słowom. Jakby nie chodziło o Hamę. Przecież tylu ich jest. Przesuwała dłońmi po stole, przy którym siedzieli. Palce krążyły w tę i z powrotem, w górę i w dół. Na stole stał telefon, obok leżała książka telefoniczna. Dziewczyna wyglądała, jakby chciała przysunąć książkę, znaleźć wszystkich Alich Mohammadów i powiedzieć Winterowi: proszę spojrzeć,

ilu ich jest!

- Nie rozumiem - powiedziała. - To nie on.

Winter zrobił nieznaczny ruch ręką, jakby jej dawał do zrozumienia, że i tak może pomóc, bo dzięki niej będą mogli ustalić, że to ktoś inny, o tym samym albo innym nazwisku.

Tę rodzinę tworzy! jeszcze ktoś. Matka, Amina. Siedziała na sofie obok córki. Jej wzrok błędził gdzieś daleko, jakby rozmowa toczyła się między jej córką i mężczyzną, który wszedł do ich domu, ale nie powinien wchodzić do ich życia.

W pokoju był też Mozaffar Kerim. Tłumacz, który przekładał pytania Wintera na kurdyjski. Bahar tego nie potrzebowała. Mówiła po szwedzku równie dobrze, jak Nasrin Aziz. Była też w podobnym wieku. Ale matka nie знаła chyba ani słowa w języku swojego nowego kraju.

- To nie potrwa długo - powiedział Winter. - Zaraz wrócimy.

I wrócili. Bahar nie chciała już przebywać w jednym pokoju z Winterem i Mozaffarem. Potem Winter zapytał Nasrin, czy zna Bahar. Powiedziała, że nie. Wyjaśniła mu też, że po kurdyjsku Bahar znaczy wiosna. Nie wiedziała, czy to zakazane imię.

Winter rozmawiał z Bahar w samochodzie. Głównie kiedy jechali w tamtą stronę.

Nie, nie znała ludzi, o których mówił. Wiedziała, że Hama zajmuje się podejrzanymi sprawami, tak się wyraziła, ale nie wiedziała jakimi i nie chciała się dowiedzieć. Nigdy. Próbowwała z nim rozmawiać, ale nie chciał słuchać. Nigdy nie usiadł w miejscu. Zawsze gnało go do miasta albo gdzie indziej. Mówił, że zna wszystkich, ale mu nie wierzyła. Jakie podejrzone sprawy? Nie wiedziała. Broń? Nie wiedziała. Narkotyki? Nie wiedziała. prostytutki? Nie! Winter zapytał ją o to jeszcze raz. Nic nie wiedziała. Ten jeden raz nie spojrzała mu w oczy. Popatrzyła na budynki, które mijali dwa razy - w drodze do i z kostnicy. Musiała sobie poradzić z ogromną rozpaczą. Amina, jej matka, oczekująca na ostateczne potwierdzenie, też musiała się zmierzyć z taką rozpaczą. Może nieco inną, ale równie okropną.

Siedzieli w skromnym salonie. Na stole herbata i ciastka z

sezamem. Dobry Boże, to swoisty etniczny przymus okazywania grzeczności nawet temu, kto przynosi wiadomość o śmierci. Winter nie pytał o ojca, nie teraz. Wiedział, że zaginął gdzieś w ich dawnej ojczyźnie i że kiedy to się stało, rodzina przybyła do Szwecji. Znany scenariusz. Los tej rodziny też nie był przesądzony. Prawdopodobnie mieli ich odesłać do Niemiec, bo to tam trafili najpierw, przemyceni w bydłowym wagonie. A Niemcy sporo wiedzą o bydłowych wagonach. Nie, dość. Erik, daj spokój, do cholery. Przecież twoja żona jest Niemką. A może by tak wysłać urzędasów z urzędu imigracyjnego bydłowym wagonem na Bliski Wschód? Tam i z powrotem. Chociaż nie, dlaczego z powrotem? Tych pozbawionych empatii i wyobraźni biurokratów. Niech znikną. Może wtedy mieszkający tu ludzie będą świętować przy torcie i szampanie. Nie, to byłoby niegodne. A ci ludzie mają swoją godność. Amina pokazuje mi szklanę z herbatą. Wypijam łyk. Odstawiam. Możemy już iść. Ona nie ma pojęcia o tym, co się dzieje za oknami. Ja widzę stąd domy po drugiej stronie podwórka. Wyglądają na ogromne. Nie chcę odbierać godności tym, którzy tu mieszkają. To ich dom. To tutaj spędzają życie. Na przykład Amina, która będzie tu żyć tak długo, jak im pozwolą. Albo jak Ediba Aziz z Hammarkullen. Ci ludzie rzadko wychodzą z domu.

PRZYPOMINAM SOBIE JESZCZE COŚ. Kiedy już przekroczyliśmy granicę, tę pierwszą, mój brat po coś wrócił. Nie wiem po co, nigdy nie powiedział. Musiał tam coś zrobić. Na początku nie wiedzieliśmy, że go nie ma. Uświadomiliśmy to sobie dopiero, kiedy wrócił. Mama była wściekła, jeszcze miała na to siłę! Moja siostra nic nie powiedziała, ale ona nigdy nic nie mówiła.

Wtedy mój brat także milczał, potem zresztą też. Staraliśmy się, żeby rodzina była razem. To było tak, jakby inni próbowali nas od siebie oderwać, ciągnęli nas w różne strony jednocześnie. Z książek wiem, że dawniej tak przeprowadzano egzekucje. Chyba we Francji, ale może w Szwecji też. Każdą kończynę skazańca przywiązywano do innego konia, a potem strzelano z bata. Konie ruszały i rozrywały człowieka na części. Nie pamiętam już, co to była za książka. Chyba z biblioteki. A może to była gazeta? Gazeta grozy? Czy takie istnieją? Wiem, że są filmy i książki grozy. Kiedyś czytaliśmy taką mojej siostrze, ale bała się tak bardzo, że nie chciała słuchać. To było wtedy, kiedy tu przyjechaliśmy. Kiedy nam się wydawało, że już nie musimy się bać. Nie tak. Nie, że ktoś nas znajdzie, przewróci na ziemię i wepchnie do kolejnego wagonu.

Gdzie wtedy byliśmy? Gdzie mieszkaliśmy? Tutaj. Ale w innym mieszkaniu. Tam wokół bloku rosło więcej drzew. Zupełnie jakbyśmy mieszkali w lesie. Do szkoły szliśmy przez las. Szło się taką ścieżką i miało się wrażenie, że jest się daleko, daleko od miasta. Daleko od tego wszystkiego.

A potem... potem pojawiła się właśnie ta chęć - żeby być daleko.

Zwłaszcza wtedy, gdy wozili nas tymi strasznymi samochodami.

Ten zapach.

Oni.

Byle tylko nie widzieć ich twarzy. Nigdy więcej.

Można było zamknąć oczy, ale czasami za to bili i wtedy

trzeba było patrzeć.

Twarze.

Twa...

Trudno powstrzymać łzy.

Nie chcę o tym mówić. Ale ten las, przez który chodziliśmy jako dzieci... Byliśmy wtedy mali, choć to nie było tak dawno. A potem zaczęliśmy pragnąć śmierci. A przecież przebyliśmy tak długą drogę, żeby nie umrzeć, dotarliśmy aż tu. Teraz też marzę o śmierci. Rozumiesz?

WINTER ODWIÓZŁ MOZAFFARA KERfMA do domu. Mieszkał w zachodniej części Gårdsten. To niedaleko. Kilka krętych alpejskich dróg ponad rozpadlinami i byli na Kanelgatan. Tam było jeszcze ciszej. Wszystko było mniejsze niż w sąsiedniej dzielnicy: domy były niższe, ulice węższe. Wyglądało to jak osobne miasteczko, które cofnęło się w czasie. Uchowały się sklepik osiedlowy, ślusarz, salon fryzjerski La Nouvelle i pusty już lokal po Café Limonell.

No i pizzeria Suverän. Znów siedzieli przy tym samym stole, kawę podawała im ta sama kelnerka. Skinęła głową na powitanie. Winter był już stałym klientem. Może filiżanka też była ta sama. On i Kerim byli jedynymi gośćmi.

- Niewiele miał pan do tłumaczenia - powiedział Winter. - Ta biedna kobieta wręcz oniemiała.

- Czasami tak się zdarza. Właściwie to nawet często.

- Znał je pan?

- Nie, w ogóle.

- Nie poznał ich pan przez żadną z kurdyjskich organizacji?

- Nie. Ale może do którejś należały.

- Z tego co wiemy, to nie - odparł Winter.

- Aha.

Kerim wzruszył ramionami. Przecież każdy może sobie należeć albo nie należeć, do czego chce. To wolny kraj.

- Często zdarzało się panu współpracować z miejscową policją?

- A dlaczego pan pyta?

- To takie dziwne pytanie?

- Nie, skąd. Więc tak, często dostawałem zlecenia od tu-tejszej policji.

- To oni dzwonią do centralnego biura tłumaczy?

- Chyba tak. Chociaż nie wiem. Musi pan ich zapytać, jak to dokładnie wygląda. Ja dostaję zlecenie i jadę tam, gdzie akurat mnie potrzebują.

Winter skinął głową. Na placu za oknem widział niedużą

starszą panią z niedużym pieskiem. Pani pozwoliła pieskowi wysikać się pod jednym z cienkich drzewek rosnących przy parkingu. Słońce przeświecało przez rzadkie listowie. W powietrzu unosiła się mgła, jakby ktoś je wypełnił mialkim piaskiem. Było żółte. Żółte. To tylko potęgowało wrażenie, że cofnęli się w czasie. Zawsze latem tak się czuł. Ogarniała go swoista melancholia. Może to cecha etniczna. Szwedzka. Szybko przemijające skandynawskie lato nie pozwala się sobą nacieszyć. Myśli się raczej o tym, że trwa tak absurdalnie krótko. Lato kończy się w tej samej chwili, kiedy się zaczyna. A co o szwedzkim lecie sądzi Mo- zaffar? Nasrin? Sirwa, Azad i Ediba? Alan, Shirin i Bahar? Ją nazwano wiosną. Jaka była wiosna na Bliskim Wschodzie? Może podczas tego dochodzenia trzeba się zastanowić także nad takimi kwestiami. Trzeba być otwartym na wszystko, naprawdę otwartym. Nie oceniać innych kultur przez pryzmat własnej. Nie uprawiać tak zwanego etno- centryzmu.

- Co pan sądzi o szwedzkim lecie? - zapytał.

Na ustach Kerima pojawił się uśmiech, chyba melancholijny

- Jest za krótkie.

- Brał pan udział w przesłuchaniach podejrzanych? Policyjnych przesłuchaniach?

- Gdzie?

- Gdziekolwiek.

- Nie, nie w tym sensie. To znaczy byłem przy tym, jak złapali jednego czy drugiego dzieciaka albo całą grupę, ale wtedy w zasadzie nie potrzeba tłumacza.

- Młodzi znają język?

- Jeśli chcą.

- Czasami ich język brzmi jak hybryda - stwierdził Winter.

- Bo to jest hybryda.

- Złożona z czego?

- Ze wszystkiego, czego tylko da się użyć. - Kerim chyba znów się uśmiechnął. - I nie tylko.

- Tłumaczył pan kiedyś na komisariacie na Skånegatan?

-Nie.

- Nigdy?

- Nie. Może ich pan zapytać, jak pan chce. Przecież pan tam bywa.

- Wierzę panu. Głupotą byłoby skłamać w takiej sprawie.

- Dlaczego pan to mówi? Po co takie słowa?

- Wie pan coś o prostytutce w tych okolicach?

Może pytanie padło z zaskoczenia. Kerim się wzdrygnął. A może Winterowi tylko się wydawało. Ale Kerim nie był na to przygotowany. Choć to nie musiało nic znaczyć.

- Tak... Słyszałem, że można się z tym tutaj spotkać. Ale przecież tak jest w całym mieście. Ale nie wiem nic więcej.

Winter pokiwał głową.

- A dlaczego pan pyta?

- A handel ludźmi? - ciągnął Winter. - Młode dziewczyny są przemywane do kraju i zmuszane do prostytucji.

- Nie słyszałem, żeby ktoś tutaj o tym mówił.

Winter znów skinął głową.

- Dlaczego pan mnie o to pyta?

- Pytamy wszystkich.

- A zdarzają się tu takie przypadki?

- Tak. Na pewno, jeśli chodzi o prostytutkę. Choć nie mamy dowodów. Bardzo trudno to udowodnić. Policja nad tym pracuje, ale nie udało nam się złapać ani jednego alfonsa.

- Więc może nie ma tu prostytutki.

- Jest. I to w różnych odmianach. Po prostu trudno ją wykryć.

Kerim wyjrzał przez okno. Winter popatrzył w tę samą stronę. Staruszki z pieskiem już nie było. Na placu nie było ani jednej żywej istoty nie licząc rachitycznej trawy i cienkich drzewek, które wyglądały, jakby marzły w promieniach słońca. Jakby były nieubrane. Winter nie wiedział, co to za drzewa, nie znał się na tym. Na pewno nie brzozy. Może osiki? Ta nazwa kojarzyła mu się z marznięciem.

Na Hjällbo bawiły się dzieci. Możliwe, że nie wiedziały zbyt wiele o Midsommar. Szukał chłopca. Przez ostatnią dobę myślał o nim tylko chwilami. Ale chłopiec wciąż był ważny, może nawet ważniejszy niż przedtem. Wintera szczególnie przekonywało to, co powiedział taksówkarz o lekkich krokach,

ale technicy Oberga znaleźli ślady w wilgotnej od rosy trawie. Były tam. To dziecko musiało istnieć. Chłopiec, a może dziewczynka. Nie, chłopiec. Spotkał go. To był on. Może nic nie widział, ale i tak chciał go zapytać. Widziałeś coś? Co widziałeś? Kogo widziałeś?

Kiedy Reinholz, taksówkarz, dotarł na miejsce, zabójców już nie było. Zostały tylko ofiary. I świadek. Reinholz szedł do sklepu niczego nieświadomy. Winter właśnie tam zmierzał. Jeszcze nie widział sklepu. Przed sobą miał ścieżkę. W jaskrawym świetle wyglądała jak czarna lava. Zrobiło się gorąco, termometr w samochodzie pokazywał trzydzieści siedem stopni, ale aż tak ciepło na pewno nie było. Przecież to temperatura ludzkiego organizmu. Winter miał na sobie białą lnianą koszulę i džinsy Lee, a do tego miękkie włoskie mokasyny na gołych nogach. Założył też ciemne okulary. Wszystkie kontury wydawały się przez nie wyrazistsze, a to co czarne - czarniejsze.

Reinholz chciał kupić papierosy. Marki, którą palił, nie było w sklepie. Nie mogli stwierdzić, czy była wcześniej, bo Jimmy nie kupował papierosów normalnie. Sprzedawał te z przemytu. Jimmy, o, Jimmy. Pozostałe towary pochodziły stąd i zowąd. Pod tym względem Jimmy działał jak inne, większe sklepy w okolicy ICA nie miała tu szans. Ale też obroty były tu większe niż w ICA. Ludzie kupowali nie tylko niewyrośnięte bakłażany, pół ogórka, pięćdziesiąt gramów oliwek i owczy ser.

Reinholz wezwał policję. Widok był straszny. Był sam. Wezwanie przyszło kwadrans po trzeciej, może trochę później. Winter nie pamiętał już dokładnie. Może to ważne, ale nie miał żadnego punktu odniesienia.

Reinholz wezwał policję. Był sam. Był w szoku. Stał w progu. Nie wszedł do środka. W sklepie nie znaleźli śladów jego butów. Na nogach miał trampy ze żłobionymi podeszwami. Gdyby tej nocy chodził po sklepie - w ogóle, nie tylko po morzu krwi - zorientowaliby się. W czerwonej kałuży znaleźli ślady kogoś, kto sunął po podłodze. Mieli schemat kroków opracowany przez Öberga. Wokół sklepu było mnóstwo śladów zostawionych przez ostatnie pięćdziesiąt lat, warstwa na

warstwie. Nie dało się odróżnić jednych od drugich.

Reinholz akurat tędy przejeżdżał. Kiedy z nim rozmawiał, był bardzo poruszony, jakby sam znalazł się w środku całej tej historii. Winter nie był może najwłaściwszą osobą, żeby oceniać, w jak wielkim ktoś jest szoku po czymś takim. Sam musiał widywać takie rzeczy, a potem jakoś sobie z tym radzić. Miał za sobą lata praktyki. Nienawidził tego, ale nie zemdlał, widząc tę straszną scenę. Ale nie może oceniać zachowań innych przez pryzmat własnych. Reinholz w obliczu tego horroru zrobił to co trzeba, ale jemu wydawało się, że zrobił też coś, o czym nie wspomniał.

Chłopiec stał za rogiem. Od mężczyzny w białej koszuli i ciemnych okularach dzieliły go ścieżka rowerowa, schody i krzaki. Przez te okulary mężczyzna wyglądał trochę inaczej, ale nie za bardzo. To był on.

Wiedział, dlaczego ten duży pan tu był.

Szedł w stronę sklepu.

Chłopiec postanowił, że nie pojedzie za nim. Ruszył tą samą drogą, którą przyjechał, a potem objechał szkolne boiska, minął świetlicę i pojechał na plac i parkingi.

W domu nikomu nic nie powiedział.

Już nikt o niego nie wypytywał.

Myślał, że uda mu się zapomnieć. Jeszcze trochę i nikt nie będzie chciał wiedzieć, co wie. Ten pan w białej koszuli i w okularach będzie szukał kogoś innego. Zresztą wtedy był tutaj ktoś inny, nie ten pan.

Wybiegli ze sklepu.

A on się trząsał. Bał się ruszyć. Nie mógł się ruszyć. Oni odjechali.

A potem zjawiał się tamten.

Stał tam i się rozglądał. Stał tam długo.

Winter zatrzymał się w progu. Wciąż było widać obrys zwłok. Wszystkie towary - te z przemytu i pozostałe - nadal leżały na półkach.

Brakowało tylko muzyki. To by dopiero było niesamowite,

gdyby wciąż rozbrzmiewała. Gdyby kurdyjska piosenkarka śpiewała dla swojego kraju. Dla ciebie, Kurdystanie. Miasto z okładki. Fontanna, góry, samochody, wyglądające jak na wschodzie. Dostał przetłumaczone teksty Były piękne i mądre, ale nie miał pojęcia, jak mogłyby mu pomóc. To była muzyka etno, śpiewana we wszystkich zakątkach świata. O tęsknocie, o czasie, który mija zbyt szybko. O miłości. Bo miłość też można spotkać we wszystkich zakątkach świata. Nie można o tym zapominać.

Zadzwoiła komórka. W sklepie sygnał wydał się bardzo głośny, rozszedł się po wszystkich kątach.

- Cześć, Erik.
- Bertil. Jak się czujesz?
- Źle nie jest, ale dobrze też nie. Wczoraj zmęczenie trochę mnie ścięło.
- Wszystkich ścięło.
- Gdzie jesteś?
- W sklepie Jimmy'ego.
- Ja jadę do Husseina.
- Po co?
- Zapewne po to samo, po co ty jesteś na Hjällbo.

TEGO DNIA, W MIDSOMMAR, RYMDTORGET wyglądał, jakby się znajdował na Marsie. Winter czuł się jak pierwszy człowiek odwiedzający tę planetę, jak astronauta. Poszedł na zachód, Aniaragatan. Dom kultury i biblioteka były zamknięte. Zawrócił i minął sklep spożywczy - zwykłą dziurę w ścianie schowaną za opancerzonymi drzwiami. Nie spotkał nikogo, dopiero przed pubem wpadł na Ringmara. On też miał na nosie ciemne okulary. Winter widział w nich własne odbicie. W brązowych okularach Ringmara plac wyglądał jak odległa pustynia. Aniaragatan biegła w dal.

- Otwierają za dwie godziny. - Ringmar wskazał na drzwi pubu. - Naprawdę im się to opłaca w tald dzień jak dziś?

- Ja tam bym się czegoś napił - odparł Winter.

- No proszę. - Ringmar się rozejrzył. Wciąż byli sami na całej planecie. - Jeśli za dwie godziny jeszcze tu będziemy.

- W samochodzie mam dużą butelkę wody mineralnej.

- No to dawaj ją tu.

Zerwali taśmę i otworzyli drzwi. W przedpokoju unosił się suchy, zatęchły zapach. W mieszkaniu było bardzo ciepło. Duże okna w salonie wychodziły na zachód. Nie zasłaniały ich firanki. W tym mieszkaniu nie było nic przytulnego. Wyglądało jak obóz przejściowy. Między czym a czym?

Kto leżał na tych materacach? Öberg i jego ludzie poświęcili dużo czasu na szukanie śladów, które połączyłyby sklep Jimmy'ego z mieszkaniem Husseina, ale nadal nic nie znaleźli.

Jeśli zabójcy przyjechali tu po tamtym morderstwie, to udało im się to ukryć. Przesłuchiwanie sąsiadów nic nie dało. Tamtej nocy nikt nic nie słyszał, żadnych szybkich kroków na schodach.

A wcześniej? Też nie. W tym falistym bloku przy Tel-lusgatan wszystko było jak zwykle.

Ringmar wszedł do mieszkania. Winter widział kurz tańczący w promieniach słońca. Było go tyle, że w sekundę

mógłby wypełnić płuca i udusić człowieka. Winter powstrzymał się od sięgnięcia po chusteczkę, której i tak nie miał, i zatkania sobie ust i nosa.

Ringmar się odwrócił.

- Myślę, że już go nie ma w kraju - powiedział.

- Może.

- Cholera, nawet nie wiemy, jak on wygląda! Boże, chyba jestem starym komisarzem, który już nie nadąza za nowym światem. Czy może raczej nowym krajem.

- Po prostu znalazłeś się w niewłaściwej dzielnicy.

- Co? Daj spokój. Mówię poważnie. Naprawdę nie miałem pojęcia, że tak łatwo jest tu mieszkać incognito. I wcale nie mam na myśli tych biedaków, którzy ukrywali się tu latami, unikając szwedzkiej empatii.

- Empatii?

- Tak, przecież pomagamy im wrócić do domu.

- Ach, tej empatii.

- No więc nie chodzi mi o nich. Mówię o koleśiach, którzy łążą sobie po okolicy w biały dzień. Jak ten Hussein. Mieszka tu, żyje sobie, je, pracuje, choć na czarno, ale my nie mamy pojęcia, kim jest.

- Najczęściej daje się to łatwo wytłumaczyć.

- Tak, wiem, że mogą za tym stać różne powody. To zrozumiałe. Czasami to straszne historie, okoliczności mogą być okropne. Ale też można to łatwo wykorzystać, żeby się ukryć. Żeby zacząć na nowo, jako ktoś inny.

Winter polował głową.

- Ty też mógłbyś być kimś innym - dodał Ringmar.

- Kusząca myśl.

- Czyżby?

- Choćby tylko na próbę.

- Powiedzmy że żyjesz w dawnej Gótaland lub Svealand²¹, grożą ci tortury i śmierć. Ryzykujesz życie i zdrowie. Zresztą to nie kwestia ryzyka, tak po prostu było. Jesteś prześladowany. Zabrali już twoich braci i twoje siostry. Ojca i matkę też. Nie masz szans. Wiesz o tym. Dokąd byś uciekł?

21 Historyczne krainy w środkowej Szwecji.

- Do Norrlandii²²?

- Mówię poważnie.

- Ja też, ale nie wymienię Norrlandii.

- Nie, granice Norrlandii zamknęli Rosjanie albo nasi niegdyś pokojowo nastawieni sąsiedzi Norwegowie. Musisz uciekać na południe. Daleko na południe.

- Na Bliski Wschód?

- Tak, nawet dalej. W sam środek pustynnych burz. Ale okazuje się, że burz już nie ma. Powiały nowe wiatry, teraz jest wolność i demokracja. To tam musisz dotrzeć, to twoja ziemia obiecana.

- Uciekam.

- Uciekasz. Płacisz fortunę przemytnikowi z Dalsland czy skądkolwiek i jedziesz przez Europę pociągiem towarowym, dalej przez Morze Śródziemne trawlerem i, syryjską nocą, na wielbłądzie, aż docierasz do granicy

- Jakiej granicy?

- Granicy wolności oczywiście.

- No dobrze.

Za oknem Winter widział niebieskie niebo. Już od tygodni nie uświadczyli chmury. Choćby jednej, choćby obłoczka. To na pewno rekord szwedzkiego nieba.

- Ale nie chcesz dopuścić do tego, żeby cię odesłali z powrotem. Nie jesteś pewien, czy torturowano cię wystarczająco strasznie, żeby w nowym kraju ci uwierzyli. Może nie nacierpiałeś się aż tyle, żeby ci pozwolono zostać w raj. Co robisz?

- Staję się kimś innym.

- Już jesteś kimś innym, prawda? To łatwe.

-Tak.

- Już sam nie wiesz, kim byłeś wcześniej. Chcesz o tym zapomnieć, jak najszybciej. Stajesz się więc kimś innym i znikasz w wolnym, anonimowym tłumie. Jesteś, a jednocześnie cię nie ma.

Winter rozejrzał się po mieszkaniu. Nie było co oglądać.

- Jak Hussein Hussein - powiedział.

²² Kraina w północnej Szwecji.

I<jedy wracali, pub wciąż był zamknięty.

- Ej, ja naprawdę muszę się napić kawy - powiedział Ringmar.

- Znam jedno miejsce.

Pizzeria Suverän była chyba czynna całą dobę. Winter już to wiedział, choć nie wiedział, dlaczego tak jest. Nigdy nie widział żadnego gościa poza sobą i Kerimem.

Ringmar siedział obok niego w mercedesie i popijał wodę mineralną.

- Już lepiej - powiedział i odstawił butelkę. - Ale nie dlatego, że mam kaca.

- Oczywiście - odparł Winter i skrzywił.

- Chociaż czasami lepiej się myśli na kacu - dodał Ringmar.

- Od razu przechodzi się do rzeczy, człowiek się nie rozprasza. Rozumiesz?

-Nie.

- Ale tak jest.

- No to może powinniśmy dopilnować, żeby co drugi dzień mieć kaca.

Zaparkowali przed salonem La Nouvelle i weszli do pizzerii. Naprawdę, to miejsce jedyne w swoim rodzaju, pomyślał Winter. Kobieta przy kasie powitała go jak stałego klienta, którym był. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie przedstawić jej Ringmara, czy go nie wziąć na krótką rozmowę z właścicielem i kucharzem.

- Poprosimy dwie kawy.

- Coś do tego?

- Może ciastko migdałowe, jeśli jest świeże - powiedział Ringmar.

- Nie są dzisiejsze. Dzisiaj nie pieką.

- I tak poproszę.

Winter widział zmarszczki na czole Ringmara - pionowe bruzdy między oczami. Ale Bertil był świeżo ogolony. Pod brodą lekko się zaciał. Winter to zauważył, kiedy Ringmar wyciągnął szyję, żeby popatrzeć na sufit. Po chwili opuścił głowę.

- To śledztwo trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę

- powiedział Ringmar.
- Tu się z tobą zgodzę.
- Co teraz?
- Ja muszę trochę poczytać. I porozmawiać z Torstenem.
- Ja dzisiaj nie dam rady czytać. Będę działał w terenie.
- Możesz poszukać tego chłopca.
- Gdyby istniał, już byśmy go znaleźli.
- Istnieje - odparł Winter. - Ale nie jest taki jak Hussein Hussein.

- A nie sprawdziliśmy już wszystkich mieszkań na Hjällbo?
- Nie do końca. Zresztą sam wiesz, zwłaszcza po naszej rozmowie, że tego się nie da sprawdzić na papierze.

- A ta sprzątaczką? Finka?
- Jeśli się czegoś dowie, da znać.
- A ona tu nie mieszka? - Ringmar wskazał na Kanelgatan.
- Tak, mieszka. Mają tu niewielką fińską kolonię.
- No to sprawdzę to.
- Chcesz wrócić do mieszkania Jimmy'ego?

- Na dziś wystarczy wizyt w mieszkaniach - odparł Ringmar.

Winter zauważył, że za oknem parkuje samochód. Biała taksówka, volvo V70, Taxi Göteborg. Najpopularniejsza korporacja w mieście. Przez przednią szybę widział kierowcę. Nie znał go. Odwrócił się, żeby wziąć pieniądze od pasażera, który właśnie wysiadł. Mozaffar Kerim. Szybko ruszył przed siebie. Ringmar znów popatrzył w sufit. Nie znał Keri- ma. Taksówka wycofała, skręciła w prawo i pojechała. Wtedy Winter zauważył, że z tyłu siedzi ktoś jeszcze. Kiedy samochód odjeżdżał, na tylnym siedzeniu zamajaczyła jeszcze jedna sylwetka.

- A to co, do cholery?

Ringmar gwałtownie się wzdrygnął, ryzykując uraz kręgosłupa.

Winter już był na nogach.

- Samochód! - krzyknął, wybiegając na dwór.

Kobieta przy kasie chyba się zaniepokoiła.

- Zapłacimy później! - zawołał Winter. Nie miał przy sobie gotówki. Ringmar miał, ale nie było na to czasu. - Bertil,

pospiesz się, na Boga!

Kiedy jechali przez tunel, Winter zauważył taksówkę, daleko z przodu.

- Możemy się skontaktować z kierowcą - powiedział Ringmar.

- Nie, chcę wiedzieć, dokąd jadą.

- Z tyłu siedzi jedna osoba czy dwie?

- Z tego co widzę, jedna.

- Jakiś znajomy tłumacza?

- Zapewne.

- To może być każdy. - Ringmar podrapał się po karku.

- Może ten tłumacz właśnie miał jałdeś zlecenie.

- Chciałbym się dowiedzieć, z kim się spotyka - odparł Winter.

- Nie ufasz mu?

Winter nie odpowiedział. Nie wiedział, czy ufa Mozafarowi Kerimowi, cokolwiek miałyby to w tej sytuacji oznaczać. Wydawało mu się, że Kerim jakby coś ukrywał: jakąś wiadomość, wiedzę czy znajomość. Słowo. Kerim znał ich więcej niż te, których używał, pomagając mu w śledztwie, rozmawiając z nim. Krążył w tę i z powrotem. Teraz skądś przyjechał, ale nie sam. To mogło być coś interesującego albo coś zupełnie bez znaczenia. Ale teraz Winter dotarł do konkretnego punktu, może właśnie tego właściwego. To nie jest kwestia szczęścia. Nigdy Gdyby nie siedział w pizzerii, nic by nie zobaczyli. Praca w terenie. Śledztwo na miejscu zbrodni. Tak je prowadzili, przynajmniej w tym momencie. Wracali. Kiedyś napisze o tym książkę. Będą z niej uczyć w szkole policyjnej.

Taksówka skręciła przy straży pożarnej i pojechała dalej na południe, ulicą Angeredsleden. Na prawo Winter widział centrum Angered. W jaskrawym świetle budynki wyglądały na wypucowane. Ich sylwetki odcinały się na tle nieba. Kiedy siedział tam z Braciszkiem w kawiarni? Miał wrażenie, że dawno temu.

Taksówka znów skręciła w lewo, a potem w prawo, na

rondzie. Byli o jedno skrzyżowanie za nią.

- Jedzie na Hjällbovägen - powiedział Ringmar.

Winter wjechał na rondo.

Teraz od taksówki dzieliły ich tylko dwa samochody, kilka zjechało na Hammarkulen.

Minęli Gropens Gård i szkołę.

- Widzisz go? - zapytał Ringmar.

- Tak.

Taksówka skręciła. Byli już blisko. Pojechali za nią. Winter zobaczył, że auto znów skręca i robi półkole na parkingu przed kościołem. Przejechał przez skrzyżowanie i zatrzymał się kawałek dalej. Ustawił wsteczne lusterko. Z taksówki wysiadł mężczyzna. Zapłacił kierowcy przez otwarte okno. Potem ruszył. Winter znał.

- Widzisz kto to? - Ringmar powoli się odwrócił, ignorując ryzyko urazu kręgosłupa.

- Tak. Nazywa się Alan Darwish.

- Darwish... to kolega Hiwy Aziza, tak?

- Tak. Czytałeś raport z naszej rozmowy.

- Nie, jeszcze nie. Ale wspominałeś o nim.

- Miałem nadzieję, że chłopak do mnie zadzwoni. Takie sprawiał wrażenie.

Darwish szedł dość wolno, jakby był zamyślony. Nie rozglądał się. W taksówce też nie patrzył na boki. Widzieli z daleka jego głowę.

- Po co miał dzwonić?

- Żeby opowiedzieć, co się tak naprawdę stało - odparł Winter.

- Aż tak?

- Albo o tym, kim właściwie był Hiwa. Był kimś, a my nie do końca wiemy kim. A ten chłopak wie. To dlatego przestali się spotykać.

- A jego siostra? Wie coś, o czym nie chce nam powiedzieć?

- Dobre pytanie.

- I co teraz?

Winter wciąż wpatrywał się w Darwisha. Schodził w stronę Bredfjöllsgatan. To tam mieszkał. Tam był jego dom.

- Co robimy? - powtórzył Ringmar.
- Nic.
- Nie pójdziemy za nim i nie złożymy mu wizyty?
- A myślisz, że to dobry pomysł?
- Nie.
- Na razie nie będziemy ujawniać tej karty - powiedział Winter. - Tylko my wiemy, że ją mamy.
- A więc Alan zna tłumacza. Może nie ma w tym nic dziwnego. To oczywiste, że się znają. Są Kurdami i tak dalej.
- Aha.
- I pojechali sobie na przejażdżkę taksówką.
- Chciałbym zamienić parę słów z kierowcą.
- Ale on już pojechał.
- Bertil, jesteście policjantami. I tak możemy sprawdzić kto to.

Kierowca nazywał się Peter Malmström. Winter dodzwonił się do niego przez centralę, kiedy Malmström wciąż był w trasie. Zgodził się zawrócić.

Spotkali się na dużym placu w centrum Hjällbo.

Winter i Ringmar przesiadli się na tylne siedzenie taksówki. Kierowca wyglądał tak, jakby był przygotowany na trudne pytania. Chyba się zastanawiał, w co został wciągnięty. I czy nie wyjdzie na tym źle. Bo może wsiadło mu do auta dwóch gangsterów udających policjantów? Tutaj, na północy, wszystko jest możliwe.

- Kogo odebrał pan najpierw? - zapytał Winter.

- Tego starszego. Wziąłem go z Gårdsten, z Kanelgatan. I tam go potem wysadziłem.

- Zamówił kurs?

- Oczywiście. Nie jeździmy po tej okolicy ot tak sobie, żeby złapać klientów.

- Co było dalej? Proszę opowiedzieć.

- Zawiozłem go na Angeredstorget, prawie w samym centrum Angered. Koleś kazał mi poczekać i gdzieś poszedł.

- Kazał panu zaczekać?

- Tak. Powiedział, że idzie gdzieś na kilka minut, a potem pojedziemy na Hammarkullen.

- Dokąd poszedł?
- Nie wiem.
- W którą stronę?
- W stronę tego ciągu domów na północy. Tam, gdzie jest policja i ośrodek doszkalania, i kilka innych instytucji. To taki jakby dom kultury.
- Kurdyjskie Centrum Kultury - podpowiedział Ringmar.
- Coś w tym stylu.
- To się chyba nazywa Kurdyjskie Centrum Kultury i Edukacji - dodał Ringmar. - Wszedł tam?
- Nie wiem. Nie patrzyłem. Zająłem się tą starą gazetą.
- Malmström pokazał im „Metro”.
- Jak długo go nie było? - zapytał Winter.
- Jakieś dziesięć minut. Mogę podać dokładny czas, jeśli...
- Na razie nie trzeba - przerwał mu Winter. - Co było dalej?
- Pojechaliśmy na Hammarkullen i zaparkowaliśmy przy kościele. Czekaliśmy chwilę. Tam potem wysadziłem tego drugiego. W tym samym miejscu. - Malmström podrapał się po brodzie. - To był dziwny kurs.
- W jakim sensie?
- Bo najpierw odbieram jednego kolesia, potem drugiego, a potem każdego z nich wysadzam w tym samym miejscu, skąd ich brałem. A jeździliśmy w kółko.
- Jeździliście w kółko?
- Pojechaliśmy w stronę Hjällbo, potem wokół Bergsjön, a potem na Gårdsten. No a potem wróciłem pod kościół.
- Kto wydawał polecenia?
- Kto mówił, gdzie jechać? Ten starszy.
- Co mówił?
- Żeby jechał na Hjällbo. A kiedy już tam byliśmy, kazał jechać na Bergsjön. No a tam powiedział, żebym pojechał z powrotem na Gårdsten. Tam, skąd mnie pan odbierał
- tak powiedział.
- Jak długo to trwało? To znaczy od chwili kiedy wsiadł ten drugi?
- No... jeśli chcecie wiedzieć dokładnie, to...
- Pi razy oko - przerwał mu Ringmar.

- Jakieś czterdzieści minut. Może trochę mniej.

- Pytał pan, dlaczego chcą tak jeździć?

-Nie.

- A zastanowiło to pana?

- W sumie to nie. Jedziemy tam, gdzie klient każe.

To zawieź mnie na most, chcę popełnić samobójstwo, pomyślał Winter.

- Jak zapłacili? - zapytał.

- Równą sumę.

- Rozmawiali?

- Owszem.

- O czym?

- Gdybym wiedział. - Na ustach Malmstróma nagle pojawił się uśmiech. - Nie znam ich języka.

- Nie mówili nic po szwedzku?

- Tylko kiedy ten starszy mówił mi, gdzie mam jechać.

Winter pokiwał głową.

- Ale dyskusja była ożywiona - dodał Malmstróm.

- Jak to?

- Nie wiem, czy tacy jak... czy oni... To znaczy czy tam, skąd pochodzą, ludzie zawsze tak rozmawiają. Może wszystkie rozmowy tak brzmią, nie wiem. Ale mnie się wydawało, że się trochę kłócili.

- Kłócili?

- Tak to brzmiało.

- To znaczy?

- No, wydawali się wzburzeni.

- Obaj? Czy tylko jeden?

- Z tego co widziałem, to obaj. Ale nie przyglądałem im się tak dokładnie. Nie chciałem się wtrącać. Ale oczywiście, gdyby sytuacja zrobiła się poważniejsza, tobym coś powiedział. Przecież nikt nie chce mieć bójki w samochodzie.

- A było takie ryzyko?

- Sam nie wiem. Jak mówiłem, nie zrozumiałem ani słowa. Może gadali tylko o cenie kawy albo kielbasy. Może to nie było nic poważnego. Polityka, piłka nożna, sam nie wiem.

- I nie ma pan pojęcia, dlaczego jechaliście taką trasą?

- Jak to?

- Dlaczego zrobiliście taką pętlę?

- Pętlę? No tak, można tak powiedzieć. Czy mam pojęcie...

No cóż, parę razy coś tam sobie pokazywali.

- Pokazywali?

- Tak. - Malmström instyktownie podniósł dłoń i wskazał na pusty plac parkingowy, jakby chciał zademonstrować, jak to jest, kiedy się komuś coś pokazuje. - Mijaliśmy jakieś miejsce i ten starszy na coś wskazał i coś powiedział, dość wzburzonym tonem. A może to ten drugi, młodszy. Nie pamiętam. Obaj coś wskazywali. Kilka razy.

- I gdzie wtedy byliście?

- Kiedy pokazywali?

-Tak.

- Nie pamiętam. Chyba na Bergsjön. To w końcu długa... pętla. Ale tam na pewno coś sobie pokazywali. I tu, na Hjällbo, też.

- To duży teren - powiedział Winter. - Pokazywali sobie coś konkretnego?

- Nie widziałem dokładnie. Wskazywali na domy.

- Zna pan sklep u Jimmy'ego? - zapytał Ringmar.

- Tak, kto nie zna. Zwłaszcza teraz.

- Znał go pan wcześniej?

- Jasne. Wszyscy taksówkarze znają nocne sklepy.

- Tamtędy też przejeżdżaliście? - zapytał Winter.

-Nie.

ZNÓW SIEDZIELI W MERCEDESIE WINTERA. Ringmar pochylał się i włączył odtwarzacz. Samochód wypełniła muzyka. Winter ściszył przyciskiem wmontowanym w kierownicę. Odległy dźwięk skrzypiec i odległy głos. Ballada z kraju, którego nie ma na mapach.

- Kto to?

- Nazywa się Naser Razzazi - odpowiedział Winter. - Kurdyjski piosenkarz.

Pieśń, choć przyciszona, nadal rozbrzmiewała mocno.

- Okładka jest w schowku - dodał Winter.

Ringmar otworzył schowek i wyciągnął okładkę. Zobaczył mężczyznę z czarnymi wąsami i gęstymi szpakowatymi włosami. A może to przez promienie słońca jego włosy wydawały się siwawe. Naser Razzazi nie patrzył przed siebie, tylko gdzieś w bok, w dal. Był namalowany. W tle wznosiły się góry Zagros.

- Kermeshan. - Ringmar odczytał napis. - Co to?

- Miasto. Chyba w irackiej części Kurdystanu.

- To stamtąd pochodzi ten piosenkarz?

- Nie wiem. Urodził się w Sinne, we wschodnim Kurdystanie. To podobno w Iraku. Ale wiele lat mieszkał w Szwecji. Dawny partyzant.

- Skąd wiesz?

- Napisali na okładce.

Ringmar z uśmiechem rozłożył okładkę.

- Taką płytę mieli w domu Said i Shahnaz Rezai - dodał Winter.

- Ale oni nie byli Kurdami?

-Nie.

- Hm...

Muzyka nabrała mocy, zabrzmiały kolejne skrzypce, kontrabas i wiolonczela.

- Kurdystan, kraj krwi i ognia - przeczytał Ringmar. Zadzwoiła komórka Wintera.

Najpierw usłyszał oddech Braciszka, dopiero potem jego głos.

- Winter, gdzie jesteś?

- W samochodzie.

- Dzwonił godzinę temu - powiedział Braciszek.

- Ale kto?

- Inne moje źródło. Chyba ci mówiłem, że się do niego odezwę?

-Nie.

- Musi mi coś powiedzieć. Myślę, że może. Może nam pomóc. Jasno mu to wyłożyłem.

- Jak się nazywa?

Braciszek nie odpowiedział.

- Podaj jakiegokolwiek imię, no, już! Przecież musimy chyba jakoś na niego mówić?!

- Abdullah.

- Dzięki.

- Spotkam się z nim.

- Kiedy?

- Nie wiem dokładnie, ale wkrótce.

- Chcę przy tym być.

-Nie.

- Mówię, że chcę tam być.

- Winter, to tak nie działa.

- A jak? Tak jak na Bergsjön? Jak z Hamą Alim alias Marko?

- Nie musisz...

- Abdullah, czy jak mu tam, ma skończyć tak samo? - przerwał mu Winter.

- Wyluzuj.

- Zadzwoń i powiedz, kiedy się spotkamy. - Winter się rozłączył i cisnął komórkę. Odbiła się od siedzenia i od ramienia Ringmara.

- Uspokój się!

- A dlaczego? Niby czemu miałbym być spokojny?

Nie chciał się uspokajać, nie mieli na to czasu. Nagle strasznie rozbolała go głowa, znów zaczęło go palić nad prawym okiem. Nie miał czasu na gadki z policjantami, którzy nie

chęcią zrozumieć.

- Może jeśli Braciszek się z nim spotka, posuniemy się o krok - powiedział Ringmar. Słyszał głos Braciszka równie dobrze, jak Winter, może nawet lepiej. - Poczekamy, zobaczymy. Braciszek go zna.

- Między innymi tego się obawiam.

- Erik, ten cały Abdullah może nie mieć z naszą sprawą nic wspólnego.

Winter milczał. Wiedział. Ale nie mógł tego wytłumaczyć, nawet Bertilowi. Wiedział też, że rozumiałby wszystko lepiej, gdyby tylko mógł się spotkać z Abdullahem. Zadać kilka pytań, zobaczyć go, sprawdzić. Czegoś takiego nie da się wyjaśnić. To przecucie. Wiązało się ze wszystkim, czego się nauczył przez lata służby. Rzadko go zawodziło.

Czy powinien śledzić Braciszka?

Boże, ależ boli go głowa.

Mocno pomasaował czoło nad okiem.

- Erik, co się dzieje?

-Nic.

Opuścił rękę.

- Boli cię głowa?

- To nic takiego. Jedziemy z powrotem na Hammarkullen.

Przed halą targową leżały w skrzyniach warzywa i owoce. Jakiś mężczyzna w marynarce unosił jabłko, jakby podziwiał jego blask.

Grupka chłopców ustawiła się przy ruchomych schodach prowadzących na przystanek tramwajowy. Po asfalcie walały się papiery i inne śmieci. Ktoś przewrócił kosz. Leżał na trawniku.

Na boisku niedaleko szkoły dzieci grały w nogę. Ich krzyki odbijały się echem od budynków.

Drzwi na klatkę były otwarte.

Winter przejrzał listę lokatorów.

- Czwarte piętro - powiedział.

Weszli na górę. Winter nie korzystał z windy chyba że nie dało się tego uniknąć. Często, kiedy chodzili we dwojkę, jeden jechał windą, a drugi szedł po schodach, na wypadek gdyby

ktoś widział, że przyjechali, i chciał się ulotnić. Ale tym razem chyba nie było takiej potrzeby

Gdyby Alan Darwish chciał uciec, musiałyby to coś oznaczać. Choć z drugiej strony mieli już wystarczająco wielu zaginionych.

Po trzecim dzwonku otworzyła im ubrana na czarno kobieta. Wyglądała jak siostra Ediby Aziz. Azizowie mieszkali w jednym z sąsiednich bloków przy tej samej ulicy. Winter chciał jeszcze raz porozmawiać z Nasrin, ale jeszcze nie teraz. Może później.

Wziął tabletkę przeciwbólową. Nie pomogła. Może później pomoże. Gdyby tylko mógł skombinować porcję czuwaliczki²³, skoro już i tak jest w tej okolicy. Somalijczycy sprowadzają ją tonami. Szef miejscowej policji Sivertsson opowiadał im o nalotach. Kiedy wkraczali do mieszkania pełnego zioła, Somalijczycy znikali w błyskawicznym tempie. Wyskakiwali przez okna jak ogromne ptaki.

Kobieta nie odezwała się ani słowem. Winter i Ringmar wyciągnęli legitymacje. Kobieta odwróciła się do nich plecami, jakby chciała wezwać pomoc. Winter nadal słyszał dzieci grające w nogę. Okna musiały być otwarte, choć w mieszkaniu nie było dzięki temu chłodniej.

- Szukamy Alana - powiedział Winter.

Kobieta nie odpowiedziała. Mówił w obcym dla niej języku. Winter pomyślał o Mozaffarze Kerimie. Zabawnie byłoby zjawić się tu w jego towarzystwie, jak gdyby nigdy nic. Jakby nie wiedzieli. Jeszcze raz pozwoliliby mu potłumaczyć.

- Alan - powtórzył Winter. To chyba musiała rozumieć.

- O co chodzi? - usłyszeli głos Alana. Właśnie pojawił się w przedpokoju.

Kobieta wyglądała na przerażoną, jakby ją zaskoczył jego głos. Pewnie była jego matką.

Coś do niej powiedział. Odpowiedziała. Potem coś dodał. Kobieta szybko rzuciła okiem na Wintera i Ringmara, a potem ruszyła w głąb mieszkania, w stronę kuchni, którą częściowo

²³ Występująca w Afryce Wschodniej i Arabii roślina o działaniu stymulującym

było widać.

- Mama robi nam herbatę - powiedział Alan.

Nie, tylko nie to. Nie mógł kolejny raz siedzieć z milczącą matką i jej dzieckiem i rozmawiać o śmierci. Na pewno nie teraz. Pewnie ta kobieta najchętniej nie brałaby udziału w rozmowie.

- Przykro nam, ale nie.

- Ale my musimy

- Alan, chciałbym, żebyś z nami na chwilę wyszedł.

- Dlaczego?

- Zaraz ci powiemy.

- Mam wyjść? Ale dokąd?

- Po prostu zrobimy sobie przejażdżkę.

- A dlaczego nie możemy porozmawiać tutaj?

- Mamy kilka pytań, które wiążą się z przejażdżką - odparł Winter.

Alan wyglądał na przestraszonego, ale nie na kogoś, kto się boi, że go zabierają na ostatnią przejażdżkę w życiu. Bardziej niż przejażdżki bał się pytań.

Poszedł do kuchni i powiedział coś do matki. Winter nie słyszał, czy odpowiedziała. Nikt więcej nie wyszedł do przedpokoju. Nie było innego mężczyzny, na przykład ojca. Alan wrócił. Założył sandały. Piach zazgrzytał o linoleum.

- To zajmie tylko chwilę.

Halders zamachał na taksówkę. Usiadł na tylnym siedzeniu. Samochód ruszył, zanim zamknął drzwi.

- Na Hjällbo - powiedział.

Kierowca pokiwał głową.

- I proszę się zatrzymać tam gdzie wtedy.

Na parkingu stała tylko taksówka. Teren wciąż był odgrodzony. W to midsommarowe popołudnie nie trafił im się żaden ciekawski.

- Co ma pan zamiar zrobić? - zapytał Jerker Reinholz. Kiedy Halders do niego zadzwonił, pytał, po co to wszystko, ale Halders wymamrotał tylko coś o śledztwie. Do

niego najłatwiej było się odnieść - dzięki temu Halders nie musiał wdawać się w gadkę o intuicji, czystym przeczuciu. Nie był fanem przeczuc, ale czasami szedł za myślą, która nie dawała za wygraną.

- Wsiądźmy - powiedział.

Stanęli przy samochodzie.

- No dobrze. Więc zaparkował pan i ruszył w stronę sklepu. Proszę opowiedzieć, jak to było.

- Przecież mówiłem wam to już sto razy.

- Nie szkodzi - odparł Halders. - A myśli pan, że ile razy ja czytam protokoły z przesłuchań?

- Ale wy macie już zapis mojego przesłuchania. Po co robić kolejne?

- To nie jest przesłuchanie.

-A co?

- Rekapitulacja.

- A co to znaczy?

- Że się powtarza to, co najważniejsze. Więc ruszył pan do sklepu. - Halders kiwnął głową w stronę małego pawilonu. W słońcu wydawał się kredowobiały. - Poszedł pan tam.

Reinholz pokiwał głową.

- No to chodźmy - powiedział Halders.

Zatrzymał się w połowie drogi między samochodem i budynkiem.

- Stąd widać ścieżkę.

- Nie zastanawiałem się nad tym - odparł Reinholz.

-Nie?

- A po co miałbym się nad tym zastanawiać? Kiedy tu bywałem wcześniej, zazwyczaj było ciemno albo się spieszyłem. Po co miałbym się zastanawiać, co jest wokół sklepu?

- Ale tym razem ktoś tu tą ścieżką przyszedł. A potem poszedł.

- Przecież wam mówiłem. Ktoś stąd uciekł.

- Lekkie kroki. Czyli dziecko.

- Może to nie było dziecko. Zastanawiałem się nad tym. Może to był ktoś, kto... to zrobił. Kto ich zastrzelił.

- Tego nam pan nie mówił.

- Bo wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

Przeszli kilka kroków.

- I co pan zobaczył z zewnątrz? - zapytał Halders.

- Nic.

- Nic a nic?

- Przecież sam pan widzi. Widać stąd wewnątrz sklepu, ale nie widać, czy ktoś nie leży na podłodze.

- I kiedy się pan zorientował, że ktoś leży?

Kontury morza krwi wciąż były widoczne, choć kolor już wyblakł. Duże okna wpuszczały światło, więc także w środku wszystko wyglądało na białe.

Stanęli w drzwiach, w progu. Reinholz o krok przed Haldersem.

- O, tu - powiedział Reinholz. - Tutaj zauważyłem tego pierwszego.

- I co pan zrobił?

- Ja... nie pamiętam dokładnie. Byłem w szoku. Chyba krzyknąłem. A może krzyknąłem dopiero, kiedy zrobiłem jeszcze krok i zobaczyłem tego drugiego.

Halders milczał.

- I chyba wtedy zadzwoniłem na sto dwanaście.

- Ile czasu minęło? - zapytał Halders.

- Minęło? Od czego?

- Od chwili kiedy pan zobaczył, co się dzieje w środku. Kiedy pan zobaczył zwłoki i krew.

- Mówiłem już. Może pół minuty. Minuta.

- Nie więcej?

- Nie wiem. Nie liczyłem. Ledwo wiedziałem, pod jaki numer zadzwonić. Najpierw zapomniałem, jaki jest numer alarmowy. Byłem porządnie roztrzęsiony.

- Dzwoniono do pana z centrali, kiedy pan wjeżdżał na parking - powiedział Halders.

- No tak... Mówiłem wam o tym.

- Nie, ale spokojnie. Zawsze sprawdzamy takie rzeczy. Był pan w szoku, łatwo zapomnieć o czymś takim. Ale jeśli podliczyć, to od tej rozmowy do chwili, kiedy pan nas wezwał,

minęło prawie dziesięć minut.

Halders wciąż stał za Reinholzem, ale widział jego profil. Reinholz zamrugał. Czasami Halders wolał stać obok tych, którym zadawał pytania. Bo irytowały go wszystkie te spojrzenia wysyłane w kosmos albo - przeciwnie - wbite w niego. Jakby przesłuchiwanym się wydawało, że kontakt wzrokowy to przepustka do wolności.

Reinholz się odwrócił, ale nie patrzył Haldersowi w oczy.

- Dziesięć minut?

- Prawie. Bez kilku sekund.

- Ach, tak.

- Dużo czasu panu zajęło wezwanie nas.

- Mówiłem przecież, że nie liczyłem czasu.

- To i tak długo. Dziesięć minut. Nawet dziewięć czy osiem to dużo.

Reinholz nie odpowiadał.

- Teraz przeszliśmy przez parking w minutę - ciągnął Halders. - Więc w sklepie spędził pan co najmniej osiem minut.

- Do czego pan zmierza?

- Po prostu się zastanawiam.

Faktycznie, zastanawiał się. Zastanawiali się wszyscy, on, Aneta, Winter i Ringmar, odkąd przejrzeni wszystkie rozmowy telefoniczne, jakie mogli. Reinholz zwlekał z zawiadomieniem policji, ale to się zdarza, jeśli się jest w głębokim szoku. Czas biegnie inaczej - czasami bardzo szybko, a czasami niemiłosiernie się ciągnie. Rzeczywistość się zmienia i czyjeś wyobrażenie o upływie czasu może się z nią nie zgadzać. Pojadę tam z nim, zaproponował Halders. Zobaczymy, co się stanie.

- Ja... pewnie zanim wysiadłem, siedziałem trochę w samochodzie - powiedział Reinholz.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Byłem zmęczony. Jak się pojeździ, to czasem chce się po prostu chwilę posiedzieć. To trochę męczące wciąż wpatrywać się w szybę.

- No to po co w ogóle się pan zatrzymywał? Nie lepiej było jechać prosto do domu?

- Miałem kupić fajki. Mówiłem już.

- Dlaczego zwlekał pan z zawiadomieniem policji, panie Reinholz?

Reinholz najpierw popatrzył mu prosto w oczy, a potem spuścił wzrok. Na podłogę, która wyglądała tak, jakby ją pokrywało kilka warstw. Jakby była zrobiona z łupku.

- Nie zwlekałem. Z tego co pamiętam, zadzwoniłem od razu, kiedy przestały mi się trząść ręce.

RAZ NA JAKIŚ CZAS PRZYBYWALI TU i inni z naszego kraju. Byli wśród nich ci, którzy mogli nam opowiedzieć o jakimś dalekim krewnym, ale najczęściej nic nie wiedzieli. Kiedy nadchodziła ta chwila, wszyscy musieli uciekać - albo z własnej woli, albo byli do tego zmuszeni - właściwie tak jak stali. Przyjeżdżali z niczym.

Mama siedziała zamknięta w domu. Bała się otaczającego ją świata.

Może i my się go baliśmy.

Wszystko tu było obce. Było trochę naszych, ale to czasami komplikowało sprawy. Bo oto ląduje się w obcym kraju, a przyjmują cię ci, którzy spędzili tu już trochę czasu i zaczęli się zmieniać. Widać było, kto z nich jest już kimś innym.

My też się zmienialiśmy.

Zaczęła się szkoła, ale nie było łatwo.

Trudno było usiedzieć w miejscu. Można było wyglądać na boisko i na piłkę, która zawsze zdawała się być w powietrzu.

A do tego przerwy, spędzane samotnie, podczas gdy inni się bawili. Nawet ci nieliczni, koleżanki i koledzy, nigdy nie bywali u nas w domu.

A potem mój brat wrócił do domu z dwoma mężczyznami i wszystko się zmieniło.

Nie od razu, ale już wtedy coś się zaczęło... coś jakby wisiało w powietrzu. Nie wiem, jak to opisać. To tak, jakby groźny wiatr wdarł się do domu, kiedy tamci stanęli w progu. Ostry, złowieszczy wiatr. I nie dało się go wygonić.

Na początku trudno było to zrozumieć.

Ci dwaj już nie wrócili, ale zostało po nich poczucie grozy. Ach, gdyby dało się to pogrzebać, spalić.

A potem zjawili się inni, obcy.

Mama siedziała na kanapie, zupełnie jakby była ślepa.

Bo była.

Nie widziała wtedy mojej twarzy.

Nie widziała mojego brata, kiedy tamci mu grozili.

Nie masz wyboru, mówili.

Ale wszyscy mamy wybór. Wszyscy możemy wybrać. Myślę, że trzeba to sobie uświadomić, a kiedy już się wie, można zacząć działać, nawet jeśli to oznacza coś okropnego. Byle zrozumieć, zanim będzie za późno. Bo kiedy jest za późno, nie można już zrobić nic - nic dobrego, nic złego, po prostu nic. Ma się najwyżej kilka sekund.

ALAN, ALAN. ROZGLĄDASZ SIĘ BEZ SENSU. Za oknem widać Storås. A teraz Industrigatan. Za chwilę skręcimy w lewo, w Gråbovagen, a potem w Bergsjövägen. Jedziemy tą samą trasą.

- Rozpoznajesz tę okolicę? - zapytał Winter.

- Jak... jak to?

Winter jeszcze nie zdradził mu celu podróży. Powiedział tylko, że pojedą coś zobaczyć. Alan Darwish wyglądał na przestraszonego, ale może zawsze sprawiał takie wrażenie. Niektórzy ludzie po prostu tak mają. Nawet jeśli nie mają nic na sumieniu, nawet jeśli nie zatają czegoś, o czym powinni powiedzieć. Cóż, zobaczymy.

- Dziś już tędy jechałeś.

- Nie rozumiem.

- My też nie. W każdym razie jeszcze nie.

Skręcili w stronę Bergsjön. Alan wciąż wpatrywał się w okno. Siedział z przodu, obok Wintera. Ringmar usiadł z tyłu. Winter widział w lusterku jego spokojne spojrzenie. Było tak spokojne, że Ringmar wyglądał, jakby zaraz miał zasnąć.

- Siedziałeś w taksówce, która jechała tędy jakieś dwie godziny temu - ciągnął Winter.

- Skąd wiecie?

- Zapytaliśmy taksówkarza.

Alan milczał. Winter skręcił w stronę Rymdtorget.

- Nie mylił się? - zapytał Winter i zaparkował tam gdzie zawsze. Ostatnio był tu stałym bywalcem. Czuł się jak u siebie. Wszystko wyglądało znajomo - jak zwykle, kiedy odwiedzi się jakieś miejsce więcej niż dwa razy. Wszystko jakby się kurczy - domy, ulice, kościoły przychodnie, urzędy dzielnicy, puby.

Winter wyłączył silnik. Wciąż siedzieli w samochodzie. Przez parking przeszła młoda rodzina. Mężczyzna pchał wózek. Kobieta trzymała za rękę małą dziewczynkę w czerwonej sukience. Alan śledził ich wzrokiem. Mężczyzna ich zobaczył i przyspieszył kroku. Kobieta z dziewczynką zostały w tyle. Mała

zaczęła podskakiwać. Kobieta coś powiedziała, ale Winter nie słyszał co. Mężczyzna dał im znać: pośpieszcie się. Miał na sobie elegancki ciemny garnitur. W słońcu wyglądał na ciepły.

- Co tu robimy? - zapytał Alan.

Rodzina zniknęła z pola widzenia.

- Czy kierowca mówił prawdę? - powtórzył Winter.

- Ale o czym?

- Nie rób z siebie durnia, do cholery! Po prostu odpowiedz na pytanie. To chyba nie jest takie trudne.

Kiedy jechali, ból trochę osłabł, ale teraz wrócił. Może to przez to przekleństwo. Niezdrowo jest przeklinać. Takiego języka nie powinno się używać. Każde dziecko to wie. Ale Alan aż podskoczył. Może jednak przekleństwa czasami mają moc.

- Skoro już wiecie, to po co pytacie - odpowiedział Alan. Wciąż patrzył tam, gdzie przed chwilą zniknęła rodzina. Oni też mogli być Kurdami. Albo Arabami, albo Irańczykami. Winter wciąż nie umiał ich od siebie odróżnić.

- Dlaczego pojechałeś na tamtą przejażdżkę?

Alan nie odpowiedział.

Winter powtórzył. Ból nad okiem pojawiał się i znikał. Poczul, że musi wysiąść. Otworzył drzwi, żeby złapać trochę powietrza.

- A dlaczego miałbym nie jeździć taksówką? - odparł Alan. - Chyba mogę jeździć, gdzie mi się podoba i kiedy mi się podoba.

- Oczywiście. Więc chyba nie ma co się tyle nad tym zastanawiać i jękać, prawda?

- A niby czemu was ciekawi, czy jeżdżę taksówką?

- Nie wiem, czy nas to zaciekawi. Dlatego pytam. Ringmar odchrząknął na tylnym siedzeniu.

- Czy w takim razie możemy stwierdzić, że jechałeś taksówką?

- Przecież już wiecie. Nie muszę odpowiadać na to pytanie.

- Chcemy, żebyś to ty to powiedział.

- No więc tak, jechałem taksówką.

- Dlaczego?

- Bo... bo... - zaczął, ale nie dokończył.

- Bo on cię poprosił? - zapytał Winter.

Alan milczał.

- Bo on chciał, żebyś z nim pojechał?

- Wiecie już wszystko, więc nie ma sensu pytać.

- A dlaczego Mozaffar Kerim chciał, żebyś z nim pojechał?

Alan chyba chciał coś powiedzieć, ale się nie odezwał.

Nie było po co mówić o kolejnych faktach i wymieniać nazwisk.

- Chciał trochę pogadać - powiedział wreszcie.

- O czym?

Alan wciąż wpatrywał się w drugi kraniec placu, w drugi koniec ulicy. Jakby tamta rodzina miała przyjść z powrotem i odwrócić od niego uwagę, żeby mu dali spokój.

Chwycił za klamkę.

Gwałtownie otworzył drzwi.

Wyskoczył z samochodu.

Winter usłyszał, jak Ringmar otwiera tylne drzwi.

Alan biegł jak szalony w stronę Aniaragatan. Nie rozglądał się na boki.

Potem Winter zobaczył plecy Ringmara.

On sam jeszcze się nie ruszył.

W końcu wysiadł. Przegonił Ringmara.

To niemożliwe, pomyślał.

Jeśli to się dzieje naprawdę, to będziemy musieli jeszcze raz przejść policyjną edukację. O tym też napiszę książkę.

- Odbija w prawo! - krzyknął Ringmar.

Alan zniknął za szklano-betonowym budynkiem. Winter przystanął, żeby się wsłuchać w odgłos jego kroków.

Usłyszał je. Znikały w oddali. Chłopak wyglądał na prawdziwego biegacza. Nie dadzą rady go dogonić. To nie ma sensu.

Zdyszany Ringmar przystanął obok Wintera.

Wciąż słychać było odgłos kroków. Po kilku sekundach umilkł. Zniknął jak pociąg za zakrętem.

- Na Boga! - powiedział Ringmar.

- Zachciało mu się biegać.

Ringmar oddychał ciężko, nierówno. Ruszyli bez rozgrzewki. Niedobrze.

- No i dupa.

- To nie musi nic znaczyć - odparł Winter. - Po prostu czasami niektórym brakuje słów.
- A wtedy człowiek zrywa się na równe nogi.
- To impuls.
- I zapytamy go o to, jak już się zatrzyma.
- Może się nie zatrzyma.
- I tak nie ucieknie.
- Przed czym?
- Przed nami, rzecz jasna. Ale może to nie my jesteśmy dla niego zagrożeniem.
- Nie.
- To dokąd teraz pobiegnie?
- Będzie robił kółka. Wydaje mi się, że wszyscy ciągle biegamy w kółko.
- W takim razie trzeba przestać.
- Może właśnie to zrobiliśmy.

Na Kanelgatan też czuł się jak u siebie. Jego miejsce na parkingu okazało się wolne. W pizzerii było pusto. Wokół nie było nikogo. Kiedy jechali, miał wrażenie, że jest zupełnie sam w jakimś innym, nowym świecie, w nowym kraju. Nie ma żadnego punktu zaczepienia. W powietrzu wisiało coś złowieszczonego. Wrażenie potęgował jeszcze upał. Sprawiał, że wszelki ruch, wszelkie oznaki życia zniknęły.

Ringmar się odwrócił, jakby chciał sprawdzić, czy Alan nie pokonuje właśnie biegiem ostatnich kilkuset metrów. Ale Alan najprawdopodobniej był już w lasach na Bergsjón, a niedługo wydostanie go z nich policja.

- Miał komórkę? - zapytał Winter.
 - Nie wiem.
 - Trzeba to sprawdzić.
 - No tak.
 - Zadzwoń tu.
 - A gdzie mieszka tłumacz?
- Winter wskazał przed siebie.
- Erik, może powinniśmy chwilę poczekać?
 - Na co?
 - Sam nie wiem.

- Jeśli Alan do niego zadzwonił, to się zorientujemy. Wyczujemy to. Jeśli nie dzwonił - też.

Stanęli przed domem. Wejście znajdowało się w szczycie budynku. Na północy widać było wysokie góry i głębokie doliny. Winterowi przypominały widok z okładki płyty.

Dwa bloki dalej mieszkał Jimmy Foro. Pierwsza ofiara. Mozaffar Kerim i Foro się nie znali, tak twierdził Kerim. Winter nie mógł tego w żaden sposób potwierdzić, nie miał świadków.

Na klatce pachniało mydłem. Dopiero co ją sprzątnięto. Przyjemny zapach.

Nikt im nie otworzył.

Ringmar zadzwonił trzeci raz.

- Mieszka sam?

-Tak.

- No to albo go nie ma, albo nie chce otworzyć.

- Może wyszedł pobiegać.

- Może mają wspólną trasę.

- Już ją znamy

- No tak.

- Zadzwonj jeszcze raz.

Słyszeli, jak dzwonek brzęczy za drzwiami. Brzmiał znajomo. Przez większą część dorosłego życia Winter wysłuchiwał takich sygnałów w cudzych mieszkaniach, stojąc przed cudzymi drzwiami.

Na dole ktoś wszedł do klatki. Stali na drugim piętrze.

Po chwili usłyszeli na schodach kroki.

- O co chodzi? - powiedział Mozaffar Kerim, przystając na półpiętrze. W ręce miał torbę z zakupami. Wyglądał na zdziwionego. - Co panowie tu robią?

- Dzwonimy do pańskich drzwi - odparł Winter.

Chłopiec szedł ścieżką. Rower zostawił w domu. Zupełnie jakby ktoś mu powiedział, że nie może już jeździć.

Ze to niebezpieczne.

Odbijał piłeczkę. Odkąd przestał tyle jeździć, częściej się nią bawił. Umiał ją odbić nogą dziesięć razy. Kiedyś nawet udało

mu się dwanaście. Mógłby zostać mistrzem.

Najpierw pokazał wujkowi i wujek policzył.

Ale mama nie chciała mu powiedzieć, czemu wujek przestał przychodzić. Niedługo przyjdzie, powiedziała. Tylko tyle.

Przystanął przed sklepem. Wydawało mu się, że w środku coś się poruszyło, więc schował się za krzakiem.

Potem zobaczył, że ktoś wychodzi. Przeszedł do końca żywopłotu. Było ich dwóch. Jeden był łysy, tego drugiego już znał.

- Herbata mi się skończyła - wyjaśnił Mozaffar Kerim.

Rozpakował zakupy i zrobił herbatę. Postawił na stole szklanki. Nalegał.

- Dziś wieczorem przyrządzę khoreshte sabzi - powiedział, opróżniając torbę.

- A co to takiego? - zapytał Winter.

- Irańska potrawa. Baranina duszona ze świeżymi ziołami, limonką i cytryną.

- Właśnie widzę - odparł Winter. Tylko spokojnie, pomyślał. Tylko spokojnie. - Sporo tego wyjdzie.

- Zawsze tak jest.

- Spodziewa się pan gości?

- Bo co?

Siedzieli przy niskim stoliku. Mieszkanie było jasne. Ozdabiały je piękne tkaniny.

- Kiedy ostatnio spotkał się pan z Alanem? - zapytał Winter.

- Dzisiaj, parę godzin temu - odparł Kerim.

Ringmar popatrzył na Wintera.

- Gdzie?

- W taksówce.

- Dlaczego?

- Jak to?

- Dlaczego spotkaliście się w taksówce?

- Bo się bał. Prosił o spotkanie. Jego musicie zapytać dlaczego.

- Dlaczego się bał?

- Nie wiem. Nie chciał powiedzieć.

- To po co jechał z panem?

- Bo mu to zaproponowałem. Pomyślałem, że... to może mu pomóc. Uspokoi go. Sam nie wiem.

- Musi się pan domyślać, czego się bał.

- Znał jednego z zamordowanych. Hiwę.

-Tak?

- Samo to jest wystarczająco okropne, żeby się bać.

- Bać się o siebie?

-Tak.

- Ale czemu miałyby się bać? Był zamieszany w coś, czym zajmował się Hiwa?

- Tego nie wiem. O to musicie zapytać jego.

- Próbowaliśmy, ale uciekł.

Kerim nie odpowiedział. Nic nie powiedział. Wpatrywał się w swoją szklankę z herbatą, ale jej nie podniósł.

- Dlaczego chciał pan rozmawiać z Alanem?

- Mówiłem już. Żeby mu pomóc.

- Jemu albo komuś innemu.

- Słucham?

- Czy to miało pomóc komuś innemu?

- Komu?

- Nie wiem.

- On cierpiał. A ja cierpię, kiedy cierpią inni.

Winter się nie odezwał. Na ścianie za Mozaffarem wisiała duża grafika. Krajobraz. Wyglądał znajomo. Jakby wyjęty z jakiegoś obrazu czy zdjęcia, które już widział.

- Jesteśmy jak rodzina - ciągnął Kerim. - A rodzinie trzeba pomagać.

Winter pokiwał głową.

- Jesteśmy cierpiącą rodziną. Cierpiącym narodem. Od zawsze nim jesteśmy. - Kerim patrzył to na Wintera, to na Ringmara. - Teraz szwedzki rząd negocjuje z północnym Irakiem. Chcą ich nakłonić, żeby nas przyjęli, kiedy Szwecja nas wyrzuci.

- Rząd negocjuje z Kurdystanem?

- A skąd mamy wiedzieć, czy to Kurdowie?

- Widzieliśmy was - powiedział Winter.

- Słucham?
- Pana i Alana. Kiedy wysiadaliście z taksówki.
- Gdzie?

Kerim popatrzył przez okno, w stronę Kaneltorget.

- Przed pizzerią.
- Aha.
- Pańskie wyjaśnienie jest dość dziwne.
- Przecież nie skłamałem. Nie mam nic do ukrycia. Po co miałbym kłamać?
- Jak pan myśli, gdzie jest teraz Alan?
- Pewnie wraca do domu, jeśli to możliwe. To znaczy jeśli policja go przedtem nie złapie. Bo rozumiem, że zgłoszono już, że uciekł.

Winter i Ringmar milczeli.

- Chyba lepiej będzie poczekać na niego w domu. On sam nie wie, co robi. To zagubiony młody człowiek. Kto by się nie czuł zagubiony w takich okolicznościach?

- JEZU, TO CI DOPIERO!

Ringmar pokręcił głową. Wracali już do mercedesa Wintera. W słońcu auto wyglądało jak czarny piec. I rzeczywiście nim było.

- Wiedział, że tam byliśmy - powiedział Winter.

- Gdzie? W pizzerii?

Ringmar ruchem głowy wskazał na lokal. Drzwi były otwarte, żeby się wietrzyło, ale na przeciąg nie było co liczyć. Powietrze nie było zdrowe. Można było od niego umrzeć.

- To przedstawienie - ciągnął Winter. - Wszystko to przedstawienie.

- Chryste, co to wszystko ma być - odparł Ringmar.

- Przedstawienie. Szalone przedstawienie.

- Chcesz powiedzieć, że zauważył nas, kiedy wrócił tu taksówką?

Winter nie odpowiedział. Nacisnął przycisk pilota i drzwi się otworzyły, pykając jak pistolet z tłumikiem. Przez parking przechodził czarny kot. Przeciągnął się i ruszył dalej, w stronę pizzerii i sklepiku.

- Już wtedy wiedział, że tam siedzimy - stwierdził Winter.

- Kiedy tu wracał?

Winter pokiwał głową i spojrzał na pizzerię. Nie widział, czy ze środka ktoś im się przygląda.

- Ale przecież my sami nie bardzo wiedzieliśmy - odparł Ringmar. - Po prostu zaproponowałeś, żebyśmy tu przyjechali, no i przyjechaliśmy.

- I ktoś nas widział.

Teraz również Ringmar spojrzał na wejście do pizzerii.

- Tam? Ktoś nas widział tam, w środku?

-Tak.

-Ale przecież była tam tylko... - zaczął Ringmar i zamilkł.

- Trzeba będzie sprawdzić połączenia wychodzące i przychodzące do pizzerii.

- A nie możemy z nią porozmawiać?

- Nie teraz.

- Więc sugerujesz, że wszystko było zainscenizowane?

- Zainscenizowane? To *à propos* przedstawienia? Nie, nie sądzę. Ale Mozaffar Kerim był przygotowany na to, że przyjdziemy. Wiedział, o co zapytamy. Przygotował sobie odpowiedzi.

- Albo po prostu powiedział, jak było. I dlaczego. To znaczy, że nie miał nic do ukrycia.

- Wierzysz w to?

- A co mógłby mieć do ukrycia?

- Chodzi ci o to, co ma na sumieniu?

- Niby co miałyby mieć?

- Trzeba będzie go zapytać - stwierdził Winter.

- Może i na to będzie miał gotową odpowiedź.

- No to zapytamy go jeszcze raz.

- Kiedy?

- Kiedy będziemy gotowi.

- A kiedy będziemy?

Winter zmrużył oczy od słońca. Schodziło coraz niżej, ale jeszcze kilka godzin będzie na niebie. Dzień będzie trwał także w nocy, i jeszcze dłużej. Nie zasną, dopóki ta sprawa się nie skończy. Mam nadzieję, że moja głowa jakoś to wytrzyma. Przestało mi już tak wściekle pulsować nad okiem. Niedługo mi przejdzie. Znów coś się tam zaczyna ruszać. To jak ten schemat ruchów Öberga. Ludzie robią się coraz bardziej nerwowi. To znaczy, że jesteśmy coraz bliżej.

- Będziemy gotowi, kiedy słońce zajdzie - powiedział Winter.

- Ale ono nigdy nie zachodzi.

Jerker Reinholz wysiadł z taksówki i wyciągnął ręce w górę. Po całym dniu za kółkiem, czy raczej po całej nocy, mięśnie miał spięte. Rozciąganie jest ważne. Nie chciał, żeby go połamało. Wtedy byłby właściwie kaleką. Biedakiem. A biedaków już jest za dużo. Wystarczy spojrzeć na większość miejscowych kierowców. Biedacy. Nie zaszli wysoko. Utknęli w miejscu. Na nic nie mają odwagi. Nie ryzykują. On za to zaryzykował i wszystko poszło dobrze. Bo trzeba podejmować ryzyko. Ten,

kto go unika, jest jak kaleka. A ten gliniarz to może i nie ułomek, ale bystry nie jest, od razu to widać. Ta cała historia z minutami, które spędził w sklepie. Pewnie im się wydawało, że są bystrzakami, skoro na to wpadli, ale nie. Nie od razu się zdradzili. Ale na co czekali? Niby jak mają mu coś udowodnić? Przecież nikt go nie widział. Wtedy powiedział im o tych krokach, ale zmyślił to. Oczywiście, że to zmyślił. Zmyśliłem to chyba? W końcu wtedy nie miał czasu, żeby się nad czymś takim zastanawiać. Kroki? Byłem zajęty własnymi. Cholera. To nie tak miało być. Nie uprzedzili mnie. Nie mówili, że tak się to skończy. A niech to! A potem na rozmowy było już za późno. Teraz też nie ma po co o tym gadać, wiadoma sprawa. Nawet gliny to wiedzą. Zresztą - tylko to. O, Peter. Cześć! Dopiero co się mijaliśmy. Pomachaliśmy sobie na Gråbovagen. Widziałem dwie sylwetki na tylnym siedzeniu. Wystarczył jeden znak i wszystko było jasne. Jeśli tylko ma się sprawy pod kontrolą, wszystko idzie jak powinno. Taksówka jest wygodna. Nikt nie zwraca uwagi na kierowców. Są niemal niewidzialni.

Alan, Alan. Dokąd uciekasz? Rozerwałeś sobie koszulę o kolczasty krzew. W okolicznych lasach rosną i takie.

Wyprzedziłeś ich. Nie byli zbyt szybcy. Albo nie chciało im się za tobą biec. Albo po prostu nie dali rady. Jeden jest stary, ale ten młodszy też nie dobiegł daleko.

Nie widzieli, jak wbiegłeś na tę drogę. Zrobiłeś koło. Kilkoro dzieci się odwróciło, kiedy je mijaleś, ale potem wróciły do zabawy. Na placu zabaw stała lokomotywa.

Dlaczego biegniesz? Sam nie wiesz. Nagle zabrakło ci słów. A potem nie mogłeś sobie przypomnieć. Jeśli się zacznie biec, nie można się już zatrzymać. Gdybyś tylko o niczym nie wiedział! Gdyby nikt ci niczego nie opowiedział. Gdybyś był głuchy. Gdyby cię tu nie było, gdyby nie było cię w Szwecji. Teraz już nikomu na tym nie zależy. Teraz ci, którzy jeszcze nie umarli, są żywymi trupami. Tak powiedziała. No i przemokły ci stopy i buty od tego bagna. Ten las jest niemal w centrum miasta, to niezbyt mądre. I co teraz zrobisz?

Jeśli nie przestaniesz biec i nadal będziesz milczał, czeka cię cela. A nie możesz pobiec do domu. To znaczy do tego

prawdziwego. Dzielią cię od niego tysiące kilometrów.

Chłopiec odbijał piłeczkę od ściany. Ściana była gładka i piłka wracała tą samą drogą. Czasami odbijał od chropowatej ściany - wtedy mogła się odbić, gdzie chciała.

Żałował, że szkoła jeszcze się nie zaczęła. Rok szkolny dopiero co się skończył. Ale on nie miał co robić, a nie chciał tylko chodzić w kółko albo jeździć na rowerze, albo nic nie robić. Nie chciał myśleć. I tropić. Na to też nie miał ochoty. Nie chciał o tym mówić w domu, wiedział, że nie powinien. Bo wtedy by się przeprowadzili. A przeprowadzali się już tyle razy, że on miał tego dość. No i wydawało mu się, że może to nie będzie konieczne. Wszyscy zapomną. Nikt już nie będzie go szukał.

Piłeczka wróciła do niego.

- To twoja piłeczka?

Odwrócił się. Nie widział kto to. Widział tylko cień.

- Chyba bardzo ją lubisz.

- Tak...

- Mogę spróbować?

Kolejny rzut o ścianę i cień złapał piłeczkę. Tak myślał o tym kimś - cień. Cień stał bez ruchu.

- Nie było cię tu ostatnio.

Chłopiec nie odpowiedział.

- Chociaż tutaj jest dużo dzieci.

- Mogę dostać piłeczkę z powrotem?

- Za chwilę.

- Muszę już iść.

- Ja też. Możemy iść razem.

- Ale ja muszę iść do domu.

- A gdzie twój rower? Nie masz go ze sobą.

- Jest w domu.

- Wiem, gdzie mieszkasz.

Chłopiec milczał.

- A nie chciałbyś dostać piłki nożnej?

Chłopiec nie odpowiedział. Chciał już iść, chciał wyjść z cienia i dostać z powrotem swoją piłeczkę. Miał ją od dawna. Była równie dobra, jak piłka do nogi.

- Nie.
- Nie chciałbyś dostać nowej piłki nożnej?
- Nie.
- Mam jedną. Mógłbyś ją ode mnie dostać.
- Nie, chcę moją piłeczkę tenisową.
- A nie chcesz się zamienić?
- Chcę moją piłeczkę.

Chłopiec miał nadzieję, że zaraz ktoś będzie przechodził, ale wybrał miejsce z tyłu bloku. Było pusto.

- No to masz swoją piłeczkę - powiedział cię.

Komórka Wintera zadzwoniła, kiedy jechał w stronę centrum.

- Kiedy będziesz w domu?
 - Już jadę.
 - Dziewczynki kapryszą. Potrzebujemy jedzenia.
- Poczuł, że musi coś zjeść. Nagle zrobił się bardzo głodny.
- Powiedz, kiedy będziesz, to zacznę przygotowywać obiad.
 - Dwadzieścia minut.

Telefon zadzwonił znów, kiedy był na wysokości Kortedali. Miejscowa policja na specjalne polecenie szukała Alana na Bergsjön. To był ich rejon. Winter i Ringmar czekali na wiadomość. Mogła nadejść w każdej chwili. Chłopak nie mógł uciec daleko. Pewnie nawet nie chciał. Mogło mu grozić niebezpieczeństwo. Wszystkim groziło.

- Tu Fredrik.

-Tak?

- Reinholz nie potrafił wyjaśnić, dlaczego wezwanie nas zajęło mu tyle czasu, ale może dla niego to wcale nie było dużo. Biorąc pod uwagę sytuację.

- No tak.

- Ale coś jest z tym kolesiem nie tak. Chociaż może to po prostu jeden z tych podejrzanych typów.

-No.

- Ale jesteś rozmowny -No.

- Dobra, to pociągnę ten monolog. Samochód był kradziony Z Heden. Bo i skąd.

- Aha.

- Erik, w porządku?
- Po prostu boli mnie głowa. Mów dalej.
- Ten biegacz na orientację miał niewiele do dodania. Biegał po lesie i wpadł na ciało.
- Nic nie słyszał?
- Ciało nie dawało już oznak życia.
- A jakieś inne dźwięki?
- Nie.
- Okej.
- Ale Torsten ma coś nowego. Najlepsze zostawiłem na koniec.
- Tak?
- Była tam też krew kogoś innego.
- Tam? To znaczy w lesie?
- Tak, w lesie. Tam, gdzie Hama Ali dokonał żywota. Była tam jego krew, ale też krew kogoś innego.
- Gdzie?
- Tam, gdzie leżał.
- Dobrze. Torsten dał znać tak szybko, jak się spodziewaliśmy. Ale gdyby znaleźli coś w rejestrze, pewnie już byś mi powiedział.
- No, nie mamy tego kogoś w rejestrze.
- Czy to morderca się skaleczył?
- Może to kolejna ofiara. Niedoszła.
- Więcej ich nie potrzebujemy.
- To teraz zajmij się swoim bólem głowy.

Angela usmażyła grzyby do makaronu. Czuł smak pieprzników. Elsa wyciągnęła palec w jego stronę.

- Tato, a nie możemy jechać nad wodę?
- Możemy.

Woda wydawała się równie ciepła, jak powietrze. Elsa i Lilly zbudowały zamek i kilka domków z piasku. Ta plaża należała do rodziny Hoffmann-Winterów, ale nie stał na niej jeszcze żaden prawdziwy budynek. Może za rok, za dwa albo jeszcze później. Winter zamknął oczy. Widział tylko czerwone i czarne plamy. Zakłuło go nad okiem, ale tylko na chwilę. Jeszcze

doba, może dwie i dolegliwości znikną na dobre. Wtedy zapyta lekarza.

- A jaki jest plan na resztę dnia? - zapytała Angela.

- Nie wiem.

- Zaraz znów zadzwoni komórka.

- Może tym razem to już będzie ostatni raz - odparł z zamkniętymi oczami.

- Wyglądasz na zmęczonego. Nie lubię tak mówić, wiesz przecież, ale naprawdę wyglądasz, jakbyś miał dość.

Zadzwoniła komórka. Przecież żyli w nowoczesnym świecie.

PAMIĘTAM, JAK WSZYSTKIE DZIECI wybiegały, z klas i gromadziły się na szkolnym podwórku. Staliśmy tam jak stado koziołków, które trzęsą się, bo wiedzą, że stanie się coś strasznego. Pamiętam. Raz było wyjątkowo. Wyjątkowo, bo to był piękny wieczór. Mieliśmy zajęcia wieczorem. W dzień było zbyt gorąco. A może był też jakiś inny powód. Może to przez wojnę. Może gdzieś trwały walki. Nie pamiętam. Ale pamiętam tę scenę: stoimy na placu, a wokół robi się całkiem czerwono. Dosłownie wszędzie. To na pewno przez słońce. Góry, niebo, ziemia, piach, domy i my. My też cali byliśmy czerwoni.

Ty nie mogłeś przeżyć czegoś takiego, nie tutaj. Oczywiście macie tu szkoły, ale nawet jeśli są kiepskie, przypominają raj. Jeśli ktoś się w ogóle nie uczy, co z tego? Bo po co się uczyć? Co się będzie z tego miało? Do czego się przyda to, czego się człowiek uczy?

Nie musisz odpowiadać, bo na te pytania nie ma odpowiedzi. Przynajmniej dla mnie.

Czy można się poddać? Nie, to nie o to w tym chodzi. Bo wtedy wszystko staje się zbyt proste. Chodzi o coś innego. Ale nie chcę o tym rozmawiać. To chyba zrozumiałe. Takie rozmowy mam już za sobą.

Ach, gdyby można było znów stanąć na tamtym szkolnym placu. Tym czerwonym. Czy proszę o zbyt wiele? Tak, wiem, że to zbyt wiele. Ze to niemożliwe, ale i tak śnię o tym na jawie, choć lepiej byłoby zasnąć naprawdę.

Nie spać, być przytomnym, przeżywać życie do końca - to gorsze niż śmierć. Rozumiesz? Możesz przeżyć swoje życie, ale mojego życia już nie ma. Nic z niego nie zostało. Wtedy... wtedy to nie było dla mnie oczywiste, ale teraz już wiem.

Gdyby ktoś mi pozwolił zostać na tamtym szkolnym placu, moje życie nie skończyłoby się w taki sposób, rozumiesz. Gdyby czas się zatrzymał albo gdyby ktoś dobry zatrzymał go właśnie w tamtej chwili. Dlaczego wszyscy ludzie nie są

dobrzy? Ta myśl wracała nie raz.

Te wszystkie straszne rzeczy. Chciałbyś o nich usłyszeć, prawda? Ale już się o tym nasłuchałeś. Cały czas słyszałeś o nich ode mnie.

Chociaż kiedy już jest za późno, łatwiej się o wszystkim mówi. A łzy? Czy przyszły choć raz? Na pewno będę płakać, ale nie przy tym stole, nie w tym pokoju. To dobrze, że jest tu tak ciemno. Ledwie cię widzę. To dobrze.

To w takich pokojach nas trzymali.

Nie trwało to zbyt długo.

Mijało, ale wtedy trudno było zapomnieć. Ale obok mnie był jeszcze ktoś. Zdecydowaliśmy, co zrobimy, ale wyszło inaczej. Bo nic nigdy nie idzie zgodnie z planem.

- TO JEDYNY WYJĄTEK, jaki dotychczas zrobiłem i jaki zrobię, Winter.

W słuchawce rozległ się głos Braciszka. Winter trzymał ją dwadzieścia centymetrów od ucha. Angela aż podskoczyła. Elsa i Lilly podniosły wzrok. Żaglowce płynące po redzie zawróciły Nawet to, że Braciszek postanowił w tajemnicy zrobić jakiś wyjątek, musiało zostać ogłoszone całemu światu.

- Rozmawiałeś z Abdullahem? - zapytał Winter.
- A jak myślisz, do cholery?
- Nie wyżywaj się przez ten wyjątek na mnie.
- A na kim miałbym się wyżywać?
- Gdzie i kiedy? - zapytał Winter.

Kiedy wrócili do domu, Winter zadzwonił do Öberga. Czekaając na połączenie, czuł, że sól zasycha mu we włosach. Ból głowy zniknął. Może jednak nie ma guza. Może to wcale nie migrena. Chodziło tylko o to. Między innymi o tę rozmowę. Może nabawił się alergii. Pojawiała się i zniknęła.

- I co z tą krwią?
- Generalissimus twierdzi, że z pewnością są tam ślady dwóch różnych DNA. - Generalissimusem nazywali pracownika Krajowego Laboratorium, z którym Öberg kontaktował się w sprawach związanych z dochodzeniem. Tak było wygodniej.
- Ale w rejestrze nic nie mamy?
- Nie, Hamy też nie.
- Nie zdążył zrobić kariery.
- Niestety.
- Więc mamy jeszcze kogoś. Ile było tej krwi?
- Jeszcze nie wiem. Powiedzieli, że była tam krew, ale tylko tyle.
- Na logikę to musi być krew zabójcy - powiedział Winter. - Może dowiem się czegoś więcej wieczorem.
- A co będzie wieczorem?

- Spotykam się z informatorem.
- Z tajnym źródłem Braciszka?
- Tak.
- A niech to. Uważaj na siebie.

- Eriku, czy to niebezpieczne?
 - Nie.
 - Obiecałeś, że nie będziesz kłamał. A już na pewno nie, jeśli chodzi o pracę.
 - Obiecałem.
 - No więc: czy to niebezpieczne?
 - Trudno mi to sobie wyobrazić. Będziemy tam tylko my i on.
 - Gdzie się spotkacie?
 - Gdzieś na uboczu. Ale to dobrze. Będziemy mieć przewagę.
 - A dlaczego nie w biurze tamtego policjanta? Albo u ciebie?
 - Bo tam by nie przyszedł.
 - A to on tu decyduje?
 - Nie, ale nie wiemy nawet, gdzie on jest. Teraz wszystko musi się odbywać na jego warunkach.
 - Nie podoba mi się to.
 - A komu się podoba?
 - A czy Braciszek nie może się tym zająć sam? Przecież mówiłeś, że to jego źródło, czy jak tam to nazywacie. To niech on z nim porozmawia.
 - Chcę przy tym być.
 - Dlaczego?
 - Bo jestem przekonany, że to się wiąże z moją sprawą. Ten informator wie coś, co może nam pomóc. A nie jestem pewien, czy Braciszek będzie umiał to z niego wydusić.
 - Kto, jeśli nie on? - zapytała Angela.
 - Nie jestem pewien.
 - Obiecaj, że będziesz ostrożny.
 - Wszystko będzie dobrze.
 - Będą z wami inni policjanci?
 - Tak, zamkną pierścień.
 - Co to znaczy?
 - Ze jeśli ten facet będzie chciał uciec, to mu się to nie uda.

Winter spotkał się z Ringmarem w swoim gabinecie. *Trane's Slo Blues* zapewniało im odpowiednią, melancholijną atmosferę, choć nie na wszystkich coś takiego działa. Okno było otwarte. Te utwory nagrano przed pięćdziesięciu laty, ale równie dobrze mogłyby powstać teraz, a nawet później. Melancholia jest ponadczasowa. I niebezpieczna. Bo tu w zasadzie nikt nie ma czasu na smęcenie.

- Jak się czujesz? - zapytał Winter.

- Lepiej.

- Dowiedziałeś się czegoś więcej o prostytutce?

- Nie, ten biznes zszedł do podziemia jeszcze głębiej.

- Schował się po strzelaninie u Jimmy'ego.

- Na to wygląda.

- I jaki z tego wniosek dla nas?

- Nasze ofiary były w to zamieszane.

- Wszystkie?

- Bardzo dobre pytanie.

- Hiwa Aziz, Jimmy Foro, Said Rezai, Shahnaz Rezai, Hama Ali Mohammad.

- Wszystkie, niektóre albo żadna.

- Plus dwóch zaginionych: Alan Darwish i Hussein Hussein.

- Alana Darwisha zaliczasz do zaginionych?

- Na razie tak. Zbiegły zaginiony

- Czuję się jak głupek.

- A dogoniłbyś go?

-Nie.

- To moja wina. To ja otworzyłem centralny zamek. Otworzyłem drzwi.

- No dobra, ale kto mógł przypuszczać, że chłopak zwieje.

- Pewnie sam się tego nie spodziewał.

- Pewnie nie. Ale niedługo powinniśmy go schwytać.

- A jeśli nie?

- No właśnie.

- On też źle skończy.

- Niewykluczone.

- Jak ten dzieciak, Hama Ali.

- Czy my czegoś tutaj nie rozumiemy?

- Alan zaprowadzi nas do zabójcy.
- Do Mozaffara?
- A to on *jest* według ciebie *zabójcą*?
- Trudno mi wyobrazić go sobie w tej roli.
- Wezwiemy go?
- Nie, nie teraz. Prokurator nie będzie miał podstaw, żeby go zatrzymać.
- Tego nie wiemy.
- Przesłuchanie nic by nie dało. Jeszcze nie teraz.
- Czekaś na wieczorne spotkanie?
- Tak. Nowa postać. A może już ją znamy
- A Reinholz?
- Te dziesięć minut to za mało.
- Możemy go wezwać.

Winter nie odpowiedział. Muzyka ucichła. Podeszedł do stojącego w kącie odtwarzacza i puścił płytę od nowa. *Like Someone in Love*.

- Dlaczego Mozaffar miałby być zabójcą? - powiedział Winter, odwracając się.

- Nie wiem.
- Co go łączy z Azizami?
- Nie wiem.
- A badaliśmy to?
- Tak.
- Może wiemy niewiele, ale może to wszystko, co da się wiedzieć.

- Może.

- Dlaczego Mozaffar miałby być zabójcą? - powtórzył Winter. - Dlaczego?

- Co łączy się z czym?

- Zajmijmy się prostytutką. Naprawdę próbowaliśmy dotrzeć do zorganizowanych gangów, ale to nie one. To niemożliwe. Nie tym razem. To nie ta liga. Co nam to mówi?

- Ze to jakaś inna grupa. To nie żaden ze zorganizowanych gangów, tylko jakiś inny.

- Jimmy i Hiwa. Pracowali razem. Said może też. O ile nie był tylko klientem, który o niewłaściwej porze znalazł się w

niewłaściwym miejscu.

- I jego żona.

- Dlaczego zabili jego żonę? I dlaczego w taki sposób?

- Czy ona też była w to zamieszana?

- Zamieszana w co? W prostytutkę?

- Jej mąż był kombinatorem. A wiadomo, od rzemyczka do... sam nie wiem.

- Nikt nie wie - odparł Winter. - Ale nie, tutaj chodzi o coś innego. O ciszę.

Ringmar pokiwał głową.

- Nikt nic nie mówi - ciągnął Winter. - Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. W zasadzie tak można podsumować tę cholerną robotę. Ale tym razem jest naprawdę cicho. Boże, ludzie wolą zwać do lasu, niż coś nam powiedzieć.

Ringmar się zaśmiał. Na tyle gwałtownie, że uniosła się firanka.

- To strach - mówił dalej Winter. - Dlaczego się boją?

- Jak to?

- Dlaczego wszyscy się boją? - powtórzył Winter. - Czego się boją?

- Powiedziałeś czego, nie kogo.

- Boją się, że źle się to dla nich skończy? Czy chodzi o coś innego?

- O co?

- Boją się, że prawda wyjdzie na jaw, Bertil.

- Prawda?

- Prawda o tych zabójstwach. O strzelaninie u Jimmy'ego. O tym, co za nią stało. Prawda jest gorsza niż wszystko inne.

Gorsza niż wszystko inne jest też utrata dziecka. Syna. Edi- ba Aziz straciła syna. Winter zapytał, jak się czuje. Był wieczór, właściwie było już za późno. Tłumacz przetłumaczył. Tym razem była to kobieta. Przedstawiła się, miała na imię Parwin. Möllerström zadzwonił do biura tłumaczy. Przysłali im Parwin. Wyglądała na niewiele starszą od Nasrin. Szybko kiwnęły głowami na powitanie. Winter odniósł wrażenie, że się kojarzą, ale nic ponadto. Nie było to serdeczne powitanie, ale może to kwestia konwencji, szacunku dla żałoby, która wciąż

tkwiła w tym domu niczym czarny ptak. Ptak, który już nigdy nie odleci.

Na stole stała herbata i ciastka. Winter wypił łyk słodkiego płynu i ugryzł posypane sezamem kruche ciastko.

- To ciasteczka sezamowe - powiedziała Nasrin.

W wyrazie jej twarzy było coś ironicznego. To przez to spojrzenie. Jakby im wyjaśniała to, co oczywiste. Jakby sam nie widział.

Wskazała na leżący między nimi talerzyk z ciastkami.

- A to nadziewane kulki orzechowe - dodała, wskazując nadziewane kulki orzechowe. Winterowi kulki przywiodły na myśl chłopca z piłeczką tenisową. Nigdzie go nie było. Udawał, że go nie ma. Może faktycznie nie istniał, przynajmniej nie w takim sensie, w jakim on by tego chciał.

Trochę wcześniej nagle poczuł, że chce jechać do tego jasnego i pustego mieszkania na Hammarkullen, w którym mieszkali pozostali przy życiu członkowie rodziny Azizów.

Młodszej siostry, Sirwy, nie było w domu. Najmłodszy syn, Azad, wyszedł, kiedy Winter wszedł. Skinął na powitanie głową i zniknął.

Winter odłożył ciastko sezamowe na talerzyk.

Ediba Aziz coś powiedziała.

- Pyta, czy nie smakuje panu ciastko - powiedziała Parwin.

- Jest bardzo dobre - odparł.

Nasrin się zaśmiała. Choć jej śmiech nie brzmiał wcale jak śmiech.

- Proszę nie kłamać - powiedziała. - Policja nie powinna kłamać.

- Nie kłamię. - Winter znów sięgnął po ciastko i w całości włożył je do ust.

- Nigdy wcześniej ich pan nie jadł?

Przełknął.

- Owszem, jadłem je wiele razy. Lubię słodyczne.

- Nie wierzę.

- A ty, Nasrin?

- Słucham?

- Lubisz słodyczne?

- Nie. - Dziewczyna pokręciła głową. Jej gęste włosy się poruszyły. Coś z nimi zrobiła, odkąd widzieli się ostatnio. Kiedy to było? Miał wrażenie, że przed tygodniem. - Ja lubię kwaśne rzeczy.

- Na przykład cytryny?

- Czy to po to pan tu przyszedł? Żeby mnie pytać o cytryny?

Wstała i wyszła z pokoju.

Jej matka coś powiedziała.

- Jest zła - przetłumaczyła Parwin. - Nasrin jest zła.

Winter pokiwał głową.

Ediba powiedziała coś jeszcze.

- Prawie w ogóle nie wychodzi. Bez przerwy siedzi w swoim pokoju.

- Przepraszam. - Winter wstał. - Czy mógłbym tam iść z nią porozmawiać?

Ediba przytaknęła.

Nasrin odpowiedziała, kiedy zapukał drugi raz.

Otworzył drzwi.

- Chcę być sama - powiedziała.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Winter zrobił kilka kroków w głąb pokoju. Asrin siedziała na łóżku. Nad nim wisiał obrazek. Krajobraz z Bliskiego Wschodu. Winter rozpoznał góry.

- To mógł pan pytać, kiedy byłam w salonie.

- Ale wyszłaś.

- Jeśli chce pan gadać o ciastkach i cytrynach, to może pan sobie od razu dać spokój.

- To ty zaczęłaś.

- Co to za dziecinne gadanie?

- Mogę usiąść?

- Nie na łóżku.

Leciała muzyka. Kurdyjska. Ale to nie był Naser Razza- zi, tylko jakieś nowsze brzmienia.

- Kto to? - zapytał Winter.

- Widać interesuje się pan wszystkim. Zawsze pyta pan o wszystko?

- Interesuję się muzyką.

- Już panu mówiłam kto to. Nie pamięta pan.

-Nie.

Wyciągnęła po coś rękę, a potem nagle mu to rzuciła. Złapał w locie.

- Nieźle!

Przeczytał napis na okładce płyty.

- Zakaria.

- Przeprowadził się z powrotem.

- Z powrotem?

- Mieszkał w Szwecji, ale wrócił do Kurdystanu. - Nasrin wskazała coś za jego plecami. Odwrócił się. Na ścianie wisiała mapa.

- To Kurdystan?

- A jak pan myśli?

- Tak sobie myślę, że to właśnie Kurdystan - powiedział z uśmiechem.

- Racja! Tak właśnie wygląda. O ile w ogóle istnieje. To znaczy, gdyby mój kraj istniał, to tak właśnie by wyglądał.

A wyglądał jak Włochy bez czubka. Włochy rozciągnięte między Morzem Śródziemnym, Kaspijskim i Zatoką Perską.

- Skąd pochodzą Azizowie? - zapytał. - Możesz mi pokazać?

- Nie.

Zdecydowana odpowiedź. Nasrin nie chciała już patrzeć na mapę.

- Ty też chcesz się przeprowadzić z powrotem?

- Już za późno.

- Dlaczego?

- Bo tam już nic nie ma. Wszystko zniknęło. Więc chyba nie ma sensu się tam przenosić, jak pan myśli?

- Chyba sama możesz zdecydować.

Uśmiechnęła się dziwnie. A może po prostu jej usta się wykrzywiły, kiedy się pochylała do przodu.

- O czym śpiewa?

-Co?

- O czym on śpiewa? - powtórzył Winter. - Zakaria.

Nasrin chwilę nasłuchiwała.

Potem jakby przestały ją obchodzić muzyka, siedzenie na łóżku, jego pytania.

- To tylko piosenki o miłości - odpowiedziała.

Winter przeczytał napis na okładce.

- *Bo Pesmai*. Co to znaczy?

- Żałuję. To o tym śpiewa. Żałuję, żałuję.

- Znany motyw z piosenek o miłości.

-Tak?

- Tak mi się wydaje.

Nasrin wstała.

- Chyba na trochę wyjdę.

- Mogę cię najpierw o coś zapytać?

Nie odpowiedziała.

- Czy Hiwa w jakikolwiek sposób był zamieszany w prostytucję?

Ruszyła do drzwi. Nie widział jej twarzy. Nie odwróciła się.

- Czy to o to chodziło, Nasrin? O prostytucję?

Tym razem się odwróciła. Wyraz jej twarzy się nie zmienił.

- W jakikolwiek sposób? Co ma pan na myśli?

- Czy był zamieszany w prostytucję?

- A niby czemu miałyby być?

- To ja cię pytam.

- Ja nic o tym nie wiem.

- Czy aby na pewno?

- Aby na pewno - powiedziała i wyszła z pokoju.

WINTER MIJAŁ KOLEJNE KRÓTKIE ULICZKI. Wszystkie miały w nazwach góry. Więc był w górach. W dole widział krowy pasące się swobodnie w zapadającym zmierzchu.

Miał rozległy widok. Zaparkował i poszedł po trawie w stronę krzaków.

Zauważył ławkę i kogoś, kto na niej siedział. Usiadł obok.

- Ładnie tu - powiedział Braciszek.

- Racja.

- Czasami siedzę tu sobie i rozmyślam.

- A o czym?

- Choć zazwyczaj w ogóle nie myślę. - Braciszek się uśmiechnął. - Widzisz te krowy? To prawdziwa wieś.

- To samo mi przyszło do głowy.

- Popatrz. Taka sceneria uspokaja. Przyroda zmusza do refleksji. - Odwrócił się do Wintera. - Miałeś ostatnio jakieś refleksje?

- A to nie na tym polega nasza robota?

Braciszek wskazał na dolinę. Ciągnęła się daleko poza zasięg wzroku. Nawet przez lornetkę nie zobaczyliby jej końca. Domy wyglądały, jakby stały na zielonej makiecie kolejki elektrycznej.

- Widzisz tę idyllę tam, w dole? Widzisz Gunnilsevägen? To najdłuższa ulica w okolicy. Na odcinku stu metrów mieszka tam najwięcej przestępców w całej północnej Europie.

- A wygląda tak niewinnie. Gdzie Abdullah?

- Przyjdzie. Chciał tylko poczekać, aż zrobi się ciemniej.

- No to posiedzimy tu do sierpnia.

- Spokojnie. On się jeszcze nie przyzwyczaił do jasnych czerwcowych nocy. Jeszcze nie zrozumiał, co to Midsommar.

- Kiedy przyjechał do Szwecji?

- Piętnaście lat temu.

- Aha.

- Nie wie, że ty też tu będziesz.

- Dobrze pomyślane.

- To, że tu jesteś? Bynajmniej. Ale jesteś, a gdybym mu o tym powiedział, nigdy by nie przyszedł.

- To jak to zrobimy?

- Najpierw ja z nim pogadam. - Braciszek zrobił gest w stronę doliny. Jakiś samochód jechał na zachód. Tutaj, na górę, nie prowadziła stamtąd żadna droga. Zrobiło się już na tyle ciemno, że było widać, jak światła samochodu przecinają wieczorne powietrze. - Widzisz ten samochód w dole? To on.

- Ma auto terenowe?

- To mógłby być on.

Winter spojrział na zegarek. Był przygotowany na czekanie na Godota. Niech ta absurdalna rozmowa toczy się dalej. Braciszek był zdenerwowany, w takich sytuacjach zawsze się tak zachowywał. Winter się nie denerwował, ale czuł podniecenie. Utrzymywał je w ryzach dzięki takiej właśnie dyskusji. Mogliby być przyjaciółmi, którzy podziwiają zmierzch z najwyższego wzniesienia w okolicy. Lato nie będzie już jaśniejsze. Już jest po przesileniu. Po Midsommar dnie robią się coraz krótsze. Może dla Abdullaha to dobrze.

- Teraz cię przeproszę - powiedział Braciszek i wstał.

Alan czekał na skrzyżowaniu. Samochód przyjechał. Oczywiście nie stał tuż przy ulicy, to byłoby nierozsądne. Ale gdyby coś się stało, wiedzieli, że właśnie tam będzie. To tutaj miał się dostać, jeśli mu się uda. Nie tylko on. Nie miał zamiaru dzwonić. To nie wchodziło w grę. Po prostu miał spróbować tam dotrzeć.

Ta ucieczka to nie był najlepszy pomysł.

Ale czasami się nie myśli. Człowiek potrzebuje czasu do namysłu, a on tego czasu nie miał.

Ale teraz będzie miał. Chyba.

Dobiegł do samochodu i wsiadł. Tylne drzwi były otwarte. Samochód ruszył.

- Kładź się!

Rzucił się na podłogę tak szybko, że uderzył nosem w gumową wycieraczkę. Zabolalo. Czuł zapach ziemi i piachu.

Winter zapalił corpsa. Starał się nie rozglądać. Dym unosił się

w przejrzystym powietrzu i układał w obłok nad doliną. W pierwszą od tygodni chmurę. Potarł oko, ból znów wrócił, ale był nieporównanie słabszy niż wcześniej. Może niktoty na mu pomoże. Czytał gdzieś, że pomaga na alzheimera, że powstrzymuje ten straszny proces. To dobrze.

Wydawało mu się, że usłyszał głos Braciszka.

- Winter.

Odwrócił głowę. Braciszek stał przy krzakach.

- Już czas.

Wstał i poszedł za nim.

Na drugim końcu parkingu stał opel corsa z poprzedniej dekady. Białe, przerdzewiałe. Nie było go tu, kiedy przyjechał.

W samochodzie nikogo nie było.

- Przyjechał tym autem? - zapytał, kiedy szli przez plac.

Braciszek się rozejrzał.

Na skraju parkingu na ławce siedziała jakaś para. Byli młodzi, sądząc po plecach - bardzo szczupli. Gdyby powiało mocniej, pewnie zwiałyby ich nad Gunnilse.

- Znasz ich? - zapytał Winter.

- Nie.

- Nie podoba mi się to.

- Przecież ich nie przegonię, nie?

- To ty wybrałeś to miejsce?

- Nie miałem wyboru, dobrze wiesz. - Braciszek popatrzył na Wintera. - A ciebie w ogóle nie powinno tu być. - Kiwnął głową w stronę samochodu. - Siadaj na przednim siedzeniu. Drzwi są otwarte.

Winter obszedł auto.

Wsiadł.

Braciszek usiadł obok.

Winter zauważył leżącą na podłodze z tyłu postać.

Zaczął się już ściemniać, światło powoli ustępowało miejsca zmierzchowi.

Z tyłu rozległ się jakiś odgłos, jakby ten ktoś kichnął albo zakasłał.

- Nie odwracaj się - powiedział Braciszek.

Teraz Winter usłyszał głos. Stłumiony, przyduszony, jakby

ktoś trzymał przy ustach chusteczkę albo inną szmatkę. Nie wiadomo, z którego kąta dochodzi, pomyślał. Słowa były zrozumiałe, ale brzmiały bezbarwnie, głucho. Jakby to był inny język.

- Mówiłem, że nikt inny ma nie przychodzić.

- Nie będę ci się tłumaczył - odparł Braciszek, wpatrzony w rozciągający się przed nimi widok.

Widzieli głównie niebo i zwróconą do nich plecami parę na ławce. Ale czemu tych młodych miałyby obchodzić takie stare dziady jak Braciszek i Winter.

- Przynależ!

- To komisarz Erik Winter. Prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa na Hjällbo. Powinien być przy tej rozmowie.

Głos z tyłu umilkł. Winter przez chwilę się bał, że jego obecność wszystko zepsuje. Ze może powinien był z tym poczekać.

- Sam się tu wepchnął, ale to nic nie zmienia.

Z tyłu dobiegło mruknięcie.

- Przecież cię nie widzi. I nie rozpozna twojego głosu. Nie wie, jak się nazywasz. Więc porozmawiajmy o tym, co wiesz, żebyśmy jak najszybciej mogli się stąd zmyć.

W stacyjce nie było kluczyków. Ale to nic nie znaczyło.

Nie przyjechał tu sam, pomyślał Winter.

I to nie brak kluczyków skłonił go do wyciągnięcia takiego wniosku. Po prostu tak mu się wydawało. Ktoś przyjechał tu z Abdullahem. W ogóle nie słyszał nadjeżdżającego samochodu. Najwidoczniej te ostatnie sto metrów przejechał z wyłączonym silnikiem. Droga prowadząca tu ze wschodu lekko opadała.

- Próbowałem cię złapać dziś wieczorem - powiedział Braciszek. - Po południu też.

Cisza.

- Twoja mama nie wiedziała, gdzie jesteś.

Winter popatrzył na Braciszka.

- Dlaczego uciekłeś? - zapytał Braciszek.

- A jak myślisz?

- Daj spokój. Staraj się odpowiadać na pytania, i tyle. Dlaczego tak po prostu zwiąłeś?

- Bo się przestraszyłem.

- Czego?

- Broni. Strzelb.

- Nie rozumiem.

- Hama... wiedziałem, że miał skombinować kilka strzelb. Też byłem w to zamieszany... nie tak, ale wiedziałem, co robią. Ja załatwiłem samochód.

- Skąd?

- Z Heden.

Braciszek popatrzył na Wintera, Winter pokiwał głową. Heden - cudowny otwarty parking dla samochodów, które wkrótce padną łupem złodziei.

- Hama? Mówisz o Hamie Alim Mohammadzie?

-Tak.

- Zabili go. Wiedziałaś? - zapytał Braciszek.

Cisza.

- Zabili go - powtórzył Braciszek. - Wiedziałaś o tym?

- Nie. Cholera.

- No to już wiesz. A skoro bałeś się już wtedy, to teraz masz więcej powodów do strachu, nie? Czy to dlatego chcesz się ukrywać? Teraz czujesz się jeszcze bardziej zagrożony?

- Ale wcześniej nie czułem się bezpośrednio zagrożony.

- Bezpośrednio? Czyli jak?

- Ale i tak uciekłem.

Braciszek popatrzył na Wintera.

- Kto sprzedał strzelby?

- Nie wiem.

- Daj spokój.

- Wydawało mi się, że to ci z X-team, ale nie wiem na pewno. Nie dowiedziałem się, czy to oni.

- Czy to oni? Prześwietliliśmy ich na wylot i nie znaleźliśmy żadnych dowodów.

- Słyszałem tylko o nich.

- Ale to nie oni - odparł Braciszek. - Próbuuj dalej.

-Co?

- Jeszcze raz powiedz nam, kto dostarczył strzelby. I bez ściem. Mów jasno.

- Słyszałem o X-team.

- Od kogo?

Cisza.

- Od kogo to słyszałeś?

- Od Kurdów.

- Od Kurdów? A co to ma, kurwa, znaczyć?

- To był ktoś, kogo spotkałem na placu, na Angered. Nie mogę powiedzieć kto. Zresztą to nie ma znaczenia. Mówił o X-team.

- Kto to był?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego?

Cisza.

- Jakiś Kurd mówi ci o X-team, a ty to ot tak sobie kupujesz?

- Niczego nie kupiłem. Powtarzam, co słyszałem.

- A kto kupował?

-Co?

- Dla kogo były strzelby?

- Nie wiem.

- Wiesz, kto sprzedawał, a nie wiesz, kto kupował?

- Nie wiem.

- W jaki sposób Hama Ali był w to zamieszany? Przecież zajmował się tylko drobnymi interesami. Handel bronią to nie była jego działka.

- Nie wiem, czym on się zajmował. Ja załatwiałem samochód. Nic więcej nie wiem.

- Nie pytałeś?

- Nigdy nie pytam. Wiesz przecież. To niebezpieczne.

- Nawet jeśli pytasz kogoś tak niegroźnego jak Hama Ali?

Cisza.

- Kto to zrobił?

- Ale co?

- Masz problemy ze słuchem? Co? Co? Nadużywałeś jednego z najgorszych słów.

- Nie wiem, kto to zrobił.

- To ten Kurd? - zapytał Winter.

Poczuł, że Braciszek aż podskoczył. Potem posłał mu

spojrzenie.

- Czy broń była dla Kurda?

- Nie wiem.

- Przecież musiałeś się czegoś domyślać.

-Nie.

- To dlaczego w ogóle zaczęliście o tym gadać? Ty i twój kurdyjski znajomy? Jak wypłynął ten temat?

- Jak? Zawsze mówimy o tym, co się akurat dzieje. -Wy?

Ty i on?

- Nie, skąd. Chodzi mi o... różnych ludzi. Braciszek wie.

- A co znaczy to: nie, skąd? Nie utrzymujesz stałego kontaktu z tym Kurdem?

- Ja... Nigdy wcześniej nie gadaliśmy o takich rzeczach.

- Ale wtedy gadaliście?

- Sam nie wiem dlaczego. Może o tym wspomniałem. Nie pamiętam.

- Mówiłeś na początku, że boisz się broni. Co to znaczy?

- Bo... kiedy usłyszałem, co się stało... do czego użyli tej broni, spękałem.

- Dlatego, że wcześniej gadałeś o tym z tym Kurdem? -Nie.

- To dlaczego miałbyś się bać? Przecież ty nie byłeś w to zamieszany.

- Bo rozpoznałem strzelby. To wystarczyło.

- Ile osób je rozpoznało?

- Nie wiem.

- Podaj nazwiska.

To Braciszek o to poprosił.

Nie dostał odpowiedzi.

- Hussein Hussein?

- A kto to?

- Pracował u Jimmy'ego Foro.

- Nie, nie znam go.

- Wiesz, że on też zwiął do lasu?

- Zwiął? On też?

- Wielu zamieszanych w tę sprawę zwięwa - odparł Braciszek.

Z tyłu zapadła cisza.

- Wiedziałeś?

-Nie.

- Dlaczego Hussein zniknął?

Cisza.

- On też się bał?

- Nie wiem.

- Co z ciebie za informator? Nagle się okazuje, że nic nie wiesz.

- Nie mogę przecież powiedzieć czegoś, czego nie wiem.

- W takim razie musimy skończyć tę rozmowę gdzie indziej - powiedział Braciszek.

- Gdzie?

- A jak myślisz?

- Ja nic więcej nie wiem. Zgodziłem się z wami porozmawiać. Z tobą i z nim, chociaż nie wiedziałem, że będzie was dwóch.

- Co chcesz teraz zrobić? - zapytał Winter.

- Chcę wrócić do domu.

- Proszę bardzo - odparł Braciszek.

Młoda para wstała z ławki. Chłopak spojrzał w ich stronę. Winter zorientował się, że coś jest nie tak. Nie rozpoznał chłopaka, dziewczyny też nie, ale miał przeczucie, że oni rozpoznali jego. To dlatego, że tak powoli się ruszali. Chłopak szybko rzucił na nich okiem. Miał plecak. Cholera.

Poruszył ręką pod deską rozdzielczą. Braciszek to zauważył. Popatrzył na parę. Wciąż stali przy ławce. Wyglądali, jakby nagle coś ich zatrzymało, choć przed chwilą zbierali się do odejścia.

- Właśnie zauważyliśmy twoich kumpli - powiedział Braciszek do skulonej na podłodze postaci. - Tylko nie mów znów: co?

Cisza.

- Co tu robią? - zapytał Braciszek.

- Nie rozumiem. Jakich kumpli?

- Jak chcesz, to wstań i sam zobacz.

- Nic o tym nie wiem.

- No to się pomyliliśmy.

Para ruszyła w stronę samochodu, może w stronę rowerów stojących z tyłu, pod drzewem.

- I co, pomyliliśmy się? - powiedział Braciszek.

Usłyszeli, jak drzwi z tyłu się otwierają. Informator Braciszka wyskoczył z samochodu, wpadł między drzewa i zniknął. Ale Winter go rozpoznał.

BRACISZEK DARŁ SIĘ DO TELEFONU. Winter wyskoczy! z samochodu i ruszył w zarośla, ale wiedział, że to nie ma sensu.

- Nigdzie nie pójdziecie! - krzyknął Braciszek za jego plecami. Para stała bez ruchu.

Alan Darwish wsiadł na jeden z opartych o drzewo rowerów. Nie miał daleko do najbliższej uliczki. Ale nie tam się wybierał. Będzie jeździł tak długo, jak się da, a potem spróbuje wrócić do swojej kryjówki w lesie. Rozpoznał mnie od razu. Wiedział, że ja rozpoznam jego. Bał się powiedzieć coś więcej. I tak już powiedział za dużo. Wiedział, że zabralibyśmy go na komisariat i że prędzej czy później zdradziłby nam więcej. A tego nie chce, nie ma odwagi. Bardziej niż nas, niż mnie, boi się kogoś innego.

- Kim, do cholery, jesteście?! - usłyszał za sobą głos Braciszka.

- To by się nie stało, gdyby nie było tam ciebie, Winter.

Winter się nie odzywał. Byli w połowie drogi do centrum Angered. Nie mieli daleko.

- Jeszcze nigdy nie przydarzyło mi się nic takiego - ciągnął Braciszek.

- A mnie tak.

- Wiem. To powinna być dla mnie nauczka.

- To znaczy?

- Żeby nie siedzieć w otwartym samochodzie.

- Nie mieliśmy kluczyków.

- Ale mamy samochód. O tym nie pomyślał.

- To był Alan Darwish.

Braciszek spojrzął na niego ze zdziwieniem. Zadzwoiła jego komórka.

- He? - rzucił na powitanie.

Winter słyszał głos w słuchawce, ale nie rozróżniał słów. Zgrzytały jak żwir albo piach pod ciężkimi obcasami.

- Gdzie wy, do cholery, byliście? - zapytał Braciszek.

Potem słuchał.

- Właśnie nam ucieka na jakimś pieprzonym rowerze! Rannebergen to przecież cała góra, do cholery! Albo go złapiemy, albo koleś ma na osiedlu kumpli, u których się schowa. Innych opcji nie ma.

Rozłączył się gwałtownym ruchem. Wściekł się na rozmówcę. Albo rozmówców. To się nazywa projekcja. Winterowi też się oberwie. W rankingu winowajców zajmował u Braciszka najwyższą pozycję.

- Ciekawe, czy umieliby utrzymać choćby płótkę - powiedział Braciszek i nagle się odwrócił, jakby chciał sprawdzić, czy para wciąż stoi tam, gdzie ich zostawili, w obstawie załogi radiowozu.

Winter powiedział, że później z nimi porozmawia. Kiedy? Nie wiedział. Do tego czasu mieli czekać w samochodzie.

- Dlaczego Alan Darwish chciał się spotkać właśnie tam? - zapytał Winter.

Braciszek spojrział na niego i westchnął.

- Nie wiem. Pytałem, ale nie odpowiedział. To on wybrał miejsce, nie ja. Ja nie miałem szans. Chodziło o to, żeby się spotkać, nie?

- Mówiłeś przez telefon, że może mieć kumpli na osiedlu.

- Tak. I co z tego?

- Może to prawda. Może się ukrywa u kogoś.

- Bałby się. Kumple też. Może i dałby radę to zorganizować, ale to zbyt sprytne jak na niego. Nie wpadłby na to.

- On może nie, ale ktoś inny.

Braciszek pokiwał głową.

- Może. Przysłali nam tam tylu ludzi, ilu się dało - powiedział. - Ale nie damy rady przeszukać tysięcy mieszkań. Nie możemy liczyć na to, że będzie czekał. A przecież nie zamkniemy całego osiedla.

Rzeczywiście, tego nie mogli zrobić. Zaginiony informator nie jest nic wart. Nie ma co mobilizować całej policji z regionu, żeby zajmowała się czymś takim w Midsommar.

Samochód. Winter myślał o samochodzie. Opel corsa. „Wyglądał na corsę”. Tak właśnie powiedział dozorca z Rannebergen, kiedy trafili tam tego pierwszego ranka i znaleźli

ciało Shahnaz Rezai. To było na Fjällblomman, czyli - patrząc z miejsca, w którym przed chwilą byli - na drugim krańcu dzielnicy. „Wyglądał na corsę. Białą. Lekko zardzewiały”. Takich słów użył dozorca. Biała, zardzewiała corsa, z wgniecionym błotnikiem... Cholera! A jak wyglądał ten samochód na górze? Winter podszedł do niego z drugiej strony., usiadł... potem wyskoczył... Czy błotnik nie był przypadkiem uszkodzony? Dozorca mówił, że był. Kiedy rozmawiali z Alanem, siedział na miejscu kierowcy. Ale potem, kiedy wyskoczył... czy z karoserią coś było nie tak? Czy nic nie rzuciło mu się w oczy?

- Zadzwoń do chłopaków - powiedział do Braciszka. - Muszą mi coś sprawdzić.

-Co?

- Chodzi o samochód. To może być ważne.

- Dobra, dobra. - Braciszek zadzwonił do centrali. Radiostacji woleli unikać. Czasami mieli wrażenie, że pół miasta słucha policyjnego kanału. W końcu był zdecydowanie ciekawszy niż komercyjne.

Winter wziął od niego telefon.

- Hej, tu Winter. Możesz mi wyświadczyć przysługę? Dzięki. Sprawdź prawy bok tego opla. Błotnik. Stoisz obok? Świetnie. I jak to wygląda? Czy bło... jest wgnieciony? Okej. Odstaje od koła... Dobra. Dzięki. Tak, przekażę mu. Na razie.

Oddał telefon Braciszкови.

- O co chodzi z tym błotnikiem? - zapytał Braciszek. Winter mu wyjaśnił.

W zapadającym zmierzchu Angeredtorg wyglądał ponuro. Jak pozostawiony sam sobie.

Winter zaparkował przed komendą.

Pokój Braciszka wyglądał równie ponuro, jak plac za oknem.

Jeszcze z drogi Winter zadzwonił do Öberga.

Oberg westchnął.

- Chcesz kawy? - zapytał Braciszek.

- Tak, tylko kawa może mnie teraz postawić na nogi.

- To dobrze, bo nie mam whisky.

- I tak prowadzę.

- Okej. Sprawdzę, czy maszyna działa.

Winter popatrzył na zegar wiszący nad biurkiem Braciszka. Dziesięć po dziesiątej.

Skontaktował się już z Mólleström, a on skontaktował się z kimś ze spółdzielni mieszkaniowej, a ten ktoś skontaktował się z Hannu, dozorcą z Fjällblomman. Hannu dyżuruje od poniedziałku do piątku między ósmą i dziewiątą, a teraz była sobota, w dodatku Midsommar. A za chwilę miała się zacząć zwykła niedziela. Ale Winter musiał się czegoś dowiedzieć jeszcze tego wieczora. O ile się uda. Ale jeśli ludzie Öberga zdążą przeszukać samochód, to jest jakaś szansa.

Hannu mieszkał niedaleko, na Ramnebacken. Za pół godziny mieli się spotkać na Rannebergen. Będą potrzebować światła, żeby obejrzeć uszkodzony błotnik. Samochód wciąż będzie biały i zardzewiały, ale już nie tak niepozorny. Teraz całe światło zostanie skierowane na niego.

Braciszek wrócił z dwoma kubkami kawy z automatu. Wykrzywił usta, bo kawa przez plastik parzyła go w palec. Postawił kubki na biurku.

- No więc? - Usiadł na swoim krześle. - Jak zinterpretujemy to, co mówił Alan?

- Zinterpretujemy?

- No tak. Tutejsi, kiedy się z nimi rozmawia, nie mówią wprost. Jak wszyscy przestępcy, przecież wiesz. Wszędzie tak jest. Więc jak zinterpretujemy tego kolesia?

- Najbardziej prawdopodobne jest to, że chłopak się boi. Ale tu nie trzeba żadnych interpretacji.

- No nie. Ale muszę powiedzieć, że jestem zdziwiony, i to delikatnie mówiąc. Cholernie zdziwiony. Najpierw znika, potem się pojawia, kryjąc przed nami twarz, a potem znów znika.

- Tylko nie zwalaj znów winy na mnie.

Braciszek chyba go nie słuchał. Wypił łyk kawy, skrzywił się. Chyba myślał.

- On na coś wpadł.

- To znaczy? - zapytał Winter.

- Wpadł na coś, kiedy z nami rozmawiał.
- Ale na co?
- Musimy odsłuchać tę rozmowę.
- Nagrywałeś?
- A jak myślisz? - Braciszek wyciągnął mały dyktafon. -
Leżąc na podłodze, nie mógł zauważyć mikrofonu. Ty zresztą
też nie zauważyłeś, ale nieważne. Mogłem tam mieć całe studio
nagraniowe, a on z tej podłogi i tak nic by nie zobaczył. Nie w
tej puszcze. To właśnie jest wada prowadzenia rozmowy z tylnej
podłogi corsy.

Winter pokiwał głową. Uciskał brew i masował sobie skroń.
Ból wrócił na swoje miejsce. Był lekko wyczuwalny, jak bestia,
której nadejścia człowiek się spodziewa.

- W porządku, Winter? Jesteś zmęczony? Za długo wczoraj
improwałeś?

- Nie dłużej niż ty

- Słyszałem, że często pracujesz *overtime*.

- *Overtime*? Tak z angielska?

- Tak, bo słyszałem też, że masz świra na punkcie Londynu.

- Już nie. Nie byłem tam już trzy tygodnie.

- Ha, ha. Dobrze, że masz siłę żartować. Wyglądasz ok-
ropnie, ale dobra - słuchamy.

Braciszek wyciągnął kasetę z dyktafonu i wetknął ją do
lepszego odtwarzacza.

- Ktoś go tam podwiózł - powiedział Winter.

Braciszek spojrział na niego.

- Mógł przyjechać sam.

- Nie wydaje mi się. W stacyjce nie było kluczyków. Nie
sądzę, żeby to on je wyciągnął.

- Dlaczego nie?

- Nie wydaje mi się - powtórzył Winter.

- I masz rację. Alan nie ma prawa jazdy, chyba że w ciągu
ostatnich kilku dni zdobył je w tajemnicy. Ten chłopak nie
umiałby poprowadzić wielbłąda.

- Te rowery stały pod drzewem, kiedy przyjechałeś? -
zapytał Winter.

- Nie, nie widziałem ich. Przyjechałem od drugiej strony.

- Ja je widziałem.
- Tak?
- Stały tam.
- No dobra, stały. I co z tego?
- A nie było tam nikogo innego. Tylko my, ja i ty. A rowery były.
- Do czego zmierzasz?
- Do tego, że ci młodzi nie przyjechali tam na rowerach.
- No dobra, pewnie przyszli na piechotę.
- Albo przyjechali samochodem. Porozmawiam z nimi, kiedy dozorca obejrzy samochód.
- Pomogę ci.
- Włącz taśmę, żebyśmy zdążyli to odsłuchać.
- Rozległy się trzaski. Potem zgrzyt i głos Braciszka.
- *Dlaczego uciekłeś?*
- *A jak myślisz?*
- *Daj spokój. Staraj się odpowiadać na pytania, i tyle. Dlaczego tak po prostu zwałeś?*
- *Bo się przestraszyłem.*
- *Czego?*
- *Broni. Strzelb.*
- *Nie rozumiem.*
- *Hama... wiedziałem, że miał skombinować kilka strzelb. Też byłem w to zamieszany... nie tak, ale wiedziałem, co robią. Ja załatwiłem samochód.*
- *Skąd?*
- *Z Heden.*
- *Hama? Mówisz o Hamie Alim Mohammadzie?*
- *Tak.*
- *Zabili go. Wiedziałaś? Zabili go. Wiedziałaś o tym?*
- *Nie. Cholera.*
- *No to już wiesz. A skoro bałeś się już wtedy, to teraz masz więcej powodów do strachu, nie? Czy to dlatego chcesz się ukrywać? Teraz czujesz się jeszcze bardziej zagrożony?*
- *Ale wcześniej nie czułem się bezpośrednio zagrożony.*
- *Bezpośrednio? Czyli jak?*
- *Ale i tak uciekłem.*

Winter dał znak ręką. Braciszek zatrzymał taśmę.

-Co?

- Według mnie skłamał, mówiąc, że nie wiedział o śmierci Hamy - powiedział Winter.

- Ja też. Ale kto mu o tym powiedział?

- Zabójca.

- Posłuchajmy jeszcze raz.

- *Zabili go. Wiedziałaś o tym?*

- *Nie. Cholera.*

Braciszek znów nacisnął stop.

- I co o tym myślisz, Winter?

- Wiedział. Powiedział też, że nie czuł się bezpośrednio zagrożony. Co miał na myśli?

- Sam o to zapytałem - odparł Braciszek, wskazując na głośniki.

- A potem mówi, że i tak uciekł. Przewiń.

Braciszek cofnął taśmę. Odsłuchali jeszcze raz.

Potem znów zatrzymał.

- Wcześniej nie czułem się bezpośrednio zagrożony - powtórzył Winter. - Ale może czuł się zagrożony pośrednio.

- Przez kogo?

Winter nie odpowiedział.

- Zagrożenie pośrednie - powiedział Braciszek.

- Dawaj dalej. Może zdążymy jeszcze trochę przesłuchać.

Braciszek włączył odtwarzacz.

- *Kto sprzedał strzelby?*

- *Nie wiem.*

- *Daj spokój.*

- *Wydawało mi się, że to ci z X-team, ale nie wiem na pewno.*

Nie dowiedziałem się, czy to oni.

- *Czy to oni? Prześwietliliśmy ich na wylot i nie znaleźliśmy żadnych dowodów.*

- *Słyszałem tylko o nich.*

- *Ale to nie oni. Próbuje dalej.*

-Co?

- *Jeszcze raz powiedz nam, kto dostarczył strzelby. I bez ściem.*

Mów jasno.

- Słyszałem o X-team.

- Od kogo?

Pauza.

- Od kogo to słyszałeś?

- Od Kurdów.

- Od Kurdów? A co to ma, kurwa, znaczyć?

- To był ktoś, kogo spotkałem na placu, na Angered. Nie mogę powiedzieć kto. Zresztą to nie ma znaczenia. Mówił o X-team.

- Kto to był?

- Nie mogę powiedzieć.

- Dlaczego?

Pauza.

- Jakiś Kurd mówi ci o X-team, a ty to ot tak sobie kupujesz?

- Niczego nie kupilem. Powtarzam, co słyszałem.

- A kto kupował?

-Co?

- Dla kogo były strzelby?

- Nie wiem.

- Wiesz, kto sprzedawał, a nie wiesz, kto kupował?

- Nie wiem.

- W jaki sposób Hama Ali był w to zamieszany? Przecież zajmował się tylko drobnymi interesami. Handel bronią to nie była jego działka.

- Nie wiem, czym on się zajmował. Ja załatwiałem samochód.

Nic więcej nie wiem.

- Nie pytałeś?

- Nigdy nie pytam. Wiesz przecież. To niebezpieczne.

Braciszek zatrzymał taśmę.

- Naprawdę nie rozumiem, jak ten mały Hama mógł być w to zamieszany - powiedział.

- Możesz jeszcze raz przewinąć do tego o X-team? Chwilę po tym, jak zaczął o nich mówić.

Braciszek przewinął i włączył.

- I bez ściem. Mów jasno.

- Słyszałem o X-team.

- Od kogo?

Pauza.

- *Od kogo to słyszałeś?*

- *Od Kurdów.*

Tym razem Winter sam wcisnął pauzę.

- *Od Kurdów. Dlaczego tak powiedział? Od Kurdów?*

- *Przecież słyhać, że mnie też to zastanowiło.*

- *Nie sprowokowałeś go. Chciał to powiedzieć. Chciał powiedzieć, że to Kurdowie.*

- *Liczba mnoga.*

- *Tak. Potem zrobił się z tego jeden Kurd. Ale najpierw mamy Kurdów.*

- *Słyszę.*

- *Ale on sam jest Kurdem?*

- *Tak mi się wydaje.*

- *Muszę to wiedzieć.*

- *Jest Kurdem. To znaczy jeśli nie jest Syryjczykiem. To różnica.*

- *Wiem.*

- *Mówił o swojej bezdomności. O narodzie bez kraju. Mówił jak Kurdowie. Nie, nie jest Syryjczykiem. Pomyliłem go z kimś innym. Alan jest Kurdem.*

- *To dlaczego mówi: od Kurdów, jakby sam nim nie był?*

- *Dobre pytanie.*

- *Puść jeszcze raz.*

Braciszek nacisnął guzik.

- *Od Kurdów.*

- *Od Kurdów? A co to ma, kurwa, znaczyć?*

- *To był ktoś, kogo spotkałem na placu, na Angered. Nie mogę powiedzieć kto. Zresztą to nie ma znaczenia. Mówił o X-team.*

- *Kto to był?*

- *Nie mogę powiedzieć.*

- *Dlaczego?*

Winter wyłączył.

- *Mówi, że nie ma znaczenia, kto to był. Ale to nie brzmi szczerze.*

- *Większość z tego, co mówił, nie brzmiała szczerze -*

stwierdził Braciszek. - Bo niby dlaczego Kurd miałby zacząć mówić o tym, że to X-team dostarczyło strzelby? Owszem, mogli to zrobić, ale dlaczego jakiś Kurd chodzi po dzielnicy i o tym gada? I to z naszym Alanem?

- A to nie tak Alan zdobywał informacje? - zapytał Winter. - Chodząc po okolicy i gadając z ludźmi?

Braciszek pokręcił głową.

- Nie, on raczej jest bliżej akcji, jeśli wiesz, co mam na myśli. Bierze udział w planowaniu. W każdym razie jest gdzieś na peryferiach różnych przedsięwzięć. Bo ludzie nie gadają o tym ot tak sobie. - Braciszek popatrzył na głośniki.

- To z X-team to zmyślona historyjka. Gdyby oni byli w to zamieszani, już byśmy wiedzieli. Uwierz mi.

Komórka Braciszka zadzwoniła w tej samej chwili co telefon na biurku.

HANNU CZEKAŁ NA WZGÓRZU. Razem z policjantami, radiowozem i dwojgiem dzieciaków. Pozwolili im wrócić na ławkę. Teraz w dolinie było raczej ciemno. W dole widać było pojedyncze punkciki elektrycznych świateł. Winter widział dwie sylwetki na ławce. Siedziały nieruchomo.

Dozorca wyglądał, jakby mu brakowało jego roboczego kombinezonu. Jakby akurat teraz go potrzebował. Bycie świadkiem to ciężka praca.

Winter się z nim przywitał. Nie pamiętał, jak się nazywa. Nie zapytał o to, kiedy się spotkali pierwszy raz.

Podeszli do opla. Stał samotnie wśród drzew i zarośli. Był kradziony. Tyle wiedzieli. Skradziony z Heden. Hannu pochylił się nad wgniecionym błotnikiem. Potem cofnął się o kilka kroków. Popatrzył na Wintera.

- To może być ten. Tyle mogę powiedzieć.

- Dobrze.

- Ale nie pamiętam numeru - ciągnął Hannu, jakby zachęcony odpowiedzią Wintera.

- Widział go pan więcej niż raz?

- Nie przypominam sobie.

- Dobrze. Dziękujemy.

- To wszystko?

- A ma pan coś jeszcze do dodania?

- Nie macie żadnych pytań o... o tamto mieszkanie?

- A o co miałbym zapytać?

- Nie wiem...

- Co chciałby nam pan powiedzieć? - powiedział Winter łagodnie.

- Teraz trochę lepiej sobie przypominam tych, co tam mieszkali.

- Co takiego pan sobie przypominają?

- Tylko tyle, że ich nie lubiłem. Nie znałem ich, ale było w nich coś takiego, że ich nie lubiłem. Ani jego, ani jej.

- Ale dlaczego ich pan nie lubił?

- Nigdy się nie witali. To jedna sprawa. No i spotkałem ich kilka razy z młodymi dziewczynami. Wychodzili z domu. Dziwnie to wyglądało. Nie wiem, jak to wyjaśnić. One tam przychodziły, ale to wyglądało... nienaturalnie. Te dziewczyny wyglądały dziwnie, jakby tam przyszły... Sam nie wiem.

- Jakby nie przyszły tam z własnej woli? - zapytał Winter.

- Tak...

- Dlaczego nie powiedział nam pan o tym wcześniej?

Hannu nieznacznie wzruszył ramionami.

- Bo pomyślałem o tym dopiero ostatnio. No i teraz wam mówię.

- Umiałby pan rozpoznać te dziewczyny?

Hannu znów wzruszył ramionami. Nie robił tego z nonszalancją.

Chłopak i dziewczyna wstali, kiedy Winter podszedł do ławki. Usłyszeli kroki. Oni też nie wyglądali nonszalancko. Może wyglądali na lekko zmęczonych, a może to była kwestia światła, które mieszało się z ciemnością. Winter się przedstawił. Oni też: Salim Waberi, Ronak Gamaoun.

Waberi, Waberi. Skądś znał to nazwisko.

- Masz siostrę, która nazywa się... - zaczął, ale zamilkł. Czy to nie była ta dziewczyna? Koleżanka Nasrin? Może Hiwy? Albo obojga? Nie pamiętał.

- Mam siostrę - powiedział Salim.

- Jak ma na imię?

- Shirin.

- Znam ją.

Salim nie odpowiedział. Dziewczyna, Ronak, milczała. Patrzyła w dół, na dolinę. Teraz niewiele było widać. W dole przejechał jakiś samochód.

- Mówiła ci o tym? - zapytał Winter. - Ze rozmawialiśmy?

Salim pokiwał głową.

- Znałeś Hiwę Aziza?

Salim znów przytaknął.

- A Nasrin znasz?

- Słabo.

- A ty, Ronak?

- Ja? Znam ją słabo. I co z tego. Mieszkamy na Hammarkullen.

- A tutaj co robicie? - zapytał Winter.

- Przecież... chcieliście, żebyśmy tu zostali. Nic nie rozumiem.

- Po co tu przyjechaliście?

- Tak sobie, żeby popatrzeć na ten widok - odparła Ronak. - Często tu przychodzimy.

- Przyjechaliście na rowerach?

- Na rowerach? Nie.

- To jak?

- Autobusem.

- O co w ogóle w tym wszystkim chodzi? - zapytał Salim.

- Może wicie lepiej ode mnie - odpowiedział Winter.

Nagle poczuł się zmęczony. Tak bardzo, że miał ochotę położyć się na ziemi i zapaść się w nią, i dotrzeć do Vasaplatsen. Nie chciał już tak stać. Może Salim i Ronak coś o kimś wiedzą. Może o Alanie albo o czymś innym. Kiedy znajdą Alana, skonfrontują go z Salimem i Ronak.

Spał jak zabity. Nic mu się nie śniło, nic nie bolało go nad okiem. Obudził się i powiedział Angeli, że znów czuje się młodziej. Musiał ją obudzić, żeby jej to powiedzieć. Wydawało mu się, że ją obudził. Znów czuje się młodziej.

- Właśnie tego mi trzeba - odpowiedziała i przyciągnęła go do siebie.

- Ktoś cię szuka. Jakaś kobieta.

Jeszcze nie wstali z łóżka. Winter sięgnął po komórkę. Leżała na nocnym stoliku Angeli.

- Halo, słucham.

- Dzień dobry. Tu Riita Peltonen. Nie wiem, czy pan mnie parnię...

- Bardzo dobrze - przerwał jej Winter. Usiadł. Nagle coś zaczęło go uwierać w głowę. Jakby założył przyciasny kaptur. Nie był to ból. To było coś innego. Coś bardziej znajomego, jak nawracająca gorączka. Według budzika stojącego na jego

nocnym stoliku nadal było bardzo wcześnie.

- Ten chłopiec... Chyba wiem kto to.

Spotkali się na Sandspåret.

Wyglądała na zdenerwowaną.

- Chyba nic złego mu się nie stało?

- Gdzie mieszka? - zapytał Winter.

- O ile to on.

Jej szwedczyzna przypominała poranną pieśń, może poranny psalm. A poranek znów był spokojny i ciepły. Nic się nie zmieniło, ale Winter czuł się tak, jakby wrócił skądś, gdzie nie chciałby być dłużej niż to konieczne. A jednak wciąż tkwił w tym samym miejscu. Miał wrażenie, że mógłby biegać między tymi domami bez końca. Mógłby polować tak długo, jak byłoby trzeba.

- Proszę podać adres - powiedział.

Winter zadzwonił do drzwi. Na przyczepionej do nich dużej kartce dziecięcym pismem napisano: Baban.

Otworzyły się po trzecim dzwonku. Jakaś kobieta ukazała się w dwucentymetrowej szparze. Wyglądała na mniej więcej trzydzieści lat.

Co miał jej powiedzieć?

Pokazał legitymację.

- Szukam pewnego chłopca - zaczął.

Riita Peltonen czekała przed blokiem.

Drzwi nie otworzyły się szerzej.

- Czy mieszka tu dziesięcioletni chłopiec?

Kobieta chyba nie rozumiała, co do niej mówił. Odwróciła głowę i popatrzyła na coś w głębi mieszkania, w przedpokoju. Powiedziała coś, nie rozumiał. Odpowiedział jej jakiś głos. Głos był cienki, dziesięcioletni. Winter ostrożnie uchylił drzwi o kolejnych dziesięć centymetrów. W przedpokoju stał chłopiec. Bez roweru, ale i tak go od razu rozpoznał.

- Czy małemu coś grozi?

Miał Ringmara na linii. Połączenie nagle przycichło, jakby Ringmar był na drugim końcu świata.

- Tak. Sprzątaczką mówiła, że ktoś dzwonił do jej koleżanki i mówił, że widział chłopca na dworze. Możliwe, że z jakimś mężczyzną.

- Z mężczyzną? Z kim?

- Jeszcze nie wiem.

- A kto ich widział?

- Jeszcze nie wiemy.

- A jak go znalazła? Skąd wiedziała, że to on?

- Dodała dwa do dwóch, tak powiedziała.

- A co mówi chłopiec?

- Jeszcze nic. Ale to ten chłopiec, którego widziałem na rowerze. I to kilka razy.

- Może tylko jeździł na rowerze, nic więcej.

- Chyba możemy go o to zapytać, nie?

-No.

- Ale to zajmie trochę czasu. Jest w szoku.

- Ile mamy czasu?

Winter nie odpowiedział. Stał przed blokiem. Słyszał krzyki dzieci. W powietrzu zobaczył piłkę.

- Co z nim zrobisz?

- Musi zostać w domu. Będziemy obserwować blok. Obstawimy go. Porozmawiam z nim tutaj. Rozmowa musi się odbyć u niego w domu.

- Kiedy?

- Wkrótce.

Całe wnętrze komendy było skąpane w słońcu. Ceglane ściany najpiękniej wyglądały o poranku. Nad biurkiem Öberga było niesamowicie jasno. Nad biurkiem i głowami uwiecznionymi na zdjęciach. Twarze trzeba było sobie wyobrazić.

- Ale z Hiwą Azizem nie do końca tak było - powiedział Öberg. - Popatrz tutaj. I tutaj. - Wyciągnął kolejne zdjęcie. -1 porównaj.

Winter przyciągnął zdjęcia i założył okulary do czytania. W jego zawodzie ta nazwa nie była całkiem adekwatna.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Torsten?

- Jeśli się dobrze przyjrzeć, to widać różnicę.

- To powiedz mi, co widzę - poprosił Winter.

- Hiwa nie ma aż takich obrażeń.

Winter przyjrzał się głowie Hiwy. I twarzy albo temu, co z niej zostało.

- Faktycznie - powiedział po chwili. - Widać różnicę.

- I co ty na to?

- Może on nie miał zostać ukarany tak bardzo jak pozostali.

- Albo ktoś przeszkodził zabójcom.

- Możliwe. Może Hiwie nie mieli odstrzelić twarzy.

- Ale i tak prawie mu ją odstrzelili.

- No tak.

- Leżał tutaj. - Öberg wskazał na szkic miejsca zbrodni.

- Najdalej, w głębi - zauważył Winter. - Czy to może mieć znaczenie? Może po prostu nie zdążyli skończyć roboty.

- Któryś z nich chciał skończyć.

- Ale ten drugi nie.

- Te kroki - dodał Öberg, wskazując na rysunek.

- Jakby ktoś wszedł komuś w drogę.

Winter siedział w swoim pokoju i słuchał własnego głosu.

- *Czy broń była dla Kurda?*

- *Nie wiem.*

- *Przecież musiałeś się czegoś domyślać.*

- *Nie.*

- *To dlaczego w ogóle zaczęliście o tym gadać? Ty i twój kurdyjski znajomy? Jak wypłynął ten temat?*

- *Jak? Zawsze mówimy o tym, co się akurat dzieje.*

- *Wy? Ty i on?*

- *Nie, skąd. Chodzi mi o... różnych ludzi. Braciszek wie.*

- *A co znaczy to: nie, skąd? Nie utrzymujesz stałego kontaktu z tym Kurdem?*

- *Ja... Nigdy wcześniej nie gadaliśmy o takich rzeczach.*

No właśnie.

Winter przewinął do tyłu.

- *Ja... Nigdy wcześniej nie gadaliśmy o takich rzeczach.*

Dlaczego nigdy wcześniej nie gadali o takich rzeczach?

O broni. O tym, do czego mieli jej użyć. O zabójstwie, do

którego była potrzebna. Ta broń gdzieś tam jest. Jeszcze jej nie znalazł, ale może komuś innemu się udało.

Winter odsłuchał dalszą część przesłuchania, czy jak to nazwać. Hussein Hussein. Kim jest? Czy istnieje? Czy jest kimś innym? Tutaj każdy jest kimś innym, pomyślał Winter. Zmieniają się w zależności od światła. Ale teraz trudniej to dostrzec, jest zbyt jasno, teraz cały czas jest jasno.

Chłopiec siedział bez ruchu na sofie. Mama siedziała obok niego. Winter wrócił na Hjällbo. Nie poznał jego taty. Bo mały miał tatę, ale tata nie chciał brać udziału w rozmowie. Chłopiec miał na imię Ahmed. Winter postanowił nie wysyłać go do pediatry i psychologa. Takie coś zajmuje dużo czasu, a oni go nie mieli.

- Zorientujesz się, jak mały zacznie mówić - powiedział mu psycholog, Berndt Lower. - O ile zacznie.

- Nie od razu, ale zacznie - odparł Winter. - Spróbuję. Nie mam wyjścia.

Postanowił nie filmować przesłuchania. Nie teraz.

Może w niedalekiej przyszłości będą musieli pokazać chłopcu jakieś nagrania z podobiznami podejrzanych. Choć na razie nie mieli żadnego materiału do takiej konfrontacji. Ale jeszcze trochę i podejrzani się pojawią. Ustawią się w rzędzie.

Pochylił się ostrożnie.

- Cześć, Ahmed.

Głos w telefonie był tak donośny, że Ringmar odsuwał słuchawkę od ucha.

- Szukałem Wintera i przełączyli mnie do ciebie.

- Musisz się zadowolić mną, Braciszku.

- Dlaczego?

- Winter jest na Hjällbo. Przesłuchuje kogoś.

- Aha.

- A o co chodzi?

- Co? No właśnie, chciałem mu coś powiedzieć. Alan Darwish się odezwał.

- Jak to?

- Zadzwoił.

- Skąd?
 - Nie zdążyliśmy sprawdzić.
 - I co powiedział?
 - Przeprosił, że uciekł!
 - To dobrze.
 - No raczej. Bardzo miło z jego strony.
 - A dlaczego uciekł?
 - Nie mógł tego wyjaśnić w tak krótkim czasie.
 - A miało to coś wspólnego z tamtą dwójką? Z tą parą z ławki?
 - Nie zdążyłem zapytać.
 - Gdzie teraz jest?
 - W kryjówce. - Zabrzmiało to tak, jakby Braciszek parsknął śmiechem. - Ale chciałby wrócić do rzeczywistego świata.
 - Ale chyba ma nam coś do zaoferowania? Jego sytuacja jest nie najlepsza.
 - Taksówkę.
 - Co?
 - Oferuje nam taksówkę. Taksówkę, która rozwozi panienki.
- Ahmed, poznajesz mnie?
- Chłopiec pokręcił głową. Powoli, jakby się wsłuchiwał w to, co mu się kołatało po głowie.
- Nie musisz się bać. Jestem policjantem. Popatrz. - Pokazał mu legitymację ze zdjęciem. - To ja. Jestem tu, bo ścigam niedobrych ludzi.
- Ahmed spojrział na legitymację.
- Ścigam niedobrych ludzi, to moja praca. Chciałbym, żebyś mi pomógł.
- Chłopiec popatrzył na niego.
- Ahmed, chcesz mi pomóc?
- Ahmed pokręcił głową.
- Wiem, że możesz mi pomóc - powiedział Winter.
- Winter znów podniósł legitymację.
- Ty też możesz taką dostać.
- Nie wiedział, czy to coś pomogło. Mógł wziąć ze sobą piłkę do nogi albo piłeczkę tenisową. Bo nie widział tej, którą wtedy chłopiec się bawił.

Mama Ahmeda ostrożnie pogłaskała go po ręce.

Nie było z nimi tłumacza. Nie za pierwszym razem. Może okaże się, że w ogóle nie będą go potrzebować.

Mama powiedziała, że Ahmed mówi po szwedzku najlepiej z całej rodziny.

To jego język.

- A gdzie twoja piłeczka, Ahmed? Twoja piłeczka tenisowa?

Chłopiec się wzdrygnął, jakby Winter powiedział coś strasznego.

- Zgubiłeś ją?

Chłopiec pokręcił głową.

- Ktoś ją zabrał.

Ahmed nie odpowiedział. Chyba się zastanawiał.

Winter się nie ruszał.

- Zabrał ci ją jakiś pan?

Chłopiec nadal nie odpowiadał.

- Ale ci ją oddał.

Ahmed pokiwał głową.

- Znasz tego pana?

Chłopiec pokręcił głową.

- Widziałeś go już kiedyś?

Żadnej reakcji - nie przytaknął ani nie zaprzeczył. To przypomina raczej rozmowę z cztero-, pięcioletkiem. Muszę być ostrożny.

- Czy kiedykolwiek wcześniej widziałeś tego pana? - powtórzył Winter.

Chłopiec wyglądał, jakby nie zrozumiał pytania. Popatrzył na coś za jego plecami. Winter się odwrócił, ale zobaczył tylko gołą ścianę.

- Wcześniej, zanim zabrał ci piłeczkę?

Chłopiec pokiwał głową.

Winter poczuł, jak ciasny kaptur zsuwa mu się z głowy. Ból minął, nie było już dla niego miejsca.

- Gdzie go widziałeś?

Chłopiec nie odpowiedział.

- Widziałeś go przy sklepie?

Znów nie odpowiedział. Przy którym sklepie? Przecież jest

ich dużo.

- Przy sklepie Jimmy'ego?

Winter widział, że chłopiec wie, o czym mówi.

- Przed tym sklepem, w którym strzelali.

Ahmed nie reagował. Nie kiwał głową.

- Słyszałeś, jak strzelali?

Chłopiec przytaknął.

- Co tam robiłeś?

Nie odpowiedział.

- Widziałeś, jak strzelali?

Nie. Ahmed pokręcił głową.

- Widziałeś kogoś, kto trzymał broń?

Przytaknął.

- Widziałeś ich... tam w środku?

Znów przytaknął.

- Skąd ich widziałeś?

Chłopiec spojrział w stronę okna.

- Przez okno? Widziałeś ich przez okno?

Ahmed pokiwał głową.

- I co widziałeś?

Nie odpowiedział.

- Widziałeś, jak wychodzili?

Przytaknął.

- Co robili?

Cisza.

- Odjechali samochodem?

Ahmed pokiwał głową.

- Wiesz, w którą stronę?

Tym razem pokręcił głową.

- Co robiłeś potem?

Żadnej reakcji.

- Uciekłeś?

Chłopiec pokręcił głową.

- Zostałeś?

Przytaknął.

- A dlaczego stamtąd nie uciekłeś?

Chłopiec rzucił okiem w stronę przedpokoju.

- Dlaczego nie odjechałeś na rowerze?

Nie odpowiedział.

- Przyszedł ktoś inny?

Przytaknął.

- Kiedy tamci odjechali, przyjechał jeszcze ktoś?

Znów przytaknął.

- Przyjechał samochodem?

Znów przytaknął.

- Taksówką?

Winter widział, że chłopiec nie zrozumiał pytania. Jego spojrzenie gdzieś uciekło. Mama siedziała obok i próbowała zrozumieć. Z tego co Winter wiedział, ojciec już zrozumiał i właśnie starał się znaleźć dla rodziny inne mieszkanie. Gdzie indziej.

- Ten ktoś, kto przyjechał, kiedy tamci zniknęli... znałeś go?

Chłopiec pokręcił głową.

- Czy to był ten pan?

Chłopiec przytaknął.

- Wszedł do sklepu? Do sklepu Jimmy'ego?

Ahmed nie odpowiedział.

- Stał w drzwiach?

Przytaknął.

- I co tam robił?

- On... stał - odpowiedział Ahmed.

NIE BYŁO NAS DUŻO. Lepiej było się nie znać. To było tak, jakby się nie miało twarzy, jakby się na nią nie zasługiwało. Jakby się nie zasługiwało na własną twarz, rozumiesz?

Czy nas bili? A jak myślisz?

Czy mogę dostać szklanek wody?

On chyba nie wiedział. Albo nie rozumiał, w każdym razie nie rozumiał, zanim zrobiło się za późno. A ja? Teraz nie ma po co tego roztrząsać. To nie ma sensu.

I nie chodziło o język, tylko o coś innego. Żaden język nie miał tu nic do rzeczy. Ale dla mnie przemoc też jest swego rodzaju językiem. Śmierć i to, co do niej prowadzi, też. Jeśli komuś brakuje słów, to ucieka się do przemocy. To jest język ostateczny. Chodzi mi o to, że jest tak odległy od życia, od tego, co dobre. Tego, co ma jakąś wartość.

Wtedy uciekaliśmy z miejsca, gdzie języka nie było. Zastąpiła go przemoc. My też nie mieliśmy już swojego języka. Ale to już wiesz. Czy on ci to wyjaśnił? Mnie przy tym nie było. Mam nadzieję, że dobrze ci to wytłumaczył.

On nie umiał sobie z tym poradzić. To było tak, że on... nie mógł temu zapobiec. Odebrali mi godność. Ale on nie był sam. To też już wiesz. Dużo wiesz, łączysz jedno z drugim, a i tak nie rozumiesz. Nikt tak naprawdę nie rozumiał.

Czy na dworze jest ciepło? Chcę się przejść po kwitnącym wzgórzu. Położyć się w trawie i patrzeć w niebo. I leżeć tak latami. Zawsze mi mówili, że niebo nad całym światem jest tylko jedno, ale ja w to nie wierzę. Nie wierzę też, że jest tylko jedno słońce. Jak to możliwe? Jeszcze trochę i stwierdzą, że ziemia jest okrągła! Ha, ha! Przecież wtedy nie moglibyśmy chodzić. Pospadalibyśmy. I spadamy. Spadliśmy. Ja. Moja rodzina. Nasi krewni. Wszyscy spadliśmy I już nigdy nie wróciliśmy na swoje miejsce. I jak tu w cokolwiek wierzyć?

Dziękuję, że pozwalacie mi mówić. Niedługo nikt nie będzie mnie słuchał. Ale wtedy przejdzie mi ochota na rozmowy

Chociaż jest takie powiedzenie: mówić jak do ściany, prawda? Można mówić do ściany i sprawdzić, czy odpowie. Z tobą też tak się rozmawiało na początku - jak ze ścianą. Wyglądasz jak ściana. Jesteś nią. Wszyscy jesteście ścianami. Tutaj są same ściany.

Ta woda nie była zimna. Mogę dostać zimniejszą?

Woda w kranie. To jedno z moich pierwszych wspomnień, czy może raczej przeżyć. Była ciepła - sama z siebie! Nie trzeba było palić ognia. W tym kraju jest zimno prawie cały rok, ale nigdy nie widzi się ognisk. Tutaj ludzie tego nie rozumieją. Wy nie rozumiecie. Dla nas ogień jest wszystkim. Zanim pojawili się niszczyciele i mordercy, wierzyliśmy tylko w ogień, nie w żadnego boga. Potrzebowaliśmy tylko ognia. Miał się palić przez cały rok, nie mógł zgasnąć. Bo gdyby zgasł, oznaczałoby to, że boga już nie ma.

WINTER KRAŻYŁ PO OKOLICZNYCH ULICZKACH. Była wśród nich jedna nazwana na cześć Kurdów - Kurdspåret²⁴. To mu przypomniało historię z Alanem. Niemile wspomnienie. Choć w całej tej sprawie było coś komicznego, czy może raczej tragikomicznego. Coś, co ośmieszało całą policję. Sam Alan też był postacią tragikomiczną.

Ale teraz nie mógł się śmiać. Słyszał za to śmiechy dzieci dobiegające z okolicznych placów zabaw i trawników, które już zaczęły schnąć i żółknąć. Taki dzień zachęca do śmiechu. W takie dni łatwiej się żyje. Błękit i złoto - niebo i słońce.

Ahmed powiedział jedno zdanie, a potem zamknął się w sobie. Kiedy je wypowiedział, sam był w szoku. Jakby go zaskoczyło to, że potrafi mówić, jakby to były jego pierwsze słowa w życiu. Ale potem już nic nie powiedział.

Rozplakał się. Jego mama posłała Winterowi błagalne spojrzenie.

Zostawił ich samych.

Poszedł do sklepu Jimmy'ego. Teraz wyglądał jak zabytek, jakby od strzelaniny minęły całe lata, nie tydzień.

Chłopiec musiał stać tutaj. Stanął w tym samym miejscu i spojrzał na sklep. Tak, wszystko się zgadza. Tam są drzwi, lada, podłoga. I kałuża krwi. Wciąż ją widać, jak złóże na dnie morza.

Narysowane kredą kontury też było jeszcze widać. Wyglądały jak pijane cienie.

Najpierw chłopiec widział, jak przyjechali zabójcy. Potem jak odjechali. A potem zjawił się ktoś inny. I ten ktoś tylko stał.

W komendzie już dawno nie było tak chłodno. Może skądś powiał wiatr, którego nikt nie czuł, a może klimatyzacja zadziała po raz pierwszy, odkąd zbudowano ten nieszczęsny budynek. Kilka lat wcześniej przebudowano stojący obok stadion Gamla Ullevi. Firma budowlana jakimś cudem prze-

24 Kurdyjski szlak albo Kurdyjska bieżnia.

gapiała komendę. Przeoczenie. A mieliśmy szanse zacząć wszystko od nowa, może nawet wynieść się z miasta w jakieś przyjemniejsze okolice.

Ringmar krążył po pokoju Wintera. Sześć metrów w tę, sześć metrów z powrotem.

- A już się tam wybierałem - powiedział.

- Zmieniłem zdanie - odparł Winter.

- To nie mógł być nikt inny.

- Tak, ale był tam ktoś jeszcze.

- Wiem przecież. Ale Reinholz może nam powiedzieć wszystko, co chcemy wiedzieć.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Ale czego nie jesteś pewien, Erik?

Winter nie odpowiedział. Stał przy oknie. Widział tramwaj po drugiej stronie kanału. Na ulicach było trochę ludzi, nie za wielu, ale centrum już nie było opustoszałe.

- Według mnie zatrzymanie go teraz będzie błędem. To będzie sygnał dla innych, dowie się o tym więcej osób, niż byśmy chcieli.

- A jeśli facet się zmyje? Jeśli pozwolimy zniknąć kolejnej osobie?

- Jeśli się zmyje, to wszystko będzie jasne - odparł Winter. - Wtedy wystarczy zorganizować poszukiwania. Przed chwilą postanowiłem zadzwonić do biura tłumaczy.

- A nie byłeś u tego chłopca?

- Byłem. Ale zadzwoniłem do nich później, z samochodu.

- Po CO?

- Żeby sprawdzić Mozaffara Kerima.

Ringmar przestał się przechadzać. Przystanął na środku pokoju.

Winter zobaczył parę młodych ludzi. Szli przez trawnik. Może to jest wykroczenie.

- No i? - zapytał Ringmar.

- To Kerim spotkał się z nami, kiedy mieliśmy rozmawiać z Azizami. Wiesz, że kiedy przyjechaliśmy, już był na miejscu? Na Hammarkulletorget.

-Tak.

- Przeprósł, że przyjechał za wcześnie, a potem poszliśmy do Nasrin, jej mamy i rodzeństwa.

- Pamiętam. Mówiłeś mi o tym.

- No właśnie. Poprosiłem wtedy Möllerströma, żeby zadzwonił do biura i zamówił nam tłumacza na rozmowę z Azizami. I tak właśnie zrobił. Biuro ma swoje procedury Wybrali kogoś i to ten ktoś miał przyjechać na Hammarkullen.

- I to był Mozaffar Kerim - powiedział Ringmar.

-Nie.

-Nie?

- Nie. Sprawdziłem. Chciałem wiedzieć, dlaczego trafił do nas właśnie on. On cały czas był jakby zbyt gorliwy. Był blisko rodziny. Wszędzie było go pełno. Więc sprawdziłem, komu dali to zlecenie - mają to w dokumentacji. I to nie był on. Teraz nie przypominam sobie nazwiska, ale to był ktoś inny, nie Mozaffar Kerim.

- No to jak to załatwił?

- Jeszcze nie wiem. Musimy go o to zapytać. Ale udało mu się jakoś zamienić z tym kimś, kto miał przyjechać, i kiedy dotarliśmy na Hammarkullen, już tam był.

- Ale dlaczego?

- Bo nie chciał stracić kontroli.

- Ale nad czym?

Winter nie odpowiedział. Para, którą przed chwilą widział w parku, już sobie poszła. Pojawiła się za to elegancko ubrana kobieta w średnim wieku. Prowadziła psa. Pozwoliła mu się załatwić na samym środku trawnika. Potem się rozejrzała i poszła dalej, nie sprzątnęła po swoim kundlu. To już na pewno jest wykroczenie. Gdyby nie to, że miał na głowie co innego, przywołałby babę z powrotem.

- Nad czym nie chciał stracić kontroli? - powtórzył Ringmar.

- Nad niczym.

Mozaffar Kerim nie odbierał domowego telefonu. Biuro tłumaczy nie miało pojęcia, gdzie go szukać.

Nie było go też w pizzerii Suverän. Winter już wcześniej przycisnął kelnerkę. Zapytał ją, czy tamtego dnia, kiedy

widzieli Mozzaffara i Alana w taksówce, dała komuś znać, że on i Ringmar są w pizzerii. Powiedziała, że nie. Mówiła prawdę.

Jakiś mężczyzna z Kurdyjskiego Centrum Kultury i Edukacji rozpoznał Kerima, ale nie wiedział, gdzie jest ani nawet gdzie był tego dnia. Winter miał zamiar jeszcze porozmawiać z pracownikami centrum, ale na razie nie miał czasu.

- Kiedy chcesz znów przesłuchać tego chłopca? - zapytał Ringmar.

- Jutro.

- A nie mówiłeś wcześniej, że dziś?

- Nie dam rady. Może w jego zeznaniach znajdziemy odpowiedź na nasze pytania. Możemy z tym zaczekać jeszcze jeden dzień.

- Ja muszę wreszcie wyjść na powietrze.

- A ja muszę pogadać z Nasrin Aziz.

Winter sądził, że sprawcy żyją. Hussein Hussein może zginął, ale to nie było pewne. Może w ogóle nigdy nie istniał. Ta myśl powoli na niego spadała, jak ból głowy, który kiedy już się zadomowił, ani myślał zniknąć. A Alan Darwish? Czy to on zabił? Raczej nie.

Nasrin czekała pod drzewem. Tego dnia wszyscy, których spotkał, szukali cienia. Jakbyśmy byli w zupełnie innym kraju, pomyślał. Ta pogoda utrzymuje się od naszego powrotu.

- Chcę się przejść - powiedziała Nasrin. - Nie chcę tu stać.

- W którą stronę pójdziemy?

Bez przekonania wskazała na południowy zachód.

Minęli szkołę. Między ulicami i uliczkami było mnóstwo ścieżek i przejść, jakby ulice i uliczki nie wystarczały mieszkańcom.

- Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? - zapytała po chwili. Odkąd ruszyli, Winter nie odezwał się ani słowem.

- Chyba jesteśmy coraz bliżej.

- Bliżej? Co to znaczy?

- Bliżej odpowiedzi. Rozwiązania zagadki, jeśli można tak powiedzieć.

- Pan zawsze mówi tak zagadkowo. Rzadko kto tak mówi po

szwedzku.

- Naprawdę?

- Tak. Nie jestem ekspertką, ale wasz język chyba nie ma zbyt wielu warstw.

- Może masz rację.

- Nie ma zbyt wielu warstw - powtórzyła. - Wszystko jest takie jednoznaczne.

- Czasami to chyba dobrze - odparł Winter.

- Bo wtedy wiadomo, co jest dobre, a co złe?

- To akurat bardzo trudno odróżnić.

- To prawda.

Minęli wzgórze Västerslönt. Do Hjällbo mieli jeszcze kawalek.

- Wie pan, że pod względem liczby użytkowników kurdyjski jest mniej więcej czterdziestym językiem na świecie?

- zapytała, nie patrząc na niego. Odkąd ruszyli, nie spojrzała na niego ani razu.

- Nie wiedziałem.

- Używa go około trzydziestu milionów ludzi. Czyli trochę więcej niż jest Szwedów.

- To prawda.

- Żartuje pan sobie ze mnie?

- Nie, dlaczego?

- Bo mnie pan przedrzeźnia.

- Nieprawda. Chętnie posłucham o waszym języku.

- Niewiele można o nim powiedzieć. Przynajmniej ja niewiele więcej wiem. Są różne dialekty. Ale tak jest ze wszystkimi językami.

- Jakie dialekty?

- Czy to ważne?

- Chcę wiedzieć.

- Ale to bez znaczenia dla waszego śledztwa, czy jak tam to nazywacie.

- Wymień, proszę, kilka.

- No dobrze. Kalhuri, hawrami, kirmanji i sorani. Niektóre są bardzo stare, mają po kilkaset lat. Ale potem się okazało, że to nieważne.

- Dlaczego?

- Bo zabroniono używać kurdyjskiego. Chyba pan wie?

- No tak.

- Nie można było pisać po kurdyjsku. Ani nawet mówić.

Winter milczał. Minęli kościół. W promieniach słońca krzyż ledwo było widać.

- Nie można było myśleć po kurdyjsku - dodała.

Kolejnych kilka metrów przeszli w ciszy.

- Chciałbym cię zapytać o coś innego, Nasrin. Ale to też wiąże się z językiem.

Nasrin się nie odzywała.

- Jak dobrze znasz Mozaffara?

- Dlaczego pan pyta?

- Mówicie tym samym dialektem?

-Tak.

- Pochodzicie z tego samego miasta?

-Nie.

- Czy Mozaffar i ty się przyjaźnicie?

Nie odpowiedziała. Minęli kolejny kościół, tym razem na Hjällbo.

- Przyjaźnicie się? - powtórzył Winter.

-Nie.

- Dlaczego nie?

- Ja też mogłabym panu zadać takie pytanie. Mogę wymienić jakieś imię i zapytać, czy się pan z tym kimś przyjaźni, a pan odpowie, że nie. Bo może być tysiąc powodów, żeby się pan z tym kimś nie przyjaźnił.

- A dlaczego ty nie przyjaźnisz się z Mozaffarem?

- Słucham? - Nasrin zwolniła i przystanęła. Pierwszy raz, odkąd ruszyli. - O co panu chodzi?

- Był twoim przyjacielem?

Milczała.

- A jeśli powiem, że był twoim przyjacielem, ale już nim nie jest, co odpowiesz?

- Odpowiem, że nie wiem, o co panu chodzi.

- A czy Mozaffar był przyjacielem Hiwy?

-Tak.

- Zawsze?

Nasrin nie odpowiedziała.

- Aż do końca?

- Do końca? Co to znaczy do końca?

- Czy był przyjacielem Hiwy aż do jego śmierci?

Nasrin znów ruszyła przed siebie. Nie widział jej twarzy.

W pewnym momencie się zatrzymała i spojrzała w niebo.

- Niedługo lunie deszcz - powiedziała.

Byli już na placu. Ludzie chodzili we wszystkie strony. Ale Winter o nich nie myślał. Spojrzał tam, gdzie Nasrin. Nagle niebo zrobiło się niespokojne. Zebrały się na nim chmury, czarne i białe.

- Nie chcę już odpowiadać na pytania - powiedziała Nasrin. - Chcę już iść.

Poszli dalej, na południe. Winter zobaczył dom Ahme- da. Więc znów tu jest, cały czas wraca. Zaraz zobaczą ten nieszczęsny budynek, w którym tak brutalnie zabito Hiwę. Nasrin chyba o tym nie myślała. Chyba nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Czy Mozaffar zabił Hiwę? - zapytał Winter.

WINTER POSTANOWIŁ na chwilę pojechać do domu.

Kiedy zamykał samochód, zagrzmiało. Niebo nie było już niebieskie. Całe było czarne.

- Proszę, proszę. I kto to wrócił - powiedziała Angela, kiedy wszedł do przedpokoju.

- Tylko na chwilę.

Pobawił się z dziewczynkami w salonie i w przedpokoju.

Potem w kuchni wypili z Angelą herbatę. W szwedzkim stylu, z porcelany. Na dworze znów rozległ się pomruk. W kuchni było ciemno jak przy zaciągniętych roletach.

- Zbiera się na porządne wyładowanie atmosferyczne - powiedziała Angela.

Winter przytaknął.

- Jak długo zostaniesz?

- Jak długo się da. - Spróbował się uśmiechnąć.

- Opowiedz, co się dzisiaj stało.

Opowiedział jej o Nasrin.

- Zastanawiam się, kiedy wreszcie otrząśnie się z szoku.

- A co się wtedy stanie?

- Sam nie wiem.

- Trudno mi coś mówić o jej historii i o tym, skąd pochodzi.

- Omal jej nie zapytałem, czy jej brat jej nie wykorzystywał.

- Czy nie była jedną z tych prostytutek?

-Tak.

- A dlaczego miałyby być?

- Nie wiem.

- Ale coś na to wskazuje?

- Właściwie nie. Nie udało nam się nic znaleźć. Nie znaleźliśmy żadnej z tych dziewczyn.

- Ale jak im się udaje to ukryć? Tym, którzy prowadzą ten straszny interes. Dlaczego ich nie wytropicie? Takich świń nigdy wam się nie udaje dopaść.

- Staramy się. Musimy mieć dowody.

- Do diabła z dowodami!

- Dowody też załatwimy.
- Jak?
- Mamy kilku podejrzanych.
- I gdzie są? Dlaczego nie siedzą w areszcie?
- Jeszcze nie wiedzą.
- To kiedy się dowiedzą?
- Jednego zgarniemy teraz. Taksówkarza. Już wystarczająco długo cieszył się wolnością. A tego drugiego szukamy.
- Kto to?
- Tłumacz. Mozaffar Kerim.
- O co go podejrzewacie?
- Chcę z nim porozmawiać. Sam nie wiem, jaką rolę odegrał.
- Rolę? Mówisz, jakby to była sztuka teatralna.
- Bo jest.
- Dla kogo?
- Między innymi dla mnie. My jesteśmy widownią.
- Zaczyna się - powiedziała Angela. Winter usłyszał, jak deszcz uderzył o szyby.

Jerker Reinholza zatrzymano o osiemnastej zero sześć. Winter wreszcie podjął decyzję.

- O co chodzi?! - zapytał, kiedy mu powiedzieli, po co przyszli. Wintera przy tym nie było. Zajął się tym Halders. Towarzyszyły mu dwa radiowozy.

- Grali z kolegą w karty - relacjonował Halders Winterowi z siedziby korporacji. - Mają przerwę na kawę.

- Jak się nazywa kolega?

- Jak się pan nazywa? - zapytał Halders, odsuwając słuchawkę od ucha.

- Malmström.

- Nazywa się Malmström - powtórzył Halders do telefonu.

- A imię?

- Peter.

- Na imię ma...

- Dobra, słyszałem. Jego też zgarnij.

- Okej.

- Ale o co tu chodzi, do cholery?

Kierowców posadzono w osobnych pokojach. Winter przygotowywał się do przesłuchania Reinholza. Rozmawiał już z prokuratorem Moliną. Deszcz mocno walił w szyby. Cały wieczór w nim utonął.

- Możesz go zatrzymać na sześć, ewentualnie na dwanaście godzin, ale to, co mamy, to za mało, żeby go tymczasowo aresztować. Nie wydaję nakazu.

- Wiem.

- W przypadku tego faceta nie widzę uzasadnionych podejrzeń. Jeszcze nie. Zresztą w przypadku innych też nie. Więc w praktyce nadal prowadzisz śledztwo.

- Dzięki.

- Zorganizuj film do konfrontacji. Dla tego chłopca. Chociaż pewnie już się tym zająłeś.

- Najpierw chcę porozmawiać z Reinholzem.

- Jasne.

- I z tłumaczem. Ukrywa się.

- Wszcząłeś poszukiwania?

- Nie, ale już pora.

- Byłeś u niego w domu?

- W jego mieszkaniu? Nie. Ale nie ma go tam, nie odbiera telefonu. Więc nie możemy ot tak sobie tam wejść.

- W porządku, Winter. Jeśli o mnie chodzi, możecie działać.

- Właśnie tam jadę. Aneta i Fredrik jadą ze mną.

- A ci taksówkarze?

- Tym zajmie się Bertil.

- A od kiedy to on prowadzi śledztwo?

- Jest najlepszy. Zaraz po mnie.

Przez szybę prawie nic nie było widać. Wycieraczki nie nadążały odgarniać wody.

Ulewa trochę zelżała, kiedy zbliżali się do Gårdsten.

Wydawało mu się, że zobaczył dym, zanim dojechali na Kanelgatan. To przez deszcz. Dym wyglądał jak jeszcze jedna mała czarna chmura.

- Pożar - powiedziała Aneta.

Winter skrzył z Gårdstensvagen. Teraz zobaczył, skąd leci dym.

- Cholera! To z bloku Kerima!

Przejechał przez podwórko i podjazd i gwałtownie zahamował przed wejściem. Na dworze w strugach deszczu stało kilka osób. Wszyscy wpatrywali się w otwarte okno na drugim piętrze, to, z którego wylatywał dym. Za kilka minut mógł się zająć cały budynek.

Aneta, Halders i Winter ruszyli biegiem. Gdzieś z drugiej strony tunelu słyszeli syreny. Straż pożarna była niedaleko. Ktoś ich szybko zawiadomił, pomyślał Winter. Pożar dopiero się zaczyna. Przyjechaliśmy w samą porę.

Wbiegli na górę. W powietrzu nie było jeszcze dużo dymu.

Halders otworzył drzwi kopniakiem.

- Uwaga! - krzyknął i uskoczył na bok.

Ale nie powitał ich wystrzał.

Winter z pistoletem w ręku szybko przeszedł przez przedpokój.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Tak się to robi: do płonącego mieszkania wchodzi się z bronią w ręku.

Halders i Aneta czekali na zewnątrz.

W salonie, do którego prowadził przedpokój, Winter zobaczył ciało. Okno było otwarte, to przez nie wydostawał się dym. Chyba cały, bo w mieszkaniu dawało się oddychać. Rozpoznał go. Alan Darwish. Wyglądał, jakby spokojnie spał, nieświadom ich wizyty, pożaru ani niczego innego.

Palila się sofa i jeden z foteli. Płomienie zaczęły już lizać ścianę. Pękł jeden pas tapety. Pęknięcie wyglądało jak rana. Nagle płomień wysunął się jak jezior smoka i chwycił firankę. Teraz pożar widać z zewnątrz, pomyślał Winter. Bo wcześniej nie było.

- Ogień to pierwotna siła - usłyszał za sobą. Głos Mozaffara Kerima: łagodny i piękny, a jednocześnie zdecydowany. Bez trudu przebijał się przez trzask ognia.

- Na początku był tylko ogień. To jedyna czysta rzecz na tym okropnym, brudnym świecie.

Winter się odwrócił.

- Mozaffar, tylko spokojnie. Odlóż strzelbę.

- Ten świat jest okropny. Nie sądzisz? Wiem, że ty też tak myślisz. Napatrzyłeś się już na niego. Żyjesz na nim.

- Mozaffar, odlóż strzelbę.

- Brud. Syf. Wszędzie tylko syf. Nie uchowało się nic pięknego. To, co kiedyś było piękne, też zbrukano. Oni zbrukali.

- Kto zbrukał?

- A jak myślisz? Jak, kurwa, myślisz? Może nie klnę tak dobrze jak ty, ale teraz mam na to ochotę. Więc jak myślisz, do cholery? Kto?

- Zastrześliście ich - powiedział Winter.

Mozaffar nie odpowiedział. Ze strzelby z obciętą lufą mierzył w twarz Wintera. Ręce mu się trzęsły. Ale się, kurwa, wpakowałem, pomyślał Winter. Klnę lepiej niż on, i co z tego. Gdzie się, do cholery, podzieli Halders i Aneta?

- Dlaczego ich zastrześliście?

- Brukali ten świat. Ten nowy świat. Siebie samych. Swoich bliskich.

Ręka mu drgnęła. Winter zamknął oczy. Ból głowy nie dawał o sobie znać. W ogóle. Wkrótce rozplynie się w wieczności wraz z całą resztą głowy.

- A ogień oczyszcza - usłyszał głos Mozaffara. Dobiegał jakby z daleka, z drugiego końca tunelu... z drugiego końca tunelu, którym przed chwilą jechał...

Huk wystrzału omal nie rozerwał mu bębenków. Padł na podłogę. Czekał na ból albo ciemność. To moja ostatnia sekunda, pomyślał. Człowiek ma tylko sekundę. Pod sobą poczuł coś miękkiego - padł na ciało Alana. Okropne uczucie. Zapach też był straszny - dym, strzelba, wystrzelony z bliska proch. Oślepl i ogłuchł. Sparaliżowało go.

Ale żył.

Jednak nie ogłuchł, usłyszał wołanie Anety.

- Winter! Winter!

I nie oślepl. Zobaczył Anetę. Pochyliła się nad Kerimem. Nad tym, co z niego zostało.

Halders spojrzał na niego.

- Biegłem przez przedpokój i musiałem coś zrobić, bo zdążyłby zastrzelić i ciebie, i mnie. Kiedy mnie zobaczył, wycelował mi w twarz.

Winter widział tył głowy Kerima. Nie chciał widzieć więcej. Już się napatrzył.

- Nie zdążyłem nic zrobić, Erik. Nie było czasu.

Winter poczuł, że coś się rusza przy jego nodze.

Podskoczył ze strachu. Serce zaczęło mu walić, chciał uciec.

Spojrzał w dół.

To Alan Darwish poruszył ręką.

Alan był już w karetce, wiozła go do szpitala. Aneta pojechała z nim. Winter usłyszał sygnał karetki, kiedy jeszcze czuł, jak Alan się pod nim rusza.

Straż pożarna też już była na miejscu.

Mozaffar był w drodze do kostnicy. Jemu nie towarzyszyły syreny

Deszcz przestał padać, ciemne chmury przetoczyły się nad morze. Asfalt parował. Pachniało świeżością.

Halders patrzył na ulicę, którą odjechała karetka i samochód jadący do kostnicy. Darwish i Mozaffar podróżowali osobno.

- To ten dzieciak rozwalił tamtych ze strzelby razem z Kerimem?

- W sklepie? Zobaczymy.

- Nie wyglądał najlepiej.

- Za parę dni będziemy mogli go przesłuchać.

- Sporo informacji Kerim zabrał ze sobą na tamten świat.

- Widocznie tak to sobie zaplanował.

- Dlaczego to zrobił? Dlaczego ich zastrzelił?

- Nie podobało mu się to, co robili.

- A co właściwie robili?

- Niedługo się dowiemy.

- Od kogo?

- Na przykład od jednego albo drugiego taksówkarza.

Halders spojrzał na zegarek.

- Bertil chyba już zdążył uciąć sobie pogawędkę z Reinholzem?

- Tak. I to długą, mam nadzieję.

Winter otworzył samochód.

- I co chcesz teraz zrobić? - zapytał Halders.

- Wrócić, oczywiście.

- Przecież, do cholery, nie możesz prowadzić w takim stanie. Za bardzo się trzęsiesz. Nawdychałeś się za dużo dymu. Zamiast tu stać, powinieneś jechać karetką razem z Alanem. Niewiele brakowało, a przejechałbyś się z Kerimem. Skoro już mi się udało dożyć tej chwili, to nie mam zamiaru ryzykować życia. Dawaj kluczyki. - Halders wyciągnął dłoń. - No, już. Winter mówił mu, gdzie ma jechać.

- W lewo.

- To nie jest najkrótsza droga.

- Jest. Na Bergsjón.

- Jezu, chcesz teraz jechać na Bergsjón?

- Tak.

- Po co?

- Muszę coś sprawdzić.

- Co? Gdzie?

- Szukaliśmy Husseina Husseina i wreszcie go znaleźliśmy.

- Tak? I gdzie jest? Z powrotem na Bergsjón?

-Nie.

- No to musisz mi wyjaśnić.

- W swoim czasie.

- W swoim czasie?

- Jedź na Tellusgatan. Ja muszę się zdrzemnąć.

Zacisnął powieki i poczuł, jak świat miga mu przed oczami. Ból głowy wrócił, jak fałszywy przyjaciel, który znika, kiedy robi się gorąco. A tym razem zrobiło się naprawdę gorąco. Wciąż czuł w nozdrzach ten okropny smród. Każdy uznałby to za smród. Miał nadzieję, że ból głowy też go czuje.

Kiedy Halders zatrzymał się przed długim, fantazyjnie falującym blokiem, Winter wciąż miał zamknięte oczy.

- Tellusgatan dwadzieścia.

Weszli na czwarte piętro.

Biało-niebieska policyjna taśma okalała drzwi niczym świąteczna dekoracja, choć do Bożego Narodzenia zostało jeszcze pół roku. A żadna dekoracja tyle nie wytrzyma.

Winter zadzwonił do drzwi po przeciwnej stronie korytarza.

Nacisnął dzwonek jeszcze raz.

Za drzwiami usłyszeli szybkie, lekkie kroki.

Ktoś pociągnął za klamkę. Poruszyła się, ale tylko trochę.

Potem rozległy się cięższe kroki.

Drzwi się otworzyły. Winter omal nie oberwał nimi w twarz.

Schylił się i spojrział na chłopca. Było późno, ale mały nie spał.

- Cześć. Cześć, Mats. - Pamiętał imię. Jedno z wielu, których po tej sprawie nie zapomni.

Pokazał jego mamie legitymację.

- Tak, poznaję panów.

Winter sięgnął do kieszeni marynarki i coś z niej wyciągnął. Podsunął to kobiecie pod nos. Zdjęcie.

- Rozpoznaje pani tego mężczyznę?

Kobieta spojrzała na zdjęcie. Wychodzący z domu mężczyzna. Patrzył w obiektyw, jakby wiedział, że po drugiej stronie ulicy ukrywa się fotograf. Ale Winter wiedział, że się nie zorientował. Fotograf był ostrożny.

Mama Matsa popatrzyła na Wintera, potem na zdjęcie i znów na Wintera.

- To on - powiedziała.

- Jest pani pewna?

- Mogę też?! Mogę też?! - zawołał Mats.

Winter przesunął zdjęcie, żeby Mats mógł je zobaczyć.

- To Hussein! - powiedział Mats. - Hasse Hussein.

- Skoro on też tak mówi... - Jego mama się uśmiechnęła.

- Widać i on jest pewny - odparł Winter.

- Tak, to na pewno Hussein - powiedziała, wskazując na zdjęcie Mozaffara Kerima.

SÄVEÄN WYGLĄDAŁA JAK FOSA łącząca północ z południem. Halders minął ją i jechał dalej, Kung Göstas väg. Ulica króla Gósty. Kim, do diabła, był król Gósta? - pomyślał Winter. Za oknami widać już było zabudowania Partille. Wracali do domu.

- A niech to - powiedział Halders. - Szukaliśmy żywego ducha. A teraz koleś naprawdę jest duchem.

- Na co mu było mieszkanie na Bergsjön?

- Prowadził hotel?

-Hm...

- Kursy językowe?

- To miała być kryjówka, z której nigdy mu się nie udało skorzystać - odparł Winter.

- Dlaczego? - Halders minął już Bagaregården. - Prowadzić taki wóz to czysta przyjemność.

- Zamierzam go wymienić.

- Na co?

- Na opla corsę.

Halders się zaśmiał. Wciąż mógł sobie na to pozwolić. Winter się nie śmiał. On będzie mógł sobie na to pozwolić później, może jutro, może za miesiąc.

- Nie mogli korzystać z Tellusgatan, bo my tam byliśmy - powiedział. - Zajęliśmy lokal.

- A dlaczego się tam pojawiliśmy?

- Bo dowiedzieliśmy się, że Hussein Hussein pracował u Jimmy'ego.

Zbliżali się już do centrum. Ruch był duży. Tak będzie jeszcze kilka tygodni - w sezonie urlopowym trochę się przerzedzi, ale nie za bardzo. Wtedy miasto zapełnią turyści. Dzieci, które będą chciały zobaczyć park rozrywki Liseberg. Sam chciał tam pójść z córkami. Jako dziecko i jako nastolatek bywał tam w każde wakacje. Brakowało mu starych atrakcji. Tych spokojniejszych. Te nowe bywały zbyt niebezpieczne.

- No i na Bergsjön był Hussein Hussein. Pomyśleliśmy, że to ten nasz - ciągnął Winter.

- Ale nie wiedzieliśmy na pewno.

- Trudno coś takiego sprawdzić, jeśli ktoś zaginął.

- Nie tylko wtedy - odparł Halders. - Mówiłem już o tym. Jeśli ktoś chce się stać kimś innym, to po prostu się nim staje. Teraz to o wiele łatwiejsze.

- Prawdziwy Hussein Hussein prawdopodobnie naprawdę istnieje. Pewnego dnia wróci z urlopu i zastanie swoje mieszkanie zabezpieczone policyjnymi taśmami.

- Z urlopu? Chyba raczej z drugiego brzegu?

- Z drugiego brzegu?

- Z tamtego świata.

- A jeśli Mozaffar ma na sumieniu jeszcze jedno życie? To nie jest wykluczone.

- Dla takiego kogoś nic nie jest wykluczone.

- Takiego kogoś?

- Żaden ze mnie psycholog, ale siedzę w tej robocie od paru ładnych lat. Kierowało nim coś takiego, że nie cofnąłby się przed niczym.

- A co według ciebie nim kierowało?

- Może nienawiść. Szaleństwo. Ale i to musi się z czegoś wziąć. Ma jakąś przyczynę.

- Właśnie. Jeszcze nie znaleźliśmy tej przyczyny.

- To nie zawsze się udaje. A wtedy człowiek czuje pewien niedosyt, prawda?

Winter nie odpowiedział. Przed nimi wyrosła fasada stadionu Nya Ullevi. Kiedy go zbudowano na Mistrzostwa Świata w 1958 roku, wszyscy uznali go za ładny, potem za brzydki, potem znów za ładny, i znów brzydki, i tak dalej, i tak dalej. Winterowi się podobał. Patrzył na niego przez okno swojego gabinetu, kiedy chciał okiełznać coś trudnego do okiełznania.

- No więc dowiedzieliśmy się, że jest ktoś taki jak Hussein - powiedział Winter.

- Ty się dowiedziałeś.

- Tak. Nasrin Aziz mi powiedziała.

- I tu zaczynają się problemy - powiedział Halders.

- Chyba zaczęły się już wcześniej.
- Dlaczego miałyby nam o nim mówić, skoro Hussein Hussein to Mozaffar?
- Bo nie wiedziała, że to on.
- Więc jednak istnieje prawdziwy Hussein?
- Może.
- A jakie są inne możliwości? Z jej punktu widzenia?
- Warto się nad tym zastanowić, Fredrik.

Rozmowa się przedłużała. Ringmarowi nie udało się nic wyciągnąć. Tego się zresztą spodziewał. Taksówkarz nic nie wiedział, był zupełnym niewiniątkiem. Bóg jeden wie, jak mu się udało zrobić prawo jazdy. A do tego zarabiać na jeźdźeniu. Wiadomo przecież, że w tym zawodzie kierowca kierowcy wilkiem.

- Skąd pan zna Mozaffara Kerima? - zaczął Ringmar.
- A kto to?
- Niech pan da spokój.
- Ale ja naprawdę nie wiem, kto to jest.
- Mozaffar Kerim. Jest tłumaczem.
- Nie znam go. Skąd miałbym go znać?
- To pan powinien mi powiedzieć.
- Nie mam na ten temat nic do powiedzenia.
- Pański kolega go zna.
- To znaczy?
- Zna Mozaffara Kerima.
- Pytałem o kolegę.
- Peter Malmström oczywiście.
- Zna Kerima?
- Tak.
- Tak powiedział?
- Tak.
- Nie wierzę.

I tak dalej, i tak dalej.

Ringmar zrobił przerwę i wyszedł na korytarz.

Kilka sekund później dowiedział się, co się stało.

Wrócił do pokoju i usiadł naprzeciwko niewiniątka Rein-

holza.

Nie miał zamiaru mówić mu o śmierci Kerima. Jeszcze nie.

- Proszę opowiedzieć o tym poranku, kiedy przyjechał pan do sklepu Jimmy'ego.

- Ile razy mam to opowiadać? Jezu, ileż razy można wałkować tę historię?

Ale zaczął ją wałkować. Ringmar śledził wzrokiem protokół z poprzedniego przesłuchania. A przynajmniej udawał, że to robi.

- Dlaczego tyle czasu spędził pan w środku? - zapytał. - Zanim wezwał pan policję.

- To wcale nie było długo.

- Według mnie było.

- Może pan sobie myśleć, co pan chce.

- Dlaczego założył pan na buty ochraniacze?

- Co? - Reinholz odchylił się do tyłu. Po raz pierwszy tak wyraźnie zmienił pozycję. - Co pan mówi? Co to ma znaczyć?

- Założył pan na buty ochraniacze. Takie, jakie się nosi w szpitalach.

Reinholz nie odpowiedział. Nadal siedział odchyłony, jakby chciał się wcisnąć w ścianę i zniknąć.

- Wie pan, o czym mówię?

-Nie.

- Nigdy pan nie widział ochraniaczy na buty?

- Oczywiście, że widziałem. Każdy widział.

- To po co je pan założył, kiedy pan wchodził do sklepu Jimmy'ego?

- Nie założyłem.

Nie. Może rzeczywiście nie założył. Zobaczymy. Muszę dokończyć.

- Czy to dlatego, że była tam krew?

- Jaka krew?

- Nie wie pan, o jakiej krwi mówię?

I tak dalej, i tak dalej.

- Właśnie przeszukujemy pański samochód.

- Dlaczego?

Ringmar poprosił, żeby ktoś im przyniósł zimnej wody.

Reinholz chwycił się milczenia niczym alpinista - skała po skała, starał się utrzymać, dopóki starczy mu sił albo odwagi. A potem zacznie się wspinać na nowo. Ale tak naprawdę nie wchodził na górę, tylko schodził coraz niżej i niżej. I to bardzo szybko.

- Proszę opowiedzieć o dziewczynach.

- Jakich dziewczynach?

- Tych, które przewoziliście.

- A po co mielibyśmy przewozić jakieś dziewczyny?

- To pan niech mi powie.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- W końcu nam pan powie. Wszyscy w końcu mówią.

Reinholz milczał. Nie miał nic do powiedzenia - ani teraz, ani później.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego Mozaffar pozwolił panu żyć - ciągnął Ringmar. - Dlaczego pana nie zabił.

- To niech pan jego o to zapyta.

Ringmar pokiwał głową.

- Zamiast to zrobić, w pewnym sensie z panem współpracował. Już po wszystkim. Tego nie pojmuję. - Ringmar wypił łyk wody. Znow była ciepła. Nawet nie letnia, była ciepła. W pokoju było gorąco i parno. Reinholz miał pot na czole. Pokrywała je cienka warstwa wody, spływała jak po płaskiej skałe.

- Proszę powiedzieć, dlaczego jeszcze pan żyje.

Winter masował palcami czoło. Coltrane znow grał *Psalm*, nie po raz pierwszy w tym pokoju. Swoją suitę *A Love Supreme* Coltrane uważał za dar dla Boga. Winter też pomyślał o darach dla Boga. I o ogniu. Bóg jest jeden i jest ich wielu. Jest wszędzie i nigdzie. Chyba tak się o nim mówi. O niej. Ona jest wszędzie. Ten przeklęty ból głowy. Coś jest ze mną nie tak. I nie chcę się dowiedzieć co. Teraz wolę się dowiedzieć czegoś innego. To mi pomoże. Przyniesie ulgę. Gdzie ja położyłem leki przeciwbólowe? I znow telefon.

Zanim jeszcze podniósł słuchawkę, wiedział, że za chwilę usłyszy donośny głos Braciszka. Widać to było po telefonie. Już

podskakiwał.

-Tak?

- Winter? Słuchaj, te dzieciaki z ławki to byli znajomi Alana.

- No to podziwiam ich za odwagę.

- Co? Bo tam zostali? Ale w sumie nie mieli nic do stracenia.

- Odwrócili naszą uwagę, żeby mógł uciec.

- Przyjechali tam samochodem. A wrócić mieli na rowerach.

- To ty wybierałeś ławkę, na której usiedliśmy.

- Dobra, nie po to dzwonię. Chodzi o to, że oni mogą coś wiedzieć o dziewczynach. O tym gangu alfonsów.

- Mogą coś wiedzieć?

- Ta dziewczyna, Ronak, trochę się zdradziła. Mówiła o kobiecie, którą zamordowano na Rannebergen.

- Ale co powiedziała?

- Na razie jeszcze nic dla ciebie nie mam. Dziewczyna chyba kryje siebie albo kogoś innego. Chyba raczej kogoś innego. Nie jest tchórzem. Ale się boi. Coś wie, ale nie chce nam jeszcze powiedzieć. Ale powie.

- Kobieta, którą zamordowano na Rannebergen? Shahnaz Rezaei.

-Tak.

- Co z nią?

- Nie chce powiedzieć nic więcej.

- No proszę.

- Chyba chce się dowiedzieć czegoś więcej od nas, dopiero wtedy sama coś powie. Chce wiedzieć, co się dzieje. Co się stało.

- Chce na przykład wiedzieć, że Mozaffar Kerim nie żyje?

- Na przykład.

- To jej powiedz.

Ahmed siedział bez ruchu na sofie. Było już bardzo późno. Za późno. Ale Ahmed był nocnym markiem. Winter przyniósł piłkę nożną. Jechał na Hjällbo przekonany, że to będzie ostatnia wizyta. Jeszcze tylko ten raz, a potem koniec. Czerwiec niedługo się skończy i ta sprawa też. Technicznie rzecz biorąc, już się skończyła. Ale tylko technicznie.

- Pewnie wolałbyś piłeczkę tenisową, co? - zapytał chłopca, kiedy ten położył piłkę obok siebie.

Chłopiec pokręcił głową.

- Kiedy ja miałem dziesięć lat, dużo grałem w nogę - powiedział Winter.

- Ja niedługo będę miał jedenaście - odparł Ahmed.

Jego mama popatrzyła na niego. Na jej twarzy widać było ulgę. Wreszcie rozpoznała swojego synka, jego głos. Dla niej nie miało znaczenia, że jest tak późno.

- Aha. Oczywiście, jedenaście.

Ahmed podniósł piłkę, zważył ją w rękach. Była białoszara. Winter chciał kupić czarno-białą, w paski, ale nie dostał takiej. Lubił oglądać mecze w telewizji, ale jakoś nie zauważył, żeby piłki wyglądały teraz inaczej. Był mało spostrzegawczy. Piłki były lżejsze. Zorientował się, kupując tę. Ale to znaczyło, że łatwiej znosił je wiatr.

- Możemy porozmawiać o tamtym poranku? - zapytał.

Nie wiedziałam, że był na dworze, powiedziała mama Ahmeda. Nie wiedziałam. My., musiał się wykraść po cichutku. Zawsze jest cichy. Do domu też wchodzi cichaczem. Zawsze się skrada. Ale takie nocne eskapady... nie rozumiem.

Bo spaliście, wtrącił Ahmed. Nie obudzilibyście się, nawet gdybym odbijał piłkę.

Winter chyba wiedział, o co chodzi.

Potem trzeba to będzie zbadać. Ale tym zajmą się inne służby. On nie chce teraz o tym myśleć. Nie musi.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym panu, który stał w sklepie? - zapytał.

Chłopiec pokiwał głową. Znów ucichł. Obrazy, które miał w głowie, chyba wypierały słowa.

- Co zrobił potem?

Ahmed nie odpowiedział.

- Chodził po sklepie?

Ahmed pokiwał głową.

- Długo?

- Krótko...

Winter czekał. Ahmed chciał chyba powiedzieć coś jeszcze.

- Założył niebieskie buty.

Niebieskie buty.

- Założył je, stojąc w drzwiach?

Chłopiec skinął głową.

- Zanim zaczął chodzić po sklepie?

Przytaknął.

Ale nie wszedł w kałużę krwi, pomyślał Winter. Nie znaleźliśmy jego śladów. Gdzie zdjął ochraniacze? Musiał je włożyć do kieszeni. Nie zrewidowaliśmy go.

- I co robił potem?

- Nic.

- Dotykał czegoś?

Chłopiec pokręcił głową.

- Patrzył na podłogę?

Przytaknął.

- Robił coś jeszcze?

- Wtedy uciekłem - powiedział Ahmed.

Winter wziął ze sobą nagranie z konfrontacji. Ustawił w rzędzie Reinholza i Malmströma i sześciu sympatycznie wyglądających policjantów. Reinholz i Malmström też wyglądali sympatycznie.

Włączył monitor i włożył film do odtwarzacza.

- Zobaczysz ośmiu panów. Będą stali obok siebie. Będą tylko stali. Nic nie będą robić. Chcę, żebyś mi powiedział, czy rozpoznajesz któregoś z nich.

Ahmed pokiwał głową. Trzymał piłkę w objęciach.

- Rozumiesz?

Znów przytaknął.

- Jeśli nie chcesz, to nie będziemy tego robić.

Skinął głową.

- Chcesz to zrobić?

Znów pokiwał głową.

- To potrwa tylko chwilę. Uwaga, włączam. Dobrze?

Ahmed kiwnął głową.

- Rozpoznajesz któregoś z tych panów?

Winter włączył taśmę.

Reinholz stał trzeci z lewej.

Po piętnastu sekundach Ahmed wstał z kanapy i podszedł, a raczej przysunął się cicho do monitora i wycelował palec w trzeciego z lewej.

Jego mama przyniosła sok. Winter też się napił. Sok był słodki, ale nie za bardzo. Smaczny. Potem zapyta, z jakich to owoców. Nie umiał rozpoznać smaku.

- Ahmed, kiedy rozmawialiśmy ostatnio, mówiłeś, że widziałeś kogoś ze strzelbą.

Chłopiec pokiwał głową.

Winter miał w kieszeni zdjęcie Mozaffara Kerima, ale nie chciał go jeszcze wyciągać.

- Widziałeś, jak wychodzili ze sklepu?

Ahmed skinął głową.

- Co robili?

Winter powtórzył pytania, które zadał mu poprzednio. Chłopiec nie odpowiadał.

- Mówili coś?

Ahmed pokręcił głową.

- Ilu ich było?

Podniósł rękę.

- Policzymy na palcach, Ahmed?

Mały się uśmiechnął i wyciągnął dwa palce.

- Dwóch? Było ich dwóch?

Chłopiec pokiwał głową.

- Widziałeś w sklepie dwie osoby?

Przytaknął.

- I to te dwie osoby wyszły?

Przytaknął.

- Odjechali samochodem?

Skinął głową.

- Rozpoznałbyś ten samochód?

- Może.

Znów zaczął mówić. Łatwiej mu było rozmawiać o samochodach.

- Jesteś w tym dobry?

- Tak mi się wydaje...

- Kiedy ci dwaj wyszli, to coś zrobili?

Chłopiec nie zrozumiał pytania.

- Mieli na głowach czapki?

Skinął głową.

- Jakie czapki?

Nie odpowiedział.

- Czarne?

Nie odpowiedział. Winter wiedział, że to trudne pytanie.

- Czy któryś z nich zdjął czapkę?

Skinął głową.

- Jeden z nich zdjął czapkę?

Ahmed pokiwał głową.

- Miał jasne włosy?

Chłopiec pokręcił głową.

- A jaki to był kolor?

- Brązowy.

- Więc miał brązowe włosy?

- Miała.

- Miała?

- To była dziewczyna.

ZE STAREGO KRAJU MAM TYLKO JEDNO ZDJĘCIE. Mam na nim jakieś siedem, osiem lat. Skaczę ze skały. Wyglądam, jakbym leciała. Na zdjęciu nie widać ziemi, jest tylko płaska skała i góry w tle. Dlatego wydaje się, że jestem wysoko w powietrzu, że lecę jak ptak.

Wiesz, kto zrobił to zdjęcie? Mój tata. Z tego co wiem, nie miał aparatu, ale pożyczył od kogoś i zrobił mi to zdjęcie. Może nazywał mnie swoją ptaszyną, chociaż nazwał mnie jak kwiat.

Nie mam jego zdjęcia.

Nie pamiętam już, jak wyglądał. Chciałabym, ale nie potrafię sobie przypomnieć. Czy pytałam o to mamę? Nie.

Martwię się o nią. Co się teraz z nią stanie? Martwię się też o młodsze rodzeństwo. Czy zostaną tutaj? Po tym, co zrobiłam? Po tym, co zrobił Hiwa? Czy teraz ich deportują? Może wyślą ich do Niemiec, a stamtąd nie wiadomo dokąd.

Nie mogłam o tym wszystkim rozmawiać z mamą. Zrobisz to? Ja nie chcę. Nigdy nie będę z nią o tym rozmawiać. Możesz jej to powiedzieć. Wiesz, co jej przekaz? Powiedz, że ja tego nie chciałam. Tego wszystkiego, co się stało. Nie chciałam tego. Tak jej powiedz.

Wozili nas w kółko. Nie wiem dlaczego. To było jak sen, z którego człowiek chce się obudzić. Jak zły sen. Jak wir, który ciągnie na dno. Mówili, że to zabawa. Ale to nie była zabawa.

Były tam dziewczyny, których nie znałam. Pojawiały się i znikwały.

Klientami zawsze byli biali. Biali Szwedzi. To taksówkarze załatwiali klientów. Dość szybko to zrozumiałam. Pewnie się zastanawiasz, czemu wcześniej się nie zorientowałam. Czemu nie wiedziałam, co się stanie. Może wiedziałam? Chociaż nie. Ufałam Hiwie. Nie groził mi, na początku nie. A potem powiedział, że nie jest moim bratem. Pokazał mi nawet jakiś dokument, który to poświadczał, ale nie wierzyłam mu. Kiedy zobaczyłam pieniądze, to im zaufałam.

I to jest najgorsze. Najgorsze. To, że tak bardzo polegałam na pieniądzach.

Już o nic nie pytaj, bo nie powiem.

Mozaffar się dowiedział i był wściekły.

Chciał się ze mną ożenić. Oświadczył mi się. Pamiętam tę chwilę, jakby to było dziś, pięć minut temu. Nie rozmawiał z mamą. Jeszcze nie chciał. Porozmawiał z Hiwą. A Hiwa go wyśmiała. Kiedy Mozaffar wychodził, Hiwa wciąż się śmiała.

Wtedy jeszcze Mozaffar nie wiedział. Ale kiedy się dowiedział, był wściekły, ale to już mówiłam.

Pytasz, czy ktoś wiedział? Nie, na początku nie. Potem kilka osób wiedziało. Poznałeś je. Nie mogłam milczeć tak długo. Nie po tym, jak zdecydowałam, że chcę się wyrwać. Wtedy zaczęli mi grozić. Jimmy i Said. Grozili mi, kiedy chciałam z tym skończyć.

Shahnaz też. Shahnaz Rezai. Ona też mi groziła.

To nie Mozaffar ją zabił. To ja. Nie znajdziecie tam jego śladów, jestem pewna, bo nigdy tam nie był. Ja byłam. Moje ślady znajdziecie na pewno. To ja tam wtedy byłam. Mogę wam powiedzieć, gdzie leży nóż. Mogłabym go wykopać i dźgnąć ją jeszcze raz.

Ten dozorca wiedział. Ten, który mnie tam wtedy widział. Zrozumiał wszystko, widziałam to. Mówił wam?

Najpierw Mozaffar nie wiedział nic, potem dowiedział się wszystkiego. Ale taksówkarzy nie chciał zabijać. Na początku miał taki zamiar, ale nie dał rady. A może chciał to zrobić później. Na początku z nimi współpracował, jeśli można tak powiedzieć. Wciąż był wściekły. Był jak opętany. Udawał, że tak nie jest, ale nie można udawać w nieskończoność.

Myślałam, że w sklepie będą tylko Jimmy i Said. Tak mówił Mozaffar. Nie było trudno tam wejść i zacząć strzelać. Tak bardzo mnie skrzywdzili, a wtedy to ja krzywdziłam ich. Nie było tak strasznie, jak sobie wcześniej wyobrażałam. Chciałam tego, przyznaję. Ale dla Mozaffara to było za mało. Według niego nie byli godni, żeby mieć twarze. Mówił też inne rzeczy,

ale o nich wolę zapomnieć. Lepiej nie pamiętać wszystkiego.

Nie wiedziałam tylko, że jest tam Hiwa. Był na zapleczu. Kiedy do nas wyszedł, nic nie mogłam zrobić. Próbowałam go zasłonić, stanęłam między nim i Mozaffarem. Ale nic nie mogłam zrobić, nawet wtedy, kiedy Hiwa zaczął krzyczeć. Teraz wiem, że Mozaffar od początku wiedział, że Hiwa tam będzie. Ze to jego chciał zabić najpierw. A zabił na końcu, ale to już nie miało znaczenia. I wtedy się wściekłam, byłam jak opętana. Tak jak on wcześniej. Pojechałam do tej jędzy, zapukałam do drzwi. Rozpoznała mnie i wpuściła. A potem poszło już łatwo. Byłam jak szalona.

A potem już nic nie miało znaczenia. Gdybyście mnie wtedy zapytali, przyznałabym się. Ale był tam Mozaffar.

I wiedziałam, że jeśli wam powiem, nic się nie zmieni. A teraz nie mam już nic więcej do powiedzenia. To już wszystko. Możesz mi przywieźć to zdjęcie, które mam ze starego kraju? Jest w moim pokoju, w przedostatniej szufladzie biurka. To moja góra. Tak o niej myślę. Lecę nad moją górą. To jedyna rzecz na świecie, którą chcę teraz mieć. Nie będę więcej mówić. Chciałeś, żebym ci opowiedziała wszystko od początku. Opowiedziałam. Długo tu siedzieliśmy. Teraz możesz już to wyłączyć. Więcej nie powiem. Wyłącz.

Winter pochylił się nad dyktafonem.

- Przesłuchanie Nasrin Aziz zakończono o godzinie drugiej zero trzy.

Nacisnął przycisk. Szpule przestały się obracać. Historia też, skończyła się.

- Nasrin, chcesz szklankę wody? Może kawy?

Pokręciła głową.

W osiedlowym sklepie na przedmieściach Göteborga w brutalny sposób zostają zamordowani trzej mężczyźni. Strzały padają z bliska. Z kasy nie giną pieniądze. Czy ofiary znały morderców? Czy ktoś wykonał na nich wyrok? Ci, którzy mogą coś wiedzieć o tej sprawie, znikają w tajemniczych okolicznościach. Nikt nie chce współpracować z policją, wszyscy uparcie milczą. Erik Winter rozpoczyna najtrudniejsze śledztwo w swojej policyjnej karierze. Obserwuje go chłopiec na rowerze, ale znika bez śladu, gdy Winter próbuje nawiązać z nim kontakt. Komisarz musi do niego dotrzeć, zanim ktoś go ubiegnie...

Najpiękniejszy kraj to ósmy tom bestsellerowego cyklu dziesięciu powieści kryminalnych połączonych postacią komisarza Erika Wintera. To pełne napięcia thrillery o mrocznych zakamarkach ludzkiej duszy. Opowiedziane z ironicznym dystansem, zmuszają do refleksji nad sprawami daleko odbiegającymi od sensacyjnej fabuły.

Åke Edwardson (ur. 1953 r.) znany i ceniony autor kryminałów. Jako pisarz zadebiutował w 1995 r., przedtem pracował jako dziennikarz i wykładowca uniwersytecki. W latach 1981–1982 był oficerem prasowym przy ONZ na Bliskim Wschodzie. Obecnie jest jednym z najchętniej czytanych szwedzkich autorów.

Edwardson od wielu lat cieszy się międzynarodowym uznaniem, a jego książki zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. Otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia, w tym trzykrotnie prestiżową nagrodę Szwedzkiej Akademii Pisarzy Kryminalnych.

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Patronat:



Cena: 34,90 zł



Ali-Baba